

S. BERNACIŃSKI



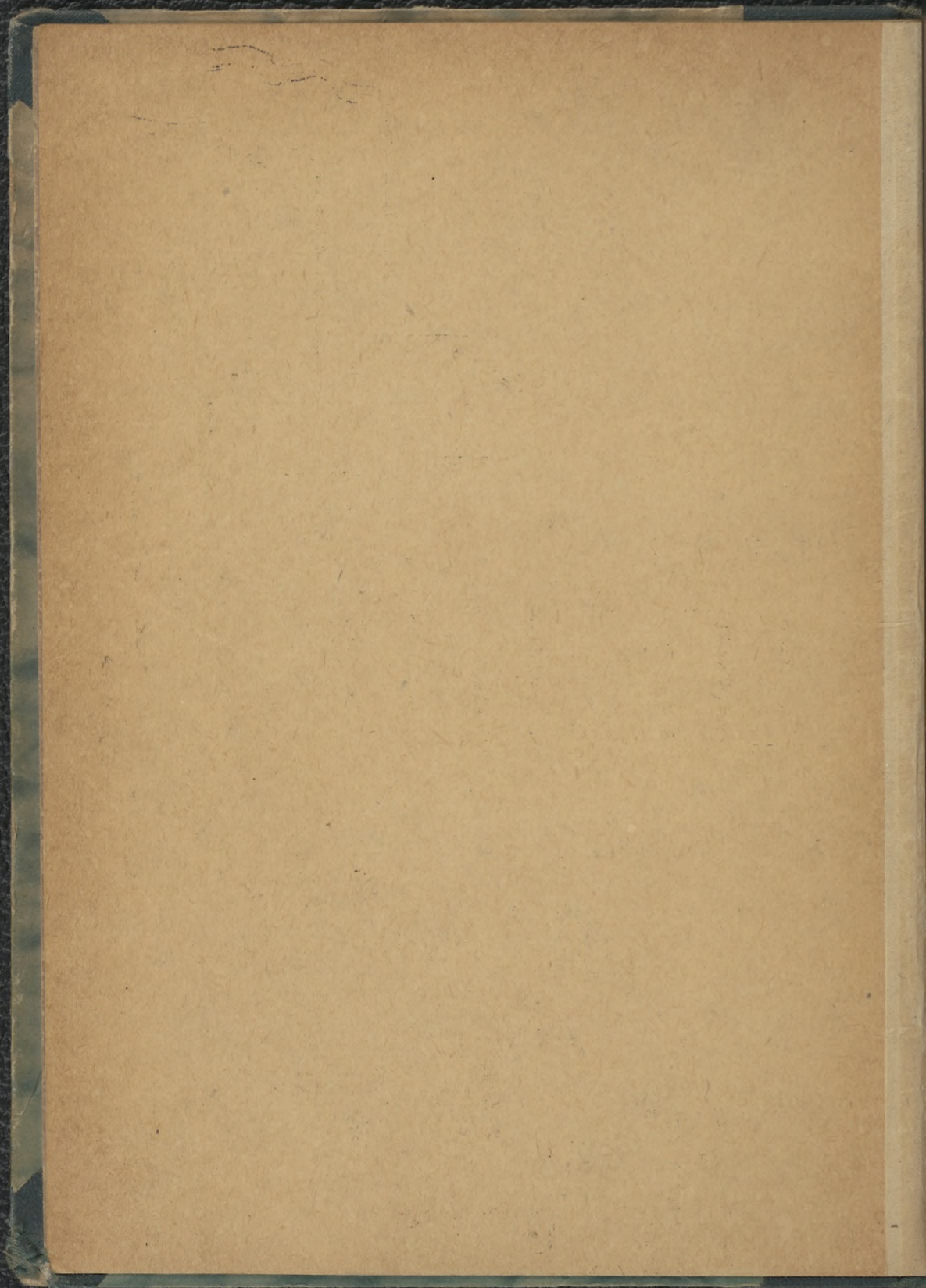
967

Maksym Gorki

matka

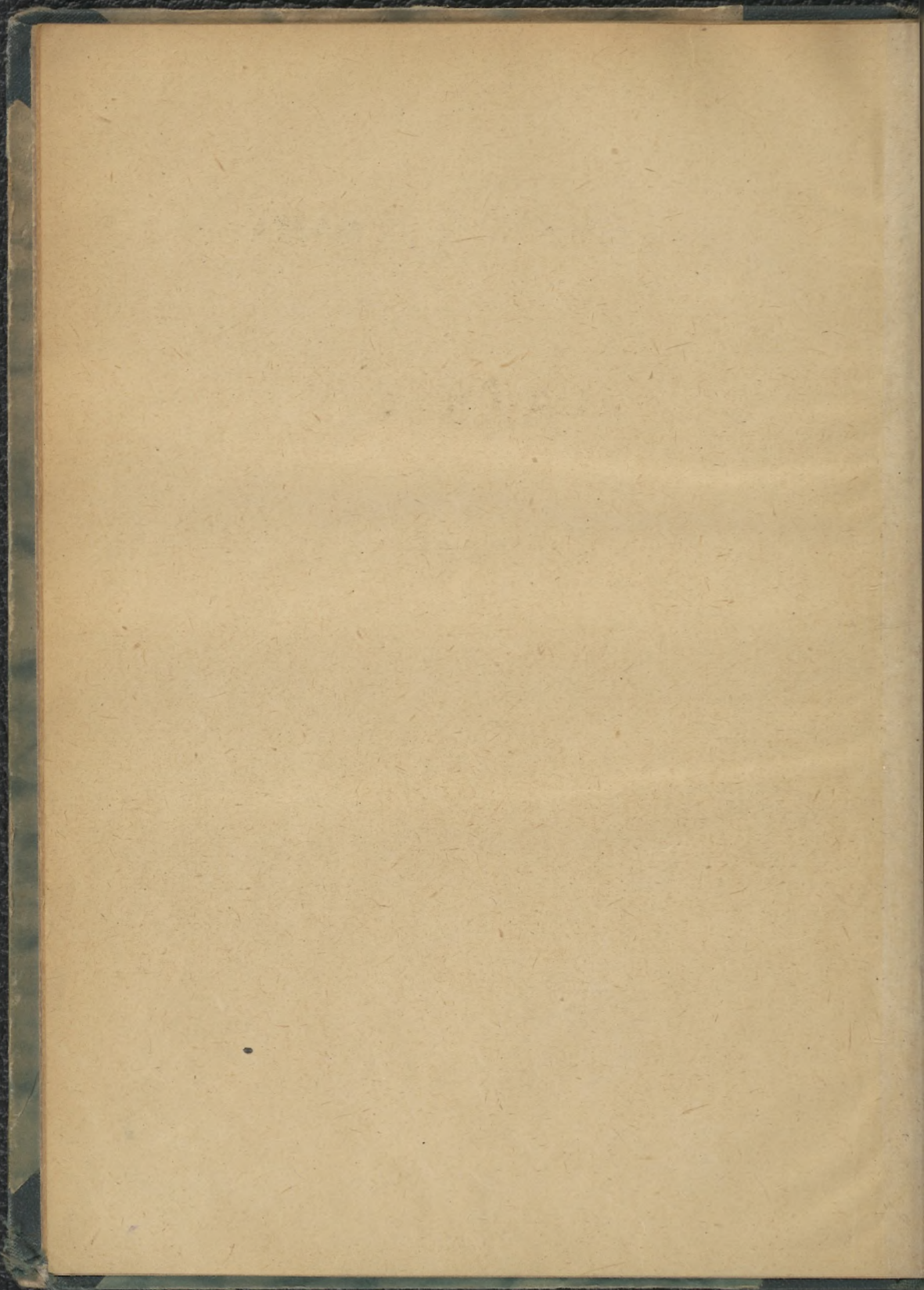


• KSIĄŻKA •



593,374

MATKA



MAKSYM GORKI

MATKA

PRZEŁOŻYŁA
HALINA GÓRSKA



» KSIĄŻKA «

Do druku przygotował
ADAM WAŻYK



II. 593.374.

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka” Warszawa, Oddział w Łodzi
Printed in Poland / Grudzień 1946 r.

Tłoczono w 15.370 egzemplarzach w Zakładach Graticznych „Książka”, Łódź.
25¹/₂ ark. D-011833 Zam. 2284

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Codziennie nad osadą robotniczą, w zadymionym, oleistym powietrzu, drżał i wyl przeciągły gwizd fabrycznej syreny. I posłuszni jej wezwaniu wybiegali z małych, szarych domków, niby wystraszone karaluchy, ponurzy ludzie nie zdążywszy orzeźwić snem zmęczonych mięśni. W chłodnym mroku szli po niewybrukowanej ulicy ku wysokim, kamiennym klatkom fabryki, a ona z obojętną pewnością siebie czekała na nich, oświetlając błotnistą drogę dziesiątkami zatłuszczonych, kwadratowych oczu. Błoto chlupotało pod nogami. Rozlegały się ochryple nawoływania sennych głosów, ordynarne przekleństwa przecinały powietrze. A na spotkanie ludzi płynęły inne dźwięki — ciężka, zdyszana krzątanina maszyn, warczenie pary. Ponuro i surowo majaczyły wysokie, czarne kominy niby wzniesione nad osadą grube palki.

Wieczorem, kiedy zachodziło słońce i na szybach domów ostatnim wysiłkiem zapalały się jego czerwone promienie, fabryka wyrzucała ludzi ze swego kamiennego wnętrza.

trza jak zużyty żużel. Szli znowu przez ulice zakopceni, z czarnymi twarzami rozprzestrzeniając lepki zapach smarów, błyskając zgłodniałymi zębami. W głosach ich dzwijało teraz ożywienie, a nawet radość — na dzisiaj skończyła się katorgia pracy, w domu czekała wieczerza i odpoczynek.

Dzień połykała fabryka — maszyny wysysały z ludzkich mięśni tyle sił, ile im było potrzeba. Dzień był bez śladu wymazany z ludzkiego życia, człowiek posunął się jeszcze o krok ku mogile. Ale widział przed sobą rozkosz odpoczynku, radość zadymionej karczmy i — był zadowolony.

W święta spali po dziesięć godzin, po czym ludzie stacelni i żonaci wkładali najlepsze ubrania i szli słuchać mszy łając po drodze młodzież za jej obojętność dla kościoła. Z cerkwi wracali do domu, jedli pierogi i znowu kładli się spać — do wieczora.

Zmęczenie, nagromadzone od lat, odbierało ludziom apetyt. Zeby móc jeść, pili dużo drażniąc żołądek palącą podnieętą wódką.

Wieczorem spacerowali leniwie po ulicach. Kto miał kałasze, wkładał je, choćby nawet było sucho, a kto posiadał parasol, nosił go ze sobą, choćby nawet świeciło słońce.

Spotykając się ze sobą, mówili o fabryce, o maszynach, kleli majstrów — rozmawiali i myśleli tylko o tym, co było związane z pracą. Pojedyncze iskry nieudolnej i bezsilnej myśli ledwie migotały w nudnej jednostajności dni. Po powrocie do domu kłócili się z żonami i często bili je nie szczędząc pięści. Młodzież przesiadywała w karczmach, albo urządziła u siebie wieczorynki. Grano na harmonijkach, śpiewano sprośne i brzydkie piosenki, tańczono, opowiadano ordynarne dowcipy i pito. Wyczerpani pracą ludzie upijali się szybko, a wówczas budziło się w nich niezrozumiałe, chorobliwe rozdrażnienie. Rozdrażnienie to potrzebowało ujścia. I skwapliwie chwytając każdą sposobność wyłado-

wania tego niepokojącego uczucia, ludzie rzucali się na siebie o byle głupstwo jak rozwścieczone zwierzęta. Wybuchaly krwawe bójki, które kończyły się niekiedy ciężkim okaleczeniem, rzadziej — zabójstwem.

W stosunkach między ludźmi dominującym uczuciem była przyczajona złość. Była ona tak samo zastarzała jak nieuleczalne znużenie mięśni. Ludzie przychodzili już na świat z tą chorobą duszy dziedziczac ją po ojcach, i towarzyszyła im ona jak czarny cień aż do grobu pobudzając ich w ciągu całego życia do szeregu postępów, odrażających w swoim bezcelowym okrucieństwie.

W święta młodzi zjawiali się w domu późną nocą w porwanej odzieży, w błocie i kurzu, z rozbitymi twarzami, ze złośliwą radością przechwalając się zadanymi towarzyszom razami, albo skrzywdzeni i wściekli, we łzach poniżenia, pijani, budzący politowanie, nieszczęśliwi i wstrętni. Niekiedy chłopców do domu przyprowadzały matki albo ojcowie. Odszukiwali ich gdzieś pod płotem na ulicy i w karczmach, pijanych do nieprzytomności, kleli ohydnie, bili pięściami miękkie, zwiotczałe od wódki ciała swych dzieci, a potem bardziej lub mniej troskliwie układali do snu, żeby raniem, kiedy poprzez powietrze popłynie ciemnym strumieniem gniewny ryk syreny, obudzić ich znowu do pracy.

Kł-li swe dzieci i bili je, ale w istocie pijaństwo i bójki młodzięży wydawały się starszym zupełnie normalnym zjawiskiem — gdy ojcowie byli młodzi, pili także i bili się, i ich także bili ich ojcowie i matki. Życie zawsze było takie — równo i wolno płynęło mętnym strumieniem, lata za latami. Krępował je nawyk myślenia i robienia zawsze tego samego, z dnia na dzień. I nikt nie odczuwał nawet chęci spróbowania, czy nie można by go zmienić.

Z rzadka do osady przychodzili skądś obcy ludzie. Z początku zwracali na siebie uwagę po prostu tym, że byli obcy, potem wzbudzali lekkie, powierzchowne zaintereso-

wanie opowiadaniem o miejscach, gdzie pracowali, potem blask nowości ścierał się, przyzwyczajano się do nich, przestawano ich dostrzegać. Z ich opowiadań jedno wynikało jasno: życie robotnika jest wszędzie takie samo. A jeżeli tak — to o czym tu rozprawić?

Czasami jednak niektórzy z nich mówili o czymś, o czym nigdy nie słyszano w osadzie. Nie sprzeczano się z nimi, ale słuchano ich dziwnych słów z niedowierzaniem. Słowa ich wywoływały u jednych ślepe rozdrażnienie, u innych niejasną obawę, a jeszcze innych niepokoił lekki cień nadziei czegoś niejasnego, i pili więcej, żeby odpędzić ten niepotrzebny, przeszkadzający im niepokój.

Zauważywszy w obcym coś niezwyklego, mieszkańcy osiedla długo nie mogli mu tego zapomnieć i odnosili się do człowieka niepodobnego do nich z nieświadomą obawą, jak gdyby lękali się, że człowiek ten może rzucić w ich życie coś, co naruszy jego posępnie jednostajny bieg, ciężki wprawdzie, ale spokojny. Ludzie przywykli, by życie gnioło ich zawsze z jednakową siłą i, nie oczekując jakichkolwiek zmian na lepsze, uważali, że każda zmiana może tylko zwiększyć ucisk.

Od ludzi, którzy mówili o czymś nowym, mieszkańcy osady odsuwali się w milczeniu. Wówczas ludzie ci znikali odchodząc gdzie indziej, a ci, którzy pozostawali w fabryce, żyli w odosobnieniu, jeśli nie potrafili złąć się w jedną całość z jednolitą masą mieszkańców osady...

Przeżywszy takim życiem lat pięćdziesiąt — człowiek umierał.

II

Tak też żył i ślusarz Michał Własow, włochaty, posępny, o maleńkich oczkach, patrzących podejrzliwie spod krzaczastych brwi, i niedobrym uśmiechu.

Był najlepszym ślusarzem w fabryce i pierwszym siłaczem w osadzie, ale zarabiał mało, gdyż zachowywał się grubiańsko wobec przełożonych, nie było święta, żeby kogoś nie pobił. Nikt go nie lubił, bano się go. Próbowano bić i jego, ale nadaremnie. Kiedy Własow widział, że naciera ją na niego, chwycił w rękę kamień, deskę, kawałek żelaza i, szeroko rozstawiwszy nogi, w milczeniu oczekiwał wrogów. Twarz jego, zarośnięta od oczu aż po szyję czarną brodą, i włochate ręce budziły we wszystkich strach. Najbardziej obawiano się jego oczu — małe, ostre, wwiercały się w ludzi jak stalowe świderki, a każdy, kto spotykał się z ich spojrzeniem, czuł, że stoi przed dziką, pierwotną siłą, niedostępną dla strachu, gotową bić bezlitośnie.

— No! Rozchodzić się, swołocz! — mówił głucho. A poprzez gęste włosy na jego twarzy błyskały duże, żółte zęby. Ludzie rozchodzili się, tchórzliwie odszczekując się przekleństwami.

— Swołocz! — rzucał za nimi krótko i oczy jego błyskały w ostrym jak sztych uśmiechu. Z głową wyzywająco podniesioną do góry szedł za nimi i wyzywał ich:

— No, kto chce śmierci?

Nikt nie chciał.

Własow mówił mało, a „swołocz“ było jego ulubionym słowem. Nazywał tym słowem zwierzchników w fabryce i policję, używał go także, gdy zwracał się do żony.

— Ty, swołocz, nie widzisz — portki porwane!

Kiedy Paweł, syn jego, skończył czternaście lat, Własowowi zachciało się jeszcze raz wytargać go za włosy. Ale Paweł wziął do rąk ciężki młotek i powiedział krótko:

— Nie rusz...

— Czego? — zapytał ojciec — i przysunął się groźnie do wysokiej i cienkiej postaci syna jak cień padający na brzozę.

— Dosyć! — powiedział Paweł. — Nie dam się więcej...

I zamierzył się młotkiem.

Ojciec popatrzył na niego, schował porośniętą rękę za plecy i, uśmiechając się krzywo, powiedział:

— Dobrze...

Po czym, ciężko westchnąwszy, dorzucił:

— Ech, swołocz...

Niedługo potem oświadczył żonie:

— O pieniądze się do mnie nie zwracaj. Paweł cię wyżywi...

— A ty będziesz wszystko przepijał? — ośmieliła się zapytać.

— Nie twoja sprawa, swołocz! Kochankę sobie wezmę...

Kochanki nie wziął, ale od tego czasu, prawie ze dwa lata, aż do samej śmierci, nie dostrzegał syna i nie odzywał się do niego.

Własow miał psa, wielkiego i kudłatego jak on. Co dzień pies odprowadzał go do fabryki i co wieczora czekał na niego przed wrotami. W święta Własow chodził od karczmy do karczmy. Chodził w milczeniu, jakby chciał odnaleźć kogoś, i drapał twarze ludzi swym ostrym spojrzeniem. Pies cały dzień chodził za nim opuściwszy duży, wspaniały ogon. Do domu Własow wracał pijany, siadał do wieczerzy i karmił psa ze swojej miski. Psa nie bił, nie klął go, ale i nie pieścił nigdy. Po wieczerzy, jeśli żona nie zdążyła sprzątnąć natychmiast ze stołu, zrzucał na podłogę naczynia, stawał przed sobą butelkę wódki, opierał się plecami o ścianę i głuchym, budzącym śmiertelną nudę i smutek, głosem wył pieśń przymykając oczy i szeroko otwierając usta.

Zawodzące, brzydkie dźwięki plątały się w jego wąsach strząsając z nich okruszyny chleba. Słusarz rozczesywał brodę i wąsy grubymi palcami i — śpiewał. Słowa pieśni były jakieś niezrozumiałe, przeciągłe, melodia przypominała zimowe wycie wilków. Śpiewał, póki w butelce była wódka, po czym zwał się bokiem na ławę albo opuszczał

głowę na stół i spał, dopóki nie zbudziła go syrena. Pies leżał obok niego.

Umarł na przepuklinę. Pięć dni, cały poczerniały, rzucał się na posłaniu zacisnąwszy powieki, zgrzytając zębami. Niekiedy mówił do żony:

— Daj arseniku, otruj...

Doktor kazał Michałowi przykładac kompresy, ale powiedział, że niezbędna jest operacja i chorego trzeba natychmiast zawieźć do szpitala.

— Idź do diabła! Sam umrę! Swołocz! — zachrypiał Michał.

A gdy doktor odszedł i żona ze łzami zaczęła go namawiać, by zgodził się na operację, zacisnął pięść i, pogroziwszy jej, oznajmil:

— Jak wyzdrowię — tobie gorzej będzie!

Umarł rankiem, gdy syrena wzywała do pracy. W trumnie leżał z otwartymi ustami, ale brwi jego były gniewnie ściągnięte. Chowala go żona, syn, pies, stary pijanica i złodziej Daniło Wiesowszczyk, wydalony z fabryki, i kilku miejscowych żebraków. Żona płakała cicho i mało, Paweł — nie płakał. Mieszkańcy osady spotykając na ulicy trumnę, zatrzymywali się, żegnali i mówili jeden do drugiego:

— Ale Pelagia rada być musi, że umarł! Ach! I jak rada!...

Niektórzy poprawiali:

— Nie umarł, ale — zdechl!...

Kiedy zasypiano trumnę — ludzie odeszli. Pies został i, siedząc na świeżej ziemi, długo w milczeniu obwąchiwał mogiłę. Po kilku dniach ktoś go zabił...

III

W dwa tygodnie po śmierci ojca, w niedzielę, Paweł Własow przyszedł do domu pijany. Zataczając się, dowlókl się

do pokucia i huknąwszy pięścią w stół, jak to robił ojciec, krzyknął na matkę:

— Wieczera!

Matka podeszła do niego, usiadła obok i objąwszy go przyciągnęła jego głowę do piersi. Paweł starał się ją odepchnąć, odsuwając ręką jej ramię, i krzyczał:

— Mamo — żywo!...

— Głuptasek z ciebie — smutno i łagodnie powiedziała matka przewyciężając jego opór.

— I — palic będę! Daj mi fajkę ojca... — z trudnością poruszając nieposłusznym językiem belkotał Paweł.

Upił się po raz pierwszy. Wódka osłabiła jego ciało, ale nie zgasiła świadomości i w głowie jego kołatało pytanie:

— Pijany? Pijany?

Pieszczoty matki zawstydzaly go, a smutek w jej oczach wzruszał. Chciało mu się płakać i, żeby stłumić to pragnienie, udawał, że jest bardziej pijany niż był.

A matka gładziła ręką jego spoczone, splątane włosy i mówiła cicho:

— Nie powinienbyś robić tego... nie trzeba...

Mdliło go. Po gwałtownym ataku wymiotów, matka ułożyła go na pościeli położywszy mu mokry ręcznik na bladym czole. Paweł otrzeźwiał trochę, ale wszystko pod nim i przed nim kołysało się niby na falach, powieki ciążyły mu, w ustach czuł wstrętny, gorzki smak. Patrzył przez rzęsy na dużą z bliska twarz matki i myślał bezładnie:

— Widać za wcześniej jeszcze dla mnie. Inni piją i — nic, a mnie mdli...

Skądś, jak gdyby z oddali, dochodził do niego miękki głos matki:

— Jakim żywicielem będziesz dla mnie, jeżeli zaczniesz pić?

Zamykając oczy, Paweł powiedział:

— Wszyscy piją...

Matka ciężko westchnęła. Miał słuszość. Wiedziała przecież sama, że nie ma oprócz karczmy miejsca, skąd ludzie mogą zaczerpnąć trochę radości. Mimo to powiedziała:

— A ty — nie pij! Za ciebie już ojciec wypił, ile trzeba. Dość już chyba mnie namęczył... Więc możebyś choć ty pożałował matki, co?

Śluchając tych łagodnych i smutnych słów, Paweł wspominał, że za życia ojca matka była milcząca i niemal niedostrzegana w domu i że żyła zawsze w trwożnym oczekiwaniu razów. Unikając spotkań z ojcem, mało bywał w ostatnich czasach w domu, odzwyczaił się od matki i teraz, trzeźwiejąc powoli, przypatrywał się jej z uwagą. Była wysoka, nieco przygarbiona. Ciało jej, zmęczone długimi latami pracy i mężowskim biciem, poruszało się bezszelestnie, cicho i jakby bokiem — jak gdyby bała się ciągle zaczepić o coś. Szeroką, owalną, nieco obrzękłą twarz, pociętą zmarszczkami, oświecały ciemne oczy, wylęknione i smutne jak u większości kobiet w osadzie. Nad prawą brwią bielila się głęboka blizna, która podnosiła brew nieco ku górze, wydawało się, że i jej prawe ucho jest nieco wyższe niż lewe. Nadawało to jej twarzy taki wyraz, jakby zawsze nadsluchiwała lekliwie. W gęstych, ciemnych włosach błyszczwały siwe pasma. W całej jej postaci było coś łagodnego, smutnego i pokornego...

Po policzkach jej wolno płynęły łzy.

— Nie płacz! — cicho poprosił syn. — Daj mi pić.

— Przyniosę ci wody z lodem.

Ale kiedy wróciła, już spał. Postąpiła nad nim chwilę, czerpak drżał w jej ręku, a lód cicho uderzał o blachę. Postawiła czerpak na stole i w milczeniu uklękła przed obrazami. O szyby okien uderzały odgłosy karczemnej zabawy. W mroku i wilgoci jesiennego wieczora piszczła harmonijka, ktoś głośno śpiewał, ktoś ordynarnie wymyślał. Lekliwie brzmiały rozdrażnione, zmęczone głosy kobiet...



Życie w małym domku Własowów popłynęło ciszej i spokojniej niż dawniej i nieco inaczej niż w całej osadzie. Dom stał na skraju osiedla u stoku niewielkiej, ale stromej pochyłości biegnącej ku błotom. Trzecią część domu zajmowała kuchnia i odgródzona od niej cienkim przepięrzeniem maleńka izdebka, w której sypiała matka. Pozostałe dwie trzecie części — kwadratowa izba z dwoma oknami; w tylnej jej części — łóżko Pawła, w przedniej — stół i dwie ławki. Kilka krzeseł, komoda na bieliznę, na niej maleńkie lustro, skrzynia z odzieżą, zegar na ścianie i dwie ikony w kącie — oto wszystko.

Paweł zrobił wszystko, co powinien zrobić każdy młody człowiek: kupił harmonijkę, koszulę z nakrochmalonym gósem, jaskrawy krawat, kalosze i laseczkę, jak wszystkie wyrostki w jego wleku. Chodził na wieczorynki, nauczył się tańczyć kadryla i polkę i w święta wracał do domu podпиты, ale wódka zawsze bardzo mu szkodziła. Rankiem bolała go głowa, męczyła zgaga, twarz miał bladą i znudzoną.

Pewnego razu matka spytała go:

— No cóż, wesoło było wczoraj?

Paweł odpowiedział z ponurym rozdrażnieniem:

— Nuda, że wyc się chce! Już lepiej będę ryby łowił. Albo — kupię sobie strzelbę.

Pracował pilnie, bez spóźnień i kar, był milczący, ale jego błękitne, duże jak u matki oczy patrzyły z niezadowoleniem. Nie kupił sobie strzelby i nie łowił ryb, ale wyraźnie zaczął zbaczać z utartej drogi. Rzadziej uczęszczał na wieczorynki i chociaż w święta dokądś wychodził, wracał jednak trzeźwy. Matka, która obserwowała go pilnie, zauważyła, że smagła twarz syna zaostrza się, oczy patrzą coraz poważniej, usta zaciskają się dziwnie surowo. Jak gdyby w milczeniu gniewał się na coś albo jakby trawiła go choro-
ba. Dawniej zachodzili do niego koledzy, teraz nie zastawali go w domu i przestali się zjawiać. Matce było przy-

jemnie, że syn jej staje się niepodobny do fabrycznej młodzieży, ale gdy zauważyła, że ze skupieniem i uporem wypływa gdzieś w bok z ciemnego potoku ich życia — w duszy jej obudziło się uczucie niejasnej obawy.

— Czy może jesteś chory, Pawelku? — zapytywała niekiedy.

— Nie. Jestem zdrow! — odpowiadał.

— Chudy jesteś bardzo — wzdychając mówiła matka.

Paweł zaczął przynosić książki i starał się czytać je nie-spostrzeżenie, a przeczytawszy, chował gdzieś. Niekiedy wypisywał coś z książek na karteczce i chował ją także...

Rozmawiali ze sobą mało i mało widywali się ze sobą. Rano Paweł w milczeniu pił herbatę i odchodził do pracy. W południe zjawiał się na obiad, przy stole zamieniali ze sobą kilka nic nie znaczących słów i Paweł znikał aż do wieczora. Wieczorem mył się starannie, jadł wieczerze, a potem długo czytał swoje książki. W święta wychodził z rana i wracał późną nocą. Matka wiedziała, że chodzi do miasta, że bywa w teatrze. Ale do niego z miasta nikt nie przychodził. Wydawało się jej, że z biegiem czasu syn mówi coraz mniej i jednocześnie zauważyła, że niekiedy używa nowych, niezrozumiałych dla niej słów, a grubiańskie i szorstkie wyrażenia, których zwykł był używać dawniej, znikają z jego mowy. I w zachowaniu jego pojawiło się także dużo szczegółów zwracających na siebie jej uwagę: porzucił dawną fircykowatość, a natomiast zaczął troszczyć się bardziej o czystość ciała i odzieży, poruszał się swobodniej i zręcznie, stał się zewnątrz jakby miększy i prostszy, i wzbudzał w matce l-kliwy szacunek. I w jego stosunku do matki było zresztą coś nowego: zamiatał niekiedy w izbie podłogę, w święta sam słał sobie łóżko i w ogóle starał się ulżyć jej w pracy. Nikt w osadzie tak nie postępował.

Pewnego razu Paweł przyniósł obraz i powiesił go na ścianie — troje ludzi rozmawiając szło dokądś lekko i śmiało.

— To zmartwychwstały Chrystus idzie do Emaus — objaśnił.

Matce spodobał się obraz, pomyślała jednak:

— Chrystusa czcisz, ale do cerkwi nie chodzisz...

Coraz więcej było książek na półce, którą zrobił Pawłowi kolega, stolarz. Pokój nabrał miłego wyglądu.

Paweł mówił matce „wy“ i nazywał ją „mamo“, ale niekiedy nagle zwracał się do niej czule:

— Matko, nie niepokój się, proszę, wrócę dziś późno do domu...

Matce podobało się to, czuła w jego słowach coś poważnego i mocnego.

Ale obawa rosła w niej. Nie stała się z biegiem czasu bardziej określona, ale coraz silniej niepokoiła serce przecuciem czegoś niezwykłego.

Czasem w matce budziło się nagle niezadowolenie z syna. Myślała:

— Wszyscy ludzie, jak ludzie, a on, jak mnich. Za surowy jak na swoje lata...

Czasem zastanawiała się:

— A może dziewczynę sobie znalazł?

Ale na włóczenie się z dziewczętami trzeba pieniędzy, a Paweł oddawał jej prawie cały swój zarobek.

Tak upływały tygodnie, miesiące i niespostrzeżenie minęły dwa lata tego dziwnego, milczącego życia, pełnego niejasnych myśli i obaw, które zwiększały się ciągle.

IV

Pewnego razu, po wieczerzy, Paweł spuścił firankę w oknie, usiadł w kącie i zaczął czytać, powiesiwszy na

ścianie nad swoją głową blaszaną lampę. Matka pomyślała naczyń, wyszła z kuchni i powoli zbliżyła się do niego. Paweł podniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

— To nic, Pawełku! Ja tylko tak... — powiedziała przedko i odeszła, z zakłopotaniem poruszając brwiami. Stała chwilę nieruchomo na środku kuchni, zamyślona i zafrasowana, umyła starannie ręce i znowu wróciła do syna.

— Chciałabym się ciebie spytać — powiedziała cichutko — co ty tak wciąż czytasz?

Paweł zamknął książkę.

— Usiądź, mamó...

Matka ciężko opuściła się na ławę, wyprostowała się i natężyła uwagę w oczekiwaniu czegoś doniosłego.

Nie patrząc na nią, nie głośno, ale nie wiadomo dlaczego bardzo surowo, Paweł przemówił:

— Czytam zakazane książki. Zabraniają ich czytać dlatego, że mówią prawdę o naszym robotniczym życiu... Książki te drukują się skrycie, w tajemnicy, i jeżeli je u mnie znajdą — wsadzą mnie do więzienia — do więzienia za to, że chcę poznać prawdę. Zrozumiałaś?

Matce nagle zabrakło oddechu. Patrzyła na syna szeroko otwartymi oczyma i syn wydał się jej obcy. Miał inny głos — niższy, głębszy, dźwięczniejszy. Skubał palcami delikatny puszek wąsów i dziwnie, spode łba patrzył w kąt.

Zrobiło się jej żal syna i złękła się o niego.

— A po cóż ty tak, Pawełku? — zapytała.

Paweł podniósł głowę, spojrzał na nią i nie podnosząc głosu, spokojnie odpowiedział:

— Chcę poznać prawdę.

Głos jego brzmiał cicho, ale twardo, oczy błyszczały uporem. Matka pojęła sercem, że syn poświęcił się na zawsze czemuś tajemniczemu i straszному. Wszystko w życiu wydawało się jej nieuniknione, przywykła od dawna poddawać się bez buntu, bez namysłu i teraz tylko zapłakała

cichutko nie znajdując słów w ściśniętym rozpaczą i troską sercu.

— Nie płacz! — powiedział Paweł czule i łagodnie, a matce wydało się, że żegna się z nią.

— Pomyśl, jakie jest nasze życie. Masz czterdzieści lat — a czyś ty żyła? Ojciec bił cię — teraz rozumiem, że mścił się na tobie za swoją niedolę — niedolę swojego życia. Życie dławiło go, a on nie rozumiał, skąd ta niedola. Pracował w fabryce trzydzieści lat. Kiedy zaczął pracować, fabryka mieściła się w dwóch budynkach, a teraz jest ich siedem!

Matka słuchała go ze strachem, ale chciwie. Oczy syna błyszczały jasnym, pięknym światłem. Przysunął się do niej bliżej kładąc się pierśią na stół i wygłaszał prosto w jej mokrą od łez twarz swoją pierwszą mowę o prawdzie, którą poznał. Z całą siłą młodości i żarem ucznia dumnego ze swojej wiedzy, święcie wierzącego w jej prawdziwość, mówił o tym, co było dla niego oczywiste — mówił nie tyle dla matki, ile by skontrolować samego siebie. Chwilami zaczynał się nie znajdując słów i wówczas widział przed sobą zrozpaczoną, smutną twarz i zamglone łzami dobre oczy. Oczy te patrzyły na niego ze strachem i zdumieniem. Było mu żal matki i zaczął mówić znowu, ale teraz już o niej, o jej życiu.

— Jakich radości zaznałaś w życiu — pytał — jakie jaśniejsze chwile możesz sobie przypomnieć z przeszłości?

Matka słuchała i smutnie kiwała głową, czując coś nowego, nieznanego jej, żalosego i zarazem radosnego — coś, co z delikatną czułością pieściło jej zbolące serce. Takie słowa o sobie, o swoim życiu, matka słyszała po raz pierwszy i budziły w niej one to, co już dawno zasnęło, poruszały jakieś niejasne myśli, rozdmuchiwały uczucie nieokreślonego niezadowolenia z życia — uczucia i myśli dalekiej młodości. Mówiła o życiu z przyjaciółkami, mówiła

długo i o wszystkim, ale i one — i ona sama — skarżyły się tylko, nikt nie wyjaśniał im, dlaczego życie jest takie ciężkie i trudne. A oto teraz przed nią siedzi jej syn i to, co mówią jego oczy, twarz i słowa, wszystko to zahacza o jej serce napełniając je uczuciem dumy z syna, który naprawdę zrozumiał życie swej matki, mówi jej o jej cierpieniach, współczuje jej.

Matkom — nie współczują.

Wiedziała o tym. Wszystko, co mówił syn jej o kobiecym życiu, było gorzką, znaną prawdą, i w jej piersi drżały i cicho kłębiły się nowe uczucia, coraz mocniej ogrzewając ją nieznaną pieczęcią.

— I co ty chcesz zrobić? — zapytała przerywając mu.

— Chcę uczyć się, a potem — uczyć innych. My, robotnicy, powinniśmy uczyć się. Musimy dowiedzieć się, musimy zrozumieć, dlaczego nasze życie jest tak ciężkie.

Napełniało ją uczucie dziwnej słodyczy, kiedy widziała, jak jego błękitne oczy, zawsze tak poważne i surowe, teraz patrzyły tak łagodnie i czule. Na ustach jej pojawił się uśmiech cichego zadowolenia, choć w bruzdach jej policzków drżały jeszcze łzy. W uczuciach jej nastąpiło wahanie i rozdwojenie. Była dumna z syna, który tak dobrze rozumiał niedolę życia, ale nie mogła zapomnieć o jego młodości i o tym, że mówi on nie tak, jak wszyscy, i że postanowił sam jeden wystąpić do walki z tym życiem, do którego wszyscy i ona sama przywykli. Matce chciało się powiedzieć mu:

— Kochany, cóż ty możesz zrobić?

Ale bała się przeszkodzić sobie w rozkoszowaniu się synem, który ukazał się jej nagle w innej jak gdyby postaci — taki mądry... choć nieco obcy.

Paweł widział uśmiech na ustach matki, uwagę na twarzy i miłość w oczach. Zdawało mu się, że zmusił ją do zrozumienia swojej prawdy i młodzieńcza duma z siły słowa

podnosiła jego wiarę w siebie. Podniecony mówił dalej, to uśmiechając się, to chmurząc brwi. Czasem w głosie jego brzmiała nienawiść i kiedy matka słuchała jego twardych, dzwoniących słów, przerażała się, kiwała głową i cicho pytała syna:

— Czy to aby tak, Pawełku?

— Tak! — odpowiadał twardo i mocno. I opowiadał jej o ludziach, którzy pragnąc dobra dla ludu, siali w nim prawdę, a za to wrogowie życia ścigali ich jak zwierzęta, sadzali do więzień, posyłali na katorgę...

— Widziałem takich ludzi! — wołał gorąco. — To najlepsi ludzie na ziemi!

W matce ludzie ci budzili strach i chciała znowu zapytać syna:

— Czy to aby tak?

Ale nie śmiała i, zamierając ze strachu, słuchała opowiadań o tych niezrozumiałych dla niej ludziach, którzy nauczili jej syna mówić i myśleć tak niebezpiecznie dla niego. W końcu powiedziała:

— Wkrótce będzie świtać. Położyłbyś się, usnął!

— Tak, położę się zaraz! — zgodził się syn. I pochyliwszy się ku niej, zapytał:

— Czy zrozumiałaś mnie?

— Zrozumiałam! — powiedziała westchnąwszy. I z oczu jej znowu popłynęły łzy. Załkała i dorzuciła:

— Zginiesz!

Paweł wstał, przeszedł się po izbie, po czym powiedział:

— No, teraz wiesz, co robię i dokąd chodzę. Powiedziałem ci wszystko! I proszę cię, matko, jeśli mnie kochasz — nie przeszkadzaj mi...

— Kochanie moje! — wykrzyknęła. — Może — byłoby mi lżej, gdybym nie wiedziała o niczym!

Paweł wziął jej rękę i mocno ścisnął ją w swoich dłoniach.

W słowie „matko“ zabrzmiała taka gorąca siła, że słowo to wstrząsnęło nią. I ten uścisk ręki taki nowy i dziwny...

— Nie będę ci przeszkadzać! — powiedziała przerywanym głosem. — Tylko wystrzegaj się — wystrzegaj!

A nie wiedząc, czego właściwie ma się wystrzegać, dodała:

— Chudniesz ciągle...

I objąwszy jego silną, zgrabną postać pełnym pieszczoty spojrzeniem, przemówiła prędko i cicho:

— Bóg z tobą! Żyj jak chcesz, nie będę ci przeszkadzać. Proszę cię tylko o jedno — nie ufaj ludziom! Ludzi trzeba się bać — nienawidzą jeden drugiego! Żyją chciwością, żyją zawiścią. Są zadowoleni, jeżeli mogą wyrządzać zło. Kiedy zaczniesz ich oskarżać i sądzić — znienawidzą cię, zgubią!

Syn stał w drzwiach i słuchał jej żalonych słów, a kiedy matka skończyła, uśmiechnął się i powiedział:

— Tak. Ludzie są źli. Ale kiedy dowiedziałem się, że na świecie istnieje prawda — ludzie stali się lepsi!...

Uśmiechnął się znowu i ciągnął dalej:

— Sam nie wiem, jak to się stało! W dzieciństwie — bałem się wszystkich, gdy podrosłem — zacząłem nienawidzić. Jednych za podłość, innych, sam nie wiem za co — ot tak, po prostu! A teraz patrzę na ludzi jakoś inaczej — wszystkich mi żal, czy co? Nie rozumiem tego — ale serce stało się we mnie miększe, kiedy dowiedziałem się, że brud ich nie jest z ich winy...

Zamyślił się, jakby przysłuchiwał się czemuś w sobie samym, a potem w zadumie, półgłosem dodał:

— Oto jak oddycha prawda!

Matka spojrzała na niego i powiedziała głośno:

— Niebezpieczna zaszła w tobie zmiana! O Boże!

Kiedy położył się i zasnął, matka ostrożnie podniosła się ze swego posłania i cicho podeszła do niego. Paweł leżał na

wznak i na białej poduszce wyraźnie rysowała się jego smagła, uparta i surowa twarz. Przycisnąwszy ręce do piersi, bosa, tylko w koszuli, stała obok jego łóżka. Wargi jej poruszały się bezdźwięcznie, a z oczu jedna za drugą płynęły duże, mętne łzy.

V

I znowu żyli w milczeniu, dalecy i bliscy sobie.

Pewnego razu, w środku tygodnia, w święto, Paweł wychodząc z domu powiedział do matki:

— W sobotę będą u mnie goście z miasta.

— Z miasta? — powtórzyła matka i nagle — rozplakała się.

— No i dlaczego ty, mamo? — z niezadowoleniem wykrzyknął Paweł.

Matka wytarła twarz fartuchem i odpowiedziała wzdychając:

— Nie wiem — tak jakoś...

— Boisz się?

— Boję się! — wyznała.

Pochylił się nad nią i zajrzawszy jej w twarz, ze złością — zupełnie jak jego ojciec — powiedział:

— Przez ten właśnie strach — wszyscy ginie! A ci, którzy rządzą nami, wyzyskują nasz strach, by jeszcze więcej nas przerazić.

Matka zaszlochała żałośnie:

— Nie gniewaj się! Jakże nie mam się bać? Całe życie w strachu przeżyłam — cała dusza strachem mi obrosła!

Ciszej już i łagodniej powiedział:

— Wybacz — inaczej nie wolno!

I wyszedł.

Przez trzy dni w matce drżało i zamierało serce ilekroć przypomniawszy sobie, że do jej domu przyjdą obcy, straszni ludzie. Ci, którzy wskazali jej synowi nową drogę.

W sobotę wieczorem Paweł przyszedł z fabryki, umył się, przebrał i, wychodząc dokądś znowu, powiedział nie patrząc na matkę:

— Jak przyjdą — powiedz, że zaraz wrócę. I proszę cię — nie bój się...

Matka bezsilnie opuściła się na ławkę.

Syn spojrzął na nią pochmurnie i zaproponował:

— Możebyś ty... wyszła gdzie?

Uraziło ją to. Przecząco potrząsnęła głową i powiedziała:

— Nie. Dlaczego?

Był koniec listopada. Za dnia na zamarzlą ziemię spadał suchy, mialki śnieg i teraz słyhać było, jak skrzypi pod nogami wychodzącego syna. Gęsta ćma przytuliła się nieruchomo do szyb okien, wrogo czatując na coś. Matka siedziała, wyprostowana, oparłszy się rękami o ławkę i patrząc na drzwi — czekała...

Wydawało się jej, że w mroku skradają się ostrożnie ku jej domowi skuleni, oglądający się na wszystkie strony, ludzie, dziwnie odziani, niedobrzy. Oto ktoś chodzi już naokoło domu obmacując rękami ściany.

Z oddali rozległ się gwizd. Wił się w ciszy wążutką strugą, smutną i melodyjną, błędził zadumany w pustce mroku, szukał czegoś, zbliżał się. I nagle znikł pod oknem, jak gdyby wetknięty w belki ściany.

W sieni zaszurugały czyjeś kroki, matka drgnęła i z naprężoną uwagą, podniósłszy brwi, wstała.

Drzwi otworzyły się. Do pokoju wsunęła się naprzód głowa w dużej, kudłatej czapie, a potem, zgiąwszy się, wolno przelazło długie ciało, wyprostowało się, powoli pod-

niosło prawą rękę i, głośno westchnawszy, niskim, piersowym głosem powiedziało:

— Dobry wieczór!

Matka w milczeniu skłoniła się.

— A Pawła nie ma w domu?

Człowiek powoli zdjął futrzaną kurtkę, podniósł jedną nogę, otarł czapką śnieg z buta, potem zrobił to samo z drugą nogą, rzucił czapkę w kąt i, kołysząc się na długich nogach, wszedł do pokoju, zbliżył się do krzesła, obejrzał je, jakby chciał się upewnić co do jego trwałości, usiadł i, zakrywszy dłonią usta, ziewnął. Głowę miał okrągłą, gładko ostrzyżoną, wygolone policzki i długie wąsy ze zwisającymi końcami. Uważnie obejrzał izbę dużymi, wypukłymi oczyma szarego koloru, założył nogę na nogę i, huśtając się na krześle, zapytał:

— Czy to wasza chata, czy też wynajmujecie?

Matka, siedząca naprzeciw niego, odpowiedziała:

— Wynajmujemy.

— Marna chata! — zauważył.

— Pawełek wkrótce przyjdzie — poczekajcie — cicho poprosiła matka.

— Ja przecież już czekam! — spokojnie powiedział wysoki człowiek.

Jego spokój, miękki głos, prosta twarz człowieka z ludu, dodawały odwagi matce. Człowiek patrzył na nią otwarcie i życzliwie, a w głębi jego przeźroczystych oczu paliła się wesoła iskierka, a w całej postaci kanciastej, ociężałej, z długimi nogami, było coś zabawnego i budzącego sympatię. Odziany był w błękitną koszulę i czarne szarawary wpuszczone w buty. Matce chciało się zapytać, kim jest, skąd, i czy dawno zna syna, ale nagle on sam zapytał zakolysawszy się na krześle:

— Któż to wam tak czoło rozbił, mateńko?

Powiedział to łagodnie, z widocznym uśmiechem w oczach, ale — kobietę obraziło jego pytanie. Zaciśnięła usta i pomilczawszy chwilę, z chłodną grzecznością poinformowała się:

— A wam co do tego, ojczulku?

Nieznajomy rzucił się ku niej całym ciałem:

— Nie gniewajcie się! Nie ma za co. Dlatego zapytałem, że moja przybrana matka także miała rozbitą głowę, zupełnie jak wy. Szewc, z którym żyła, rozbił jej czoło kłódką. Ona była praczką, a on szewcem. Już potem, jak wzięła mnie za syna — znalazła sobie gdzieś tego pijanicy, na swoją wielką biedę. Ale bił ją, mówię wam! Skóra na mnie cierpła ze strachu...

Matka poczuła się rozbrojona jego szczerością, a przy tym pomyślała, że może Pawełek rozgniewa się na nią za szorstką odpowiedź daną temu cudakowi. Uśmiechając się, w poczuciu winy, powiedziała:

— Nie rozgniewałam się, ale tak jakoś nagle... zapyta liście się. Mężulek tak poczęstował mnie, daj mu Boże królestwo niebieskie! Czy nie jesteście czasem tatarzynem?

Człowiek zadrygał nogami i tak szeroko uśmiechnął się, że aż mu się uszy posunęły ku potylicy, po czym poważnie powiedział:

— Jeszcze nie.

Matka zrozumiała jego żart i wyjaśniła z uśmiechem:

— Wymowę macie jakby nie rosyjską!

— Lepszą niż rosyjska — wesoło kiwnąwszy głową, powiedział gość — jestem chacholem*) z miasta Kaniowa.

— A dawnoście tutaj?

— W mieście mieszkałem około roku, a teraz, miesiąc temu, przenieśliem się do was, do fabryki. Dobrych ludzi tu

*) Chachol — tak w Rosji żartobliwie nazywano ukraińców.

spotkałem — waszego syna i innych. Tutaj — pomieszkam!
— mówił skubiąc wąsy.

Podobał się jej, a przy tym zachciało się jej odwdziaczyć
za jego słowa o synu.

— Może napijcie się herbatki—zapropnowała.

— Nie będę się przecie sam raczył — odpowiedział
wzruszając ramionami. — Ot, kiedy się wszyscy zbiorą,
wtedy może poczęstujecie...

Przypomniał jej znowu o jej obawach.

— Żebyż wszyscy oni byli tacy! — zapragnęła gorąco.

Znowu odezwały się kroki w sieni, drzwi otworzyły się
raptownie — matka znowu wstała. Ale tym razem, ku jej
zdziwieniu, do kuchni weszła młoda dziewczyna, niewiel-
kiego wzrostu, o prostej, chłopskiej twarzy, z grubym war-
koczem jasnych włosów. Spytała cicho:

— Nie spóźniłam się?

— Ależ nie! — powiedział chachoł wyglądając z poko-
ju. — Piechotką?

— Oczywiście! Wy chyba jesteście matką Pawła Mi-
chajłowicza? Dobry wieczór! Nazywam się — Natasza...

— A po ojcu? — zapytała matka.

— Wasiliewna. A wy?

— Pelagia Niłowna.

— No więc znajomość zawarta...

— Tak! — powiedziała matka odetchnawszy z ulgą
i z uśmiechem przyglądała się dziewczynie.

Chachoł pomagał jej rozbierać się i pytał:

— Zimno?

— W polu — bardzo! Wiatr...

Głos miała soczysty, dźwięczny, usta maleńkie i pełne,
i cała była okrągła i świeża. Rozebrawszy się, potarła moc-
no rumiane policzki małymi, czerwonymi od mrozu rękami
i prędko weszła do pokoju, dźwięcznie przytupując obca-
sami bucików.

— Chodzi bez kaloszy! — przemknęło przez myśl matce.

— Taak — przeciągnęła dziewczyna wzdrygając się — zziębłam... Ach!... jak zziębłam!

— Zaraz, zaraz! Samowarek dla was nastawię! — powiedziała matka i pośpiesznie weszła do kuchni. — Zaraz...

Wydało się jej, że już od dawna zna tę dziewczynę i kocha ją dobrą, współczującą miłością matki. Z uśmiechem przysłuchiwała się rozmowie w pokoju.

— Cóżes ty taki smutny, Nachodka? — pytała dziewczyna.

— A tak — cicho odpowiedział chachoł. — Wdowa ma takie dobre oczy i pomyślałem sobie, że może i moja matka ma takie? Ja, widzicie, często myślę o matce i zdaje mi się zawsze, że ona żyje.

— Mówiliście przecież, że umarła?

— To przybrana umarła. A ja — o prawdziwej. Zdaje mi się, że ona gdzieś w Kijowie po żebrach chodzi. I wódkę pije. I pijaną ją policjanci po twarzy biją.

— Ach ty, biedaku! — pomyślała matka i westchnęła.

Natasza zaczęła półgłosem mówić o czymś prędko i gorąco. Znowu odezwał się dźwięczny głos chachoła:

— E, jesteście jeszcze młodzi, towarzyszeko, beczki soli jeszczeście nie zjedli. Rodzić — trudno, ale wychować dobrego człowieka jeszcze trudniej...

— Widzisz go! — pomyślała matka i zachciało jej się powiedzieć chachołowi coś ciepłego, ale drzwi powoli otworzyły się i wszedł Mikołaj Wiesowszczyk, syn starego złodzieja Danily, znany w całej osadzie odludek. Mikołaj, zawsze ponury, unikał ludzi i z tego powodu naigrawano się z niego. Matka zapytała go ze zdziwieniem:

— Czego chcesz, Mikołaju?

Mikołaj otarł szeroką dłoń o spowadą twarz o wystających kościach policzkowych i, nie witając się, zapytał glucho:

— Paweł w domu?

— Nie.

Mikołaj zajrzał do pokoju i wszedł mówiąc:

— Witajcie, towarzysze...

— Ten? — nieprzyjaźnie pomyślała matka i zdziwiła się bardzo widząc, że Natasza serdecznie i radośnie wyciąga do niego rękę.

Potem przyszło jeszcze dwóch młodych chłopców, prawie wyrostków. Jednego z nich matka знаła — był to krewny starego fabrycznego robotnika Sizowa — Fiodor, o ostrych rysach twarzy, wysokim czole i kędzierzawych włosach. Drugiego, gładko przyczesanego, skromnie zachowującego się nie znała, ale i on nie był straszny. W końcu zjawił się Paweł z jeszcze dwoma młodymi ludźmi. Znała ich obu — obaj fabryczni. Syn zwrócił się do niej ciepło:

— Widzę, że i samowar nastawiłaś? Dziękuję!

— Może wódeczki kupić? — zaproponowała nie wiedząc, jak wyrazić mu swoją wdzięczność za coś, czego jeszcze nie pojmowała.

— Nie, to zbyt cenne! — powiedział Paweł uśmiechając się do niej przyjaźnie.

Przyszło jej nagle na myśl, że może syn naumyślnie przesadził niebezpieczeństwo zebrania, żeby pożartować z niej.

— Więc to są ci niebezpieczni ludzie? — cichutko spytała go.

— Tak, to oni — odpowiedział Paweł przechodząc do pokoju.

— Ech ty!... — odprowadziła go pieszczotliwym okrzykiem, a w duszy pomyślała pobłaźliwie: — Dziecko z niego jeszcze!

VI

Samowar zakipiał i matka wniosła go do pokoju. Goście siedzieli ciasnym kręgiem dookoła stołu, a Natasza, z książką w ręku, usadowiła się w kącie pod lampą.

— Zeby zrozumieć, dlaczego ludzie żyją tak źle... — mówiła Natasza.

— I dlaczego sami są źli — wtrącił chachoł.

— Trzeba przyjrzeć się, jakie były początki ich życia...

— Przyglądajcie się, moi kochani, przyglądajcie się! — zamruczała matka parząc herbatę.

Wszyscy umilkli.

— Wy o czym, mamó? — zapytał Paweł chmurząc brwi.

— Ja? — obejrzała się, a widząc, że wszyscy patrzą na nią, objaśniła zmieszana:

— Ja tak, do siebie. Że niby... popatrzcie sobie!

Natasza roześmiała się, Paweł uśmiechnął się, a chachoł powiedział:

— Dziękuję, mateńko, za herbatę!

— Nie piliście jeszcze, a już dziękujecie — odpowiedziała i spojrzawszy na syna spytała:

— Czy nie będę przeszkadzać?

Odpowiedziała Natasza:

— Jakże to wy, gospodyni, możecie przeszkadzać gościom?

I z dziecinną skargą poprosiła:

— Moja najmilsza! Dajcie mi prędeż herbaty! Trzęsę się cała, strasznie mi nogi zziębły!

— W tej chwili! Zaraz! — pośpiesznie wykrzyknęła matka.

Natasza wypiła filiżankę herbaty, głośno westchnęła i, odrzuciwszy na plecy warkocz, zaczęła czytać książkę w żółtej okładce, z obrazkami. Matka starając się nie brzę-

kać naczyniami, nalewała herbatę i przysłuchiwała się plynemu czytaniu dziewczyny. Dźwięczny jej głos zlewał się z cichą, smętną pieśnią samowara. W pokoju, niby barwna wstęga, rozwijało się opowiadanie o dzikich ludziach, którzy żyli w jaskiniach i zabijali zwierzęta kamieniami. Było to podobne do bajki i matka kilka razy spojrzała na syna pragnąc go zapytać, co w tym opowiadaniu jest zakazanego. Ale wkrótce śledzenie toku opowiadania zmęczyło ją i zaczęła, niepostrzeżenie dla gości i dla syna, przyglądać się im wszystkim.

Paweł siedział obok Nataszy. Był najładniejszy ze wszystkich. Natasza, nisko pochylwszy się nad książką, poprawiała często osuwające się jej na skronie, nieposłuszne pasemka włosów. Czasem podnosiła głowę i, zniżając głos, mówiła coś do siebie, nie patrząc w książkę, a oczy jej przesuwały się przyjaźnie po twarzach słuchaczy. Chachoł zwalił się szeroką pierśią na róg stołu i zezował, starając się zobaczyć rozstrzępione końce swoich wąsów. Wiesow-szczikow siedział na krześle sztywno oparłszy ręce o kolana, jak gdyby był zrobiony z drzewa. Ospowata twarz bez krwi, z cienkimi ustami, była nieruchoma jak maska. Nie mrugnawszy okiem, patrzył uporczywie na odbicie swojej twarzy w błyszczącej miedzi samowaru. Zdawało się, że nie oddycha. Mały Fedzia słuchając czytania bezdźwięcznie poruszał ustami, jakby powtarzał sobie słowa książki, a jego towarzysz, zgarbiwszy się, z łokciami opartymi na kolanach a głową na rękach, uśmiechał się w zamyśleniu. Jeden z chłopców, którzy przyszli z Pawłem — rudy, kędzierzawy, o wesołych zielonych oczach, chciał widocznie coś powiedzieć, bo kręcił się niecierpliwie; drugi, jasnowłosy, krótko ostrzyżony, gładził się dłonią po głowie i patrzył w podłogę — twarzy jego nie było widać. W pokoju było jakoś niezwykle miło. Matka odczuwała ten szczególny, nieznanym jej nastrój i wraz ze zlewającym się w jednostajne

szemranie głosem Nataszy napływały wspomnienia. Wspominała gwarne wieczorynki swojej młodości, grubiańskie słowa chłopców, od których zawsze cuchnęło przepalaną wódką, ich cyniczne żarty. Wspominała — i uczucie dławiącego żalu nad samą sobą budziło się powoli w jej sercu.

Przypomniała sobie zaloty swego zmarłego męża. Na jednej z wieczorynek schwycił ją w ciemnej sieni i, przycisnąwszy całym ciałem do ściany, zapytał głucho i gniewnie:

— Pójdiesz za mnie?

Bolało ją i było jej wstyd, a on boleśnie miętosił jej piersi, sapał i oddychał jej w twarz gorącym i wilgotnym oddechem. Próbowwała wymknąć się z jego rąk, szarpnęła się w bok.

— Dokąd! — zaryczał. — Odpowiadaj! No?

Dusząc się ze wstydu i obrazy milczała. Ktoś otworzył drzwi do sieni, Własow wypuścił ją nie śpiesząc się, i powiedział:

— W niedzielę przyślę swatkę...

I przysłał.

Matka zamknęła oczy i westchnęła ciężko.

— Mnie obchodzi nie to, jak ludzie żyli, ale jak trzeba żyć! — rozległ się w pokoju niezadowolony głos Wiesowszcikowa.

— Właśnie! — podtrzymał go ryży wstając.

— Nie zgadzam się! — krzyknął Fedzia.

Wybuchł spór. Słowa błyskały i strzelały jak języki ognia w ognisku. Matka nie rozumiała, dlaczego krzyczą. Wszystkie twarze zapłonęły rumieńcem podniecenia, ale nikt nie złościł się, nikt nie mówił znanych jej, ostrych wyrazów.

— Panny się wstydzą — zdecydowała.

Podobała jej się poważna twarz Nataszy, uważnie i opiekuńczo obserwującej wszystkich, jak gdyby ci chłopcy byli dla niej dziećmi.

— Poczekajcie, towarzysze! — powiedziała nagle i wszyscy zamilkli patrząc na nią.

— Słuszność mają ci, którzy mówią, że powinniśmy wszystko wiedzieć. Musimy zapalić sami w sobie światło wiedzy, żeby ciemni ludzie mogli nas widzieć, musimy odpowiadać na wszystko uczciwie i prawdziwie. Trzeba poznać całą prawdę i całe kłamstwo...

Chachoł słuchał i kiwał głową w takt jej słów. Wiesowszczykowi, ryży i przyprowadzony przez Pawła fabryczny, stali wszyscy trzej tworząc ciasno skupioną grupę i nie wiadomo dlaczego nie podobali się matce.

Kiedy Natasha umilkła, wstał Paweł i spokojnie zapytał:

— Czy chcemy być tylko syć? Nie! — odpowiedział sam sobie patrząc twardo w stronę ich trzech. — My musimy pokazać tym, którzy siedzą na naszych karkach i zasłaniają nam oczy, że widzimy wszystko, że nie jesteśmy głupcami ani zwierzętami, że nie tylko jeść chcemy — my chcemy żyć życiem godnym ludzi! Musimy pokazać wrogom, że katorżnicze życie, które nam narzucili, nie może nam przeszkodzić zrównać się z nimi pod względem rozumu, a nawet przewyższyć ich!...

Matka słuchała go i w piersiach jej drżała duma — oto, jak składnie mówi!

— Sytych niemało, ale uczciwych nie ma! — mówił chachoł. — My musimy zbudować most ponad błotem tego rozkładającego się życia, do przyszłego królestwa dobra — oto nasza sprawa, towarzysze!

— Gdy nadszedł czas bić, nie pora wtedy ręce leczyć! — głucho sprzeciwił się Wiesowszczykowi.

Było już po północy, gdy zaczęli się rozchodzić. Pierwsi odeszli Wiesowszczykowi i ryży, i to znowu nie spodobało się matce:

— Patrzcie, jak im się śpieszy! — pomyślała kłaniając się im chłodno.

— Odprowadzicie mnie, Nachodka? — zapytała Natasza.

— Oczywiście! — odpowiedział chachoł.

Kiedy Natasza ubierała się w kuchni, matka powiedziała jej:

— Pończoszki macie za cienkie, jak na tę porę! Już ja, jeżeli pozwolicie, zrobię wam wełniane?

— Dziękuję, Pelagio Nilowna! Wełniane gryzą! — odpowiedziała Natasza śmiejąc się.

— A ja wam zrobię takie, że nie będą gryzły! — powiedziała Własowa.

Natasza popatrzyła na nią uważnie, lekko zmrużywszy oczy, i to uporczywe spojrzenie zmieszało matkę.

— Nie gniewajcie się za moją głupotę — dorzuciła cicho — ja przecież z serca!

— Jacyście wy dobrzy! — także cicho powiedziała Natasza i porywczo uściśnęła jej rękę.

— Dobranoc, mateńko! — zająrzył jej w oczy chachoł, zgął się i wyszedł za Nataszą do sieni.

Matka popatrzyła na syna — stał w drzwiach do pokoju i uśmiechał się.

— Czego się śmiejesz? — zapytała zmieszana.

— Tak — wesoło mi!

— Wiadomo, stara jestem i głupia, ale na tym, co dobre, to i ja się rozumiem! — zauważyła z lekką urazą w głosie.

— To wysmienicie! — powiedział Paweł. — Połóżcie się, już najwyższy czas!...

— Zaraz się położę!

Zakrzątnęła się wokół stołu, zbierając naczynia, zadowolona i aż spocona z przyjemnego podniecenia, że wszystko przeszło tak dobrze i tak spokojnie się skończyło.

— Dobrześ to obmyślił, Pawełku! — powiedziała. — Chachoł jest bardzo miły! I panienska — ach, jaka mądra! Kto ona jest?

— Nauczycielka! — krótko powiedział Paweł chodząc po pokoju.

— Tak, tak — biedna! Licho ubrana — ach, jak lichy! Czy to trudno się przeziębic? A gdzie są jej rodzice?

— W Moskwie! — powiedział Paweł i, zatrzymawszy się przed matką, zaczął cicho i poważnie:

— Pomyśl: ojciec jej — bogacz. Handluje żelazem, ma kilka domów. Za to, że poszła tą drogą — wygnał ją. Wychowywała się w dostatkach, pieczono ją, miała wszystko, czego zapragnęła, a teraz pójdzie wśród nocy, siedem wiorst, sama jedna...

To uderzyło matkę. Stała pośrodku pokoju i ze zdziwieniem, poruszając brwiami, patrzyła w milczeniu na syna. Potem spytała cicho:

— Do miasta pójdzie?

— Do miasta.

— O jej! i — nie boi się?!

— A jakże! — nie boi się! — uśmiechnął się Paweł.

— Ale po co? Mogłaby tu przenocować — położyłaby się ze mną!

— Nie. To nie byłoby dobrze! Mogliby ją tu zobaczyć jutro rano, a to nie byłoby pożądane dla nas.

Matka w zamyśleniu spojrzała w okno i cicho zapytała:

— Nie rozumiem tego, Pawełku. Cóż tu niebezpiecznego, zabronionego? Przecież niczego złego w tym nie ma, co?

Matka nie była tak zupełnie przekonana o tym i chciała usłyszeć z ust syna potwierdzającą odpowiedź. Ale Paweł patrząc jej spokojnie w oczy, twardo oświadczył:

— Złego — nie. Mimo to jednak w przyszłości czeka nas wszystkich — więzienie. Wiedz o tym...

Matce zdrząły ręce. Załamującym się głosem zapytała:

— A może Bóg da i jakoś... obejdzie się?...

— Nie! — łagodnie powiedział syn. — Nie mogę cię oszukiwać. Nie obejdzie się!

Uśmiechnął się.

— Połóż się. Jesteś przecież zmęczona. Dobranoc!

Matka została sama. Podeszła do okna i stanęła przed nim patrząc na ulicę. Za oknem było zimno i mglisto. Wiatr bawił się zdmuchując śnieg z dachów małych sennych domków, bił o ściany, szeptał coś pośpiesznie, padał na ziemię i gnał w dół ulicy białe obłoki suchych śnieżynek...

— Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami! — cicho wyszeptwała matka.

Serce płakało w niej i ślepo, żałośnie, jak ćma, trzepotało w oczekiwaniu nieszczęścia, o którym tak spokojnie i z taką pewnością mówił syn. Wydało się jej, że widzi płaską, śnieżną równinę. Jest zimno i z przenikliwym świstem nosi się po niej i miota kosmaty, biały wiatr. Środkiem równiny idzie samotnie chwiejąc się, niewielka, ciemna postać dziewczęca. Wiatr płacze się jej pod nogami, rozdyma spódnice, rzuca w twarz kłujący śnieg. Trudno iść, maleńkie nogi więzną w śniegu. Chłodno i straszno. Dziewczyna pochyliła się ku przodowi, jak trawka wśród mglistej równiny — igraszka jesiennego wiatru. Na prawo od niej, na błocie, jak ciemna ściana, wznosi się las. Posępnie szumią nagie brzozy i osiny. Gdzieś, daleko przed nią, niewyraźnie błyskają światła miasta...

— Boże, zmiłuj się! — wyszeptwała matka wzdygając się ze strachu...

VII

Dni przesuwały się, jeden po drugim jak paciorki różańca składając się w tygodnie, miesiące. Każdej soboty do Pawła przychodzili towarzysze, każde zebranie było jak

gdymy stopniem długiej, pochyłej drabiny, która wiodła gdzieś w dal, zwolna podnosząc ludzi w górę.

Pojawiali się nowi ludzie. W małym pokoiku Własowów stawało się ciasno i duszno. Przychodziła Natasza zziębnięta, zmęczona, ale zawsze niewyczerpane wesoła i żywa. Matka zrobiła jej pończochy i sama włożyła je na jej małe nogi. Natasza z początku śmiała się, a potem nagle umilkła, zamyśliła się i cichutko powiedziała:

— Miałam nianię — także niezwykle dobrą! Jakie to dziwne, Pelagio Nilowna — pracujący lud żyje takim trudnym, takim poniżającym życiem, a przecież więcej ma serca, więcej dobroci, niż tamci!

I machnęła ręką pokazując gdzieś w dal, bardzo daleko od siebie.

— Jaka wy jesteście! — powiedziała Własowa. — Rodziców straciliście i wszystko... — nie potrafiła dokończyć swojej myśli, westchnęła i zamilkła patrząc w twarz Nataszy. Czuli dla niej wdzięczność za coś. Siedziała na podłodze przed nią, a dziewczyna uśmiechała się, w zadumie opuściwszy głowę.

— Rodziców straciłam? — powtórzyła. — To — nic! Ojciec mój to brutal, brat także. I — pijanica. Starsza siostra — nieszczęśliwa... Wyszła za męża za człowieka o wiele starszego od siebie... Bardzo bogaty, nudny, chciwy. Mammy — mi żal! Mamę mam taką prostą, szczerą jak wy. Małeńka taka jak myszka — biega prędko i wszystkich się boi. Czasem — tak chciało by się ją zobaczyć...

— Biedactwo ty moje! — smutno pokiwała głową matka. Dziewczyna gwałtownie odrzuciła głowę i wyciągnęła rękę, jakby odpychając coś.

— O nie! Czasem czuję taką radość, takie szczęście! Twarz jej zbladła i błękitne oczy jasno zapłonęły. Położywszy ręce na ramionach matki powiedziała głębokim głosem, cicho i wnikliwie:

— Gdybyście wiedzieli... Gdybyście zrozumieli jak wielka jest sprawa, której służymy!...

Coś bliskiego zazdrości musnęło serce Własowej. Podnosząc się z podłogi, powiedziała smutno:

— Za stara jestem na to i niepiśmienna...

...Paweł mówił coraz częściej, więcej, coraz goręcej spierał się i — chudł. Matce wydawało się, że kiedy mówi z Nataszą, albo patrzy na nią — jego surowe oczy mają łagodniejszy blask, głos dźwięczy bardziej miękko i zachowanie nabiera prostoty.

— Daj Boże! — myślała. I uśmiechała się.

Zawsze na zebraniach, gdy spory zaczynały nabierać zbyt gorącego i burzliwego charakteru, podnosił się chachoł i kołysząc się jak serce dzwonu, mówił swoim dźwięcznym głosem coś prostego i dobrego, co sprawiało, że wszyscy stawali się spokojniejsi i poważniejsi. Wiesowszczyk przynaglał zawsze wszystkich ponuro do czegoś. On i ryży, który nazywał się Samojłow, pierwsi rozpoczynali wszystkie spory. Z nimi zgadzał się okrągłogłowy, białorzęsy, jakby wymyty ługiem Iwan Bukin. Jakub Somow, gładki i czysty, mówił mało cichym, poważnym głosem, on i Fedzia Mazin, o wysokim czole, zawsze stawali w sporach po stronie Pawła i chachoła. Niekiedy zamiast Nataszy przychodził z miasta Mikołaj Iwanowicz — człowiek w okularach, z maleńką, jasną bródką, pochodzący z jakiejś dalekiej guberni — mówiący osobliwą wymową — na „o“, i cały Mikołaj Iwanowicz był w ogóle jakiś daleki. Opowiadał o prostych rzeczach — o życiu rodzinnym, o dzieciach, o handlu, o policji, o cenach na chleb i mięso — o wszystkim, czym ludzie żyją w codziennym życiu. I we wszystkim odkrywał fałsz, zamęt, coś głupiego, czasem śmiesznego, a zawsze — wyraźnie szkodliwego dla ludzi. Matce zdawało się, że przyjechał skądś z daleka, z innego państwa, gdzie wszyscy żyją uczciwym i łatwym życiem, a tutaj — wszystko jest

mu obce i nie może przyzwyczać się do tego życia, przyjąć je, jak coś nieuniknionego. Nie podoba mu się ono i wzbudza w nim spokojne, uparte pragnienie przebudowania wszystkiego na swój sposób. Twarz miał żółtawą, około oczu cieniutkie, promieniste zmarszczki, głos cichy, a ręce zawsze ciepłe. Witając się z Własową, obejmował całą jej dłoń mocnymi palcami i po takim uścisku ręki robiło jej się jakoś lżej i spokojniej na duszy.

Zjawiali się jeszcze i inni ludzie z miasta, najczęściej — wysoka, zgrabna panna z dużymi oczyma w chudej, bladej twarzy. Nazywali ją Saszeńką. W chodzie jej i ruchach było coś męskiego, gniewnie chmurzyła czarne, gęste brwi, a gdy mówiła—delikatne nozdrza jej prostego nosa drżały.

Saszeńka pierwsza powiedziała głośno i dobitnie:

— My — socjaliści...

Gdy matka usłyszała to słowo, w niemym przerażeniu wlepiała oczy w pannę. Słyszała, że socjaliści zabili cara. To było za dni jej młodości. Mówiono wtedy, że obszarnicy chcąc zemścić się na carze za oswobodzenie chłopów, ślubowali, że nie będą strzyc sobie włosów do tej pory, póki nie zabiją go. Za to nazwano ich socjalistami. I teraz nie mogła zrozumieć — dlaczego syn jej i jego towarzysze są socjalistami?

Gdy wszyscy rozeszli się, zapytała Pawła:

— Pawełku, czy ty jesteś socjalistą?

— Tak! — powiedział jak zawsze — twardo i po prostu stając przed nią. — Bo co?

Matka ciężko westchnęła, spuściła oczy i zapytała:

— Jakże to tak, Pawełku? Przecież oni — przeciw carowi — przecież zabili jednego.

Paweł przeszedł się po pokoju, pogładził ręką policzek i uśmiechnąwszy się powiedział:

— Nam to niepotrzebne!

Długo mówił coś do niej cichym, poważnym głosem.

Matka patrzyła mu w twarz i myślała:

— On nie zrobi niczego złego — on nie może!

A potem straszne słowo zaczęło powtarzać się częściej, ostrze tego słowa starło się i ucho jej przywykło do niego, jak do dziesiątków innych, niezrozumiałych słów. Ale Saszeńka nie podobała się jej i gdy zjawiała się, matka czuła się zaniepokojona i skrępowana...

Pewnego razu powiedziała do chachoła, z niezadowoleniem zaciskając usta:

— Coś za surowa jest ta Saszeńka! Ciągłe rozkazuje — musicie to i musicie tamto...

Chachoł zaśmiał się głośno:

— Dobrze uchwycone! Trafiliście w sedno, mateńko! Nieprawdaż, Pawełku?

I pomrugując do matki, dodał z uśmiezkiem w oczach:

— Szlachetczyzna!

Paweł zauważył sucho:

— Sasza jest dobrym człowiekiem.

— To prawda! — potwierdził chachoł. — Tylko nie rozumie, że ona — musi, a my — chcemy i możemy!

Zaczęli się sprzeczać o coś niezrozumiałego.

Matka zauważyła także, że Saszeńka najsurowiej odnosi się do Pawła, czasem krzyczy nawet na niego, a Paweł uśmiecha się, milczy i patrzy w oczy dziewczynie tym samym ciepłym spojrzeniem, jakim przedtem patrzył w oczy Nataszy. I to także nie podobało się matce.

Niekiedy matkę uderzał nastrój nagłej, bujnej radości, zgodnie opanowującej wszystkich. Zwykle było to w te wieczory, kiedy czytali w gazetach o robotnikach za granicą. Oczy wszystkich błyszczały wówczas radością i wszyscy stawali się dziwnie, jakoś po dziecięcemu, szczęśliwi, śmieli się jasnym, wesołym śmiechem, uderzali przyjaźnie jeden drugiego po ramieniu:

— Zuchy towarzysze-Niemcy! — krzyknął ktoś upojony swoją radością.

— Niech żyją robotnicy Włoch! — wołali innym razem.

I posyłając te okrzyki gdzieś w dal, przyjaciółom, którzy ich nie znali i nie mogli zrozumieć ich języka, byli jak gdyby przekonani, że nieznani im ludzie słyszą ich i rozumieją ich uniesienie.

Chachoł mówił z błyszczącymi oczyma, pełen obejmującego wszystkich uczucia miłości:

— Dobrze by było napisać do nich, co? Żeby wiedzieli, że w Rosji mieszkają ich przyjaciele, wyznający i głoszący wspólną z nimi wiarę, ludzie, którzy dążą do tych samych, co oni, celów i radują się zwycięstwami!

I wszyscy w rozmarzeniu, z uśmiechem na twarzy, długo mówili o Francuzach, Anglikach i Szwedach, jak o swoich przyjaciółach, bliskich sercu ludziach, których szanują, żyją ich radością, współczują ich nieszczęściu.

W ciasnym pokoiku rodziło się uczucie duchowego braterstwa robotników całej ziemi. Uczucie to, stapiające wszystkich w jedną duszę, wzruszało i matkę. I chociaż nie rozumiała go, to jednak wyprostowywało ją ono swoją siłą radosną i młodą, upajającą i pełną nadziei.

— Co z was za ludzie! — powiedziała pewnego razu do chachoła. — Wszyscy są dla was towarzyszami — Ormianie, i Żydzi, i Austriacy — za wszystkich — smutek i radość!

— Za wszystkich, mateńko, za wszystkich! — wykrzyknął chachoł — dla nas nie ma narodów, nie ma plemion, są tylko towarzysze i tylko wrogowie. Wszyscy robotnicy — to nasi towarzysze, wszyscy bogacze, wszystkie rządy — to nasi wrogowie. Kiedy ogarniesz ziemię dobrymi oczyma, kiedy zobaczysz, jak wielu jest nas robotników i ile jest w nas siły — to tak radośnie, tak świętecznie robi się na sercu! I tak samo, mateńko, czuje Francuz i Niemiec, kiedy przyjrzą się życiu, i tak samo cieszy się Włoch. Wszys-

cy jesteśmy dziećmi jednej matki, niewyciężonej myśli o braterstwie roboczego ludu wszystkich krajów ziemi. Ta myśl ogrzewa nas, jest słońcem na niebie sprawiedliwości, a niebo to — w sercu robotnika. I kimkolwiek on jest i jakkolwiek się nazywa — socjalista jest zawsze naszym bratem w duchu, teraz i zawsze i na wieki wieków!

Ta dziecięca, mocna wiara coraz częściej budziła się wśród nich i ciągle wzmagala się i rosła w swojej potężnej mocy. I kiedy matka patrzyła na to, mimo woli czuła, że, zaprawdę, narodziło się na świecie coś wielkiego i światłego, podobnego do słońca na niebie, i jak ono widzialnego dla niej.

Często śpiewali pieśni. Proste, wszystkim znane pieśni. Śpiewali głośno i wesoło, ale niekiedy śpiewali i nowe, jakieś szczególnie składne, ale niewesołe i na nieznaną nutę. Śpiewali je półgłosem, poważnie, jak pieśni cerkiewne. Twarze śpiewaków bladły i płonęły, a w dźwięcznych słowach czuło się ogromną siłę.

Szpecially jedna z tych nowych pieśni niepokoiła i wrzuszała kobietę. W pieśni tej nie było smutnego zamyślenia duszy, skrzywdzonej i samotnie błakającej się po ciemnych ścieżkach gorzkich zwątpień, jęków duszy, zabi-tej nędzą, zaszczutej strachem, bezosobowej i bezbarwnej. I nie dźwięczały w niej tęskne westchnienia siły, nieświadomie łaknącej przestrzeni, ani wyzywające okrzyki młodzieńczej, zapalczywej odwagi, gotowej skruszyć bez różnicy wszystko co złe i dobre. Nie było w niej uczucia ślepej zemsty i krzywdy, które zdolne jest wszystko zniszczyć, ale jest bezsilne, gdy trzeba budować — w pieśni tej nie było niczego ze starego, niewolniczego świata.

Ostre jej słowa i surowa melodia nie podobały się matce, ale poza słowami i melodią było jeszcze coś, coś wielkiego, co zagłuszało swą siłą dźwięk i słowo i budziło w sercu przecucie czegoś nieobjętego dla myśli. To „coś“ widziała

matka na twarzach i w oczach modzieży, czuła w ich piersiach i poddawała się sile pieśni nie mieszczącej się w słowach i dźwiękach, słuchała jej zawsze ze szczególną uwagą, z niepokojem głębszym, niż innych pieśni.

Pieśń tę śpiewali ciszej niż inne, ale dźwięczała silniej niż wszystkie i obejmowała ludzi jak powietrze marcowego dnia — pierwszego dnia nadchodzącej wiosny.

— Czas by już nam zaśpiewać to na ulicy! — ponuro mówił Wiesowszczyk.

Gdy ojciec jego znowu coś ukradł i został uwięziony, Mikołaj spokojnie oświadczył towarzyszom:

— Teraz można się zbierać u mnie...

Prawie każdego wieczora po pracy, u Pawła siedział ktoś z towarzyszy. Czytali, wypisywali coś z książek, zafasowani, nie zdążywszy się nawet umyć. Jedli kolację i pili herbatę, z książkami w rękach, i coraz bardziej niezrozumiała dla matki stawała się ich mowa.

— Potrzebna nam jest gazeta! — mówił często Paweł.

Życie stawało się pośpieszne i gorączkowe, ludzie coraz prędzej przebiegali od jednej książki do drugiej, jak pszczoły z kwiatka na kwiatek.

— Gadają o nas — powiedział pewnego razu Wiesowszczyk — wkrótce pewnie wpadniemy...

— Na to jest przepiórka, żeby w sieci wpadać! — odezwał się chachoł.

Chachoł coraz więcej podobał się matce. Gdy nazywał ją „mateńką“, to słowo to jak gdyby głaskało jej policzki miękko, dziecięcą ręką. W niedzielę, jeśli Paweł nie miał czasu, chachoł rąbał drzewo. Pewnego razu przyszedł z deską na ramieniu i, wzięwszy topór, prędko i zręcznie zmienił zgniły stopień przed gankiem, innym razem, tak samo niespostrzeżenie, naprawił rozwalony płot. Pracując gwizdał. Gwizdał pięknie i smutno.

Pewnego razu matka powiedziała do syna:

— Wiesz co? Weźmy sobie chachoła na lokatora. Lepiej to będzie dla was obu — nie będziecie ciągle biegać jeden do drugiego.

— Po co macie się krępować? — zapytał Paweł wzruszając ramionami.

— Też coś! Całe życie byłam skrępowana nie wiadomo dlaczego — dla dobrego człowieka nie żal!

— Róbcie, jak chcecie — powiedział syn. — Jeżeli sprowadzi się do nas — będę zadowolony...

I chachoł przeprowadził się do nich.

VIII

Małeńki dom na skraju osady budził zainteresowanie ludzi. Ściany jego obmacywały dziesiątki podejrzliwych oczu. Niespokojnie przelatywały i trzepotały nad nim pstre skrzydła wieści — ludzie starali się splotać, odsłonić to „coś“, co przytało się za ścianami domu nad jarem. W nocy zaglądali do okien, niekiedy ktoś pukał w szybę i pośpiesznie, bojaźliwie uciekał.

Któregoś dnia Własową zatrzymał na ulicy szynkarz Bieguncow, staruszek o szanownym wyglądzie, zawsze noszący czarną, jedwabną chusteczkę na czerwonej, zwiędłej szyi, a na piersiach grubą, pluszową kamizelkę liliowego koloru. Na jego śpiczastym i błyszczącym nosie siedziały sztyldkretowe okulary i dlatego nazywano go: „kościane oczy“.

Zatrzymawszy Własową, jednym tchem nie oczekując odpowiedzi, zasypał ją skrzypiącymi i suchymi słowami:

— Jak się miewacie, Pelagio Niłowna? A synek? Ożenić nie zamierzacie? Młodzieniec w pełni sił — dojrzały do małżeństwa. Ożenić syna wcześniej — spokój dla rodzi-

ców. W rodzinie człowiek lepiej się konserwuje i duchem i ciałem, niby grzyb w occie. Ja na waszym miejscu ożeniłbym go. Nasze czasy wymagają surowego nadzoru nad istotą ludzką, ludzie zaczynają żyć każdy swoją głową. W myślach zamęt, postęпки godne nagany. Cerkiew bożą młodzież omija, publicznych miejsc unika, zbiera się ukradkiem, po kątach — szepcze. Po co szepcze, pozwólcie się zapytać? Dlaczego unika ludzi? Wszystko, czego człowiek nie śmie powiedzieć przy ludziach — w szynku na przykład — cóż to takiego jest? Tajemnica! A gdzie jest miejsce dla tajemnicy? W naszej świętej, apostołskiej cerkwi. A wszystkie inne tajemnice, po kątach spełniane — omyłka rozumu! Życzę wam dobrego zdrowia.

Przesadnie wytwornym gestem wygiętej ręki zdjął kaszkiet, zatoczył nim w powietrzu i odszedł zostawiwszy matkę pogrążoną w zdumieniu.

Sąsiadka Własowów Maria Korsunowa, wdowa po kowalu, handlująca przed bramą fabryki wiktuałami, spotkawszy matkę na rynku, także powiedziała:

— Pilnuj syna, Pelagio!

— A bo co? — spytała matka.

— Mówią! — tajemniczo zakomunikowała Maria. — Niedobrze mówią, mateńko moja! Powiadają — związek taki urządzi w rodzaju chłystów*) . Sekta — nazywa się to. Chłostać będą jeden drugiego, jak chłysty...

— Mielą językiem, Mario, sami nie wiedzą co!

— Nie ten winien, kto miele, ale ten, kto ziarna dostarcza — powiedziała przekupka.

Matka opowiadała synowi o tych wszystkich rozmowach. Wzruszał w milczeniu ramionami, a chachoł śmiał się swoim niskim, miękkim śmiechem.

*) Chłysty — sekta, której przypisywano orgie udządzane po wzajemnym biczowaniu się.

— Dziewczęta też mają do was pretensję — mówiła matka — kawalerowie z was przecie, że każda by pozazdrościła! Dobrzy robotnicy, nie pijący, a na dziewczęta nie zwracacie uwagi. Opowiadają, że chodzą do was z miasta panny złego prowadzenia się...

— No, oczywiście! — skrzywiwszy się z odrazą, wykrzyknął Paweł.

— Na błocie wszystko czuć zgnilizną! — westchnąwszy powiedział chachoł. — A wy byście, mateńko, objaśnili im głupiutkim, co to jest małżeństwo! Żeby nie kwapiły się do lamania kości...

— Ach, mój drogi! — powiedziała matka. — One widzą przecie niedolę, rozumieją, ale jakaż przed nimi droga prócz tej? Podziać się nie mają gdzie!

— Żle rozumieją, bo inaczej znalazłyby drogę! — zauważył Paweł.

Matka spojrzała na jego surową twarz.

— To nauczcie je! Zaprosilibyście te, co mądrzejsze, do siebie...

— To nie byłoby dobrze! — sucho powiedział syn.

— A gdyby spróbować? — odezwał się chachoł.

Paweł milczał chwilę, po czym odpowiedział:

— Zaczną się przechadzki parkami, potem niektórzy pożenią się, ot i wszystko!

Matka zamyśliła się. Mnisza surowość Pawła niepokoiła ją. Widziała, że jego rad słuchają nawet ci towarzysze, którzy — jak chachoł — starsi są od niego wiekiem. Ale zdawało się jej, że wszyscy boją się go i że nikt go nie lubi za jego oschłość. Pewnego razu, kiedy położyła się już spać, a syn i chachoł czytali jeszcze, usłyszała przez cienie przepierzenie ich cichą rozmowę.

— Podoba mi się Natasha, wiesz? — nagle cicho odezwał się chachoł.

— Wiem! — nie od razu odpowiedział Paweł.

Słysząc było, jak chachoł podniósł się powoli i zaczął chodzić. Jego bosc nogi zaszurgaly po podłodze i rozległo się ciche, tęskne gwizdanie. Potem usłyszała znowu jego niski głos:

— Czy ona to dostrzega?

Paweł milczał.

— Jak myślisz? — zniżywszy głos zapytał chachoł.

— Dostrzega! — odpowiedział Paweł. — Dlatego odmówiła przychodzenia do nas...

Chachoł ciężko powłóczył nogami po podłodze i znowu w pokoju zadrżało jego ciche gwizdanie. Potem zapytał:

— A gdybym powiedział jej...

— Co?

— Że ja... — cicho zaczął chachoł.

— Po co? — przerwał mu Paweł.

Matka usłyszała, że chachoł zatrzymał się i poczuła, że uśmiecha się.

— Bo widzisz, ja uważam, że jeżeli kocha się dziewczynę, to trzeba jej o tym powiedzieć, bo inaczej nic z tego przecie nie wyjdzie!

Paweł głośno zamknął książkę. Usłyszała jego pytanie:

— A czego ty się spodziewasz?

Obaj długo milczeli.

— No? — zapytał chachoł.

— Trzeba, Andrzeju, jasno zdawać sobie sprawę z tego, czego ty chcesz — powiedział Paweł powoli. — Przypuśćmy, że i ona cię kocha — ja sędzę, że nie — ale, przypuśćmy, że tak! I — pobierzecie się. Ciekawe małżeństwo — inteligentka i robotnik! Urodzą się dzieci, pracować będziesz musiał sam i — dużo. Życie wasze stanie się życiem dla kawałka chleba, dla dzieci, dla mieszkania. Dla sprawy was więcej nie będzie. Obojga!

Ucichło. Po czym Paweł zaczął znowu, ale jakby bardziej miękko:

— Lepiej rzuć to wszystko, Andrzeju. Nie niepokój jej...
Cicho. Wyraźnie tykało wahadło zegara miarowo odmierzając sekundy.

Chachoł powiedział:

— Połowa serca — kocha, połowa nienawidzi, czyż to jest serce, co?

Zaszeleściły stronicie książki — widocznie Paweł zaczął znowu czytać. Matka leżała zamknawszy oczy obawiając się poruszyć. Było jej aż do łez żal chachoła, ale jeszcze bardziej syna. Myślała o nim: — Kochanie ty moje...

Nagle chachoł zapytał:

— Więc — milczeć?

— To — uczciwiej — cicho powiedział Paweł.

— No, więc po tej drodze pójdziemy! — powiedział chachoł. I po kilku minutach ciągnął dalej, smutno i cicho:

— Trudno ci będzie, Pawelku, jeżeli ty sam tak oto...

— Już mi jest trudno...

O ściany domu tłukł się wiatr. Dokładnie liczyło upływający czas wahadło zegara.

— Z tym nie łatwo się pogodzić! — wolno powiedział chachoł.

Matka wetknęła twarz w poduszkę i bezdźwięcznie zapłakała.

Rano Andrzej wydał się matce jakby niższego wzrostu i jeszcze miłszy. A syn — jak zawsze — chudy, prosty, milczący. Dawniej matka nazywała chachoła Andrzejem Onisimowiczem, a tego dnia nie zauważywszy nawet, powiedziała mu:

— Trzeba by wam, Jędrusiu, buty naprawić — nogi zziębicie!

— Po wypłacie kupię nowe! — odpowiedział, roześmiał się i nagle, położywszy jej na ramieniu swoją długą rękę, zapytał:

— A może wy jesteście moją rodzoną matką, tylko nie chcecie się przyznać do tego ludziom, dlatego żem taki brzydki, co?

Milcząc poklepała go po rękę. Miała ochotę powiedzieć mu wiele ciepłych słów, ale serce jej było ściśnięte litością i słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

IX

W osadzie mówiono o socjalistach, którzy rozrzucali napisane niebieskim atramentem odezwy. W tych odezwach opisywano złośliwie szykany w fabryce, pisano o strajkach robotniczych w Petersburgu i na południu Rosji, wzywano robotników do zjednoczenia się i do walki o swoje interesy.

Starsi ludzie, którzy zarabiali dobrze w fabryce, klęli:

— Buntownicy! Za takie rzeczy w mordę trzeba bić!

I odnosili odezwy do kantoru. Młodzież czytała proklamacje z entuzjazmem:

— Prawda!

Większość, śmiertelnie wyczerpana pracą i obojętna na wszystko, leniwie mówiła:

— Nic i tak nie będzie — czyż to możliwe?

Ale odezwy podniecały ludzi i jeżeli nie było ich przez tydzień, ludzie mówili już jeden do drugiego:

— Przestali jakoś drukować...

A w poniedziałek odezwy zjawiały się znowu i w fabryce szumiało jak w ulu.

W szynku i w fabryce można było zauważyć nowych, nikomu nie znanych ludzi. Wypytywali się, oglądali, weszli i od razu rzucali się w oczy wszystkim, jedni — podejrzaną ostrożnością, inni — zbyt nierzadym narzucaniem się.

Matka rozumiała, że przyczyną całego tego zamieszania jest robota jej syna. Widziała, jak ludzie skupiali się

wokół niego — i obawa o los Pawła mieszała się z dumą.

Jakoś nad wieczorem Maria Korsunowa zastukała z ulicy w okno, a kiedy matka otworzyła je, przemówiła głosem szeptem:

— Trzymaj się, Pelagio! Doegrali się chłopcy! Dzisiaj w nocy postanowiono zrobić rewizję u was, u Mazina i u Wiesowszczykowa...

Grube wargi Marii pośpiesznie mlaskały jedna o drugą, mięsisty nos sapał, oczy mrugały i zezowały na wszystkie strony wypatrując czy nie ma kogoś na ulicy.

— A ja o niczym nie wiem, nic ci nie mówiłam i nawet nie widziałam cię dzisiaj — słyszysz?

I znikła.

Matka zamknawszy okno, wolno osunęła się na krzesło. Ale świadomość grożącego synowi niebezpieczeństwa prędko poderwała ją. Pośpiesznie ubrała się, nie wiadomo dlaczego szczerze okręciła głowę szalem i pobiegła do Fedzi Mazina, który był chory i nie pracował. Gdy weszła, siedział pod oknem, czytał książkę i huśtał lewą ręką prawą, odginając wielki palec. Usłyszawszy nowinę, zerwał się i zbladł.

— Ołóż masz... — mruknął.

— Co trzeba robić? — spytała Własowa ocierając pot z czoła drżącą ręką.

— Poczekajcie — nie bójcie się! — powiedział Fedzia przyglądając zdrową ręką kędzierzawe włosy.

— Ale przecie wy sami się boicie! — wykrzyknęła.

— Ja? — zarumienił się i, uśmiechając się ze zmieszaniem, powiedział: taak, do diabła... Trzeba Pawłowi powiedzieć. Zaraz pośle do niego. Wracajcie — nie straszego! Bić przecie nie będą?

Powróciwszy do domu, Własowa zebrała wszystkie książki i, przycisnąwszy je do piersi, długo chodziła po mieszkaniu zaglądając do pieca, pod piec i nawet do kadzi

z wodą. Sądziła, że Paweł natychmiast rzuci robotę i przyjdzie do domu, a on nie przychodził. W końcu, zmęczona, usiadła w kuchni na ławce podłożywszy pod siebie książki, i tak, obawiając się wstać, przesiedziała aż do czasu, póki nie przyszli z fabryki Paweł i Andrzej.

— Wiecie? — wykrzyknęła nie wstając.

— Wiemy! — uśmiechając się powiedział Paweł. — Boisz się?

— Boję się... Tak się boję!...

— Nie trzeba się bać! — powiedział chachoł. — To nie pomaga.

— Nawet samowaru nie postawiła! — zauważył Paweł.

Matka wstała i, wskazując na książki, wyjaśniła z zawstydeniem.

— Bo ja tak ciągle z nimi...

Syn i chachoł roześmieli się. To dodało jej odwagi.

Paweł wybrał kilka książek i wyszedł schować je na podwórzu, a Andrzej nastawiając samowar, mówił:

— Nie ma w tym nic strasznego, matko. Tylko wstyd za ludzi, że się głupstwami zajmują. Przychodzą do rośli mężczyźni z szablami u boku, z ostrogami przy butach i szperają wszędzie. Pod łóżko zajrzą i do pieca, jeżeli piwnica jest — do piwnicy poleżą, na strych wejdą. Tam im na gęby pajęczyna nasiądzie — fyrkają... Nudno im i wstyd i dlatego udają, że są bardzo złymi ludźmi i gniewają się na was. Brudna robota i oni to przecie rozumieją! Jednego razu przewrócili u mnie wszystko, zawstydzili się i poszli sobie, a innym razem zabrali mnie ze sobą. Posadzili do więzienia, siedziałem cztery miesiące. Siedzisz, siedzisz, zawo'ają do siebie, poprowadzą po ulicy z żołnierzami, zapytają o coś. Mądrzy to, wiecie, oni nie są. Nie do rzeczy mówią. Pomówią — znowu żołnierzom każą odprowadzić do więzienia. I tak wodzą to tu, to tam — mu-

szą przecie coś robić, pieniądze - za to biorą! A potem wypuszczą na wolność — ot i wszystko!

— Jak wy zawsze dziwnie mówicie, Jędrusiu! — wykrzyknęła matka.

Chachoł gorliwie dmuchał w kominek klęcząc obok samowaru, ale na te słowa podniósł czerwoną z wysiłku twarz i, obiema rękami poprawiając wąsy, zapytał:

— A jakże ja mówię?

— Tak, jakby was jeszcze nigdy nikt nie skrzywdził...

Andrzej wstał i, potrząsnąwszy głową, powiedział uśmiechając się:

— A czyż jest na świecie ktoś nie skrzywdzony? Mnie tyle razy krzywdzili i obrażali, że przestałem się obrażać. Co robić, jeżeli ludzie nie mogą inaczej? Urazy przeszkadzają pracować, zastanawiać się nad nimi to tylko strata czasu. Takie jest życie! Dawniej, bywało, gniewałem się na ludzi, a teraz pomyślałem — nie warto. Każdy boi się, żeby go sąsiad nie uderzył, no i stara się czym prędzej sam mu dać w ucho. Takie jest życie, mateńko moja!

Słowa jego płynęły spokojnie odsuwając gdzieś na bok lęk oczekiwania rewizji, wypukłe oczy uśmiechały się jasno i ca'ly on, chociaż niezgrabny, był taki jakiś gibki.

Matka westchnęła i powiedziała ciepło:

— Niech Bóg da wam dużo szczęścia, Jędrusiu!

Chachoł szerokim krokiem poszedł do samowaru, znowu przykucnął przed nim i cicho zamruczał:

— Dadzą szczęście — nie odmówię, a'le prosić — nie będę!

Paweł wrócił z podwórza i z pewnością siebie powiedział:

— Nie znajdą! — i zaczął się myć.

Potem, mocno i starannie wycierając rece, powiedział:

— Jeżeli pokażecie im, mamó, żeście się zlekli, to pomyślą: musi w tym domu coś być, jeśli ona tak się trzęsie.

Wy przecież rozumiecie — złego nie chcemy, po naszej stronie jest prawda i całe życie będziemy dla niej pracować — oto cała nasza wina! Czegóż więc bać się?

— Będę się trzymała, Pawelku — obiecała. I zaraz potem wyrwało się jej tęsknie: — Ach! Żeby już prędzej przyszli!

Ale oni nie przyszli tej nocy. I rano, uprzedzając możliwość żartów z jej obaw, matka pierwsza zaczęła żartować z siebie:

— Przestraszyłam się, zanim stracha zobaczyłam!

X

Zjawili się dopiero miesiąc po owej niespokojnej nocy.

U Pawła siedział Mikołaj Wiesowszczyk i we troje z Andrzejem rozmawiali o swojej gazecie. Było późno, około północy. Matka położyła się i drzemiąc już, przez sen, słyszała jeszcze ich zafrasowane, ciche głosy. Oto Andrzej stąpając ostrożnie, przeszedł przez kuchnię, cicho zamknął za sobą drzwi. W sieni brzęknęło żelazne wiadro. I nagle, drzwi rozwarły się gwałtownie na oścież — cha-choł wszedł do kuchni i głośnym szeptem powiedział:

— Ostrogi dzwonią!

Matka wyskoczyła z łóżka chwytając drżącymi rękami ubranie, ale w drzwiach od pokoju stanął Paweł i spokojnie powiedział:

— Leżcie — jesteście niezdrowi.

W sieni dało się słyszeć ostrożne szurganie. Paweł podszedł do drzwi i, pchnąwszy je ręką, zapytał:

— Kto tam?

W drzwi z niewyłąką szybkością wkręciła się wysoka, szara postać, za nią druga, dwóch żandarmów odsunęło Pawła, stanęło po obydwóch jego bokach i zabrzmiał wysoki, szyderyczy głos:

— Nie ci, których oczekiwaliście, co?

Powiedział to wysoki, szczupły oficer z czarnymi, rzadkimi wąsikami. Kolo łóżka matki ukazał się policjant Fedziakin i przykładając jedną rękę do czapki, drugą wyciągnął wskazująco prosto w twarz matki i powiedział zrobiwszy straszne oczy:

— To jest jego matka, wasza wielmożność! — I machnąwszy ręką na Pawła, dodał: — a to on sam!

— Paweł Własow? — zapytał oficer przymrużywszy oczy, a gdy Paweł w milczeniu skinął głową, oznajmił kręcąc wąsa:

— Mam przeprowadzić u ciebie rewizję. Wstawaj, stara! Tam kto jest? — zapytał zaglądając do pokoju i raptownie ruszył ku drzwiom:

— Wasze nazwiska? — rozległ się jego głos.

Z sieni wyszło dwóch świadków — stary giser Twieriakow i jego lokator, palacz Rybin, stateczny, czarny chłop.

— Witajcie, Niłowna! — powiedział głośnie basem.

Matka ubierała się i, żeby dodać sobie odwagi, mówiła cicho:

— Cóż to jest takiego! Przychodzą w nocy — ludzie położyli się spać, a oni przychodzą!...

W pokoju było ciasno i nie wiadomo dlaczego czuć było szuwaksem. Dwóch żandarmów i komisarz policji z osady, Ryskin, głośnie tupiąc nogami, zdejmowali z półki książki i składali je na stole przed oficerem. Dwaj inni obstukiwali pięściami ściany, zaglądali pod krzesła, jeden niezdarnie wlaził na piec. Chachoł i Wiesowszczykow stali w kącie, przyciśnięci jeden do drugiego. Ospowata twarz Mikołaja pokryła się czerwonymi plamami, a jego maleńkie, szare oczy ani na chwilę nie odrywały się od oficera. Chachoł kręcił wąsy i kiedy matka weszła do pokoju, uśmiechnął się i przyjaźnie kiwnął jej głową.

Starając się zdusić w sobie strach, matka poruszała się nie bokiem, jak zawsze, ale prosto, piersią naprzód — i to nadawało jej postaci śmieszny i napuszczony powagę. Tupania głośno nogami, ale brwi jej drżały...

Oficer szybko chwycił książki cienkimi palcami białej ręki, przerzucał ich kariki, wstrząsał i zręcznym ruchem dłoni odrzucał na bok. Czasem książka miękko upadała na podłogę. Wszyscy milczeli, słychać było ciężkie sapanie spoconych żandarmów, dźwięczyły ostrogi, niekiedy rozlegało się półgłosem rzucone zapytanie:

— Tu już patrzyłeś?

Matka stanęła obok Pawła, pod ścianą, założyła ręce na piersiach tak jak on i także patrzyła na oficera. Czuli drżenie pod kolanami, ćmiło jej się w oczach.

Nagle, wśród ciszy, rozległ się zgrzytliwy i przenikliwy głos Mikołaja:

— A czy to trzeba — rzucać książki na podłogę?

Matka drgnęła. Twieriakow rzucił głową, jakby pchnięto go w kark, a Rybin chrząknął i uważnie popatrzył na Mikołaja. Oficer zmrużył oczy i utkwił je na sekundę w ospowatej, nieruchomej twarzy. Palce jego zaczęły jeszcze szybciej przerzucać stronicę książek. Od czasu do czasu szeroko otwierał swoje duże, szare oczy, jak gdyby nagle przenikał go nieznośny ból i jakby, z bezsilnej wściekłości na ten ból, chciał krzyknąć głośno.

— Żołnierzu! — znowu powiedział Wiesowszczyk — Podnieś książki...

Wszyscy żandarmi obrócili się ku niemu, po czym spojrzeli na oficera. Oficer znowu podniósł głowę i, obrzucawszy barczystą postać Mikołaja badawczym spojrzeniem, rzekł przeciągle, przez nos:

— Nno... podnieście...

Jeden z żandarmów schylił się i, spoglądając z ukosa na Wiesowszczykowa, zaczął zbierać z podłogi rozrzucone książki...

— Lepiej by Mikołaj milczał! — cicho szepnęła matka do Pawła.

Paweł wzruszył ramionami. Chachoł spuścił głowę.

— Kto tu czyta biblię?

— Ja! — powiedział Paweł.

— A czyje są te książki?

— Moje! — powiedział Paweł.

— Tak! — odezwał się oficer. Rozparł się na krześle, trzasnął palcami chudych rąk, wyciągnął pod stołem nogi, poprawił wasy i zapytał Mikołaja:

— Czy to ty jesteś Andrzej Nachodka?

— Ja! — odpowiedział Mikołaj wysuwając się naprzód. Chachoł wyciągnął rękę, wziął go za ramię i odsunął w tył.

— On omylił się! To ja jestem Andrzej!...

Oficer podniósł rękę i, pogroziwszy Wiesowszczykowi małym palcem, powiedział:

— Ze mną — piñuj się!

Zaczął grzebać w swoich papierach.

Z ulicy patrzyła w okno obojętnymi oczyma, jasna, księżycowa noc. Ktoś wołnymi krokami przechadzał się pod oknem, skrzypiał śnieg.

— Czy byłeś już pociągany, Nachodka, do odpowiedzialności za przestępstwa polityczne? — zapytał oficer.

— W Rostowie i w Saratowie... Tyko że tam żandarmi mówili mi — „wy“...

Oficer mrugnął prawym okiem, potarł je i wyszczerzając drobne zęby, powiedział:

— A czy nie wiadomo wam, Nachodka, właśnie wam — kto są ci podłecy, którzy rozrzucają w fabryce zbrodnicze odezwy, co?

Chachoł, kołysząc się na długich nogach, uśmiechnął się szerokim uśmiechem i chciał coś odpowiedzieć, ale znowu zabrzmiał drażniący głos Mikołaja:

— Podleców to my pierwszy raz widzimy...

Zapadło milczenie, wszyscy zastygli na sekundę. Blizna na czole matki zbieleła i prawa brew podniosła się w górę. Rybinowi dziwnie zadrżała jego czarna broda, spuścił oczy i zaczął ją powoli rozczesywać palcami.

— Wyprowadźcie stąd tego bydlaka! — powiedział oficer.

Dwóch żandarmów wzięło Mikołaja pod ręce i brutalnie poprowadziło go do kuchni. W kuchni Wiesowszczyk zatrzymał się, wparł się nogami w podłogę i krzyknął:

— Stójcie... ubiorę się!

Z podwórza przyszedł przodownik i powiedział:

— Nie ma nic. Wszystkośmy obejrzeli!

— No, rozumie się — zawołał oficer uśmiechając się ironicznie — to doświadczony człowiek...

Matka słuchała jego słabego, drgającego i łamliwego głosu i, ze strachem patrząc w żółtą twarz, czuła w tym człowieku wroga bez litości, o sercu pełnym pańskiej pogardy dla ludzi. Niewielu widywała takich i prawie zapomniała, że istnieją.

— Oto komu zakłócili spokój! — pomyślała.

— Panie Andrzeju Onisimow Nachodka, urodzony z nieprawego łoża, aresztuję pana!

— Za co? — spokojnie zapytał chachoł.

— To powiem panu później! — z szyderczą grzecznością odpowiedział oficer. I zwracając się do Własowej, zapytał:

— Czytać umiesz?

— Nie! — odpowiedział Paweł.

— Nie ciebie pytam! — surowo powiedział oficer i znowu zapytał: — Odpowiadaj, stara!

Matka, którą niespostrzeżenie dla niej opanowało uczucie nienawiści do tego człowieka, nagle, jak gdyby skoczyła w zimną wodę i poczuła wstrząsający ją dreszcz, wyprostowała się. Szrama jej poczerwieniała, jedna brew opuściła się niżej.

— Niech pan nie krzyczy! — powiedziała wyciągając ku niemu rękę. — Pan jest jeszcze młody, nie wie pan, co to cierpienie...

— Uspokój się, mamó! — powstrzymał ją Paweł.

— Poczekaj, Pawle! — krzyknęła matka rzucając się ku stołowi. — Po co wy ludzi łapiecie?

— To was nie obchodzi! Milczeć! — huknął oficer wstając. — Wprowadźcie aresztowanego Wiesowszczykowa.

I zaczął głośno czytać jakiś papier podniósłszy go do twarzy.

Wprowadzono Mikołaja.

— Czapkę zdjąć! — wrzasnął oficer przerywając czytanie.

Rybin podszedł do Własowej i, trąciwszy ją ramieniem, cichutko powiedział:

— Nie gorączkuj się, matko...

— Jak mam zdjąć czapkę, jeżeli trzymają mnie za ręce? — zapytał Mikołaj zagłuszając czytanie protokołu.

Oficer rzucił papier na stół.

— Podpisać!

Matka patrzyła, jak podpisują protokół. Jej podniecenie zgasło, popadła w przygnębienie, do oczu napłynęły łzy obrazy i bezsilności. Takimi łzami płakała przez dwadzieścia lat swego małżeństwa, ale ostatnimi laty niemal zapomniała ich gryzącego smaku. Oficer popatrzył na nią i, skrzywiwszy się z odrazą, zauważył:

— Za wcześnie płaczecie, szanowna pani! Uważajcie! Może nie starczyć wam łez na potem!

Znowu rozzłościwszy się, Własowa odpowiedziała:

— Matce na wszystko wystarczy łez, na wszystko! Jeżeli ma pan matkę — to ona wie o tym, tak!

Oficer pośpiesznie wkładał papiery do nowiutkiej teczki z błyszczącym zamkiem.

— Marsz! — zakomenderował.

— Do zobaczenia, Andrzeju, do zobaczenia, Mikołaju — ciepło i cicho mówił Paweł ściskając ręce towarzyszy.

— Otóż to właśnie — do zobaczenia! — uśmiechając się szyderczo, powtórzył oficer.

Wiesowszczykowi sapało ciężko. Jego gruba szyja napływała krwią, oczy błyszczały ostrą złością. Chachol jaśniał uśmiechami, kiwał głową i mówił coś matce. Matka przeżegnała go i powiedziała:

— Bóg widzi niewinnych...

W końcu gromada ludzi w szarych płaszczach wywaliła się z sieni i, zabrzęczawszy ostrogami, znikła. Ostatni wyszedł Rybin. Obrzucił Pawła uważnym spojrzeniem ciemnych oczu i w zamyśleniu powiedział:

— Nno — żegnajcie!

I pokaszlując w brodę, wo'no wyszedł do sieni.

Założywszy ręce w tył, Paweł powoli chodził po pokoju, przestępując przez książki i bieliznę walające się po podłodze i mówił ponuro:

— Widzisz — jak się to robi?...

Ze zdziwieniem rozglądając się po rozrzuconych rzeczach matka ze smutkiem wyszeptwała:

— Po co Mikołaj był taki zuchwały?...

— Przestraszył się pewnie — cicho powiedział Paweł.

— Przyszli, złapali, uprowadzili — mruzczała matka rozkładając ręce.

Syn został w domu, serce jej uspokoiło się, ale myślą zatrzymała się nieruchomo na wydarzeniu nie mogąc ogarnąć go.

— Szydź ten żółty, grozi...

— Już dobrze, matko! — nagle stanowczo powiedział Paweł. — Chodź, uporządkujemy to wszystko...

Powiedział do niej „matko“ i „ty“, jak mówił tylko wtedy, kiedy chciał się do niej zbliżyć. Przysunęła się do niego, zajrzała mu w twarz i cichutko spytała:

— Skrzywdzili cię?

— Tak! — odpowiedział. — To tak ciężko! Lepiej by z nimi...

Wydało się jej, że syn ma łzy w oczach i chcąc go pocieszyć, niejasno odczuwając jego ból, powiedziała:

— Poczekaj, wezmą i ciebie!...

— Wezmą! — potwierdził.

Pomilczawszy chwilę, matka smutno zauważyła:

— Jakiś ty surowy, Pawełku! Gdybyś choć czasem pocieszył mnie! Ale gdzie! Ja powiem coś strasznego, a ty — coś jeszcze strasniejszego.

Spojrzał na nią, podszedł i przemówił cicho:

— Nie umiem, mamol! Musisz przyzwyczaić się do tego.

Westchnęła i, pomilczawszy znowu, opanowując drżenie lęku, powiedziała:

— A może oni męczą ludzi? Rwą ciało, łamią kości? Kiedy pomyślę o tym — Pawełku, kochanie! Tak straszno mi...

— Oni łamią duszę... To gorzej — kiedy duszę brudnymi łapami...

XI

Na drugi dzień dowiedziano się o aresztowaniu Bukina, Samożłowa, Somowa i jeszcze pięciu. Wieczorem przybiegł Fedzia Mazin — u niego także była rewizja i, uszczęśliwiony tym, czuł się bohaterem.

— Bates się, Fedzia? — zapytała matka.

Pob'adł, twarz jego zaostrzyła się, wargi drgnęły.

— Bałem się, że oficer uderzy mnie! Czarnobrody taki, gruby, palce owłosione, a na nosie — czarne okulary. Zupełnie jakby bez oczu. Krzyczał, tupał nogami! W więzieniu cię zgnoję, mówi. A mnie nigdy nie bili, ani ojciec, ani matka. Jestem jedynym synem i kochali mnie.

Zamknął na chwilę oczy, zacisnął usta, szybkim gestem obydwóch rąk wzburzył włosy na głowie i patrząc na Pawła poczerwieniałymi oczyma powiedział:

— Jeżeli mnie kiedy uderzą, cały będę jak nóż, wbiję się w człowieka — zębami będę gryźć — niech od razu dobijają!

— Szczupły jesteś taki, chudziutki! — wykrzyknęła matka. — Jakże ty możesz się bić?

— Będę! — cicho odpowiedział Fedzia.

Gdy odszedł, matka powiedziała Pawłowi:

— Tego pierwszego złamię!...

Paweł milczał.

Po kilku minutach drzwi do kuchni wolno otworzyły się i wszedł Rybin.

— Witajcie! — powiedział uśmiechając się. — Oto znowu jestem. Wczoraj przyprowadzili, a dzisiaj — sam przyszedłem! — Silnie potrząsnął ręką Pawła, wziął matkę za ramię i zapytał:

— Herbatką napoisz?

Paweł w milczeniu przyglądał się jego sniadej, szerokiej twarzy, w obramowaniu gęstej, czarnej brody, i ciemnym oczom. Coś poważnego i wiele znaczącego było w jego spokojnym spojrzeniu.

Matka wyszła do kuchni nastawić samowar. Rybin usiadł, pogłodził brodę i, położywszy łokcie na stół, obrzucił Pawła swym pochmurnym spojrzeniem.

— A więc — zaczął, jak gdyby ciągnął dalej przerwana rozmowę — muszę z tobą pomówić otwarcie. Przyglądam

ci się już od dawna, żyjemy prawie obok siebie. Widzę, ludzi do ciebie chodzi dużo, a pijaństwa ani bezceństwa nie ma. To po pierwsze. Jeśli ludzie nie żyją w bezceństwie, to zaraz rzucają się w oczy — niby — co takiego? Tak. Ja także nakłułem ludzi w oczy, bo żyję na uboczu.

Mowa jego płynęła ciężko, ale swobodnie. Gładził brodę czarną ręką i badawczo patrzył na Pawła.

— Zaczęli mówić o tobie. Moi gospodarze nazywają cię heretykiem — do cerkwi nie chodzisz. Ja także nie chodzę. Potem pojawiły się te karteczki. Czyś to ty je wymyślił?

— Ja! — odpowiedział Paweł.

— Skądże znów ty! — z niepokojem wykrzyknęła matka wyglądając z kuchni. — Nie ty sam!

Paweł uśmiechnął się, Rybin także.

— Tak! — powiedział.

Matka głośno pociągnęła nosem i wyszła, trochę obrażona, że nie zwrócili uwagi na jej słowa.

— Odezwy — to dobrze pomyślane. Lud niepokoją. Dziewiętnaście było?

— Tak! — odpowiedział Paweł.

— Znaczy — wszystkie czytałem! Tak. Jest w nich niezrozumiałe, jest i zbyteczne — a no, jak człowiek dużo mówi, zdarzy mu się z dziesięć słów zbytecznych też powiedzieć...

Rybin uśmiechnął się. Zęby miał białe i mocne.

— Potem — rewizja. To mnie lepiej usposobiło dla was niż wszystko. I ty, i chachoł, i Mikołaj — wszyscy wykazaliście się...

Nie znajdując odpowiedniego słowa, zamilkł, spojrzął w okno, postukał palcami po stole.

— Wszyscy pokazaliście — jakie jest wasze postanowienie. Ty, niby wasza wielmożność, rób swoją robotę, a my będziemy robili — swoją. Z chachoła także dobry

chłopak. Czasem słucham, jak we fabryce mówi i myślę — tego nie złamię, jego tylko śmierć zwycięży. Mocny człowiek! Ty mi, Pawle, wierzysz?

— Wierzę! — powiedział Paweł kiwnąwszy głową.

— Tak. Spójrz — mam czterdzieści lat, jestem dwa razy starszy od ciebie, dwadzieścia razy więcej widziałem. W wojsku przeszło trzy lata maszerowałem, dwa razy żonaty byłem, jedna umarła, drugą porzuciłem. Na Kaukazie byłem, duchoborców*) znam. Oni, bracie, życia nie zwyciężą, nie!

Matka słuchała chciwie jego mocnej mowy, przyjemnie jej było, że do syna jej przyszedł starszy człowiek i mówi z nim, jakby się spowiadał. Ale wydało się jej, że Paweł zbyt oschle odnosi się do gościa i, żeby złagodzić ten stosunek, zapytała Rybina:

— Możebyś coś zjadł, Michale Iwanowiczu?

— Dziękuję, matko. Jadłem kolację. A więc, Pawle, ty myślisz, że życie idzie nie dobrą drogą, niesprawiedliwą?

Paweł wstał i zaczął chodzić po pokoju założywszy ręce w tył.

— Nie — życie dobrą drogą idzie! Ot, przywiodło was do mnie z otwartym sercem. Nas, którzy całe życie pracujemy razem, łączy coraz bardziej, a przyjdzie czas — połączy wszystkich! Niesprawiedliwie i ciężko jest dla nas urządzone, ale za to samo otwiera nam oczy na swój gorzki sens i samo pokazuje człowiekowi, jak przyspieszyć jego bieg.

— Prawda! — przerwał mu Rybin — człowieka trzeba odnowić. Jeżeli sparszywieje — zaprowadź go do łaźni,

*) Duchoborcy — sekta rozpowszechniona na południu Rosji. Uważali, że ze złem należy walczyć tylko duchem (niesprzeciwianie się złemu). Odmawiali służby w wojsku i dlatego byli prześladowani, zsyłani na Kaukaz i na Syberię. — Red. przekł.

wymyj, włóż czystą odzież — wyzdrowieje! Tak? A jak wewnątrz oczyścić człowieka? To powiedz!

Paweł zaczął mówić gorąco i gwałtownie o władzy, o fabryce, o tym, jak za granicą robotnicy bronią swoich praw. Rybin od czasu do czasu uderzał palcem po stole, jakby stawiając kropkę. Czasem wykrzykiwał:

— Tak!

Raz zaśmiał się i cicho powiedział:

— Młody jesteś jeszcze! Mało znasz ludzi!

Paweł zatrzymał się przed nim i poważnie zauważył:

— Nie będziemy mówili o starości i młodości! Zastanówmy się lepiej, czyje myśli są słuszniesze.

— A więc, według ciebie i co do Boga oszukali nas? Tak. Ja także myślę, że religia nasza jest fałszywa.

Tu wmieszała się matka. Kiedy syn mówił o Bogu i o wszystkim, co wiązała ze swoją wiarą w niego i co było dla niej drogie i święte, starała się zawsze spotkać spojrzenie jego oczu. Pragnęła prosić go w milczeniu, żeby nie ranił jej serca ostrymi i twardymi słowami niewiary. Ale poza jego niewiarą czuła wiarę, i to ją uspokajało.

— Jakżeż ja mogę go zrozumieć? — myślała.

Zdawało się jej, że Rybinowi, starszemu człowiekowi, sprawiają przykrość słowa Pawła i że obrażają go. Kiedy jednak Rybin spokojnie zadał Pawłowi pytanie, nie mogła ścierpieć tego i łagodnie, ale z naciskiem powiedziała:

— O panu Bogu — proszę ostrożniej! Wy — jak sobie chcecie! — I zaczerpnąwszy tchu, z jeszcze większą mocą ciągnęła dalej. — Ale ja stara, oprzeć bym się nie mia'a na czym w zgryzotach moich, gdybyście mi Boga zabrali!

Oczy jej napęły się łzami. Myła naczynia i palce jej drżały.

— Nie zrozumieliście nas, mamo! — cicho i łagodnie powiedział Paweł.

— Wybacz, matko! — powoli i basem odezwał się Rybin i uśmiechając się popatrzył na Pawła. — Zapomniałem, żeś już za stara, żeby ci brodawki wycinać...

— Mówilem — ciągnął dalej Paweł — nie o tym dobrym i miłosiernym Bogu, w którego wy wierzycie, ale o tym, którym popi grożą nam jak palką — o Bogu, w którego imieniu chcą zmusić wszystkich ludzi do poddania się złej woli nielicznych...

— Otóż to — wykrzyknął Rybin stuknąwszy palcami po stole — oni nawet Boga nam sfałszowali! Wszystko, co tylko znajduje się w ich rękach, zwracają przeciw nam! Pamiętaj, matko, że Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, to znaczy — Bóg jest podobny do człowieka, jeżeli człowiek jest podobny do niego. A my — nie do Boga jesteśmy podobni, ale do dzikich zwierząt. W cerkwi straszdyło nam pokazują... Zmienić trzeba Boga, matko, oczyścić go! W kłamstwa i oszczerstwa przyodziali go, żeby zabić w nas duszę!...

Mówił cicho, ale każde jego słowo spadało na głowę matki jak ciężkie, ogłuszające uderzenie. Jego duża twarz w żalobnym obramowaniu czarnej brody przerażała ją. Blask jego ciemnych oczu był nie do zniesienia, budził w jej sercu bolesny niemal lęk.

— Nie, już lepiej pójdę! — powiedziała przecząco potrząsając głową. — Nie mam sił słuchać tego!

I szybko odeszła do kuchni, odprowadzona słowami Rybina:

— Widzisz, Pawle! Nie w g'owie, ale w sercu początek wszystkiego! Jest takie miejsce w duszy człowieka, na którym nic innego nie wyrośnie...

— Ty!ko rozum oswobodzi człowieka! — twardo powiedział Paweł.

— Rozum siły nie daje! — przeczył mu głośno i z uporem Rybin. — Serce daje siłę, a nie głowa! Ot co!

Matka rozebrała się i położyła się do łóżka nie pomodliwszy się. Było jej zimno i nieprzyjemnie. Rybin, który wydał jej się z początku taki solidny i rozumny, teraz budził w niej uczucie wrogości.

— Heretyk! Podżegacz! — myślała słuchając jego głosu. — Także przyszedł — potrzebny!

A Rybin mówił spokojnie i z przekonaniem:

— Święte miejsce nie powinno zostać puste. Tam, gdzie Bóg żyje — miejsce obolałe. Jeżeli wyrwać go z duszy — rana w niej będzie — ot co! Trzeba, Pawle, wiarę nową wymyślić... trzeba stworzyć Boga — przyjaciela ludzi!

— Przecież był Chrystus! — wykrzyknął Paweł.

— Chrystus nie był twardego ducha. Oddał ode mnie — powiada — kielich. I cesarza uznawał. Bóg nie może uznawać władzy ludzi nad ludźmi, on jest wszelką władzą! I duszy swojej nie dzieli: to — boskie, to — ludzkie... A on — handel uznawał, małżeństwo uznawał. I drzewo figowe niesprawiedliwie przeklął — czy z własnej woli nie rodziło? Dusza także nie z własnej woli nie jest płodna dobrem. Czyż to ja sam posiałem w niej zło? Ot co!

W pokoju nieustannie dźwięczały dwa podniecone głosy, ścierając się i zmagając ze sobą jak borykający się zapalnicy. Paweł chodził — podłoga skrzypiała pod jego nogami. Kiedy mówił, wszystkie dźwięki tonęły w jego głosie, a kiedy spokojnie i powoli płynął niski głos Rybina — słysząc było tykanie wahadła i cichy trzask mrozu, obmacującego ściany domu ostrymi pazurami.

— Powiem ci po swojemu, jak palacz — Bóg podobny jest do ognia. Tak! Żyje w sercu. Powiedziano — Bóg — słowo, a słowo — duch...

— Rozum! — z uporem powiedział Paweł.

— Tak! To znaczy — Bóg jest w sercu i w rozumie, a nie w cerkwi. Cerkiew to grób Boga...

Matka usnęła i nie słyszała, kiedy odszedł Rybin.

Ale odtąd zaczął przychodzić często i, jeśli u Pawła był ktoś z towarzyszki, siadał w kącie i milczał, z rzadka tylko wtrącając:

— Ot co! Tak!

A jednego razu patrząc na wszystkich z kąta pochmurnym spojrzeniem, powiedział posępnie:

— Trzeba mówić o tym, co jest, a co będzie — tego nie wiemy — ot co! Kiedy lud oswobodzi się, sam zobaczy; co dla niego lepsze. Dosyć mu głowę nabijali tym, czego wcale sobie nie życzył — dosyć! Niech sam się zastanowi. Może zechce wszystko odrzucić — całe życie i wszystkie nauki, może zobaczy, że to przeciw niemu skierowane, jak na przykład — Bóg cerkiewny. Wy tylko oddajcie mu wszystkie książki do ręki, a on już sam odpowie — ot co!

Ale jeśli Paweł był sam, Rybin rozpoczynał z nim natchmiast nie kończący się, choć zawsze spokojny spór, i matka z niepokojem słuchając ich słów i, obserwując ich, starała się zrozumieć — o czym mówią. Czasem zdawało się jej, że barczysty, czarnobrody chłop i jej syn, smukły i silny — obydwaj oślepli. Miotają się na wszystkie strony w poszukiwaniu wyjścia, chwytają wszystko silnymi, ale ślepyimi rękami, trzęsą, przesuwają z miejsca na miejsce, upuszczają na podłogę i rozdeptują to, co upadło, nogami. Zawadzają o wszystko, obmacują wszystko i odrzucają od siebie, nie tracąc wiary ani nadziei...

Przyzwyczaili ją do strasznych w swojej prostocie i śmiałości słów i słowa te nie uderzały już w nią z taką siłą, jak za pierwszym razem — nauczyła się odtrącać je. Niekiedy poza słowami, przeczącymi istnieniu Boga, odczuwała ich mocną wiarę w niego. Wówczas uśmiechała się

ciężym, wybacającym uśmiechem. I chociaż Rybin nie podobał się jej, ale nie wzbudzał już w niej wrogości. Raz w tygodniu nosiła do więzienia bieliznę i książki dla chachoła, pewnego razu dano jej widzenie z nim i po powrocie do domu opowiadała z rozrzewnieniem:

— On i tam — taki jak w domu. Dla wszystkich łagodny, wszyscy z nim żartują. Trudno mu, ciężko, ale — okazać tego nie chce...

— Tak właśnie trzeba! — zauważył Rybin. — My wszyscy w cierpieniu jak w skórze — cierpieniem oddychamy, w cierpieniu się odziewamy. A chwalić się nie ma czym. Nie wszystkim zalepiono oczy — niektórzy sami je zamykają — ot co! A jeżeliś głupi — to cierp!

XII

Szary domek Własowów coraz bardziej ściągał na siebie uwagę osiedla. Było w tej uwadze dużo podejrzliwości i nieświadomej wrogości, ale rodziła się już i ufna ciekawość. Czasem przychodził jakiś człowiek, ostrożnie oglądał się i mówił do Pawła:

— No, bracie, ty tu książki czytasz, na prawie się znasz. Więc objaśnij mnie...

I opowiadał Pawłowi o jakiejś niesprawiedliwości policji albo administracji fabrycznej. W zawikłanych sprawach Paweł dawał mu liścik do znajomego adwokata, do miasta, a jeżeli mógł — objaśniał sprawę sam.

Stopniowo w ludziach budził się szacunek dla młodego, poważnego człowieka, który mówił o wszystkim prosto i śmiało, patrząc na wszystko i słuchając wszystkiego z uwagą, uparcie grzebiąc się w płataninie każdego poszczególnego wypadku i zawsze i wszędzie znajdując jakąś

wspólną, nie kończącą się nic, tysiącami mocnych węzłów łączącą ludzi.

Szczególniej podniosła powagę Pawła w oczach ludzi historia „kopieski na błota“.

Za fabryką, prawie okrążając ją zgnitym pierścieniem, ciągnęły się obszerne bagna, porosłe jedliną i brzozą. Latem oddychały gęstymi, żółtymi oparami i na osiedle leciały z nich chmury komarów siejąc gorączkę. Błota należały do fabryki i nowy dyrektor chcąc wyciągnąć z nich pożytek, postanowił je osuszyć, a przy sposobności wybrać terf. Wskazując robotnikom, że w ten sposób uzdrowi okolicę i polepszy warunki ich życia, wydał rozporządzenie, żeby odliczać z ich zarobków kopieskę od każdego rubla na osuszenie błota.

Wśród robotników zawrzało. Najbardziej oburzało ich to, że urzędnicy fabryczni nie wchodzili w liczbę płatników nowego podatku.

W sobotę, kiedy wywieszono ogłoszenie dyrektora o ściąganiu kopieski, Paweł był chory, nie pracował i nie wiedział nic o tym. Na drugi dzień, po mszy, przyszedł do niego starszy robotnik o szanownym wyglądzie, giser Sizow i wysoki i zły ślusarz Machotin i opowiedzieli mu o zarządzeniu dyrektora.

— Najstarsi z nas zebrali się — mówił z powagą Sizow — naradzili się i posłali nas do ciebie zapytać się, jako że jesteś człowiekiem, który dużo wie — czy jest takie prawo, żeby wolno było dyrektorowi naszymi kopieskami z komarami wojować?

— Zważ tylko! — powiedział Machotin błyskając wąskimi oczyma. — Cztery lata temu na łaźnię, złodzieje, zbierali. Trzy tysiące osiemset rubli zebrano. A gdzie one są? Łaźni — nie ma!

Paweł wyjaśnił niesprawiedliwość podatku i oczywistą korzyść tego przedsięwzięcia dla fabryki: zachmurzeni, odeszli.

Odprowadziwszy ich matka powiedziała uśmiechając się:

— No, Pawelku, i starsi zaczęli do ciebie po rozum chodzić!

Paweł nie odpowiadając, pogrążony w myślach, usiadł przy stole i zaczął coś pisać. Po kilku minutach powiedział jej:

— Proszę cię, pojedź do miasta i oddaj tę kartkę...

— Czy to niebezpieczne? — zapytała.

— Tak. Tam drukują dla nas gazetę. Historia kopiejki musi koniecznie ukazać się w tym numerze...

— Dobrze, dobrze! — odezwała się. — Ja zaraz...

Było to pierwsze polecenie, dane jej przez syna. Ucieszyła się, że tak otwarcie powiedział jej, o co chodzi.

— I ja to rozumiem, Pawelku — mówiła ubierając się. — Toż to grabież! Jak się ten człowiek nazywa — Jegor Iwanowicz?

Wróciła późnym wieczorem, zmęczona, ale zadowolona.

— Saszeńkę widziałam! — opowiadała synowi. — Kazała ci się klaniać. A ten Jegor Iwanowicz, prosty taki w obejściu i żartowniś. Śmiesznie tak mówi.

— Zadowolony jestem, że ci się podobają! — cicho powiedział Paweł.

— Szczerzy ludzie, Pawelku, proszą. Dobrze, jeżeli ludzie są proszą! I wszyscy — szanują ciebie...

W poniedziałek Paweł znowu nie poszedł do roboty, bołała go głowa. Ale w obiad przybiegł Fedzia Mazin, wzburzony, szczęśliwy, i dysząc ze zmęczenia, oznajmił:

— Idziemy! Cała fabryka zbuntowała się! Posłali po ciebie! Sizow i Machotin mówią, że ty lepiej od innych możesz objaśnić. Co się tam dzieje!

Paweł w milczeniu zaczął się ubierać.

— Baby przyleciały — piszczą!

— Pójdę także! — oznajmiła matka. — Co oni tam zamierzają? Pójdę!

— Chodź! — powiedział Paweł.

Przez ulicę szli prędko i w milczeniu. Matce wzburzenie aż zapierało oddech — czuła, że nadciąga coś ważnego. W bramie fabryki stała gromada kobiet krzykliwie wymyślając. Gdy we troje przecisnęli się na podwórze, wpadli od razu w czarny, gęsty, podniecony i huczący tłum. Matka widziała, że wszystkie głowy zwrócone były w jedną stronę, do ściany oddziału kowalskiego, gdzie na kupie starego żelazniwa, na tle czerwonej cegły, stali wymachując rękami Sizow, Machotin, Wiałow i jeszcze pięciu starszych, wpływowych robotników.

— Własow idzie! — krzyknął ktoś.

— Własow? Dawajcie go tutaj...

— Ciszej! — zakrzyczano od razu w kilku miejscach. I gdzieś, blisko, rozległ się równy głos Rybina:

— Nie kopiejki trzeba bronić, ale — sprawiedliwości! Ot co! Droga nam jest nie nasza kopiejka — nie okrągłsza jest od innych, ale — cięższa. Ludzkiego, krwawego potu więcej w niej niż w dyrektorskim rublu — ot co! I nie kopiejka jest nam droga, ale — krew i prawda — ot co!

Słowa jego padały w tłum i krzeszały gorące okrzyki:

— Prawdę mówi! Dobrze, Rybin!

— Racja, palaczu!

— Własow przyszedł!

Głosy zlewały się w jednostajne wycie wichru, zagłuszając hałaśliwy stukot maszyn, ciężkie westchnienia pary, szum pasów transmisyjnych. Zewsząd biegli pośpiesznie ludzie machając rękami, podniecając się wzajemnie gorącymi i jątrzącymi słowami. Rozgoryczenie i złość, zawsze drzemiące w zmęczonych piersiach ludzkich, budzi-

ły się, domagały się ujścia, zdawały się unosić w powietrzu, coraz szerzej rozpościerały ciemne skrzydła, coraz dalsze zataczały kręgi, porywając za sobą ludzi, zderzając ich ze sobą, przeradzając się w płomienny gniew. Nad tłumem kołysała się chmuła dymu i sadzy, złane potem twarze pałały, skóra policzków płakała czarnymi łzami. W ciemnych twarzach paliły się oczy, błyskały zęby.

Tam, gdzie stali Sizow i Machotin, ukazał się Paweł i rozległ się jego krzyk:

— Towarzysze!

Matka widziała, że twarz mu zbladła, a wargi drżą. Mimo woli posunęła się naprzód rozpychając tłum. Mówiono do niej ze złością:

— Dokąd leziesz?

Popychano ją, ale to nie powstrzymywało jej: rozsuwając ludzi ramionami i łokciami, powoli przeciskała się coraz bliżej i bliżej do syna, poddając się niepokonanemu pragnieniu znalezienia się przy jego boku.

A Paweł wyrzuciwszy z piersi to słowo, któremu zwykł był nadawać głęboki i ważny sens, poczuł, że gardło ściska mu spazm radości walki; owładnęło nim pragnienie rzućcia ludziom swego serca, płonącego ogniem marzenia o prawdzie.

— Towarzysze! — powtórzył czerpiąc z tego słowa podniecie i siłę. — Jesteśmy ludźmi, którzy budują kościoły i fabryki, kują łańcuchy i pieniądze. My — to żywa siła, która karmi i bawi wszystkich, od urodzenia aż do grobu...

— Tak! — krzyknął Rybin.

— My zawsze i wszędzie — pierwsi w pracy, ostatni w życiu. Kto troszczy się o nas? Kto pragnie naszego dobra? Kto uważa nas za ludzi? Nikt!

— Nikt! — odezwał się jak echo czyjś głos.

Paweł opanowując się, zaczął mówić prościej, spokoj-

niej. Tłum powoli zbliżał się do niego, stawał się ciemnym, tysiącogłowym ciałem, patrzył w jego twarz setkami uważnych oczu, chłonał jego słowa.

— Nie wywalczymy sobie lepszej doli, póki nie pocujemy się towarzyszami, rodziną przyjaciół mocno związanych jednym pragnieniem — pragnieniem walki o nasze prawa.

— Gadaj o sprawie! — rozległy się grubiańskie okrzyki, gdzieś obok matki.

— Nie przeszkadzaj! — odezwały się dwa niegłośnie okrzyki w różnych miejscach.

Zakopane twarze chmurzyły się niedowierzająco i ponuro, dziesiątki oczu patrzyło w twarz Pawła poważnie, w zamyśleniu.

— Socjalista, ale — niegłupi! — zauważył ktoś.

— Śmiało gada! — trąciwszy matkę w ramię powiedział wysoki, ślepy na jedno oko, robotnik.

— Czas, towarzysze, zrozumieć, że nikt prócz nas samych nie pomoże nam! Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego — oto nasze prawo, jeśli chcemy zwyciężyć wroga!

— Prawdę mówi, chłopcy! — krzyknął Machotin.

I szeroko machnąwszy ręką, potrząsnął w powietrzu pięścią.

— Trzeba wezwać dyrektora! — powiedział Paweł.

W tłum jakby wicher uderzył. Zachwiał się i dziesiątki głosów krzyknęły od razu:

— Dyrektora tutaj!

— Delegatów wysłać po niego!

Matka, przepchnąwszy się ku przodowi, patrzyła na syna z dołu, pełna dumy: Paweł stał wśród starych, najbardziej szanowanych robotników, wszyscy słuchali go i zgadzali się z nim. Podobało się jej, że nie złościł się i nie wymyślał jak inni.

Jak grad na żelazo, sypały się urywane okrzyki, przekleństwa, złe słowa. Paweł patrzył na ludzi z góry i szukał czegoś wśród nich szeroko otwartymi oczyma.

— Delegatów!

— Sizowa!

— Własowa!

— Rybina! On umie się odgryzać!

Nagle w tłumie rozległy się niegłośnie okrzyki:

— Idziel!

— Dyrektor!...

Tłum rozstąpił się robiąc miejsce wysokiemu człowiekowi z ostrą bródką i długą twarzą.

— Przepraszam! — powiedział odsuwając z drogi robotników krótkim gestem ręki, ale nie dotykając ich. Oczy jego były przymrużone. Wzrokiem doświadczonego władcy ludzi badawczo obmacywał twarze robotników. Zdejmowano przed nim czapki, kłaniano mu się — szedł nie odpowiadając na ukłony i siał w tłumie ciszę, skrzepowanie, wstydlive uśmiechy i niegłośnie okrzyki, w których słyhać już było skruczę dzieci, przyznających się do złej psoty.

Przeszedł obok matki, prześliznąwszy się po jej twarzy surowymi oczyma, zatrzymał się obok kupy żelaza. Ktoś z góry wyciągnął do niego rękę — nie przyjął jej, swobodnie, silnym ruchem ciała wstąpił na górę. Stanął przed Pawłem i Sizowem i zapytał:

— Co to za zbiegowisko? Dlaczego porzuciliście pracę?

Kilka sekund było cicho. Głowy ludzi chwiałały się jak kłosa. Sizow machnął w powietrzu czapką, wzruszył ramionami i spuścił głowę.

— Pytam was! — krzyknął dyrektor.

Paweł stanął obok niego i powiedział głośno wskazując na Sizowa i Rybina:

— My trzej jesteśmy upoważnieni przez towarzyszy do zażądania, by pan odwołał swoje rozporządzenie o potrącaniu kopiejki...

— Dlaczego? — zapytał dyrektor nie spojrzawszy na Pawła.

— Uważamy taki podatek za niesprawiedliwy! — głośno odpowiedział Paweł.

— Więc widzicie w moim zamiarze osuszenia błot tylko chęć eksploatacji robotników, a nie troskę o polepszenie ich bytu? Tak?

— Tak! — odpowiedział Paweł.

— I wy także? — zapytał dyrektor Rybina.

— Wszyscy jednakowo! — odpowiedział Rybina.

— A pan szanowny? — zwrócił się dyrektor do Sizowa.

— Tak, ja także poproszę: już lepiej zostawcie nam tę kopiejkę!...

I znów spuściwszy głowę, Sizow uśmiechnął się wstydiwie i z zakłopotaniem.

Dyrektor wolno powiódł oczyma po tłumie, wzruszył ramionami. Potem spojrział badawczo na Pawła i zauważył:

— Robicie wrażenie dosyć inteligentnego człowieka, czy naprawdę nie rozumiecie pożytku tego zarządzenia?

Paweł głośno odpowiedział:

— Jeśli fabryka osuszy błota na swój rachunek — to wszyscy zrozumieją!

— Fabryka nie zajmuje się filantropią! — sucho zauważył dyrektor. — Rozkazuję, by wszyscy natychmiast stawili się do pracy!

I zaczął spuszczać się w dół, ostrożnie macając nogą żelazo i nie patrząc na nikogo.

W tłumie rozległ się niezadowolony pomruk.

— Co? — zapytał dyrektor zatrzymując się.

Wszyscy umilkli, tylko skądś, z daleka, rozległ się pojedynczy głos:

— Pracuj sam!...

— Jeżeli za piętnaście minut nie staniecie do roboty, każę zapisać wszystkim karę! — sucho i wyraźnie odpowiedział dyrektor.

Znowu przeszedł przez tłum, a le teraz podnosiło się za nim głucho szemranie i im bardziej oddalała się i niknęła w głębi jego postać, tym głośniejsze rozlegały się okrzyki.

— Mów z nim!

— Oto macie — prawo! Ech, doło ty nasza, doło...

Zwracali się do Pawła krzyżąc:

— Ej, ty, prawnik, co teraz robić?

— Mówiłeś, mówiłeś, a on przyszedł — wszystko stał...

— No, Własow, co będzie?

Kiedy okrzyki stały się bardziej nalegające, Paweł oświadczył:

— Towarzysze, proponuję porzucić robotę aż do tej pory, póki nie cofnie rozporządzenia o kopiejce.

W podnieceniu zaskakały słowa:

— Znalazł głupców!

— Strajk?

— O kopiejkę?

— No to co? Jak strajk, to strajk!

— Wszystkich za to wygonią!

— A kto będzie pracował?

— Znajdą się tacy!

— Judasze?

XIII

Paweł zszedł na dół i stanął obok matki. Wszyscy wokół huczeli spierając się ze sobą, denerwując się, krzyżąc.

— Nie scementujesz strajku! — powiedział Rybin podchodząc do Pawła.—Choć chciwy z nich naród, ale tchórzliwy. Trzy setki staną po twojej stronie, nie więcej. Takiej kupy gnoju jednymi widłami nie podniesiesz...

Paweł milczał. Przed nim kołysała się ogromna, czarna twarz tłumu i patrzyła mu w oczy, jak gdyby domagając się czegoś. Serce bije niespokojnie. Własowowi zdawało się, że jego słowa znikły bez śladu w ludziach, jak rzadkie krople deszczu padające na ziemię, wyczerpaną długą posuchą.

Poszedł do domu smutny, zmęczony. Za nim podążyła matka i Sizow, a obok szedł Rybin i grzmiał mu w ucho:

— Dobrze mówisz, ale — nie do serca — ot co! Trzeba w serce głęboko rzucić iskrę. Nie weźmiesz ludzi rozumem, nie dla ich nóg to obuwie — za cienkie i za ciasne!

Sizow mówił matce:

— Czas nam, starym, już na cmentarz, Niłowna! Inni teraz ludzie! Jakeśmy żyli? Na kolanach pełzaliśmy i pokłony biliśmy. A teraz ludzie — czy opamiętali się, czy też może — jeszcze bardziej błędzą, ale — niepodobni do nas. Ot na przykład młodzież mówi z dyrektorem, jak z równym... Taak! Do zobaczenia, Pawle Michajłowiczu — dobrze ty, bracie, za ludźmi obstajesz! Daj ci Boże — może znajdziesz drogę i wyjście — daj ci Boże!

Poszedł.

— Tak, umierajcie! Czas już! — mruczał Rybin. — Z was już i tak nie ludzie, ale — kit, szpary wami kłówać! Widziałeś, Pawle, kto krzyczał, żeby ciebie wybrać na delegata? Ci, którzy mówią, żeś socjalista, mąciwoda — tak! — oni! Że niby — wygonią go — to krzyżyk na drogę!

— Mają swoją rację!

— I wilki mają rację, gdy towarzysza szarpią...

Twarz Rybina była ponura, głos, zwykle tak spokojny i równy, załamywał się:

— Nie uwierzą ludzkie nagiemu słowu — cierpieć trzeba, trzeba we krwi obmyć słowo...

Cały dzień Paweł chodził ponury, zmęczony, dziwnie niespokojny. Oczy pały mu i jakby szukały czegoś. Matka, zauważywszy to, zapytała ostrożnie:

— Co ci jest, Pawełku?

— Głowa boli — odpowiedział zamyślony.

— Położyłbyś się — doktora przyprowadzę...

Spojrzał na nią i pośpiesznie odpowiedział:

— Nie, nie trzeba!

I nagle zaczął cicho:

— Młody jestem, słaby — tak! Nie uwierzyli mi, nie poszli za moją prawdą — to znaczy — nie umiałem wypowiedzieć jej!... Żle mi — wstyd i żal taki — do siebie!

Popatrzyła na jego posępną twarz i, chcąc go pocieszyć, cichutko powiedziała:

— Poczekaj! Dzisiaj nie zrozumieli — jutro zrozumieją...

— Muszą zrozumieć! — wykrzyknął.

— Przecież nawet ja — widzę twoją prawdę...

Paweł podszedł do niej.

— Dobry z ciebie człowiek, matko...

I odwrócił się od niej. Matka drgnęła, jakby żar tych cichych słów sparzył ją. Przyłożyła rękę do serca i odeszła, troskliwie unosząc jego pieszczotę.

Nocą, kiedy już spała, a Paweł leżąc w łóżku czytał książkę, zjawili się żandarmi i ze złością zaczęli grzebać wszędzie, na podwórzu, na strychu. Żółtolicy oficer zachowywał się tak, jak za pierwszym razem — obraźliwie, szyderczo, znajdował przyjemność w naigrawaniu się, starał się ukłuć w samo serce. Matka siedziała w kącie i milczała nie odrywając oczu od syna. Paweł starał się nie okazać

swego wzburzenia, ale, gdy oficer śmiał się, palce jego poruszały się dziwnie i matka czuła, że trudno mu nie odpowiadać żandarmom, znosić ich żarty. Teraz nie bała się tak, jak w czasie pierwszej rewizji. Czuła więcej nienawiści do tych szarych, nocnych gości z ostrogami u butów i nienawiść pochłaniała lęk.

Paweł zdążył jej szepnąć:

— Wezmą mnie...

Spuściwszy głowę, odpowiedziała cicho:

— Rozumiem...

Rozumiała — posadzą go do więzienia za to, co mówił dzisiaj robotnikom. Ale z tym, co on mówił, zgadzali się wszyscy i wszyscy powinni ująć się za nim, więc — długo trzymać go nie będą...

Pragnęła objąć go, zapłakać, ale obok niej stał oficer i patrzył na nią przymrużonymi oczyma. Usta jego drgały, wąsy ruszały się — Własowej wydawało się, że człowiek ten czeka na jej łzy, skargi i prośby. Zebrała wszystkie siły i, starając się mówić jak najmniej, ścisnęła rękę syna i, wstrzymując oddech, powołała, cicho, odezwała się:

— Do widzenia, Pawelku. Wziąłeś wszystko, co trzeba?

— Wszystko. Nie tęsknij...

— Chrystus z tobą.

Kiedy wyprowadzili go, usiadła na ławce i zamknąwszy oczy zaniósła się cichym łkaniem. Była jak gdyby mocno skrzepowana beznadziejnym smutkiem i poniżającym uczuciem własnej bezsilności. Oparła się plecami o ścianę, jak to niegdyś robił jej mąż i, odrzuciwszy głowę w tył, zawodziła długo i monotonicznie, wylewając w tym zawodzeniu ból swego zranionego serca. A przed nią, niby nieruchoma plama, stała żółta twarz oficera z rzadkimi wąsikami i przymrużywszy oczy patrzyła na nią z zadowoleniem. Gniew i zawziętość przeciw ludziom, którzy zabierają mat-

ce syna za to tylko, że syn jej szuka prawdy, wzbierała w jej sercu i zwijała się w ciężki, czarny kłęb.

Było zimno, o szyby dzwonii deszcz, zdawało się, że w ciemności czają się szare postacie z szerokimi, czerwonymi twarzami, bez oczu, z długimi rękami. Chodzą i ledwie dosłyszalnie dzwonią ostrogami.

— Wzięliby i mnie — pomyślała.

Zawyła syrena wzywając ludzi do pracy.

Dzisiaj wyła głucho, nisko i jakby niepewnie. Drzwi otworzyły się, wszedł Rybin. Stał przed nią i, ściekając dłonią kropie deszczu z brody, zapytał:

— Zabrali?

— Zabrali, przekłeci! — odpowiedziała westchnąwszy.

— Więc tak stoi sprawa! — uśmiechnął się ironicznie.

— I u mnie byli, obmacali, taak. Zwymyślali... Ale — nie skrzywdzili. Zabrali więc Pawła! Dyrektor mrugnął, żandar'm kiwnął i — nie ma człowieka! Zgodnie żyją. Jedni lud doją, a drudzy za rogi trzymają...

— Wy byście ujęli się za Pawłem! — krzyknęła matka wstając. — Przecież on za wszystkich poszedł.

— Kto ma się ująć? — zapytał Rybin.

— Wszyscy!

— Ehe! Nie, z tego nic nie będzie.

I uśmiechając się wciąż, wyszedł swoim ciężkim krokiem, zwiększwszy ból matki surową beznadziejnością swoich słów.

A jeżeli — bić będą, męczyć?...

Wyobraziła sobie skatowane, porwane i pokrwawione ciało syna i strach, jak zimna bryła lodu, kładł się jej na piersiach, dławił ją. Oczy bołały.

Nie zapaliła w piecu, nie zgotowała obiadu i nie wypila herbaty. Dopiero późnym wieczorem zjadła kawałek chleba. Kiedy ułożyła się do snu, myślała, że jeszcze nigdy

w życiu nie była taka samotna, tak odarta ze wszystkiego. W ciągu ostatnich lat przyzwyczaiła się żyć w oczekiwaniu czegoś ważnego i dobrego. Wokoło niej gwarnie i wesoło kręciła się młodzież i zawsze widziała przed sobą poważną twarz syna, twórcy tego niespokojnego, ale pięknego życia. A teraz nie ma go i — nie ma nic.

XIV

Wolno przeszedł dzień, bezsenna noc i jeszcze wolniej — drugi dzień. Oczekiwała kogoś, ale nikt się nie zjawiał. Nadszedł wieczór. I — noc. Wzdychał i siekł o ściany zimny deszcz, w kominie huczało, poruszało się coś pod podłogą. Z dachu kapala woda i jednostajny jej plusk dziwnie zlewał się z tykaniem zegara. Zdawało się, że cały dom kołysze się wolno i wszystko wokół było niepotrzebne, zmartwiałe w smutku...

Do okna zapukał ktoś cicho — raz, dwa...

Matka przywykła już do tego pukania, nie lękała się go, ale teraz drgnęła, jakby od radosnego ułucia w sercu. Niejasna nadzieja szybko podniosła ją na nogi. Zarzuciwszy na plecy chustkę, otworzyła drzwi...

Wszedł Samożytow, a za nim jeszcze jakiś człowiek z twarzą zakrytą kołnierzem palta, z czapką nasuniętą na brwi.

— Czy obudziliśmy was? — nie witając się zapytał Samożytow, wbrew swemu zwyczajowi zafrasowany i pochmurny.

— Nie spałam jeszcze! — odpowiedziała i wlepiała w nich oczy w milczącym oczekiwaniu.

Towarzysz Samożytowa, ciężko i ochryple wzdychając, zdjął czapkę i, wyciągnąwszy do matki szeroką rękę z krót-

kimi palcami, powiedział przyjaźnie jak do starej znajomej:

— Dobry wieczór, mamusiu! Nie poznaliście?

— To wy? — zawołała Własowa, nie wiadomo dlaczego ucieszywszy się. — Jegor Iwanowicz?

— Jam jest! — odpowiedział pochylając swoją wielką głowę z długimi, jak u duchownego, włosami.

Jego pełna twarz uśmiechała się dobrodusznie, maleńkie szare oczy patrzyły na nią przyjaznym i jasnym spojrzeniem. Był podobny do samowaru — taki sam okrągły, niskutki, z grubą szyją i krótkimi rękami. Twarz jego lśniła się i błyszczała, oddychał głośno, a w piersiach jego ciągle coś bulgotało i chrypiało.

— Wejdźcie do pokoju, zaraz ubiorę się! — zaproponowała matka.

— Mammy do was interes! — z zakłopotaniem powiedział Samojłow patrząc na nią spode łba. Jegor Iwanowicz przeszedł do pokoju i mówił stamtąd:

— Dziś rano, droga mamusiu, wyszedł z więzienia znany wam Mikołaj Iwanowicz...

— A czyż on był w więzieniu? — zapytała matka.

— Dwa miesiące i jedenaście dni. Widział tam chachoła, który kłania się wam, i Pawła, który kłania się także i prosi, żebyście nie niepokoili się i żeby wam powiedzieć, iż na jego drodze więzienie będzie zawsze miejscem odpoczynku — tak to już zarządziła nasza troskliwa zwierzchność. Za czym, mamusiu, przystąpię do sprawy. Czy wiecie, ilu ludzi zabrano wczoraj?

— Nie! A czyż — oprócz Pawelka? — zawołała matka.

— On jest — czterdziesty dziewiąty! — przerwał jej spokojnie Jegor Iwanowicz. — Trzeba oczekiwać, że władze zabiorą jeszcze z dziesięciu ludzi! Oto i tego pana także...

— Tak, i mnie! — pochmurnie powiedział Samojułow. Własowa poczuła, że łatwiej jej oddychać...

— Nie jest tam sam! — przemknęło jej przez głowę. Ubrawszy się wyszła z pokoju i uśmiechnęła się rześko do gościa:

— Pewnie nie będą go długo trzymać, jeżeli tak dużo zabrali...

— Racja! — powiedział Jegor Iwanowicz. — A jeśli uda się nam popsuć ich szyki, to wystrychniemy ich na dudków. Sprawa ma się tak: jeżeli przestaniemy teraz dostarczać do fabryki nasze książeczki, to żandarmiatka uczepią się tego żalosego faktu i zwrócą go przeciw Pawłowi i towarzyszym, którzy wraz z nim rzućeni są do lochu...

— Jak to? — z przestraczem krzyknęła matka.

— To przecież proste! — miętko powiedział Jegor Iwanowicz. — Czasem nawet żandarmi rozumują prawidłowo. Pomyślcie — był Paweł — były książeczki i papierki, nie ma Pawła — nie ma książeczek i papierków! Więc to znaczy, że on rozrzucał książeczki. Aha! No, i zaczną gryźć wszystkich, a żandarmi lubią tak dokładnie skubać człowieka, że zostają z niego tylko niewarte wzmianki resztki...

— Rozumiem, rozumiem! — z przygnębieniem powiedziała matka. — Ach, Boże! I co teraz robić?

Z kuchni rozległ się głos Samojułowa:

— Wszystkich prawie wylapali — niech ich diabli wezmą!... Teraz musimy sprawę prowadzić dalej tak jak przedtem, nie tylko dla samej sprawy, ale dla uratowania towarzyszy.

— A — pracować nie ma komu! — dorzucił Jegor uśmiechając się. — Literaturę mamy w doskonałym gatunku — sam robiłem!... Ale jak ją zanieść do fabryki — nie wiadomo!

— Zaczęli wszystkich rewidować przy bramie! — powiedział Samojuł.

Matka czuła, że chcą od niej czegoś, że na coś czekają i skwapliwie dopytywała się:

— No, więc jak? Co robić?

Samojuł stanął w drzwiach i powiedział:

— Wy, Pelagio Niłowna, znacie przekupkę Korsunową?...

— Znam. No?

— Pomówcie z nią, czy ona nie zanieśie?

Matka przecząco zamachała rękami:

— Oj nie! Nie! To baba gadatliwa — nie! A jak dowiedzą się, że to ode mnie — z tego domu — nie! Nie!

I raptem, olśniona nagłą myślą, zaczęła mówić cicho:

— Mnie dajcie! Mnie! Ja już to urządzę, sama znajdę sposób! Poproszę Marię, żeby wzięła mnie za pomocnicę. Muszę przecież żyć, pracować muszę! Więc będę obiady tam nosić! Ja już to urządzę!

I przycisnąwszy ręce do piersi, gorliwie zapewniała, że zrobi wszystko dobrze, niespostrzeżenie, a w końcu z tryumfem zawołała:

— Zobaczą, że Pawła nie ma, a ręka jego z więzienia dosięga — zobaczą!

Wszyscy troje ożywili się. Jegor mocno zacierając ręce uśmiechał się i mówił:

— Cudownie, mamusiu! Sami nie wiecie, jak to wspaniale! Po prostu — czarująco.

— W więzieniu jak w fotelu będę sobie siedział, jeżeli to się uda! — zacierając ręce zauważył Samojuł.

— Jesteście najpiękniejszą z kobiet! — krzyczał ochryple Jegor.

Matka uśmiechnęła się. Było dla niej jasne, że jeśli teraz odezwą się w fabryce — władze będą musiały

pomyśleć, że nie jej syn je rozrzucił. I czując, że może wykonać zadanie, drżała cała z radości.

— Gdy pójdziecie na widzenie z Pawłem — mówił Jegor — powiedzcie mu, że ma dobrą matkę . . .

— Ja go przedtem zobaczę! — z uśmiechem obiecał Samojłow.

— Powiedzcie mu, że zrobię wszystko, co trzeba! Żeby wiedział o tym!

— A jeżeli go nie wsadzą? — zapytał Jegor pokazując na Samojłowa.

— No to trudno — cóż robić!

Roześmieli się obydwaj. A matka połapawszy się, co za głupstwo palnęła, zaśmiała się cicho z zawstydzeniem i trochę przebiegle:

— Własny ból, cudzy załzania! — powiedziała spuszcza-
jąc oczy.

— To naturalne! — zawołał Jegor. — A co do Pawła, nie niepokójcie się, nie smućcie. Z więzienia jeszcze lepszy wróci. Tam odpoczywa i uczy się, a na wolności nie ma nasz człowiek na to czasu. Ja trzy razy siedziałem i za każdym razem, chociaż z niewielkim zadowoleniem, ale z niezaprzeczoną korzyścią dla umysłu i serca.

— Oddech macie ciężki! — powiedziała patrząc przy-
jaźnie w jego szczerą twarz.

— To ma swoje szczególne przyczyny! — oznajmił podnosząc palec do góry. — A więc zdecydowane, mamusi? Jutro dostarczymy wam materiałiku — znowu zakręci się koło maszyny burzącej odwieczny mrok. Niech żyje wolne słowo i niech żyje serce matki! A tymczasem — do widzenia!

— Do widzenia! — powiedział Samojłow, mocno ściskając jej rękę. — Ja swojej matce nawet pisać bym nie mógł o czymś takim — tak!

— Wszyscy rozumieją! — powiedziała Własowa chcąc mu zrobić przyjemność.

Gdy odeszli, zamknęła drzwi, uknęła na środku pokoju i słowa modlitwy zlewały się z szumem deszczu. Modliła się bez słów, jedną wielką myślą o ludziach, których wprowadził w jej życie Paweł. Przechodzili jak gdyby między nią a ikoną, tacy prości, tak dziwnie bliscy sobie i — tacy samotni.

Wczesnym rankiem udała się do Marii Korsunowej.

Przekupka, jak zwykle, zatłuszczona i hałaśliwa, przywitała ją ze współczuciem.

— Tęsknisz? — zapytała poklepawszy matkę po ramieniu grubą ręką. — Daj pokój! Wzięli, uprowadzili — niewielkie nieszczęście! Nic złego w tym nie ma. Dawniej było, kiedy za kradzież do więzienia wsadzali, ale nie teraz, kiedy zaczęli wsadzać za prawdę. Paweł może i nie tak coś powiedział, ale za wszystkimi się ujmował i — wszyscy to rozumieją, nie bój się! Nie wszyscy mówią, ale wszyscy wiedzą, kto co wart. Ciągle zbierałam się iść do ciebie, ale nie miałam czasu. Gotuję, handluję, a widać nędzarką umrę. Chłopy mnie dobijają, antychrysty! Tak mnie żrą, tak mnie żrą, jak karaluchy chleb. Nazbierasz dziesięć rubli, zjawi się jakiś heretyk — i po pieniądzach! Nieszczęśliwa dola babą być! Najgorsza służba na świecie! Samej żyć nudno, a we dwoje — trudno...

— A ja przyszedłam poprosić cię, żebyś mnie wzięła na pomocnicę! — powiedziała Własowa przerywając jej planinę.

— Jakże to? — zapytała Maria i, wysłuchawszy przyjaciółki, potwierdzająco kiwnęła głową.

— Da się zrobić! Pamiętaj, jak mnie przed moim mężem chowałeś? No, a ja ciebie teraz przed biedą schowam... Tobie wszyscy powinni pomagać, bo twój syn za

wspólną sprawę cierpi. Dobrego masz chłopca, wszyscy to mówią jak jeden człowiek i wszyscy go żałują. A ja ci powiem — z tych aresztów nic dobrego dla władzy nie wyniknie — zobacz, co się we fabryce dzieje! Niedobrze mówią, droga moja! Oni, ci naczelnicy, myślą — ukąsili człowieka w piętę, niedaleko ujdzie! Ale wychodzi tak, że dzieściu uderzyli, a setki rozgniewali!

Rozmowa skończyła się tym, że na drugi dzień, w obiad, Własowa była w fabryce z dwoma garami jadła, a sama Maria poszła handlować na rynek.

XV

Robotnicy od razu zauważyli nową handlarkę. Podchodząc do niej mówili z uznaniem:

— Do pracy się wzięłaś, Nilowna?

Jedni pocieszali ją dowodząc, że Pawła prędko wypuszczą, drudzy zwiększali jej niepokój i troskę słowami współczucia, trzeci z wściekłością wymyślali na dyrektora i żandarmów znajdując w jej sercu wtórzące im echo. Byli także ludzie, którzy patrzyli na nią ze złośliwym zadowoleniem, a kontroler Izajasz Gorbów powiedział przez zęby:

— Gdybym ja był gubernatorem — powiesiłbym twego syna! Niech nie mąci ludziom w głowach!

Od tej groźby powiało na nią martwym chłodem. Nie odpowiedziała Izajaszowi, spojrzała tylko w jego maleńką, usianą piegami twarz i westchnąwszy wbiła oczy w ziemię.

W fabryce było niespokojnie. Robotnicy zbierali się grupkami, mówili o czymś ze sobą półgłosem, wszędzie kręcili się zafrasowani majstrowie, od czasu do czasu rozlegały się przekleństwa albo zły śmiech.

Dwóch policjantów przeprowadziło obok niej Samojoywa. Szedł wsunawszy jedną rękę do kieszeni, a drugą przyglądając swoje rudawe włosy.

Odprowadzał go tłum robotników, około stu ludzi, poganiając policjantów wymyślaniem i kpinami...

— Na spacer poszedłeś, Grisza! — krzyknął mu ktoś.

— Szacunek teraz mają dla nas! — dodał drugi. — Ze strażą chodzimy...

I rzucił jakieś ordynarne przekleństwo.

— Złodziei łapać — za wielki kłopot, porządnych ludzi zaczęli ciągać... — mówił wysoki robotnik, ślepy na jedno oko.

— I choćby nocą brali — wtórował ktoś z tłumu — ale w biały dzień — nie wstydzą się, dranie!

Policjanci szli ponuro, prędko, starając się nic nie widzieć i jakby nie słysząc okrzyków, którymi ich odprowadzano. Trzech robotników, idących naprzeciw nich, niosło dużą sztabę żelazną i, skierowując ją w ich stronę, wołało:

— Strzeżcie się, rybacy!

Przechodząc koło Własowej Samojoywa kiwnął jej z uśmiechem głową i powiedział:

— Zaciągnęli!

W milczeniu skłoniła mu się nisko. Wzruszali ją ci uczeni, trzeźwi, młodzi ludzie, idący do więzienia z uśmiechem na ustach. Budziła się w niej macierzyńska, pełna współczucia i czułości, miłość dla nich.

Powróciwszy z fabryki, spędziła cały dzień u Marii pomagając jej w robocie i słuchając jej paplaniny, a późnym wieczorem przysła do siebie do domu. Było pusto, chłodno i nieprzytulnie. Długo tłukła się z kąta w kąt, nie mogła znaleźć sobie miejsca, nie wiedziała co robić. Niepokoiło ją, że oto już blisko noc, a Jegor Iwanowicz nie przynosi, jak to obiecał, „literatury“.

Za oknem migaly ciężkie, szare platy jesiennego śniegu. Miękko przylegały do szyb i bezszelestnie ześlizgiwały się w dół zostawiając po sobie mokry ślad. Myślała o synu...

Do drzwi zapukano ostrożnie. Matka szybko podbiegła, podniosła haczyk — weszła Saszeńka. Matka nie widziała jej dawno i przede wszystkim rzuciła się jej w oczy nienaturalna tusza dziewczyny.

— Witajcie! — powiedziała ciesząc się, że przyszedł jakikś człowiek i że choć części nocy nie spędzi samotnie.

— Dawno nie byliście u nas. Wyjeżdżaliście?

— Nie, w więzieniu siedziałam! — odpowiedziała dziewczyna uśmiechając się. — Razem z Mikołajem Iwanowiczem — pamiętacie go?

— Jakżebym mogła nie pamiętać! — zawołała matka. — Wczoraj mówił mi Jegor Iwanowicz, że wypuścili go, a o was nic nie wiedziałam... I nikt mi nie powiedział, że i wy tam...

— O czymże tu mówić?... Muszę się przebrać, zanim przyjdzie Jegor Iwanowicz — powiedziała dziewczyna oglądając się.

— Przemoczeni jesteście.

— Przyniosłam odezwy i książki...

— Dawajcie, dawajcie! — przynaglała ją matka.

Dziewczyna rozpięła pośpiesznie palto, wstrząsnęła się i jak liście z drzewa posypały się z szelestem na podłogę paczki papieru. Matka śmiejąc się zbierała je i mówiła:

— Patrzę, pełna taka! Myślałam — za mąż wyszła i dzieciątka oczekuje... Oj! Ileście przynieśli! Czyżby piechotą?

— Tak! — powiedziała Saszeńka. Była teraz zgrabna i szczupła jak dawniej. Matka zauważyła, że policzki jej zapadły, oczy stały się ogromne, a pod nimi kładły się sine plamy.

— Dopiero co was wypuścili, potrzebny wam jest odpoczynek, a wy! — powiedziała z westchnieniem kiwając głową matka.

— Trzeba! — odpowiedziała dziewczyna wzdrygając się. — Powiedzcie, jak tam Paweł Michajłowicz — nic? ... Nie bardzo się zdenerwował?

Zadając to pytanie, Saszeńka nie patrzyła na matkę. Schyliwszy głowę, poprawiała włosy i palce jej drżały.

— Nic! — odpowiedziała matka. — On przecież po sobie nie pokaże.

— Zdrowie ma chyba mocne? — cicho zapytała dziewczyna.

— Nie chorował nigdy! Drżycie cała. Dam wam herbaty z malinowymi konfiturami?

— To byłoby dobrze! Tylko — czy warto was trudzić? Późno już. Poczekajcie, ja sama ...

— Taka zmęczona? — z wyrzutem powiedziała matka i zakrzętnęła się koło samowaru. Sasza także weszła do kuchni, siadła na ławce i, założywszy ręce za głowę, mówiła:

— A jednak — więzienie osłabia. Przekłeta bezczynność! Nie ma nic bardziej męczącego. Wiesz, jak dużo potrzeba pracy i — siedzisz w klatce jak zwierzę ...

— Kto nagrodzi was za to wszystko? — spytała matka. I westchnąwszy odpowiedziała sama sobie:

— Nikt, prócz Boga! Ale wy pewnie także nie wierzycie w Boga?

— Nie! — krótko odpowiedziała dziewczyna potrząsnąwszy głową.

— A ja wam nie wierzę! — z nagłym podnieceniem odezwała się matka.

I szybko wycierając o fartuch zabrudzone węglem ręce, z głębokim przekonaniem ciągnęła dalej:

— Wy tylko ric nie wiecie o waszej wierze! Jakże można bez wiary w Boga żyć takim życiem?

W sieni ktoś głośno zatupał i zamruczał. Matka wzdygnęła się, dziewczyna zerwała się i pośpiesznie zaszepiała:

— Nie otwierajcie! Jeżeli to — oni, żandarmi, nie znacie mnie! . . . Omyliłam się co do domu i zaszłam do was przypadkiem. Zemdlałam, rozebraliście mnie, znaleźliście te książeczki — rozumiecie?

— Kochanie moje — i po co? — z rozrzewnieniem zapytała matka.

— Poczekajcie! — przysłuchując się powiedziała Sasza. — Zdaje się, że to Jegor . . .

Był to rzeczywiście Jegor, mokry, ledwie dyszący ze zmęczenia.

— Aha! Samowarek! — zawołał — to najlepsza rzecz w życiu, mamusiu! Wy już tutaj, Saszeńka?

Napełniając maleńką kuchnię ochryplymi dźwiękami, powoli ściągał z siebie ciężkie palto i bez przerwy mówił:

— Oto, mamusiu, nieprzyjemna dla władzy dziewczina! Obrażona przez naczelnika więzienia, oświadczyła, że zamorzy się głodem, jeśli jej nie przeprosi i osiem dni nie jadła, z której to przyczyny omal nie wyciągnęła nóżek! Nieźle, co? O, jaki mam brzuszek!

Papłając i podtrzymując krótkimi rękami potworny, zwisający brzuch, przeszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi, ale i tam nie przestawał mówić.

— Czy naprawdę osiem dni nie jedliście? — ze zdziwieniem zapytała matka.

— To było potrzebne, żeby mnie przeprosił! — powiedziała dziewczyna. Ramiona jej drżały — wstrząsały nią zimne dreszcze.

Jej spokój i surowa stanowczość odezwały się w duszy matki czymś podobnym do wyrzutu.

- Więc to tak!... — pomyślała. I zapytała znowu:
- A gdybyście umarli?
- Cóż robić! — cicho powiedziała dziewczyna. — Przepraszył jednak. Człowiek nie powinien wybaczać obrazy!
- Taak... — powiedziała powoli matka. — A nasze kobiety obraża się całe życie...
- Wyładowałem! — oznajmił Jegor otwierając drzwi.
- Samowarek gotowy? Pozwólcie, ja już go zaniosę...
Podniósł samowar i dźwigając go mówił:
- Mój własny ojczulek wypijał nie mniej niż dwadzieścia szklanek herbaty dziennie i dlatego przeżył na tym padole płaczu w zdrowiu i pomyślności siedemdziesiąt trzy lata. Ważył osiem pudów i był diakiem we wsi Woskresieńsku...
- Jesteście synem ojca Iwana? — wykrzyknęła matka.
- Tak jest! A wy skąd wiecie o tym?
- Przecież ja także z Woskresieńska!
- Swojaczka?! A czyja jesteście?
- Sąsiadów waszych! Sieregina.
- Kulawego Niła córka? Osobistość znana mi, jako że nieraz dał mnie za uszy...
- Stali naprzeciw siebie i, zasypując się wzajemnie pytaniami, śmieli się. Saszeńka patrząc na nich z uśmiechem, zaczęła zaparzać herbatę. Brzęk naczyń przywołał matkę do rzeczywistości.
- Aj, wybaczcie, zagadałam się! Tak przyjemnie swojaka zobaczyć...
- To ja powinnam prosić o przebaczenie, że tak się tu rządzę! Ale już jedenasta godzina, a czeka mnie daleka droga...
- Dokąd idziecie? Do miasta? — ze zdziwieniem spytała matka.
- Tak.

— Co też wy! Ciemno, mokro — zmęczeni jesteście! Przenocujcie u mnie. Jegor Iwanowicz w kuchni się położy, a my obydwie tutaj.

— Nie. Muszę iść! — z prostotą powiedziała dziewczyna.

— Tak, swojaczko, trzeba żeby ta panienska znikła. Znają ją tutaj. A jeżeli jutro zobaczą ją na ulicy, to nie będzie dobrze! — oświadczył Jegor.

— Ale jakże ona? Sama pójdzie?

— Pójdzie! — powiedział Jegor uśmiechając się.

Dziewczyna nalala sobie herbaty, wzięła kawałek żytniego chleba, posoliła i zaczęła jeść, w zamyśleniu patrząc na matkę.

— Ze też wy tak chodzicie, wy i Natasza? Ja bym za nic nie poszła — strach!

— Ależ i ona się boi! — zauważył Jegor. — Boicie się, Sasza?

— Oczywiście! — powiedziała dziewczyna.

Matka spojrzała na nią i na Jegora i cicho powiedziała:

— Jacyście wy... twardzi!

Wypiwszy herbatę Saszeńka w milczeniu ścisnęła rękę Jegora i poszła do kuchni, a matka, odprowadzając ją do drzwi, wyszła za nią. W kuchni Saszeńka powiedziała:

— Jak zobaczycie Pawła Michajłowicza — oddajcie mu ode mnie pozdrowienia. Bardzo was o to proszę!

A położywszy rękę na skoblu, nagle odwróciła się i cicho zapytała:

— Można was pocałować?

Matka w milczeniu objęła ją i gorąco pocałowała.

— Dziękuję! — cicho powiedziała dziewczyna i, kiwnąwszy głową, wyszła.

Wróciwszy do izby matka z niepokojem spojrzała w okno. W ciemnościach ciężko padały mokre płaty śniegu.

— Prozorowych pamiętacie? — zapytał Jegor.

Siedział, szeroko rozstawiwszy nogi, i głośno dmuchał w szklanke herbaty. Twarz miał spoconą, czerwoną, zadowoloną.

— Pamiętam, pamiętam! — w zamyśleniu powiedziała matka podchodząc bokiem do stołu. Usiadła i, patrząc na Jegora smutnymi oczyma, powoli, przeciągając, powiedziała:

— O jej! Saszeńka, jak ona tam dojdzie?

— Zmęczy się! — zgodził się Jegor. — Więzienie mocno ją nadszarpięło. Dawniej dziewczyna była silniejsza. Prócz tego — delikatne wychowanie... Zdaje się, że już popsowała sobie płuca.

— Kto ona jest? — cicho zapytała matka.

— Córnka obszarnika. Ojciec — jak sama mówi — łajdak. Czy wiecie, mamusiu, że oni chcą się pobrać?

— Kto?

— Ona i Paweł. Ale nie udaje się — on na wolności, ona w więzieniu i na odwrót!

— Nie wiedziałam o tym! — po chwili milczenia powiedziała matka. — Pawełek nic o sobie nie mówi...

Teraz zrobiło się jej jeszcze bardziej żal dziewczyny i, z mimowolną niechęcią spojrzawszy na gościa, powiedziała:

— Powinniście byli ją odprowadzić! . . .

— Nie wolno! — spokojnie odpowiedział Jegor. — Mam tu kupę spraw. Od samego rana, przez cały dzień będę musiał chodzić, chodzić, i jeszcze raz chodzić! Zajęcie niemiłe przy mojej zadyszce . . .

— Dobra z niej dziewczyna — niezdecydowanie powiedziała matka myśląc o tym, czego dowiedziała się od Jegora. Była dotknięta, że usłyszała o tym nie od syna, ale od obcego człowieka. Mocno zesnurowała usta i nisko opuściła brwi.

— Dobra! — kiwnął głową Jegor. — Widzę, że wam jej żal. Nie trzeba! Nie starczy wam serca, jeżeli zaczniecie żałować wszystkich nas, buntowników. Prawdę mówiąc, życie nas wszystkich nie jest lekkie. Niedawno wrócił z zesłania mój towarzysz. Kiedy jechał przez Niżnij — żona i dziecko oczekiwali go w Smoleńsku, a kiedy zjawił się w Smoleńsku, żona z dzieckiem była już w Moskiewskim więzieniu. Teraz z kolei żona jedzie na Syberię. Ja także miałem żonę, wspaniałą był z niej człowiek. Pięć lat takiego życia wpędziło ją do grobu . . .

Jednym haustem wypił szklanekę herbaty i opowiadał dalej. Wyliczał lata i miesiące więzienia i zesłania, opowiadał o różnych nieszczęściach, o biciu w więzieniach, o głodzie w Syberii. Matka patrzyła na niego, słuchała i dziwiła się, z jaką prostotą i spokojem mówił o tym życiu pełnym cierpienia, prześladowań, znęcania się nad ludźmi . . .

— Ale — pomówmy o sprawie!

Głos jego zmienił się, twarz nabrała powagi. Zaczął dopypywać się, jak myśli przenieść do fabryki książki. Matka podziwiała jego dokładną znajomość różnych drobiazgów. Skończywszy z tym, zaczęła znowu wspominać swoją rodzinną wieś. Jegor żartował, matka w zamyśleniu brodziła po swojej przeszłości, która wydała jej się podobna do bagna, usianego jednostajnymi kępami, porośłego cienką, trwożliwie drżącą osiką, niewysoką jodłą i zbłąkanymi między kępami białymi brzozy. Brzozy rosły powoli i, postawszy pięć lat na niepewnym, zgniłym gruncie, padały i gniły. Patrzyła na ten obraz i było jej czegoś nie do zniesienia żal. Stała przed nią postać młodej dziewczyny o wyrazistej, upartej twarzy. Szła teraz wśród mokrych płatów śniegu, samotna, zmęczona. A syn jej siedzi w więzieniu. Może nie śpi teraz i myśli . . . Ale myśli nie o niej, o matce — ma teraz człowieka bliższego mu niż ona. Jak

skłębione chmury pełzły ku niej ciężkie myśli, kładły się brzemieniem na sercu...

— Zmęczyliście się, mamusiu. Pora już spać! — powiedział Jegor uśmiechając się.

Pożegnała się z nim i bokiem, ostrożnie wysunęła się do kuchni unosząc z sercu gryzące, gorzkie uczucie.

Rano, podczas herbaty, Jegor zapytał ją:

— A jeżeli was capną i zapytają, skąd wzięliście wszystkie te heretyckie książki, to co odpowiecie?

— Odpowiem im: nie wasza sprawa!

— Nie, z tym to oni się nie zgodzą! — sprzeciwił się Jegor. — Oni są głęboko przekonani, że to właśnie — ich sprawa, i będą dopytywać się gorliwie i długo!

— A ja nie powiem.

— A oni was — do więzienia!

— No to co? Dzięki Bogu, że choć na to się przydam! — powiedziała wzdychając. — Komu ja jestem potrzebna? Nikomu! A męczyć podobno nie będą...

— Hm! — powiedział Jegor i popatrzył na nią uważnie. — Torturować nie będą. Ale dobry człowiek powinien dbać o siebie...

— U was nie można się tego nauczyć! — powiedziała matka uśmiechając się.

Jegor milczał chwilę, przeszedł się po pokoju, zbliżył się do niej i powiedział:

— Ciężko wam, swojaczko! Czuję to — bardzo wam ciężko!

— Wszystkim ciężko! — powiedziała machnąwszy ręką. — Może tylko tym, którzy rozumieją, jest trochę lżej... Ale ja także trochę rozumiem, czego chcą dobrzy ludzie...

— A jeżeli rozumiecie, mamusiu, to znaczy, że wszystkim nam jesteście potrzebni, wszystkim! — poważnie powiedział Jegor.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się w milczeniu.

W południe matka spokojnie i sprawnie obłożyła sobie pierś książkami, zrobiła to tak zręcznie, że Jegor z zadowoleniem łoślnął językiem i oświadczył:

— Sehr gut! jak mówi dobry Niemiec, gdy wypije wiadro piwa. Was, mamusiu, nie zmieniła literatura: zostaliście dobrą, starszą kobietą, tęgą i wysokiego wzrostu. Niech bogowie błogosławią wasze poczynania!...

Po pół godziny, zgięta pod ciężarem nosideł, spokojna i pewna siebie, stała u bramy fabryki. Dwóch stróży, podrażnionych kpinkami robotników, brutalnie obmacywało wchodzących na podwórze klóćąc się z nimi. Z boku stał policjant i cienkonogi człowiek z czerwoną twarzą i bystrymi oczyma. Matka przesuwając nosidło z ramienia na ramię, śledziła go spode łba czując, że to szpicel.

Wysoki, kędzierzawy chłopak, w czapce zsuniętej do tyłu, krzychał do stróży, którzy obszukiwali go:

— W głowie szukajcie, głupcy, a nie w kieszeni!

Jeden ze stróży odpowiedział:

— W twojej głowie niczego się nie znajdzie, oprócz wszy...

— Wszy iskać — to w sam raz dla was robota! Jazgarza*) nie złapiecie!

Szpicel obrzucił go bystrym spojrzeniem i splunął.

— Przepuścilibyście mnie! — prosiła matka. — Widzicie przecie, że człowiek ciężar dźwiga, plecy mi pękają!

— Idź już! Idź! — ze złością krzyknął stróż. — Także mędrkuje...

Matka podeszła do swego miejsca, postawiła gary na ziemię i, ocierając pot z twarzy, obejrzała się.

*) Jazgarz — kolczasta ryba trudna do pożarcia dla innych ryb. —
R e d . p r z e k ł a d u.

Prawie natychmiast podeszli do niej ślusarze, bracia Gusiewowie, i starszy z nich, Wasyli chmurząc brwi, zapytał głośno:

— Pierogi są?

— Jutro przyniosę! — odpowiedziała.

Było to umówione hasło. Twarze braci rozjaśniły się, a Iwan nie wytrzymał i wykrzyknął:

— Ach ty, mateńko droga!

Wasyli przykucnął zaglądając do garów i jednocześnie za jego pazuchą znalazła się paczka odezów.

— Iwan — mówił głośno — nie pójdziemy do domu, zjemy u niej obiad — i szybko wsuwając broszury za cholewy butów dodał — trzeba dać zarobić nowej handlarce ...

— Trzeba! — powiedział Iwan i zaśmiał się.

Matka oglądając się ostrożnie, wykrzykiwała:

— Kapuśniak! Kluski gorące!

I niespostrzeżenie wyjmując broszury, paczka za paczką, wsuwała je braciom. A za każdym razem, gdy znikaly z jej rąk, zapalała się przed nią żółta plama, niby ogień zapalki w ciemnym pokoju — twarz oficera żandarmów. I ze złośliwą satysfakcją mówiła mu:

— Masz, to dla ciebie, wasza wielmożność!

I podając następną paczkę dodawała z zadowoleniem:

— Na! ...

Podchodzili robotnicy z garnuszkami w rękach. Gdy zbliżali się, Iwan Gusiew zaczynał się głośno śmiać i Własowa spokojnie przerywała wydawanie odezów, rozlewając kapuśniak i kluski, a Gusiewowie żartowali z niej:

— Zręcznie się zwija Niłowna.

— Bieda uczy myszy łowić! — ponuro zauważył jakiś palacz. — Żywiciela jej zabrali! Dranie! — Daj no za trzy kopiejki klusek. I nie trap się, matko! Dasz sobie radę!

— Dziękuję za dobre słowo! — uśmiechnęła się do niego.

— Dobre słowo niedrogo mnie kosztuje... — mruknął odchodząc na bok.

Własowa wykrzykiwała:

— Gorący kapuśniak, kluski, polewka...

I myślała, jak opowie synowi o swoim pierwszym doświadczeniu, a przed nią wciąż stała żółta twarz oficera, zdziwiona i zła. Czarne wąsiki poruszały się w zakłopotaniu, spod górnej, w rozdrażnieniu wzniesionej wargi, błyskała biała kość mocno zaciśniętych zębów. W piersi jej radość śpiewała jak ptak, brwi przebiegle unosiły się i opuszczały, i zrecznie spełniając swoje zadanie dogadywała w myśli:

— A oto — jeszcze! Na!

XVI

Wieczorem, gdy piła herbatę, za oknem rozległ się chłupot końskich kopyt po błocie i odezwał się znajomy głos. Zerwała się, rzuciła się do kuchni, do drzwi. Ktoś szedł prędkim krokiem przez sieni. Pociemniało jej w oczach, oparłszy się o framugę, pchnęła drzwi nogą.

— Dobry wieczór, mateńko! — rozległ się znajomy głos i na ramionach jej spoczęły suche, długie ręce. W sercu matki wezbrał jednocześnie — smutek rozczarowania i — radość, że widzi Andrzeja. Wezbrały, zmieszały się w jedno palące uczucie, które objęło ją gorącą falą, objęło, poniosło — i padła twarzą na pierś Andrzeja. Andrzej przyciągnął ją mocno, ręce jego drżały. Matka w milczeniu płakała cicho. Gładził jej włosy i mówił śpiewnie, jak gdyby nucił:

— Nie płaczcie, mateńko, nie męczcie serca! Daję wam słowo, mówię wam — prędko go wypuszczą! Nie mają żadnych dowodów przeciw niemu, a chłopcy milczą jak gotowane ryby.

Objąwszy matkę przez plecy, wprowadził ją do pokoju, a matka, tuląc się do niego, szybkim gestem wiewiórki ocierała z twarzy łyzy i chciwie, całą piersią, chłonęła jego słowa.

— Paweł kłania się wam. Zdrowy, wesoly, że nie bywa lepiej. Ciasno tam! Ludzi więcej niż setkę nałapali, i naszych, i z miasta. W jednej celi po troje, czworo siedzi. Zwierzchność więzienna niczego sobie: dobra, a przy tym zmęczona — dużo roboty dostarczyli ci diabelscy żandarmi! Więc nie bardzo surowo komenderują, a ciągle powtarzają: „Ciszej, panowie, nie narażajcie nas na nieprzyjemności!“ No, i wszystko idzie dobrze. Rozmawiają, posyłają sobie książki, jedzeniem się dzielą. Dobre więzienie! Stare, brudne, ale za to łagodne i lekkie. Kryminalni także dobrzy ludzie, pomagają nam. Wypuścili mnie, Bukina i jeszcze czterech. Niedługo i Pawła wypuszczą, to pewnie! Najdłużej ze wszystkich Wiesowszczyków będzie siedział, gniewają się na niego bardzo. Wymyśla wszystkim bez wstydzenia! Żandarmi patrzeć na niego nie mogą. Oddadzą go pod sąd, albo pobiją kiedyś. Paweł namawia go: „Zostaw Mikołaju! Nie staną się przecież lepsi, jeżeli ich zwymszłasz!“ A on ryczy: „Wyrwę ich z ziemi, wycisnę jak wrzody!“ Paweł trzyma się dobrze — równo, twardo. Mówię wam — niedługo go wypuszczą...

— Niedługo! — powiedziała matka uspokojona uśmiechając się łagodnie. — Wiem, że już niedługo!

— To dobrze, że wiecie! No, więc nalejcież mi herbaty i opowiedzcie, jak się wam żyło.

Patrzył na nią uśmiechając się, taki bliski i dobry, a w jego okrągłych oczach paliła się iskra trochę smutnej miłości.

— Bardzo was kocham, Jędrusi! — głęboko westchnąwszy powiedziała matka przyglądając się z czułością

jego chudej twarzy, śmiesznie porośniętej kępkami ciemnych włosów.

— Mnie niewiele potrzeba. Wiem, że mnie kochacie! Wy wszystkich kochacie, serce macie wielkie, mateńko! — huśtając się na krześle mówił chachoł.

— Nie, was kocham nie tak, jak innych! — upierała się matka. — Gdybyście mieli matkę, ludzie zazdrościliby jej takiego syna...

Chachoł potrząsnął głową i mocno potarł ją obiema rękami.

— Mam i ja gdzieś matkę... — powiedział cicho.

— A wiecie, co ja dziś zrobiłam? — wykrzyknęła nagle.

I pośpiesznie zachłystując się niemal z zadowolenia i trochę koloryzując, opowiedziała mu, jak to przyniosła dziś literaturę do fabryki.

Andrzej z początku aż oczy rozwarł ze zdziwienia, potem wybuchnął głośnym śmiechem i tupiąc z uciechy nogami, tłukł się palcami po głowie i krzyczał radośnie:

— Oho, to nie żart! To robota! Ale Paweł będzie się cieszył! Co? To dobrze, mateńko! I dla Pawła dobrze i dla wszystkich!

Z zachwytem strzelał palcami, świstał, huśtał się i promieniał cały radością wzbudzając w niej mocny i pełny oddźwięk.

— Jędrusi! Kochanie! — zaczęła mówić, jak gdyby otworzyło się w niej serce i wytrysnęły z niego pełne cichej radości słowa. — Myślałam o swoim życiu — Jezu Chryste! Po cóż ja żyłam? Bicie... robota... niczego nie widziałam oprócz męża, niczego nie znałam oprócz strachu! I jak rósł Pawełek — nie widziałam. I czy go kochałam, póki mąż żył — nie wiem! Troszczyłam się i myślałam tylko o tym, żeby nakałnić swego zwierza smacznie i sytnie, i na czas, żeby mu dogodzić, żeby nie złościł się, nie groził biciem, pożałował choć jeden raz. Ale nie pa-

miętam, żeby kiedy pożałował. Bił mnie, jak gdyby nie żonę bił, ale wszystkich, na kogo miał złość. Dwadzieścia lat tak żyłam, a co było przedtem — nie pamiętam. Przypominam sobie — i jak ślepa niczego nie widzę! Był tu Jegor Iwanowicz, my z nim z jednej wsi jesteśmy, mówi on o tym i owym, a ja — domy pamiętam, ludzi pamiętam, ale jak ludzie żyli, co mówili, co się u kogo wydarzyło — zapomniałam! Pożary pamiętam — dwa pożary. Widać, wszystko ze mnie wybito, zabito mi duszę na glucho, oślepla, nie słyszy...

Zaczerpnęła tchu i chciwie, jak ryba wyciągnięta z wody połykając powietrze pochyliła się ku przodowi i ciągnęła dalej, zniżywszy głos:

— Umarł mąż, uczepliłam się syna — a on poszedł za tymi sprawami. Ciężko mi było i żal go... zginie — jakże ja będę żyć? Ile strachu, ile niepokoju wycierpiałam wtedy! Serce mi się krajało, gdy myślałam o jego losie...

Zamilkła na chwilę, po czym wolno kiwając głową, powiedziała znacząco:

— Nieczysta jest nasza babska miłość! Kochamy to, co nam jest potrzebne. A oto patrzę na was — za matką tęsknicie — a na co wam ona? I wszyscy inni ludzie za naród cierpią, do więzień idą, na Sybir, umierają. Młode dziewczęta chodzą nocą same, po błocie, po śniegu, w deszcz. Idą same siedem wiorst z miasta do nas. Kto je wygania, kto je popycha? Kochają. One kochają — czystą miłością! Wierzą! Wierzą, Jędrusiu! A ja — nie mogę tak! Ja kocham tylko to, co bliskie.

— Możecie! — powiedział Andrzej i, odwróciwszy od niej twarz, potarł mocno, swoim zwyczajem, głowę, policzek i oczy. — Wszyscy kochają to, co bliskie, ale dla wielkiego serca i dalekie — bliskie! Wy dużo możecie. Wielkie jest w was to, co macierzyńskie...

— Daj Boże! — powiedziała cicho. — Czuję przecież — dobrze jest tak żyć! Ot i was Kocham — może Kocham mocniej niż Pawełka. Pawełek — zamknięty taki. Teraz chce się ożenić z Saszeńką — a mnie, matce, nie powiedział o tym...

— To nieprawda! — zaprzeczył Andrzej. — Wiem o tym. Nieprawda. Kocha ją i ona jego — to prawda. Ale żenić się — nie, tego nie będzie, nie! Ona by chciała, ale Paweł nie chce...

— Więc to tak? — w zamyśleniu powiedziała cicho matka i oczy jej spoczęły ze smutkiem na twarzy Andrzeja. — Tak. Ludzie wyrzekają się siebie...

— Paweł to rzadki człowiek! — cicho odezwał się Andrzej. — Żelazny człowiek...

— Teraz ot — siedzi w więzieniu! — ciągnęła dalej matka, pogrążona w zadumie. — Niepokoi się człowiek, boi się, ale — już nie tak! Całe życie inne i strach też inny — o wszystkich. I serce inne — dusza oczy otworzyła, patrzy: smutno jej i radośnie. Wielu rzeczy nie rozumiem. I tak mi gorzko, tak mi żal, że w Boga nie wierzyciel! Ale — to już nic nie poradzisz! I widzę — dobry z was ludzie, tak! I skazaliście się na trudne życie za lud, na ciężkie życie za prawdę. I prawdę waszą także zrozumiałam: póki będą bogaci — niczego naród nie dostanie — ani prawdy, ani radości, niczego! Żyję tak wśród was, czasem w nocy wspomnę przeszłość, siłę moją nogami zadeptaną, serce młode, zabite — żal mi siebie, gorzko mi! Ale mimo to lepiej mi teraz żyć. Coraz lepiej sama siebie widzę...

Andrzej wstał i, starając się nie szurać nogami, zaczął ostrożnie chodzić po pokoju, wysoki, chudy, zamyślony.

— Dobrzeście to powiedzieli! — zawołał z cicha. — Dobrze. W Kerczy był taki młodziutki Żyd, wiersze pisał i raz napisał tak:

I niewinnie zabitych
Siła prawdy wskrzesi!..

Zresztą zakatowała go policja w Kerczy, ale — to nieważne. Znał prawdę i wiele posiał jej w ludziach. I otóż — wy także byliście przecie — niewinnie zabitym człowiekiem...

— Mówię ja teraz — ciągnęła dalej matka — mówię, sama siebie słucham — sama sobie nie wierzę! Całe życie myślałam tylko o jednym — jakby tu dzień bokiem obejść i jakby go tu niespostrzeżenie dla wszystkich przeżyć, żeby mnie nikt nie tknął. A teraz o wszystkich myślę. Może i nie tak jak trzeba wasze sprawy rozumiem, ale wszyscy bliscy mi jesteście, wszystkich mi was żal, dla wszystkich chcę dobrego. A dla was, Andrzeju — najwięcej!...

Podszedł do niej i powiedział:

— Dziękuję!

Wziął jej rękę w swoje ręce, mocno uściśnął, potrząsnął i pośpiesznie odwrócił się od niej. Zmęczona wzruszeniami matka, nie śpiesząc się, myła filiżanki i milczała. W pierśsiach jej tliło się krzepiące, ogrzewające jej serce uczucie.

Andrzej przechadzając się po pokoju, mówił:

— Dobrze by było, mateńko, żebyście Wiesowszczykowem się zajęli, dali mu trochę ciepła. Jego ojciec siedzi w więzieniu — paskudny taki staruszek. Zobaczy go Mikołaj z okna — wymyśla. Niedobrze! Mikołaj jest przecie dobry — psy lubi, myszy, każde stworzenie, a ludzi nie lubi! Ot, jak można zepsuć człowieka!

— Matka przepadła bez wieści, ojciec — złodziej i pijanica — w zamyśleniu powiedziała matka.

Kiedy Andrzej odchodził, żeby się położyć, ukradkiem przeżegnała go, a kiedy ułożył się już, po pół godzinie spytała cicho:

— Śpicie już, Jędrusiu?

- Nie — a co?
— Dobranoc!
— Dziękuję, mateńko, dziękuję! — odpowiedział z wdzięcznością.

XVII

Na drugi dzień, kiedy Niłowna podeszła z nosidlami do wrót fabryki, stróże zatrzymali ją grubiańsko i, rozkazawszy jej postawić nosidła na ziemi, starannie obejrzelif wszystko.

— Wyziębicie mi jedzenie! — spokojnie zauważyła matka, podczas gdy brutalnie obmacywali jej ubranie.

— Milcz! — ponuro powiedział jeden ze stróży, a inny, pchnąwszy ją lekko w ramię, oświadczył z przekonaniem:

— A ja mówię, że to przez płot rzucają!

Pierwszy podszedł do niej stary Sizow i, obejrzawszy ją, zapytał półgłosem:

— Słyszeliście, matko?

— O czym?

— Papierki! Znowu pojawiły się! Po prostu, jak soli na chleb nasypało ich wszędzie! Dużo mają z tych aresztów i rewizji! Mazina, mojego krewniaka, do więzienia wzięli — no i co? Wzięli twojego syna — a teraz przecież widać, że to nie oni!

Zebrał brodę w garść, popatrzył na nią i odchodząc dorzucił:

— Nie zaszłabyś do mnie? Smutno ci przecie samej jednej...

Podziękowała i, głośno wykrzykując nazwy jadła, uważnie przyglądała się niezwyktemu ożywieniu, panującemu w fabryce. Wszyscy byli podnieceni, zbierali się, rozchodzili, biegli od jednego oddziału do drugiego. Powiew czegoś rześkiego i śmiałego unosił się w pełnym sadzy

powietrzu. To tu, to tam rozlegały się zachęcające okrzyki, szydercze uwagi. Starsi robotnicy uśmiechali się ostrożnie. Zwierzchnicy przechadzali się zakłopotani, biegali policjanci. Robotnicy, zauważywszy ich, rozchodzili się powoli, albo zostawali na miejscu przerywając rozmowę i patrząc w milczeniu w ich złe i rozdrażnione twarze.

Robotnicy robili wrażenie czysto umytych. Mignęła wysoka postać starszego Gusiewa, śmiejąc się przeszedł swoim kaczym chodem jego brat.

Minęli matkę majster stolarskiego cechu Wawilow i kontroler Isaj. Mały, szczupły kontroler zadzierając głowę do góry, przeginając szyję na lewo i patrząc w nieruchomą i nadętą twarz majstra, mówił prędko, trzęsąc bródką:

— Oni, Iwanie Iwanowiczu, śmieją się! Oni cieszą się z tego, chociaż, jak powiedział pan dyrektor, idzie tu o zagładę państwa! Tu, Iwanie Iwanowiczu, nie pleć by trzeba, ale orać...

Wawilow szedł założywszy ręce w tył, palce jego były mocno zaciśnięte...

— Ty możesz sobie drukować, psi synu, co chcesz — mówił głośno — ale o mnie nie waż się!

Podszedł Wasyli Gusiew i oznajmił:

— A ja znowu zjem u ciebie obiad — smakuje mi!

I zniżywszy głos, cicho dorzucił, przymrużając oczy: — Celnie trafiliście... Ech, mamusiu! Bardzo dobrze! Matka przyjaźnie kiwnęła mu głową. Podobało się jej, że ten młody człowiek, największy zabijaka w osiedlu, mówi z nią potajemnie i zwraca się do niej przez „wy“. Podobało jej się także ogólne podniecenie w fabryce i myślała sobie:

A przecież, żeby nie ja...

Niedaleko zatrzymało się trzech od czarnej roboty i jeden z nich powiedział niegłęboko, z żalem:

— Nigdzie nie znalazłem...

— A dobrze by było posłuchać! Ja nie umiem czytać, ale widzę, że aż pod siódme żebro im weszło! — zauważył drugi.

Trzeci obejrzał się i zaproponował:

— Chodźmy do kotłowni...

— Działa... — szepnął Gusiew pomrugując.

Siłownia wróciła do domu wesoła.

— Żalują tam ludzie, że nie umieją czytać — powiedziała Andrzejowi — a ja, jak byłem młoda, umiałam czytać, ale — zapomniałam...

— Przypomnijcie sobie — zaproponował chachoł.

— W moim wieku pośmiewisko z siebie robić?

Ale Andrzej wziął z półki książkę i, pokazując końcem noża literę na okładce, zapytał:

— Co to jest?

— Er — odpowiedziała śmiejąc się.

— A ta?

— A.

Czuła się zakłopotana i jakby — urażona. Zdawało się jej, że oczy Andrzeja śmieją się skrycie, i starała się ich unikać. Ale głos jego brzmiał miękko i spokojnie, a twarz była poważna.

— Czyżbyście, Andrzeju, chcieli mnie naprawdę uczyć? — zapytała uśmiechając się mimo woli.

— A bo co? — odezwał się. — Jeżeliście czytali, to łatwo wam będzie przypomnieć sobie. A jak mówią — cudu nie będzie, to się obędzie, a będzie cud — ucieszy się lud...

— Mówią także: na obraz spojrzysz — świętym się nie staniesz!

— E! — kiwnął głową Andrzej — gadek jest dużo — mniej wiesz — mocniej śpisz, może nieprawda? Gadkami — żołądek myśli, cugle dla duszy z nich plecie, żeby łatwiej było rządzić nią. A to jaka litera?

— E! — powiedziała matka.

— Tak! O, jak się rozparło! No, a ta?

Natężając wzrok, z wysiłkiem poruszając brwiami, przypominała sobie z trudnością zapomniane litery. I niespostrzeżenie, zapomniawszy o wszystkim innym, pochłonięta tym wysiłkiem. Wkrótce jednak oczy jej znużyły się. Z początku zebrały się w nich łzy zmęczenia, a potem zakapały na książkę łzy smutku.

— Abecadła się uczyć! — powiedziała pociągnawszy nosem. — Czterdzieści lat mam, a dopiero teraz zaczęłam się uczyć czytać...

— Nie trzeba płakać! — powiedział Andrzej łagodnie i cicho. — Nie mogliście żyć inaczej, a przecież mimo to rozumiecie, że żyliście źle. Tysiące ludzi może żyć lepiej od was, a żyją jak bydło i jeszcze chwalą się — dobrze nam się żyje! A co w tym dobrego? Dzisiaj człowiek przepracował i zjadł, jutro przepracuje i zje, i tak całe swoje życie pracuje i je. Tymczasem napłodzi dzieci, z początku bawi się nimi, a jak zaczną więcej jeść, złości się, wymyśla im. Prędkiej rośnijcie, obżartuchy, pracować czas! I chciałby z dzieci swoich zrobić bydło robocze, ale one zaczynają pracować dla swego brzucha i znowu ciągną życie jak złodziej tyko. Tylko ci są prawdziwymi ludźmi, którzy zrywają łańcuchy krępujące rozum człowieka. No, a teraz i wy, wedle waszych sił, wzięliście się do tego.

— Ja, cóż ja? — westchnęła. — Gdzie mnie do takich spraw?

— A — jakże? To jest jak deszczyk — każda kropla ziarno poi. A zaczniecie czytać...

Roześmiał się, wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Nie, mateniko, uczcie się! Paweł przyjdzie, a wy — ehe?

— Ach, Jędrusiu! — powiedziała matka. — Dla młodego wszystko jest proste. A jak pożyjesz — zgryzoty dużo, sił — mało, a rozumu — zupełnie nie ma...

XVIII

Wieczorem chachoł wyszedł, a matka zapaliła lampę i usiadła przy stole z pończochą. Wkrótce jednak wstała, niezdecydowanie przeszła się po pokoju, wyszła do kuchni, zamknęła drzwi na haczyk i, mocniej niż zwykle ruszając brwiami, wróciła do pokoju. Spuściła firanki w oknach, wzięła książkę z półki, znowu usiadła przy stole i, rozejrzawszy się, schyliła się nad książką. Wargi jej zaczęły się poruszać. Gdy z ulicy dochodził hałas, wzdrygała się, zakrywała książkę dłonią i nad słuchiwała czujnie. Po czym znowu, to zamykając, to otwierając oczy, szeptała:

— Ż-y-ży-c-i-e-cie — życie...

Zastukano do drzwi. Matka zerwała się, wsunęła książkę na półkę i zapytała z niepokojem:

— Kto tam?

— Ja...

Wszedł Rybin, statecznie pogładził brodę i zauważył:

— Przedtem puszczałaś ludzi bez pytania. Sama jesteś? Tak. A ja myślałem, że chachoł w domu. Widziałem go dzisiaj... Więzienie nie psuje człowieka.

Usiadł i powiedział matce:

— Pogadamy...

Spoglądał znacząco i tajemniczo, budząc w matce nieokreślony niepokój.

— Za wszystkò trzeba płać — zaczął swoim ciężkim głosem. — Za darmo nie urodzisz się i nie umrzesz — ot co! I książki, i odezwy — kosztują. Ty wiesz, skąd pochodzą pieniądze na książki?

— Nie wiem — cicho powiedziała matka czując coś niebezpiecznego.

— Tak. Ja też nie wiem. Po drugie — kto układa książki?

— Uczeni...

— Panowie! — powiedział Rybin i jego brodata twarz poczerwieniała z natężenia. — A więc — panowie książki układają i rozdają. A w książkach pisze się przeciw panom. Teraz — powiedz mi, co oni w tym mają za korzyść, żeby wydawać pieniądze na podburzanie ludu przeciw sobie, co?

Matka zamrugała oczyma i z przestachem krzyknęła:

— O czym ty myślisz?...

— Aha! — powiedział Rybin i ciężko jak niedźwiedź poruszył się na krześle. — Ot co! Jak doszedłem do tej myśli, to i mnie się zimno zrobiło.

— Dowiedziałeś się czegoś?

— Oszukaństwo! — odpowiedział Rybin — Czuję w tym jakiś podstęp. O niczym nie wiem, ale — jakieś oszukaństwo w tym jest. Ot co! Panowie kręcą. A mnie trzeba prawdy. Prawdę zrozumiałem, a z panami nie pójdę. Panowie, kiedy im będzie trzeba, wypchną mnie na przód, a potem, po moich kościach, jak po moście, dalej pójdą...

Matka poczuła, że jego ponure słowa, jak powrozami, krępują jej serce.

— Boże! — zawołała ze smutkiem. — Czyżby Pawełek nie rozumiał tego? I wszyscy, którzy...

Przesunęły się przed nią poważne, uczciwe twarze Jegora, Mikołaja Iwanowicza, Saszeńki i serce jej zatrzępotało.

— Nie, nie! — powiedziała, przecząco poruszając głową. — Nie mogę uwierzyć. Oni — według sumienia.

— O kim ty mówisz? — w zamyśleniu zapytał Rybin.

— O wszystkich... o wszystkich co do jednego, o wszystkich, których widziałam!

— Nie tam patrzysz, gdzie trzeba, matko, popatrz dalej! — powiedział Rybin spuściwszy głowę. — Ci, którzy są blisko nas, sami może nie wiedzą. Oni — wierzą — tak trzeba! Ale może — za nimi ukrywają się drudzy, którzy tylko dla własnej korzyści? Człowiek przeciw sobie samemu ni z tego, ni z owego nie pójdzie...

I z mocnym przekonaniem chłopca dorzucił:

— Od panów nic dobrego nie wyjdzie!

— Co ty zamýślasz? — spytała matka, znowu opanowana wątpliwościami.

— Ja? — Rybin spojrział na nią, pomilczał chwilę, po czym powiedział: — Od panów trzeba jak najdalej — o! co.

Znowu siedział chwilę w posępnym milczeniu.

— Chciałem się do chłopców przyłączyć, żeby razem z nimi. Ja się do tej sprawy nadaję, wiem, co trzeba powiedzieć ludziom. Tak. No, a teraz odejdę. Nie mogę wierzyć, muszę odejść.

Spuścił głowę, pomyślał.

— Pójdę sam po osiedlach, po wsiach. Będę buntował naród. Trzeba, żeby sam naród się do tego wziął. Jeżeli zrozumie — znajdzie sam drogę. Będę się starał, żeby rozumiał. Dla ludu nie ma nadziei poza nim samym, nie ma rozumu poza jego własnym. Tak!

Matce zrobiło się go żal i poczuła lęk o niego. Zawsze był jej niemiły, a teraz nagle stał się jej bliższy. Powiedziała cicho:

— Złapią cię...

Rybin spojrział na nią i odpowiedział spokojnie:

— Złapią — wypuszczą. A ja — znowu...

— Sami chłopci cię przecież zwiążą. W więzieniu będziesz siedział...

— Posiedzę — wyjdę. Znowu pójdę. A co do chłopów — to raz i drugi zwiążą, a potem zrozumieją, że nie wiązać trzeba, ale słuchać. Powiem im — nie wierzcie mi, ale słuchajcie, co mówię! A jak zaczną słuchać — uwierzą!

Mówił powoli, jakby obmacywał każde słowo, zanim je wypowiedział.

— Ja się tu w ostatnich czasach sporo nalykałem. Zrozumiałem to i owo...

— Zginiesz, Michale Iwanowiczu! — ze smutkiem kiwając głową, powiedziała matka.

Patrzył na nią ciemnymi oczyma, jak gdyby pytając o coś i na coś czekając. Jego mocne ciało pochyliło się ku przodowi, ręce oparły się o siedzenie krzesła, smagła twarz wydawała się blada w czarnym obramowaniu brody.

— A słyszałaś, co Chrystus o ziarnie powiedział? Jeśli nie umrzesz, nie zmartwychwstaniesz w nowym kłosie. Do śmierci daleko mi jeszcze. Chytry jestem!

Poruszył się na krześle, podniósł się bez pośpiechu.

— Pójdę do szynku, posiedzę tam z ludźmi. Chachoł jakoś nie idzie. Zaczął już krzątać się?

— Tak — powiedziała matka uśmiechając się.

— Tak trzeba. Powiedz mu o mnie...

Weszli ramie przy ramieniu do kuchni i, nie patrząc na siebie, zamiéniali krótkie słowa.

— No, żegnaj!

— Żegnaj! Kiedy wypłatę weźmiesz?

— Już wzięłem.

— A kiedy idziesz?

— Jutro. Z samego rana. Żegnaj!

Rybin zgiął się i niechętnie, niezdarnie wylazł do sieni. Matka z minutę stała pod drzwiami przysłuchując się jego ciężkim krokom i wątpliwościom, zbudzonym we własnym sercu. Potem cicho odwróciła się, weszła do pokoju i podniósłszy firankę spojrzała w okno. Za szybami był nieruchomy, ciemny mrok.

— Żyję wśród nocy! — pomyślała.

Było jej żal tego statecznego, barczystego i silnego chłopca.

Przyszedł Andrzej ożywiony i wesóły. Kiedy opowiedział mu o Rybinie, zawołał:

— A niech chodzi po wsiach, niech dzwoni o prawdzie, budzi lud! Z nami — trudno mu. Wyrosły mu w głowie własne, chłopskie myśli, naszym za ciasno tam...

— Wiesz — o panach mówił... Jest w tym coś! — ostrożnie zauważyła matka. — Żeby nie oszukali!

— Chwyciło?! — śmiejąc się zawołał Andrzej. — Ach, mateńko, pieniądze! Gdybyśmy je mieli! My jeszcze ciągle żyjemy na cudzy rachunek. Mikołaj Iwanowicz dostaje siedemdziesiąt pięć rubli miesięcznie — nam oddaje pięćdziesiąt. Tak samo i inni. Nawet głodujący studenci przysła trochę czasem, zebrawszy po kopiejce. A panowie, oczywiście — różni bywają. Jedni — oszukają, inni — zostaną po drodze, a najlepsi — z nami pójdą...

Klasnął w ręce i mocnym głosem mówił dalej:

— Do naszego święta jeszcze daleko, orzeł nie doleci! Ale mimo to, my sobie pierwszego maja niewielkie święto urządzimy! Wesolo będzie!

Jego ożywienie rozpraszało niepokój, posiany przez Rybiną. Andrzej chodził po pokoju, pocierał ręką głowę i, patrząc na podłogę, mówił:

— Wiecie, czasem coś takiego dziwnego budzi się w sercu! Zdaje się, że wszędzie, gdzie przyjdiesz — towarzysze i wszyscy płoną jednym ogniem, wszyscy weseli i tacy

dobrzy! Bez słów jeden drugiego rozumie. I żyją jakby — chórem: każde serce śpiewa własną pieśń, a wszystkie pieśni płyną jak strumienie, zlewają się w jedną rzekę. I płynie rzeka szeroka i swobodna do morza jasnych radości nowego życia.

Matka starała się nie poruszać, żeby mu nie przeszkodzić, nie przerwać. Zawsze słuchała go z większą uwagą niż innych — mówił prościej od innych i jego słowa mocniej wzruszały jej serce. Paweł nigdy nie mówił o tym, co widzi w przyszłości. A Andrzej był tam już jakby częścią swego serca i słowa jego brzmiały niby bajka o przyszłym święcie dla wszystkich ludzi na ziemi. I ta bajka rozjaśniała matce sens życia i pracy jej syna i wszystkich jego towarzyszy.

— A ockniesz się — mówił Andrzej potrząsnawszy głową — rozejrzysz się wokół — zimno, plugawie! Wszyscy zmęczeni, źli...

Z głębokim smutkiem mówił dalej:

— Upokarzające to — ale nie trzeba ufać człowiekowi, ale bać się go i nawet — nienawidzić! Rozdwaja się człowiek. Chciałby tylko kochać, a czyż to możliwe? Jak przebaczyć człowiekowi, jeżeli jak dzikie zwierzę rzuca się na ciebie, nie uznaje w tobie człowieka, depta twoje ludzkie oblicze? Nie wolno przebaczać! Nie ze względu na siebie — ja każdą obrazę zniosę — ale pozwalać gwałcicielom... nie chcę, nie chcę, żeby na moich plecach uczyli się bić innych.

Teraz oczy jego zapaliły się zimnym płomieniem, w pochyleniu głowy czuło się upór, mówił twardziej:

— Nie wolno mi przebaczać szkodliwych postępów, choćby nie były one szkodliwe dla mnie. Nie jestem sam na ziemi! Dzisiaj pozwolę obrazić siebie i, być może, będę się tylko śmiał — obraza nie zaboli mnie. A jutro wypróbowawszy na mnie swoją siłę, krzywdziciel pójdzie z in-

nych zdzierać skórę. I trzeba niejednakowo odnosić się do ludzi, trzymać serce na wodzy, odróżniać ludzi, ci — swoi, tamci — obcy. To sprawiedliwe, ale to nie pociesza!

Matka, nie wiedzieć dlaczego, przypomniała sobie oficera i Saszeńkę i powiedziała wzdychając:

— Jakież to może być chleb z nieprzesianej mąki!...

— W tym właśnie bieda! — wykrzyknął Andrzej.

— Taak! — powiedziała matka. I w pamięci stanęła jej postać męża, ponura, ciężka, niby ogromny kamień, porosły mchem. Wyobraziła sobie Andrzeja jako męża Nataszy i syna ożenionego z Saszeńką.

— A skąd to pochodzi? — zapytał Andrzej zapalając się. — To takie widoczne, że nawet śmiech zbiera. Tylko stąd, że niejednakowe jest położenie ludzi. Dalej więc, zrównajmy wszystkich! Podzielmy równo między wszystkich to, co stworzył rozum i co zrobiły ręce. Nie będziemy trzymać się wzajemnie w niewoli strachu, zawiści, chciwości i głupoty!...

Od tej pory zaczęli często tak rozmawiać.

Nachodkę znowu przyjęto do fabryki. Oddawał matce cały swój zarobek, a ona brała te pieniądze tak samo spokojnie, jak gdyby otrzymywała z rąk Pawła.

Czasem Andrzej proponował matce z uśmiechem w oczach:

— Może poczytamy, mateńko?

Zartobliwie, ale stanowczo odmawiała. Jego uśmiech krępował ją i, nieco urażona, myślała:

— Jeżeli masz się śmiać — to na co?

Ale coraz częściej pytała, co znaczy to lub inne, obcej jej książkowe słowo. Pytając się patrzyła w bok, a głos jej brzmiał obojętnie. Andrzej domyślał się, że potajemnie uczy się sama, rozumiał, że wstydzi się, i przestał proponować jej, żeby z nim czytała. Wkrótce oznajmiła mu:

— Oczy mam coraz słabsze, Jędrusi! Trzeba by mi okularów.

— Zrobione! — powiedział. — W niedzielę pójdę z wami do miasta, pokażę was doktorowi, i będą okulary...

XIX

Już trzy razy chodziła prosić o widzenie z Pawłem i za każdym razem generał żandarmerii, siwy staruszek z bardzo czerwonymi policzkami i dużym nosem, odmawiał jej łagodnie.

— Za tydzień, matuniu, nie wcześniej! Za tydzień zobaczymy — a teraz — niemożliwe.

Był okrągły, syciutki i przypominał jej dojrzałą śliwkę, nieco już zleżałą, pokrytą puszystą pleśnią. Dłubał cały czas w drobnych zębach ostrą, żółtą wykałaczką, małe zielonawe oczki uśmiechały się łagodnie, głos brzmiał grzecznie, przyjaźnie.

— Grzeczny! — w zamyśleniu powiedziała Andrzejowi. — Cały czas uśmiecha się...

— Tak, tak! — zauważył Andrzej. Oni — jak gdyby nigdy nic — łagodni są, uśmiechają się. Powiedzą im — o to mądry i uczciwy człowiek, niebezpieczny dla nas, powieście go! A oni uśmiechną się i — powieszają, a potem — dalej będą się uśmiechać.

— Ten, który u nas z rewizją był — porównywała matka — prostszy — od razu widać, że pies...

— Oni wszyscy to nie ludzie, ale młotki do ogłuszania ludzi. Narzędzia. Obrabia się nimi naszych braci, żeby byli poręczniejsi. Sami są już wygodnie obrobieni dla rządzącej nami ręki — mogą robić wszystko, co im każą, nie zastanawiając się i nie pytając, na co to potrzebne.

W końcu otrzymała widzenie i w niedzielę usiadła skromnie w kącie więziennej kancelarii. Oprócz niej, w ciastym, brudnym pokoju o niskim suficie, było jeszcze kilka osób, czekających na widzenie. Zapewne nie pierwszy już raz spotykali się tutaj i znali się wzajemnie. Leniwie i wolno snuła się między nimi cicha, lepka jak pajęczyna rozmowa.

— Słyszeliście? — mówiła tęga kobieta o zwiedłej twarzy, z wałizką na kolanach. — Dzisiaj podczas rannej mszy w soborze dyrygent naderwał ucho chłopcu z chóru...

Starszy człowiek w mundurze emerytowanego wojskowego głośno odkaszlnął i powiedział:

— Wszyscy chórzyści to urwipolcie!

Niziutki, łysy człowieczek, z długimi rękami, wysuniętą naprzód szczęką i krótkimi nóżkami, uwijał się nieustannie po kancelarii, jak gdyby miał w niej mnóstwo spraw do załatwienia i, nie zatrzymując się ani na chwilę, mówił wyłęczonym, trzeszczącym głosem:

— Życie staje się coraz droższe i dlatego ludzie są źli. Wędlina drugiego gatunku — czternaście kopiejek funt, chleb znowu kosztuje dwie i pół kopiejki...

Czasem wchodzili aresztanci, szarzy, jednakowi, w ciężkich, skórzanych trzewikach. Wchodząc do pół ciemnego pokoju, mrugali oczyma. Na nogach jednego z nich dzwoniły kajdany.

Wszystko było dziwnie spokojne i miało w sobie jakąś nieprzyjemną prostotę. Zdawało się, że wszyscy od dawna przyzwyczaili się i zżyli się ze swoim położeniem. Jedni — spokojnie siedzą, drudzy — leniwie nadzorują, trzeci akuratanie i ze znużeniem odwiedzają uwięzionych. Serce matki drżało z niecierpliwości. Nie pojmując tego, ogłądała się wokoło, zdziwiona tą przygniatającą ją codziennością.

Obok Własowej siedziała małeńka staruszka o pomarszczonej twarzy i młodych oczach. Obracając to w tę, to

w inną stronę cienką szyję, wsłuchiwała się w rozmowę i spoglądała na wszystkich dziwnie wyzywająco.

— Kogo macie tutaj? — cicho zapytała Własowa.

— Syna. Studenta — odpowiedziała prędko i głośno staruszka. — A wy?

— Także syna. Robotnika.

— Jak nazwisko?

— Własow.

— Nie słyszałam. Dawno siedzi?

— Siódmy tydzień.

— A mój — dziesiąty miesiąc! — powiedziała staruszka i w głosie jej Własowa poczuła coś szczególnego, podobnego do dumy.

— Tak, tak! — mówił prędko łysy staruszek. — Cierpliwość zanika... Wszyscy denerwują się, krzyczą, ceny wzrastają, a ludzie odpowiednio do tego — tanieją. Głosów pojednania nie słychać.

— Zupełna prawda! — powiedział wojskowy. — Nieporządek! Trzeba, żeby nareszcie rozległ się twardy głos — milczeć! Oto czego trzeba — twardego głosu...

Rozmowa stała się ogólna, ożywiona. Każdy kwapił się wypowiedzieć swoje zdanie o życiu, ale wszyscy mówili półgłosem i u wszystkich matka wyczuwała coś obcego. W domu mówiono inaczej — zrozumialej, prościej i głośniej.

Gruby dozorca z kwadratową, rudą brodą wywołał jej nazwisko, obejrzał ją od stóp do głowy i kulejąc poszedł naprzód, rzuciwszy jej:

— Za mną...

Szła i miała ochotę poszturchiwać w plecy dozorcę, żeby szedł prędeej. W małym pokoiku stał Paweł, uśmiechał się i wyciągał rękę. Matka schwyciła ją, zaśmiała się i mrugała oczyma nie znajdując słów. Powtarzała tylko cicho:

— Witaj... witaj...

— Uspokój się, mamo! — ściskając jej rękę powiedział Paweł.

— Już nic...

— Matka! — westchnąwszy powiedział dozorca. — Ale — rozejdźcie się! Żeby między wami była odległość... I ziewnął głośno.

Paweł pytał o zdrowie, o dom... Matka oczekiwała jakichś innych pytań, szukała ich w oczach syna i nie znajdowała. Był jak zawsze spokojny, tylko twarz mu pobladła, a oczy stały się jakby większe.

— Sasza kłania się! — powiedziała.

Pawłowi drgnęły powieki, twarz złagodniała, uśmiechnął się. Matka poczuła w sercu ostrą, piekącą gorycz.

— Czy prędko cię wypuszczą? — zaczęła z urazą i rozdrażnieniem. — Za co cię posadzili? Przecie papierki znowu się zjawily...

Pawłowi zabłyśły radośnie oczy.

— Znowu? — zapytał szybko.

— O tych sprawach nie wolno mówić! — leniwie oświadczył dozorca. — Można tylko o rodzinnych.

— A czy to nie rodzinne? — zaoponowała matka.

— Nie wiem. Wiem tylko, że zabrania się... — obojętnie nalegał dozorca.

— Mów, mamo, o rodzinnych. Co robisz?

Matka poczuła w sobie jakąś młodzieńczą czupurność i odpowiedziała:

— Noszę do fabryki to wszystko...

Zatrzymała się i, uśmiechnąwszy się, dorzuciła:

— Barśzcz, kaszę, różną strawę Marii i — inne jedzenie...

Paweł zrozumiał. Twarz zadrgała mu od powstrzymanego śmiechu, wzburzył włosy i ciepło, głosem, którego jeszcze nigdy u niego nie słyszała, powiedział:

— Dobrze, że masz robotę — nie tęsknisz!

— A jak się te odezwy zjawily, to i mnie zaczęły ob-
szukiwać! — powiedziała nie bez przechwalki.

— Znowu o tym! — odezwał się dozorca z obrazą
w głosie. — Mówię przecież, że nie wolno! Człowieka poz-
bawili wolności, żeby o niczym nie wiedział, a ty wciąż
swoje! Trzeba zrozumieć, czego nie wolno.

— Zostaw, mamol — powiedział Paweł. — Matwiej
Iwanowicz, to dobry człowiek, nie trzeba go złościć. Żyję
z nim w przyjaźni. On dziś jest przypadkowo przy widze-
niu — zwykle asystuje pomocnik naczelnika.

— Widzenie skończyło się! — oznajmił dozorca patrząc
na zegarek.

— No, dziękuję, mamol — powiedział Paweł. — Dzię-
kuję ci, kochanie! Nie niepokój się. Już niedługo mnie wy-
puszczą...

Objął ją mocno, pocałował. Wzruszona i uszczęśliwiona,
rzplakała się.

— Rozejść się! — powiedział dozorca i, odprowadzając
matkę, mruzczał: — Nie płacz — wypuszczą! Wszystkich
wypuszczają... ciasno się zrobiło...

W domu powiedziała Andrzejowi uśmiechając się sze-
roko i z ozywieniem ruszając brwiami:

— Sprytnie mu powiedziałam — zrozumiał!

I westchnęła smutnie:

— Zrozumiał! Inaczej nie popieściłby mnie — nigdy te-
go nie robił!

— Ach wy! — zaśmiał się chachoł. — Kto czego szu-
ka, a matka zawsze czułości...

— Ależ Jędrusiu — co to za ludzie, mówię ci! — wy-
krzyknęła nagle ze zdziwieniem. — Przecież naprawdę —
przyzwyczajali się! Oderwali od nich dzieci, posadzili do wię-
zienia, a oni — nic. Przyszli, siedzą, czekają, rozmawiają!

Jeżeli wykształceni tak się przyzwyczajają, to co tu mówić o prostym narodzie? . . .

— To zrozumiałe — powiedział chachoł z właściwym sobie uśmiechem. — Dla nich prawo jest jednak łagodniejsze i mimo wszystko bardziej potrzebne niż dla nas. To też, jeśli ich nawet po łbie zwali, skrzywią się wprawdzie, ale nie bardzo. Własny kij — lżej bije . . .

XX

Pewnego razu matka siedziała przy stole robiąc skarpetki, a chachoł czytał głośno książkę o powstaniu niewolników w Rzymie. Ktoś zapukał mocno i, kiedy Andrzej otworzył drzwi, wszedł Wiesowszczyk z węzłem pod pachą, w czapce zsuniętej do tyłu, po kolana zachlapany błotem.

— Idę — widzę, że się u was świeci. Zaszedłem przywitać się. Prosto z więzienia — oznajmił dziwnym głosem i, schwyciwszy rękę Własowej, wstrząsnął nią mocno mówiąc:

— Paweł kłania się . . .

Botem niezdecydowanie usiadł na krześle i obwiodł pokój właściwym mu posępnym i podejrzliwym spojrzeniem.

Wiesowszczykowi nie podobał się matce. W jego kanciastej, ostrzyżonej głowie i małych oczkach było coś, co zawsze napełniało ją lękiem, ale teraz ucieszyła się i, przyjaźnie uśmiechnięta, mówiła z ożywieniem:

— Zmarniałeś! Jędrusiu, dajmy mu herbaty.

— Ja już nastawiam samowar — odezwał się chachoł z kuchni.

— No, jak Paweł? Czy wypuścili jeszcze kogoś, oprócz ciebie?

Mikołaj spuścił głowę i odpowiedział:

— Paweł siedzi — cierpi! Wypuścili tylko mnie! — Podniósł oczy i, spojrzawszy w twarz matki, wolno, przez zęby, dodał:

— Powiedziałem im — dosyć! Puśćcie mnie na wolność, albo zabiję kogoś i siebie także! Wypuścili.

— Taak! — powiedziała matka odsuwając się od niego i mimo woli zamrugła, gdy wzrok jej spotkał się z jego wąskimi, świdrującymi oczyma.

— A jak Fedzia Mazin? — zawołał chachoł z kuchni.
— Wiersze pisze?

— Pisze. Nie rozumiem tego! — kiwając głową powiedział Mikołaj. — Czy on — czyżyk? Wsadzili do klatki — śpiewa! Jedno tylko wiem — nie chce mi się iść do domu...

— Bo cóż ty masz w domu? — w zamyśleniu powiedziała matka. — Pusto, piec nie zapalony, wyzięblo wszystko...

Wiesowszczykowi miłczał chwilę przymrużywszy oczy. Wyjął z kieszeni pudełko papierosów, wolno zapalił i, patrząc na szary kłęb dymu, topniejący przed jego twarzą, uśmiechnął się uśmiechem ponurego psa.

— Tak — zimno pewnie. Na podłodze walają się zamrze karaluchy. I myszy też pewnie pozamarzały. Pozwólcie mi, Pelagio Nilowna, przenocować u siebie. Czy można? — zapytał głucho nie patrząc na nią.

— Oczywiście, mój drogi! — pośpiesznie powiedziała matka. Czula się przy nim nieswojo. Była zawsze skrepowana.

— Teraz nadszedł taki czas, że dzieci wstydzą się rodziców...

— Czego? — zdrygnąwszy się spytała matka.

Spojrzał na nią, zamknął oczy i jego ospowata twarz stała się jakby ślepa.

— Mówię, że dzieci zaczęły się wstydzić rodziców — powtórzył i, westchnąwszy głośno, dodał: — Cicie Paweł nigdy się nie powstydzi. A ja, widzisz, wstydę się ojca. I do jego domu... nie pójdę więcej. Nie mam ojca... i domu nie mam!... Oddali mnie pod dozór policyjny, gdyby nie to — pojechałbym na Syberię. Oswobadzałbym tam zesłanych, organizowałbym im uciezki...

Wrażliwym sercem matka rozumiała, że temu człowiekowi jest ciężko, ale jego ból nie budził w niej współczucia.

— Ha, jeżeli tak, to może i lepiej odejść! — mówiła, żeby nie obrazić go milczeniem.

Z kuchni wyszedł Andrzej i śmiejąc się powiedział:

— O czym ty tak perorujesz?

Matka podniosła się mówiąc:

— Trzeba przygotować coś do jedzenia...

Wiesowszczyk uważnie popatrzył na Andrzeja i nagle oświadczył:

— Myślę, że niektórych ludzi trzeba zabijać!

— Oho! A dlaczegoż to? — zapytał chachoł.

— Żeby ich nie było...

Chachoł, wysoki i chudy kołysząc się na nogach, stał pośrodku pokoju i patrzył na Mikołaja z góry, wsadziwszy ręce w kieszenie, a Mikołaj siedział na krześle, okrążony obłokami dymu, i na jego szarą twarz wystąpiły czerwone plamy.

— Rozwałę łeb Isajowi Gorbowski — zobaczysz!

— Za co? — zapytał chachoł.

— Nie szpieguj, nie donoś. Przez niego ojciec zginął, przez niego szpiclęm chciałby teraz zostać — z ponurą wrogością patrząc na Andrzeja, mówił Wiesowszczyk.

— Więc o to idzie! — wykrzyknął chachoł. — Ale któż może ciebie za to obwiniać? Chyba głupcy!...

— I głupcy, i mądrali — jeden diabeł! — twardo powiedział Mikołaj. — O! ty jesteś mądry i Paweł także.

a czy dla was jestem takim samym człowiekiem jak Fedzia Mazin albo Samojłow, albo wy obydwaj jeden dla drugiego? Nie kłam, i tak nie uwierzę; wszyscy mnie odsuwacie na bok, na oddzielne miejsce...

— Boli cię dusza, Mikołaju! — cicho i łagodnie powiedział chachoł siadając obok niego.

— Boli. I was — boli. Tylko że wasze bólączki wydają się wam szlachetniejsze od moich. Wszyscy jesteśmy podli jeden dla drugiego — oto, co ci powiem. A — cóż ty im możesz powiedzieć? No?

Wlepił swoje świdrujące oczy w twarz Andrzeja i czekał wyszczerzywszy zęby. Jego ospowata twarz była nieruchoma, a po grubych wargach przebiegało drzenie, jak gdyby sparzył je czymś gorącym.

— Nic ci nie powiem — powiedział Andrzej pieszcząc wrogie spojrzenie Wiesowszczykowa smutnym i ciepłym uśmiechem swych błękitnych oczu. — Widzisz — chcesz przekonywać człowieka wtedy, kiedy wszystkie rany jego serca krwawią — to tylko urażać go, wiem to, bracie!

— Ze mną nie można dyskutować, ja nie umiem! — mruknął Mikołaj spuściwszy oczy.

— Myślę — ciągnął dalej chachoł — że każdy z nas chodził bosymi nogami po tłuczonym szkłe i każdy o jakiejś złej godzinie dyszał tym, co ty...

— Nic nie możesz mi powiedzieć! — powoli wyrzekł Wiesowszczykow. — Dusza we mnie wilkiem wyje!...

— I nie chcę powiedzieć. Wiem tylko, że to ci przejdzie. Może niezupełnie, ale przejdzie...

— Uśmiechnął się, uderzył Mikołaja po ramieniu i mówił dalej:

— To jest, bracie, dziecięca choroba w rodzaju odry. Wszyscy na nią chorujemy. Silni — mniej, słabi — bardziej. Powala ona człowieka zwykle wtedy, kiedy człowiek

odnajduje sam siebie, a życia i własnego miejsca w nim jeszcze nie widzi. Wydaje ci się wtedy, że na całym świecie nie ma takiego smacznego ogóreczka jak ty i że wszyscy chcą cię schrupać. Potem przechodzi nieco czasu i spostrzegasz, że i w piersiach innych ludzi żyje to, co jest dobrego w twoim sercu i — robi ci się lżej i trochę — wstyd. Bo po coś wylaził na dzwonnice, kiedy twój dzwon jest taki maleńki, że w czas świątecznego dzwonienia wcale go nie słyhać? Potem zobaczysz, że twój dzwon w chórze słyhać, a w pojedynkę — stare dzwony zatapiają go w swoim huku jak muchę w maśle. Rozumiesz, co mówię?

— Może i rozumiem! — kiwnął głową Mikołaj. — Ale — nie wierzę!

Chachoł zaśmiał się, zerwał się na nogi i począł hałaśliwie biegać po pokoju.

— I ja także nie wierzyłem! Ach ty — furo!

— Dlaczego furo? — posępnie uśmiechnął się Mikołaj patrząc na Andrzeja.

— Tak — podobny jesteś...

Nagle Wiesowszczykowi zaśmiał się głośno szeroko otworzywszy usta.

— Ty — czego? — zapytał zdziwiony chachoł zatrzymując się przed nim.

— Pomyślałem sobie, że głupcem będzie ten, kto ciebie obrazi! — wyjaśnił Mikołaj kiwając głową.

— A jakże mnie ma obrazić? — zapytał chachoł wzruszając ramionami.

— Nie wiem! — powiedział Wiesowszczykowi, dobrodusznie i pobłaźliwie szczerząc zęby. — Ja tylko o tym, że temu człowiekowi, który cię obrazi, wstyd będzie później i przykro.

— Co ci przychodzi do głowy! — śmiejąc się powiedział chachoł.

— Jędrusi! — zawołała matka z kuchni.

Andrzej wyszedł. Pozostawszy sam, Wiesowszczykowie rozejrzał się, wyciągnął nogę w ciężkim bucie, popatrzył na nią, schylił się, obmacał rękami grubą łydkę. Podniósł rękę do twarzy, uważnie obejrzał dłoń, potem odwrócił ją. Ręka była gruba, z krótkimi palcami, pokryta żółtym włossem. Pomachał nią w powietrzu, wstał.

Gdy Andrzej wniósł samowar, Wiesowszczykowie stał przed lustrem i powitał go takimi słowami:

— Dawno gęby swojej nie oglądałem...

Uśmiechnął się i dorzucił kiwając głową:

— Paskudny mam pysk!

— A co cię to obchodzi? — zapytał Andrzej patrząc na niego z zaciekawieniem.

— Bo Saszeńka mówi, że twarz jest zwierciadłem duszy! — powoli wymówił Mikołaj.

— Bzdury! — zawołał chachoł. — Saszeńka ma nos jak haczyk, szczęki jak nożyce, a duszę jak gwiazda.

Wiesowszczykowie spojrzeli na niego i uśmiechnęli się.

Usiedli do herbaty.

Mikołaj wziął duży kartofel, mocno posolił kawałek chleba i spokojnie, powoli jak wół, zaczął żuć.

— A jak tutaj idą sprawy? — zapytał pełnymi ustami.

A gdy Andrzej wesoło opowiedział mu o postępach propagandy w fabryce, sposepniał znowu i powiedział:

— Długo to wszystko, długo!... Prędzej by trzeba...

Matka spojrzała na niego i w sercu jej cicho zadrgało wrogie uczucie dla tego człowieka.

— Życie nie koń, bałem go nie popędzisz! — powiedział Andrzej.

Wiesowszczykowie z uporem potrząsnęli głową.

— Długo! Nie wystarczy mi cierpliwości! Co mam robić?

Bezradnie rozłożył ręce i, patrząc w twarz Andrzeja, zamilkł — oczekiwał odpowiedzi.

— Wszyscy powinniśmy uczyć się i uczyć innych — oto nasza praca! — odezwał się Andrzej spuszczać głowę.

Wiesowszczykowi zapytał:

— A kiedy będziemy się bić?

— Do tego czasu nieraz jeszcze nas pobiją, wiem o tym! — z uśmiechem odpowiedział chachoł. — Ale kiedy nam przyjdzie wójwować — tego nie wiem! Widzisz, przedtem trzeba głowę uzbroić, a potem ręce. Myślę...

Mikołaj zaczął znowu jeść. Matka przyglądała mu się niespostrzeżenie, spode łba, starając się znaleźć w nim coś, co by ją pogodziło z ciężką, kwadratową postacią Wiesowszczykowa.

I spotykając się z kłującym spojrzeniem jego maleńkich oczu, nieśmiało poruszyła brwiami. Andrzej zachowywał się tak, jakby go coś niepokoiło — nagle zaczynał mówić, wybuchał śmiechem, urywał w pół zdania i zaczynał świstać.

Matce zdawało się, że rozumie jego obawę. A Mikołaj siedział milczący i gdy chachoł pytał go o coś, odpowiadał krótko, z wyraźną niechęcią.

W małym pokoiku dwom jego mieszkańcom stawało się coraz duszniej i to jedno, to drugie rzucało przelotne spojrzenia na gościa.

Wreszcie Wiesowszczykowi wstał i powiedział:

— Położyłbym się spać. Siedziałem, siedziałem, nagle puścili, poszedłem... Zmęczony jestem.

Gdy odszedł do kuchni i, pokręciwszy się po niej trochę, nagle jak gdyby zmarł, matka wsłuchując się w ciszę, szepnęła Andrzejowi:

— On zamyśla coś strasznego...

— Ciężki chłopak! — zgodził się chachoł kiwając głową.

wą. — Ale to minie! I ja to też przechodziłem. Gdy nie pali się jasno w sercu — dużo sadzy w nim się zbiera. No, ale wy, mateńko, połóżcie się, a ja jeszcze posiedzę i poczytam.

Odeszła w ką, gdzie stało łóżko, zakryte perkalikową zasłoną, i Andrzej siedząc przy stole, długo jeszcze słyszał ciepły szelest jej modlitw i westchnień. Szybko przerzucając stronicę książki, Andrzej nerwowo pocierał sobie czoło, kręcił wąsy długimi palcami, szurał nogami. Stukało wahadło zegara, za oknem wzdychał wiatr.

Rozległ się cichy głos matki:

— O Boże! Tylu ludzi jest na świecie i każdy po swojemu jęczy. Gdzież są ci, którym jest radośnie?

— Są już i tacy, są! Wkrótce będzie ich dużo — ach, jak dużo! — odezwał się chachoł.

XXI

Życie płynęło wartko, dni były różnobarwne i miały różne oblicza. Każdy przynosił z sobą coś nowego, ale to nie przerażało już matki. Coraz częściej pojawiali się wieczorami nieznani, zafrasowani ludzie, półgłosem rozmawiali z Andrzejem i późną nocą podnosząc kołnierze i nasuwając czapki nisko na oczy, odchodzili w ciemność, ostrożnie, bezszelestnie. W każdym z nich wyczuwało się powstrzymywane podniecenie. Zdawało się, że wszyscy oni chcą śpiewać i śmiać się, ale nie mają czasu, gdyż śpieszą zawsze dokądś. Jedni byli ironiczni i poważni, drudzy weseli, iskrzący się siłą młodości, trzeci zamyśleni i cisi — wszyscy mieli jednak w oczach matki coś wspólnego — wytrwałość i wiarę. I chociaż każdy z nich miał własne oblicze, to dla niej wszystkie ich twarze zlewały się w jedną — chudą, spokojną, stanowczą i jasną twarz z głębo-

kim spojrzeniem ciemnych oczu, łagodną i surową jak spojrzenie Chrystusa na drodze do Emaus.

Matka liczyła ich i w myśli zbierała w tłum otaczający Pawła — w tłumie tym Paweł stawał się niedostrzegalny dla oczu wrogów.

Pewnego razu przyszła z miasta dziarska, kędzierzawa dziewczynka, przyniosła dla Andrzeja jakieś zawiniątko i odchodząc powiedziała do Własowej błyskając wesołymi oczyma:

— Do widzenia, towarzyszek!

— Do widzenia! — powstrzymując uśmiech powiedziała matka.

A odprowadziwszy dziewczynkę, podeszła do okna i patrzyła, jak przez ulicę, żwawo przebiegając maleńkimi nóżkami, szła jej towarzyszka, świeża jak wiosenny kwiatek, lekka jak motylek.

— Towaryszko! — powtórzyła matka, kiedy gość znikł. — Ech ty, szczebiotko! Niech ci da Bóg uczciwego towarzysza na całe twoje życie!

Często dostrzegała we wszystkich ludziach z miasta coś dziecinnego i uśmiechała się pobłażliwie, ale wzruszała ją i radośnie zadziwiała ich wiara, której głębię odczuwała coraz wyraźniej, a ich marzenia o zwycięstwie sprawiedliwości ogrzewały ją swym ciepłem. I słuchając ich, mimo woli wzdychała pod wpływem jakiegoś nieokreślonego smutku. Najbardziej jednak wzruszała ją ich prostota i piękna, szczodra niedbałość w stosunku do samych siebie.

Rozumiała już wiele z tego, co mówili o życiu, czuła, że odkryli prawdziwe źródło niedoli ludzkiej i przywykła zgadzać się z ich myślami. Ale w głębi duszy nie wierzyła, że zdołają przebudować życie po swojemu, że starczy im siły, by przyciągnąć do swego obozu cały roboczy lud. Każdy chce być syty dzisiaj, nikt nie chce odkładać swego obiadu do jutra, jeśli może zjeść go teraz. Niewiele pójdzie

tą daleką i trudną drogą, niewiele oczu dostrzeże na jej końcu bajeczne królestwo braterstwa wszystkich ludzi. Oto dlatego wszyscy ci dobrzy ludzie, nie bacząc na ich brody i niekiedy znużone twarze, wydawali się jej dziećmi.

— Kochani wy moi! — myślała kiwając głową.

Ale wszyscy oni już teraz żyli dobrym, poważnym i rozumnym życiem, mówili o prawdzie i sprawiedliwości i, chcąc nauczyć ludzi tego, co sami wiedzieli, nie szczędzili siebie. Rozumiała, że takie życie można pokochać mimo jego niebezpieczeństw i wzdychając oglądała się wstecz, gdzie wąską, ciemną, jednostajną smugą ciągnęła się jej przeszłość. Niespostrzeżenie zdobyła spokojną świadomość swojej użyteczności dla tego nowego życia — dawniej nigdy nie czuła się potrzebna komuś, a teraz widziała jasno, że jest potrzebna wielu. Było to nowe, przyjemne uczucie i podnosiło jej głowę...

Regularnie nosiła do fabryki odezwy. Uważała to za swój obowiązek. Szpicle przyzwyczaili się do niej — spowszedniała im. Kilka razy rewidowano ją, ale zawsze na drugi dzień po ukazaniu się odezwy w fabryce. Gdy nie miała nic, umiała wzbudzić podejrzenia szpicli i stróży. Chwytała ją, obszukiwali, a ona udawała obrażoną, sprzeczała się z nimi i, zawstydzony ich, odchodziła dumna ze swojej zręczności. Podobała się jej ta gra.

Wiesowszczykowa nie przyjęła do fabryki. Poszedł na służbę do handlarza drzewa i rozwoził po osiedlu belki, deski i drwa na opał. Matka widywała go prawie codziennie. Mocno wpięrając się drżącymi nogami w ziemię, szła para karych koni. Oba były stare, kościste, głowy ich kiwały się ze smutkiem i zmęczeniem, zamglone oczy mrugały ze znużenia. Za nimi ciągnęła się podrygując długa, mokra belka albo kupa desek, których końce uderzały o siebie z hałasem, a z boku puściwszy lejce, szedł Mikołaj, obdarty, brudny, w ciężkich butach i czapce zsuniętej

na tył głowy, niezdarny jak pień wyrwany z ziemi. Mikołaj także kiwał głową patrząc pod nogi. Jego konie najeżdżały na oślep na inne wozy, na ludzi. Wokoło niego unosiły się jak trzmielce wściekle wymysły, przecinały powietrze złe okrzyki. Nie podnosząc głowy i nie odpowiadając na nie, świstał ostro i przenikliwie i głucho mruczał do koni:

— Wio! Ciągnij!

Za każdym razem, gdy u Andrzeja zbierali się towarzysze, żeby przeczytać nowy numer zagranicznej gazety albo broszury, przychodził i Mikołaj, siadał w kącie i w milczeniu słuchał godzinę, dwie. Skończywszy czytanie młodzież długo dyskutowała. Ale Wiesowszczykowi nie brało udziału w jej sporach. Zostawał najdłużej, i znalazłszy się sam z Andrzejem, zadawał mu ponure pytanie:

— A kto jest najbardziej winny ze wszystkich?

— Winny jest, widzisz, ten, kto pierwszy powiedział — to moje! Ale człowiek ten umarł kilka tysięcy lat temu i nie warto się na niego gniewać! — mówił żartobliwie chachoł, ale oczy jego patrzyły z niepokojem.

— A — bogaci? A ci, którzy są po ich stronie?

Chachoł chwycił się za głowę, targał wąsy i długo mówił prostymi słowami o życiu i o ludziach. Ale z jego słów wynikało zawsze, że winni są w ogóle wszyscy ludzie, i to nie zadowalało Mikołaja. Mocno zacisnąwszy grube wargi, kręcił przecząco głową, oświadczał z niedowierzaniem, że to coś nie tak, i odchodził niezadowolony i ponury.

Pewnego razu powiedział:

— Nie, winni muszą być — oni są tutaj! I powiem ci — powinniśmy przeorać całe życie, jak zachwaszczone pole, bez litości!

— Tak właśnie powiedział raz kontroler Isaj o was! — przypomniała sobie matka.

— Isaj? — zapytał po chwili milczenia Wiesowszczykowi.

— Tak. Zły człowiek! Podgląda wszystkich, wypytuje — po naszej ulicy zaczął chodzić i do okien nam zaglądać...

— Zagląda? — powtórzył Mikołaj.

Matka leżała już w łóżku i nie widziała jego twarzy, ale zrozumiała, że powiedziała coś zbyt ciężkiego, bo chachoł odezwał się pośpiesznie, pojednawczo:

— A niech chodzi i zagląda! Ma dużo wolnego czasu, to chodzi sobie na spacer...

— Nie, poczekaj! — głucho powiedział Mikołaj. — Otóż on jest winny!

— Czemu? — zapytał chachoł. — Czy dlatego, że jest głupi?

Własowszczykowi nie odpowiedział, odszedł.

Chachoł powoli i ze znużeniem chodził po pokoju, cicho szurając cienkimi pajęczymi nogami. Buty zdjął, robił to zawsze, żeby nie stukać i nie przeszkadzać Własowej. Ale Pelagia nie spała i, kiedy Mikołaj odszedł, powiedziała z lękiem:

— Boję się go!

— Taak! — powoli przeciągnął Andrzej. — Chłopak zacięty. Wy, mateńko, o Isaju z nim nie mówcie — ten Isaj naprawdę szpieguje.

— Cóż tu dziwnego? Ma kuma żandarma — zauważyła matka.

— Jeszcze go Mikołaj gotów pobić — ciągnął dalej z obawą chachoł. — Otóż widzicie, jakie uczucia wychowali panowie komendanci naszego życia u prostych żołnierzy? Gdy tacy ludzie, jak Mikołaj, poczują swoją krzywdę i wyczerpie się ich cierpliwość — co wtedy będzie? Niebo krwią zabryzgają, a ziemia się od niej jak mydło zapieni...

— Tak mi straszno, Jędrusiu! — cicho zawołała matka.

— Żeby nie łykali much, to by nie żygali! — powiedział po chwili milczenia Andrzej. — I mimo wszystko, mateńko,

każda kropla ich krwi jest już z góry obmyta morzem łez
ludu...

I nagle zaśmiawszy się cicho, dorzucił:

— To sprawiedliwe — ale — to nie pociesza!

XXII

Pewnego razu, w święto, matka przyszła ze sklepiku, otworzyła drzwi i stanęła w progu, oblana nagłą radością jak ciepłym letnim deszczem: w pokoju dźwięczał mocny głos Pawła.

— Otóż i ona! — zawołał chachoł.

Matka widziała, jak gwałtownie odwrócił się Paweł. Jego oczy zapłonęły uczuciem, które zapowiadało dla niej coś wielkiego i nowego.

— Przyszedł i... jest w domu... — wybełkotała i, zaskoczona niespodzianką, zmieszana, usiadła.

Nachylił się nad nią. Był blady, w kątach jego oczu błyszczały drobne, jasne łzy, usta drżały. Chwilę milczał i matka patrzyła na niego także w milczeniu.

Chachoł, cicho poświstując, przeszedł mimo nich, ze spuszczoną głową, i wyszedł na podwórze.

— Dziękuję, mammo! — głębokim, niskim głosem powiedział Paweł ściskając jej rękę drżącymi palcami. — dziękuję, kochanie!

Radośnie wstrząśnięta wyrazem twarzy i dźwiękiem głosu syna, gładziła jego głowę i, wstrzymując bicie serca, powtarzała cicho:

— Bóg z tobą! Za co?

— Za to, że pomagasz wielkiemu naszemu dziełu, dziękuję! — odpowiedział. — Kiedy człowiek może nazwać swoją matkę matką i z ducha — rzadkie to szczęście!

Matka chłonąc chciwie otwartym sercem jego słowa, w milczeniu rozkoszowała się synem. Stał przed nią taki promienny i bliski.

— Widziałem, mamó, że wiele rzeczy boleśnie raniło ci serce, że ci trudno. Myślałem, że nigdy nie pogodzisz się z nami, nie uznasz naszych myśli za swoje, że będziesz w milczeniu cierpieła, jak cierpiełaś całe życie. To było ciężkie dla mnie!...

— Jędrus dużo rzeczy pomógł mi zrozumieć — przerwała mu.

— Opowiadał mi o tobie! — śmiejąc się powiedział Paweł.

— I Jegor także. To mój swojak. Jędrus mnie nawet czytać chciał uczyć.

— A ty — wstydziałaś się i sama w tajemnicy zaczęłaś się uczyć.

— Już podpatrzył! — wykrzyknęła zmieszana matka. I zaniepokojona nadmiarem radości napełniającej jej serce, zaproponowała Pawłowi:

— Trzeba go zawołać! Umyślnie odszedł, żeby nie przeszkadzać. On — nie ma matki...

— Andrzej! — krzyknął Paweł otwierając drzwi do sieni — gdzie jesteś?

— Tutaj. Chcę drzewa narąbać.

— Chodź tu!

Ale Andrzej przyszedł nie od razu, a wszedłszy nareszcie do kuchni, zauważył po gospodarsku:

— Trzeba powiedzieć Mikołajowi, żeby drzewa przywiózł — mało już mamy drzewa. Widzicie, mateńko, jak Paweł wygląda? Zamiast tego, żeby karać buntowników, władze odkarmiają ich tylko...

Matka roześmiała się. Serce zamierało w niej jeszcze ze szczęścia, była pijana radością, ale jednocześnie budziła się w niej ostrożność skąpca. Chciała widzieć syna tak spo-

kojnego, jak zawsze: było jej zbyt dobrze i pragnęła złożyć tę pierwszą wielką radość swego życia w głębi serca, ukryć ją w nim, by zachowała się tam tak żywa i silna, jak przyszła. I obawiając się stracić z niej coś, śpieszyła ukryć ją, jak łowca ptaków, który przypadkiem złapał rzadkiego ptaka.

— Siadajmy do obiadu! Ty, Pawełku, nie jadłeś pewnie jeszcze — zaproponowała krzątając się.

— Nie. Dowiedziałem się wczoraj od dozorczy, że postanowiono mnie wypuścić. Nie mogłem ani pić, ani jeść...

— Pierwszego spotkałem tutaj starego Sizowa — opowiadał Paweł. — Zobaczywszy mnie, przeszedł na drugą stronę, wita się. Mówię mu — wy teraz ostrożnie ze mną, jestem człowiekiem niebezpiecznym i znajduję się pod dozorem policji. Nic nie szkodzi — mówi. I wiesz, jak zapytał o siostrzeńca? Jak tam — mówi — Fedzia? Czy dobrze się sprawował? Co to znaczy — dobrze się sprawować w więzieniu? No — powiada — czy nie mówił czegoś niepotrzebnego, nie wypaplał czegoś przeciw towarzyszom? A kiedy odpowiedziałem, że Fedzia jest uczciwym i mądrym człowiekiem, pogładził brodę i dumnie oświadczył — my, Sizowowie, złych ludzi w swojej rodzinie nie mamy!

— To stary z głową! — powiedział chachoł kiwając głową. — Rozmawiamy z nim często — dobry chłop. Czy prędko wypuszczą Fedzię?

— Myślę, że wszystkich wypuszczą. Nie mają w rękę nic, prócz zeznań Isaja, a cóż on mógł powiedzieć?

Matka chodziła tam i z powrotem i patrzyła na syna, Andrzej słuchając jego opowiadań, stał przy oknie założywszy ręce w tył. Paweł chodził po pokoju. Odrośla mu broda i miękkie, delikatne włosy wiły się na policzkach zmiękczając śniadość jego twarzy.

— Siadajcie — poprosiła matka stawiając na stole gorącą strawę.

Przy obiedzie Andrzej opowiedział o Rybinie. Gdy skończył, Paweł zawołał z żalem:

— Gdybym był w domu, nie puściłbym go! Co on zabrał ze sobą? Uczucie wielkiego buntu i — zamęt w głowie.

— No — powiedział chachoł uśmiechając się — gdy człowiek ma czterdzieści lat i długo borykał się w sobie z różnymi myślami — trudno go przerobić...

Wywiązał się jeden z tych sporów, gdy ludzie zaczęli mówić słowami niezrozumiałymi dla matki. Skończyli już jeść, ale ciągle jeszcze obsypywali się wzajemnie gradem mądrych, wymyślnych słów. Czasem mówili coś zrozumialszego.

— Powinniśmy iść naszą drogą i ani na krok nie zbacać z niej! — twardo powiedział Paweł.

— I natknąć się na tej drodze na kilkadziesiąt milionów ludzi, którzy powitają nas jak wrogów...

Matka przysłuchiwała się ich sporowi i rozumiała, że Paweł nie lubi chłopów, a chachoł występuje w ich obronie dowodząc, że i chłopów trzeba uczyć dobra. Matka lepiej rozumiała Andrzeja i wydawało się jej, że to on ma słuszność, ale gdy mówił Paweł, wyteżęła całą uwagę i, wstrzymując oddech, czekała odpowiedzi syna, żeby jak najprędzej dowiedzieć się, czy nie obraził go chachoł!... Ale krzyczeli na siebie nie obrażając się...

Czasem matka pytała syna:

— Czy to aby tak, Pawełku?

Odpowiadał uśmiechając się:

— Tak!

— Szanowny pan — z uprzejmą zjadliwością mówił chachoł — podjadł sobie do syta, ale źle przeżuł i kawałek w utknął w gardle wiemożnemu panu. Może przepłucze pan sobie gardziółko?

— Nie wygłupiaj się! — poradził mu Paweł.
— Ależ ja — jak na żałobnym nabożeństwie!
Matka śmiała się cicho kiwając głową.

XXIII

Zbliżała się wiosna, topniał śnieg obnażając brud i sadzę ukrytą w swojej głębi. Z każdym dniem brud i błoto uporczywiej rzucały się w oczy, cała osada wydawała się odziana w łachmany, nieumyta. Za dnia kapało z dachów, topniał śnieg, szare ściany domów pociły się i dymiły, a w nocy wszędzie bieleły niewyraźnie lodowe sople. Coraz częściej na niebie ukazywało się słońce i śmieiej szemrały spływające ku bagnom strumienie.

Przygotowywano się do obchodu Pierwszego Maja.

Po fabryce i osadzie fruwały odezwy, wyjaśniające znaczenie tego święta, i nawet nietknięta propaganda młodzież mówiła czytając je:

— Trzeba to urządzić!

Wiesowszczykowi uśmiechając się ponuro wołał:

— Czas już! Dostyc tej zabawy w chowanego!

Cieszył się Fedzia Mazin. Wychudł bardzo, a nerwowe trzepotanie jego ruchów i słów czyniło go podobnym do skowronka w klatce. Towarzyszył mu zawsze milczący i zbyt poważny na swój wiek Jakub Somow, pracujący teraz w mieście. Samojułow, który jeszcze bardziej wyrudział w więzieniu, Wasyli Gusiew, Bukin, Dragunow i jeszcze niektórzy dowodzili konieczności pójścia z bronią, ale Paweł, Andrzej, Somow i inni nie zgadzali się z nimi.

Przyszedł Jegor, jak zawsze zmęczony, spotniały, zadywany, i żartował:

— Praca nad zmianą istniejącego ustroju jest wielką pracą, towarzysze, ale żeby miała większe widoki powodze-

nia, muszę kupić sobie nowe buty! — mówił wskazując na swoje porwane i mokre trzewiki. — Kalosze porwały mi się także nieuleczalnie i każdego dnia przemaczam sobie nogi. Nie chcę przejechać się do wnętrza ziemi, zanim nie wyrzekniemy się publicznie starego świata i dlatego proponuję odrzucić wnioski towarzysza Samojłowa o zbrojnej demonstracji, a natomiast uzbroić mnie w parę mocnych butów, albowiem jestem głęboko przekonany, że będzie to pożyteczniejsze dla tryumfu socjalizmu, niż największe nawet mordobicie! . . .

Tym samym wyszukany językiem opowiadał robotnikom o tym, jak w różnych krajach lud starał się ulżyć swojej doli. Matka lubiła go słuchać i wyniosła z jego przemówień szczególne wrażenie: najchytrzejszymi wrogami ludu, którzy go najczęściej i najokrutniej oszukiwali, były maleńkie człowieczki, pyzate, o czerwonych pyskach, niegodziwe, chciwe, chytne i okrutne. Gdy było im ciężko pod władzą cesarzy, podjudzali lud przeciw władzy carskiej, ale kiedy lud powstawał i odbierał władzę z rąk królewskich, człowieczki podstępnie przywłaszczali ją sobie, zaganiali lud do nor, a jeśli przeciwstawiał się im — wybijali go setkami i tysiącami.

Pewnego razu zebrawszy się na odwagę, opowiedziała mu o tym obrazie, który wytworzyła sobie z jego opowiadań, i zapytała:

— Czy to tak, Jegorze Iwanowiczu?

Jegor śmiał się wywracając oczy, dusił się, rozcierał pierś rękami.

— Zaprawdę tak, mamusi! Schwyciliście za rogi byka historii! Na tym zółciutkim tle są pewne ornamenty, to jest wyszywanki, ale nie zmieniają one istoty rzeczy! Rzeczywiście te tłusciutkie człowieczki, to główni winowajcy i najbardziej jadowite owady kęszące lud. Francuzi udalnie

nazwali ich — burżua. Zapamiętajcie, mamusiu — burżu-a. Gryzą one nas, gryzą i wysysają...

— Bogaci, czy tak? — zapytała matka.

— Otóż to właśnie! W tym leży ich nieszczęście. Jeśli, widzicie, do pożywienia dziecka dodawać po odrobinie miedzi, to to wstrzymuje wzrost jego kości, i dziecko staje się karzelkiem, a jeżeli truc człowieka złotem — dusza jego robi się maleńka, martwa i szara, zupełnie jak gumowa piłeczka za pięć groszy.

Pewnego razu mówiąc o Jegorze, Paweł powiedział:

— Wiesz, Andrzeju, najwięcej żartują ci ludzie, w których serce płacze...

Chachoł pomilczał, po czym przymrużywszy oczy, odpowiedział:

— Gdybyś miał słuszość, cała Rosja umierałaby ze śmiechu...

Znowu zjawiała się Natasza. Natasza także siedziała w więzieniu, gdzieś w innym mieście, ale to nie zmieniło jej. Matka zauważyła, że przy niej chachoł stawał się weselszy, sypał żartami, zaczepiał wszystkich z właściwą sobie czułą zjadliwością wzbudzając w niej śmiech. Ale gdy odchodziła zaczynał smutnie gwizdać swoje nie kończące się pieśni i długo chodził po pokoju jednostajnie szurając nogami.

Często przybiegała Sasza, zawsze zachmurzona i śpięsząca się dokądś i coraz bardziej czegoś kanciasta i szorstka.

Pewnego razu Paweł odprowadzając ją wyszedł do sieni i nie zamknął za sobą drzwi; matka usłyszała ich rozmowę:

— To wy będziecie nieść sztandar?

— Ja.

— Czy to postanowione?

— Tak. Mam do tego prawo.

— Znowu więzienie?!

Paweł milczał.

— Czy nie moglibyście... — zaczęła i urwała.

— Co? — zapytał Paweł.

— Ustąpić komu innemu...

— Nie! — powiedział stanowczo.

— Pomyślcie — macie taki wpływ, kochają was!... Wy i Nachodka jesteście na czele tutaj — ile możecie zrobić w osadzie — pomyślcie! A przecież za to ześlą was daleko i na długo!

Matce wydało się, że w głosie dziewczyny brzmia dobrze znane jej uczucia — smutek i strach. I słowa Saszy padały na jej serce jak wielkie krople lodowatej wody.

— Nie, zdecydowałem się już! — powiedział Paweł. — I nie wyrzeknę się tego za nic.

— Nawet, jeśli ja będę prosić?...

Paweł zaczął nagle mówić prędko i jakoś szczególnie surowo:

— Wy nie powinniście tak mówić! Co wam? Wam nie wolno!

— Jestem człowiekiem! — powiedziała cicho.

— Dobrym człowiekiem! — tak samo cicho, ale jakoś osobliwie, jakby dusząc się, powiedział Paweł. — Człowiekiem, który jest mi drogi, i dlatego... dlatego nie trzeba tak mówić...

— Żegnaj!... — odezwała się dziewczyna.

Po stuku jej obcasów matka poznała, że odeszła prędko, prawie pobiegła. Paweł wyszedł za nią na podwórze.

Ciężki, dławiący strach ścisnął serce matki. Nie zrozumiała o czym mówili, ale czuła, że czeka ją cierpienie.

— Co on chce zrobić?

Paweł wrócił razem z Andrzejem; chachoł mówił kiwając głową:

— Ech! Isaj, Isaj! Co z nim począć?

— Trzeba mu poradzić, żeby zaprzestał swoich kno-
wań! — pochmurnie powiedział Paweł.

— Pawelku, co ty chcesz zrobić? — zapytała matka spuszczać głowę.

— Kiedy? Teraz?

— Pierwszego... Pierwszego Maja.

— Aha! — wykrzyknął Paweł. I zniżając głos: — Będę niósł nasz sztandar. Pójdę z nim na czele wszystkich. Za to posadzą mnie pewnie znowu do więzienia.

Oczy zapiekły matkę, w ustach poczuła nieprzyjemną suchość. Paweł wziął jej rękę, pogładził.

— Zrozum, że to potrzebne!

— Ja przecież nic nie mówię! — powiedziała powoli podnosząc głowę. Ale kiedy oczy jej spotkały się z upartym blaskiem jego spojrzenia, spuściła ją znowu.

Puścił jej rękę, westchnął i powiedział z wyrzutem:

— Nie martwić się powinnaś, ale cieszyć. Kiedyż będą matki, które nawet na śmierć posłały swoje dzieci z radością?...

— Hop! Hop! — mruknął chachoł. — Pojechał pan zakasawszy kaftan!...

— Czy ja coś mówię? — powtórzyła matka. — Ja ci nie przeszkadzam przecież. A jeżeli mi ciebie żal, to już takie nasze matczyne...

Odwrócił się od niej i usłyszała jego szorstkie, ostre słowa:

— Jest miłość, która przeszkadza człowiekowi żyć...

Matka wzdrygnęła się. Lękała się, że Paweł powie jeszcze coś odtrącającego serce, i szybko przerwała mu:

— Nie trzeba, Pawelku! Ja rozumiem — inaczej nie możesz — dla towarzyszy...

— Nie! — powiedział Paweł. — Ja — dla siebie.

W drzwiach stanął Andrzej. Był wyższy niż drzwi i teraz stojąc w nich jak w bramie, musiał dziwacznie podgiąć kolana opierając się jednym ramieniem o framugę, a drugie ramię, szyję i głowę wystawiając naprzód.

— Dość już tej gadaniny, mój panie! — powiedział ponuro zatrzymując na twarzy Pawła swoje wypukłe oczy. Był podobny do jaszczurki w szczelinie skalnej.

Matce chciało się rozplakać. Nie chcąc, żeby syn widział jej łzy, zamruczała nagle:

— Ach, Boże mój! Zapomniałam...

I wyszła do sieni. Tam wetknęła głowę w kąt i dała folgę łzom swojej krzywdy. Płakała w milczeniu, bezdźwięcznie, słabnąc od łez, jak gdyby razem z nimi upływała krew jej serca.

Przez uchylone drzwi dochodziły do niej głuche odgłosy ich sporu.

— Ty co — zachwycasz się sobą męcząc matkę? — pytał chachoł.

— Nie masz prawa tak mówić! — krzyknął Paweł.

— Dobry byłby ze mnie przyjaciel, gdybym milczał widząc twoje głupie, koźłące podskoki! Czy wiesz chociaż, po coś to powiedział?

— Trzeba zawsze mówić twardo i tak, i nie!

— Jej?

— Wszystkim! Nie chcę ani miłości, ani przyjaźni, która czepia się nóg, zatrzymuje...

— Bohater! Wytrzymaj nos! Wytrzymaj i — idź powiedzieć to wszystko Saszeńce. Jej trzeba to było powiedzieć...

— Powiedziałem!

— Tak? Kłamiesz! Do niej mówiłeś łagodnie, do niej mówiłeś czule, nie słyszałem, ale — wiem! Ale przed matką rozpuściłeś ogon jak paw... bohater! Zrozum, koźlaku, że twoje bohaterstwo nie warte jest grosza!

Własowa zaczęła prędko ścierać łzy z policzków. Przestraszyła się, że chachoł obrazi Pawła, pośpiesznie otworzyła drzwi, weszła do kuchni i, drżąc jeszcze, pełna rozpaczy i strachu, odezwała się głośno:

— Uch, zimno! A — wiosna przecie...

Zakrzętała się w kuchni przesuając bez celu różne rzeczy z miejsca na miejsce i starając się zagłuszyć niższe głosy w pokoju.

— Wszystko się zmieniło — ciągnęła dalej jeszcze głośniejszym głosem — ludzie stali się gorętsi, a pogoda chłodniejsza. Bywało w tym czasie ciepło takie, niebo jasne, słońce...

W pokoju umilkło. Zatrzymała się pośrodku kuchni, w oczekiwaniu.

— Słyszałeś? — rozległo się ciche pytanie Andrzeja. — To trzeba zrozumieć, do diabła! Tu jest większe bogactwo niż w tobie.

— Napijcie się herbatki? — spytała drżącym głosem. I nie czekając odpowiedzi zawołała, żeby ukryć to drżenie:

— Co to jest, że tak zmarzłam!

Paweł wyszedł do niej powoli. Patrzył spode łba, z zawstydzonym uśmiechem na drżących ustach.

— Przebacz mi, mamó! Smarkacz jeszcze ze mnie! Głupiec! — powiedział cicho.

— Nie odtrącaj mnie! — krzyknęła przytulając jego głowę do piersi. — Nie mów nic! Bóg z tobą — twoje życie to twoja sprawa! Ale nie rań mi serca! Czy może matka nie żałować? Nie może! Wszystkich mi żal! Wszyscyście dla mnie jak rodzeni, wszyscy — zasługujecie... Kto was pożałuje, prócz mnie?... Idziesz, za tobą inni. Wszystko rzucili, poszli... Pawełku!

W piersiach jej trzepotała wielka, gorąca myśl i uskrzydlała jej serce uczuciem natchnionej, bolesnej radości. Matka nie umiała jednak znaleźć słów i w męce swojej niemości machała ręką i patrzyła w twarz syna oczyma płonącymi wyrazistym, ostrym bólem...

— Już dobrze, mamó! Wybacz... Przecież widzę! — wyjąkał spuszczaając głowę. I rzuciwszy jej przelotne spojrzanie, dorzucił z uśmiechem odwracając głowę, zawstydzony, ale szczęśliwy:

— Nie zapomnę tego nigdy — daję słowo!

Odsunęła go od siebie i, zaglądając do pokoju, powiedziała do Andrzeja z czułą prośbą:

— Jędrusiul! Nie krzyczcie na niego! Wy, naturalnie, jesteście starsi, ale...

Chachoł stał, odwrócony do niej plecami. Nie poruszył się, tylko dziwacznie i śmiesznie zaryczał:

— U! U! U! Będę wrzeszczeć na niego! I bić będę także!

Szła ku niemu powoli, z wyciągniętą ręką.

— Najlepszy mój człowieku... — mówiła.

Chachoł odwrócił się, spuścił głowę jak byk i, ścisnąwszy za plecami ręce, przeszedł obok niej do kuchni. Stamtąd odezwał się jego ponuro kpiący głos:

— Zabieraj się stąd, Paweł, żebyś ci głowy nie odgryził! Nie bójcie się, mateńko, ja tylko tak żartuję! Postawię samowar. Tak! Ależ drzewo macie... Mokre, diabła wartę!

Zamilkł. Gdy matka weszła do kuchni, siedział na podłodze dmuchając w samowar. Nie patrząc na nią, chachoł zaczął znowu:

— Nie bójcie się — nie dotknę go! Jestem miękki jak parzona rzepa! I ja... Ej ty, bohaterze, nie słuchaj! — I ja kocham go przecież! Tylko nie lubię — jego nowej kamizelki... On, widzicie, włożył nową kamizelkę, która bardzo mu się podoba. Chodzi więc nadęty, brzuch wysuwa i rozpycha wszystkich: popatrzcie, jaką mam kamizelkę! Kamizelka jest ładna — to prawda, ale — po co rozpychać się? I tak jest dość ciasno.

Paweł uśmiechnął się i zapytał:

— Czy długo jeszcze będziesz gderał? Dałeś mi już łanie, więc — dosyć chyba?

Chachoł siedział na podłodze z nogami wyciągniętymi po obydwu stronach samowaru i przyglądał mu się pilnie. Matka stała przy drzwiach. Oczy jej z łagodnym smutkiem zatrzymały się na okrągłym karku Andrzeja i jego długiej,

zgiętej szyi. Chachoł odrzucił w tył tułów opierając się rękoma o podłogę, spojrzął na matkę i syna trochę zaczerwienionymi oczyma i powiedział półgłosem mrugając:

— Dobrzy z was ludzie — tak!

Paweł schylił się, schwycił jego rękę.

— Nie szarp! — głucho powiedział chachoł. — Jeszcze mnie przewrócisz!...

— Czego się wstydzicie? — odezwała się matka. — Pocałowalibyście się, objęlibyście się, mocno, mocno...

— Chcesz? — zapytał Paweł.

— Można! — powiedział chachoł podnosząc się.

I objąwszy się mocno, zamarli na sekundę, dwa ciała i jedna dusza płonąca gorącym uczuciem przyjaźni.

Po twarzy matki popłynęły znowu łzy, ale nie były to już ciężkie łzy smutku. Ocierając je, powiedziała z zawstyżeniem:

— Lubi baba popłakać — ze zmartwienia płacze i z radości płacze!...

Chachoł odsunął Pawła miękkim ruchem i, wycierając oczy palcami, powiedział:

— Dosyć! Naswawoliły się cielęta, czas iść na pieczeń! Ach, diabelskie drzewo! Dmuchałem, dmuchałem — zaprosyłem sobie oczy...

Paweł spuściwszy głowę, usiadł przy oknie i powiedział cicho:

— Takich łez nie wstyd...

Matka podeszła do niego, usiadła obok. Uczucie ciepła i dziwnej rzeźkości napełniło jej serce. Było jej smutno, ale przyjemnie i spokojnie.

— Już ja zbiorę naczynia, posiedźcie sobie, mateńko! — powiedział chachoł wychodząc z pokoju. — Odpocznijcie! Namęczyliśmy was...

I w pokoju rozległ się jego śpiewny głos.

— Dobrze jest tak poczuć życie jak my teraz — prawdziwe, ludzkie życie!...

— Tak! — powiedział Paweł spojrzawszy na matkę.

— Wszystko stało się inne! — odezwała się. — Cierpienie inne, radość — inna...

— Tak właśnie powinno być! — powiedział chachoł. — Bo rośnie przecież nowe serce, mateńko moja miła, nowe serce w życiu wyrasta. Idzie człowiek, oświeca życie ogniem rozumu i krzyczy, i nawołuje: ludzie wszystkich krajów, łączcie się w jedną rodzinę! I na jego wołanie wszystko, co jest dobrego w sercach, łączy się w jedno wielkie serce, silne i dźwięczne jak srebrny dzwon...

Matka zacisnęła usta, żeby opanować ich drżenie i zamknęła oczy, żeby nie płakały.

Paweł podniósł rękę i chciał coś powiedzieć, ale matka ujęła ją, pociągnęła w dół i szepnęła:

— Nie przeszkadzaj mu...

— Wiecie? — powiedział chachoł stając w drzwiach. — Dużo niedoli czeka jeszcze ludzi, wiele krwi wycisną z nich jeszcze, ale wszystko to, całe moje cierpienie i krew, to jeszcze mała cena za to, co już teraz jest w moim sercu i w moim mózgu... Jestem już bogaty, wycierpię, ponieważ jest we mnie radość, której nikt, nic, nigdy nie zabije! W tej radości — siła!

Pili herbatę, siedzieli przy stole do północy prowadząc szczerą i serdeczną rozmowę o życiu, o ludziach, o przyszłości.

I kiedy jakaś myśl była zrozumiała dla niej, matka westchnąwszy brała coś ze wspomnień swojej przeszłości, a było to zawsze coś ciężkiego i brutalnego, i tym kamieniem ze swego serca umacniała myśl.

Strach jej stopniał w ciepłym potoku rozmowy, czuła się teraz, jak w ów dzień, kiedy ojciec powiedział jej surowo:

— Dość tego wykrzywiania gęby! Znalazł się głupiec, chce cię brać, idź! Wszystkie dziewczyny za mąż wychodzą, wszystkie baby dzieci rodzą, wszyscy rodzice przez dzieci cierpią! Ty co jesteś — nie człowiek?

Po tych słowach zobaczyła przed sobą nieuniknioną ścieżkę, która wiła się wokół pustego, ciemnego miejsca. I nieunikniona konieczność pójścia tą ścieżką nappełniła jej serce kamiennym spokojem. Tak było i teraz. Ale czując zbliżanie się nowego nieszczęścia, mówiła w duchu do kogoś:

— Macie! Weźcie!

I to sprawiało ulgę jej cichemu bólowi, który drgał i śpiewał w jej piersi jak napięta struna.

W głębi jej duszy tliła się jednak słabym, ale nie gasnącym płomieniem nadzieja, że wszystkiego jej nie zabiorą, nie wydrą... Coś zostanie...

XXIV

Z samego rana, za ledwie Paweł i Andrzej wyszli, zastukała do okna wystraszona Korsunowa i zawołała z pośpiechem:

— Isaja zabił! Chodźmy popatrzeć...

Matka wzdrygnęła się, a w głowie jej jak iskra, przeleciało imię zabójcy.

— Kto? — spytała krótko zarzucając na plecy chustkę.

— Nie siedzi tam przecie nad Isajem! Dźgnął i poszedł — odpowiedziała Maria.

Na ulicy dodała:

— Teraz znowu zaczną szperać, szukać winowajcy. Dobrze, że twoi byli w nocy w domu — ja mogę poświad-

czyć. Po północy przechodziłam, zajrzałam przez okno, wszyscyście przy stole siedzieli...

— Co ty, Mario? Czy o nich można nawet pomyśleć? — z przestraczem wykrzyknęła matka.

— A kto go zabił? Na pewno wasi! — z przekonaniem powiedziała Korsunowa. — Wszyscy wiedzą, że ich szpiegowali...

Matka zatrzymała się tracąc oddech. Przyłożyła rękę do piersi.

— A tobie co? Nie bój się! Należało się to złodziejowi! Chodźmy prędzej, bo go wywiozą!...

Matka chwiała się na nogach na myśl o Wiesowszczykowie.

— No i zdobył się! — myślała tępo.

Niedaleko od murów fabryki, na miejscu niedawno spalonego domu deptając węgle i podnosząc kurz z popiołu, stał tłum ludzi i huczał jak rój trzmieli. Dużo było kobiet, jeszcze więcej dzieci, sklepikarze, służący z szynku, policjanci, żandarm Peltin, wysoki starzec z puszystą srebrną brodą i medalami na piersiach.

Isaj pół leżał na ziemi, oparty plecami o opalone deski, zwiesiwszy obnażoną głowę na prawe ramię. Prawa ręka była wsunięta w kieszeń spodni, palce lewej wbiły się w pulchną ziemię.

Matka spojrzała mu w twarz. Jedno oko Isaja patrzyło zamglone na czapkę leżącą między jego rozrzuconymi, jakby ze zmęczenia, nogami, pół otwarte usta miały zdziwiony wyraz, ryża bródka sterczała w bok. Chude ciało o ostrej głowie i kościstej, piegowatej twarzy, stało się jeszcze mniejsze, ściągnięte przez śmierć. Matka westchnęła i przeżegnała się. Za życia był jej wstrętny, teraz budził w niej ciche politowanie.

— Nie ma krwi — zauważył ktoś półgłosem. — Pewnie kulakiem huknęli...

Rozległ się donośny, zły głos:

— Zamknęli pysk szpiclowi...

Żandarm wstrząsnął się i, rozsuwając tłum rękami, zapytał z pogróżką:

— Kto tu się mądrzy — co?

Ludzie rozsypali się pod jego szturchańcami, niektórzy szybko uciekli. Ktoś zaśmiał się złośliwie.

Matka pocszała do domu.

— Nikt go nie żałuje! — myślała.

A przed nią stała jak cień szeroka postać Mikołaja, jego wąskie oczy patrzyły chłodno i z okrucieństwem, a prawa ręka kiwała się, jakby uderzył się w nią...

Gdy syn i Andrzej przyszli na obiad, spytała ich przede wszystkim:

— No i co? — Nikogo nie zaaresztowali za Isaja?

— Nie słyhać! — odezwał się chachoł.

Widziała, że obydwaj byli przygnębieni.

— O Mikołaju nic nie mówią? — zapytała cicho.

Surowe oczy syna zatrzymały się na jej twarzy.

— Nie mówią — powiedział wyraźnie. — I chyba nie myślą. Nie ma go. Wczoraj w południe wyjechał nad rzekę i jeszcze nie powrócił. Pyta'em o niego...

— Dzięki Bogu! — odetchnęła z ulgą matka. — Dzięki Bogu!

Chachoł spojrział na nią i spuścił głowę.

— Leży — w zamyśleniu powiedziała matka — i jakby się dziwił — taką ma twarz. I nikt go nie żałuje, nikt nie powie dobrego słowa. Mały taki, niepozorny, zupełnie jak odłamek — odłamał się od czegoś, upadł i leży...

Przy obiedzie Paweł nagle rzucił łyżkę i zawolał:

— Nie rozumiem tego!

— Czego? — zapytał chachoł.

— Zabić zwierzę tylko dlatego, że trzeba jeść — i to już nawet jest wstętnie. Zabić zwierzę — drapieznika —

to zrozumiałe! Ja sam mógłbym zabić człowieka, który stał się zwierzęciem dla ludzi. Ale zabić takiego nędznego człowieka — że też ręka nie opadnie?

Chachoł wzruszył ramionami, po czym powiedział:

— Ten był szkodliwy nie mniej, niż zwierzę. Komar wypije trochę naszej krwi — też zabijamy!

— No, tak! Mnie nie o to chodzi... Mówię, że... to wstrętne!

— Co robić? — znowu powiedział Andrzej wzruszając ramionami.

— Czy ty mógłbyś zabić takiego? — zapytał w zamyśleniu Paweł, po długiej chwili milczenia.

Chachoł popatrzył na niego swoimi okrągłymi oczyma, przelotnie spojrzął na matkę i ze smutkiem, ale twardo odpowiedział:

— Za towarzyszy, za sprawę — wszystko mogę! I zabiję. Choćby syna.

— Oj, Jędrusiu! — cicho wykrzyknęła matka.

Uśmiechnął się i powiedział:

— Nie można inaczej! Takie jest życie...

— Taak!... — powoli przeciągnął Paweł — Takie jest życie...

W nagłym podnieceniu, jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrznego wstrząsu, Andrzej wstał, machnął rękami i zaczął mówić:

— Cóż robić? Trzeba nienawidzić człowieka, żeby prędzej nastął czas, gdy będzie można tylko zachwycać się ludźmi. Trzeba niszczyć tego, kto przeszkadza biegowi życia, kto sprzedaje ludzi za pieniądze, żeby kupić za nie spokój albo szacunek. Jeżeli na drodze sprawiedliwych stoi Judasz i chce ich sprzedać, byłbym sam Judaszem, gdybym nie zgładził go! Nie mam prawa? A oni, nasi panowie, mają prawo utrzymywać żołnierzy i katów, publiczne domy i więzienia, katorgę i całe to plugastwo, które chroni ich

spokój i ciepłko ich domowego ogniska? Czasem i ja mogę być zmuszony wziąć do ręki ich pałkę — cóż robić? Wezmę ją, nie uchylę się... Oni zabijają nas dziesiątkami i setkami — to daje mi prawo podnieść rękę i opuścić ją na jedną z głów wroga, który podszedł do mnie bliżej niż inni i jest niebezpieczniejszy dla sprawy mego życia. Takie jest życie. Idę przeciw niemu, nie chcę go. Wiem — ich krwią niczego się nie stworzy, ich krew nie jest płodna!... Prawda rośnie dobrze, gdy nasza krew zrasza ziemię rześistym deszczem. Ich krew jest zgniła i znika bez śladu. Wiem o tym! Ale przyjmę na siebie grzech, zabiję, jeśli zobaczę, że — trzeba! Ja przecież mówię tylko w swoim imieniu. Mój grzech umrze wraz ze mną, nie splami przyszłości, nie zabrudzi nikogo, prócz mnie — nikogo!

Chodził po pokoju machając ręką przed twarzą, jak gdyby rąbał coś w powietrzu, odcinał od samego siebie. Matka patrzyła na niego ze smutkiem i niepokojem czując, że coś pękło w nim i że boi go. Ciemne, niebezpieczne myśli o zabójstwie opuściły ją — jeśli nie zabił Wiesowszczyków, to nikt z towarzyszy Pawła nie mógł zrobić tego — myślała. Paweł opuścił głowę i słuchał chachoła, a chachoł mówił z uporem i z mocą:

— Na drodze w przyszłość trzeba czasem iść i przeciw samemu sobie. Trzeba umieć oddać wszystko, całe serce. Oddać życie, umrzeć za sprawę, to łatwe! Oddaj — więcej, oddaj to, co jest ci droższe, niż życie — oddaj — wtedy bowiem wzrosnie w moc to, co ci jest najdroższe — twoja prawda!

Zatrzymał się pośrodku pokoju, poblady, z pół przymkniętymi oczyma, i przemówił podniósłszy rękę, jakby w uroczystym przyrzeczeniu:

— Wiem — przyjdzie czas, kiedy ludzie będą się sobą wzajemnie zachwycać, kiedy jeden człowiek będzie w oczach drugiego jak gwiazda. Wolni ludzie będą chodzić

po ziemi, wielcy swoją wolnością. Wszyscy pójdą z otwartymi sercami, a serce każdego człowieka będzie czyste, wolne od zawiści, i nie będzie w nim złości. To już nie życie będzie wtedy, ale służba człowiekowi, i obraz człowieka wzniesie się wysoko — dla woźnych nie ma nieosiągalnych szczytów. Wtedy będzie się żyć dla prawdy, swobody i piękna, i za najlepszych będzie się uważać tych, którzy szerzej objęli sercem świat, którzy głębiej pokochają go — najlepszymi będą najwolniejsi — w nich jest najwięcej piękna! Wielcy będą ludzie tego życia...

Zamilkł, wyprostował się i powiedział donośnie, całą pierśią:

— Tak — dla tego życia gotów jestem na wszystko...

Twarz drgnęła mu, z oczu popłynęły jedna za drugą duże i ciężkie łzy.

Paweł podniósł głowę i patrzył na niego blady, szeroko otwartymi oczyma, matka wstała z krzesła czując jak rośnie i nadciąga ciemny lęk.

— Co z tobą, Andrzeju? — cicho zapytał Paweł.

Chachoł potrząsnął głową, wyciągnął się jak struna i powiedział patrząc na matkę:

— Widziałem... wiem...

Wstała, szybko podeszła do niego, chwyciła go za rękę. Próbował wydrzeć jej prawą, a'e ona uczepliła się jej mocno i mówiła gorącym szeptem:

— Kochanie moje! Ciszej! Najdroższy mój!

— Poczekajcie! — głucho powiedział chachoł. — Opowiem wam jak to było...

— Nie trzeba! — szeptała patrząc na niego oczyma pełnymi łez. — Nie trzeba, Jędrusiu...

Paweł podszedł powoli patrząc na towarzysza wilgotnymi oczyma. Był blady i powiedział z uśmiechem, cicho i powoli:

— Matka boi się, że to ty...

— Ja nie boję się! Nie wierzę! Gdybym nawet widziała, nie uwierzyłabym!

— Poczekajcie! — powiedział chachoł nie patrząc na nich. Poruszał wciąż głową i starał się oswobodzić rękę.

— To nie ja... Ale... mogłem nie pozwolić...

— Zostaw, Andrzeju! — odezwał się Paweł. I ściskając jedną ręką jego rękę, położył mu drugą na ramieniu, jakby starając się powstrzymać drżenie, które wstrząsało jego ogromną postacią. Chachoł pochylił ku nim głowę i cicho, przerywanym głosem, zaczął mówić:

— Nie chciałem tego, wiesz o tym, Pawle. To było tak: kiedyś ty poszedł naprzód, ja zatrzymałem się na rogu z Dragunowem. Isaj wyszedł z za węgła. Stał z boku. Patrzy na nas, uśmiecha się jadownicie... Dragunow powiedział — widzisz? To mnie on tak śledzi całą noc. Obiją go. Poszedł. Myślałem, że do domu... A Isaj podszedł do mnie.

Chachoł westchnął.

— Nikt mnie jeszcze nie obraził tak ohydnie, jak ten pies.

Matka w milczeniu pociągnęła go za rękę ku stołowi i wreszcie udało się jej posadzić go. Sama usiadła obok niego, ramię przy ramieniu.

Paweł stał przed nim ponuro skubiąc brodę.

— Mówił, że znają nas wszystkich, że wszystkich nas żandarmj mają na oku i wyłowią nas przed majem. Nie odpowiadałem, śmiałem się, a w sercu aż kipiało. Zaczął mówić, że jestem rozumnym chłopcem i nie powinienem iść tą drogą, że lepiej bym...

Zatrzymał się, wytarł twarz lewą ręką, a oczy jego błysnęły suchym blaskiem.

— Rozumiem! — powiedział Paweł.

— Że lepiej bym — powiada — poszedł na służbę prawa... Ha?

Chachoł machnął ręką i potrząsnął zaciśniętą pięścią.

— Prawa — przekłeta jego dusza! — powiedział przez zęby. — Lepiej uderzyłby w twarz... Lżej by mi było — i jemu także być może. Ale gdy plunął mi w serce swoją śmierdzącą śliną, nie ścierpiałem!

Andrzej kurczowo wydzierał swoją rękę z ręki Pawła i jeszcze bardziej głucho, z obrzydzeniem mówił:

— Uderzyłem go w twarz i poszedłem. Słyszę — z tyłu Dragunow mówi cicho: wpadłeś? Widać stał za węglem.

Po chwili milczenia chachoł powiedział:

— Nie obejrzałem się, chociaż czułem i słyszałem uderzenie... Idę sobie spokojnie, jakbym żabę odtrącił nogą. Przyszedłem do roboty, krzyczą — Isaja zabili! Nie wierzyłem. Ale ręka ciągnie mnie — trudno mi nią władać — nie boli, ale, jakby krótsza się stała...

Spojrzał z ukosa na rękę i powiedział:

— Na pewno całe życie nie zmyję teraz tego obrzydliwego piętna...

— Byle tylko serce twoje było czyste, kochanie moje! — cicho powiedziała matka.

— Nie czuję się winny! Nie! — twardo odezwał się chachoł. — Ale takie to wstrętne! Niepotrzebne mi to jest...

— Nie rozumiem cię dobrze! — powiedział Paweł wzruszając ramionami. — Nie ty zabiłeś, a gdyby nawet...

— Bracie, wiedzieć, że zabijają i nie przeszkodzić...

Paweł powiedział twardo:

— Zupełnie tego nie rozumiem...

A potem, pomyślawszy, dorzucił:

— To jest — zrozumieć mogę, ale odczuć — nie.

Zaryczała syrena. Chachoł przechylił głowę na bok, słuchając jej władczego wołania i wstrząsnąwszy się powiedział:

— Nie pójdę do pracy...

— Ja także — odezwał się Paweł.

— Pójdę do łaźni! — uśmiechając się krzywo, powiedział Andrzej i pośpiesznie, zebrawszy się w milczeniu, wyszedł ponury.

Matka odprowadziwszy go współczującym spojrzeniem, zwróciła się do syna:

— Jak chcesz, Pawełku! Wiem, że to grzech zabić człowieka, a nie uważam nikogo za winnego. Żal mi Isaja, taki małeńki się zrobił jak gwoździć. Popatrzyłam na niego, przypomniałam sobie, jak wygrażał się, że cię powiesi — i ani złości do niego, ani zadowolenia, że umarł. Po prostu żal go tylko. A teraz — nawet i nie żał...

Zamilkła, pomyślała i, uśmiechając się ze zdziwieniem, zauważyła:

— Panie Jezu! Słyszałeś, Pawełku, co ja mówię?...

Paweł zdaje się nie słyszał. Chodząc powoli, ze spuszczoną głową po pokoju, w chmurnym zamyśleniu, powiedział:

— Ot, jakie jest życie! Widzisz jak postawiono człowieka przeciw człowiekowi? Nie chcesz, a — bij! I kogo? Takiego samego wydziedziczonego człowieka, który jest jeszcze nieszczęśliwszy od ciebie, bo — głupi. Policja, żandarmi, szpiedzy — wszystko to nasi wrogowie, a przecie — wszyscy są takimi samymi ludźmi jak my. I tak samo wysysają z nich krew, i tak samo nie uważają ich za ludzi. Wszystko tak samo! A przecie postawili ludzi jednych przeciw drugim, oślepiłi głupotą i strachem, zwiążali im ręce i nogi, ścisnęli i ssą ich, dławią, biją jednych przy pomocy drugich. Zmienili ludzi w strzelby, pałki i kamienie i mówią: to jest państwo!...

Podszedł bliżej do matki.

— To jest przestępstwo, matko! Najpodlejszy mord milionów ludzi — mord dusz... Rozumiesz — duszę zabijają. Widzisz różnicę między nami i nimi — uderzył człowiek i brzydzi się, i wstyd mu, i boli go to. Ale najważniej-

sze — brzydzi się! A ci zabijają tysiącami, bez litości, bez drżenia serca, z zadowoleniem! I tylko dlatego zadławiają na śmierć wszystko i wszystkich, żeby ocalić srebro, złoto, marne papierki, całe to nędzne paskudztwo, które daje im władzę nad ludźmi. Pomyśl — nie siebie strzegą broniąc się mordem ludu, wypaczając dusze ludzkie, nie dla siebie robią to, ale dla swego majątku. Nie tego strzegą, co jest wewnątrz nich, ale tego, co z zewnątrz...

Wziął jej ręce, pochylił się i, potrząsając nimi, powiedział:

— Gdybyś odczuła całą obrzydliwość i haniebną zgniliznę tego — zrozumiałabyś naszą prawdę, zobaczyłabyś, jak wielka jest i jasna!...

Matka podniosła się wzburzona, przepelniona pragnieniem stopicnia swego serca z sercem syna w jeden płomień.

— Poczekaj — Pawełku — poczekaj! — wyjąkała bez tchu. — Ja — czuję — poczekaj!...

XXV

W sieni ktoś zakrzętał się głośno. Paweł i matka wzdręgnęli się i spojrzeli po sobie.

Drzwi otworzyły się wolno i wszedł ciężko Rybin.

— Tak! — powiedział podnosząc głowę i uśmiechając się. — Naszego Fomę ciągnie do wszystkiego, do wódki, do winka, do chleba białego!... Pięknie go powitajcie, nisko mu się kłaniajcie!

Odziany był w półkożuszek poplamiony dziegiem i w łapcie, za pasem miał zatknięte czarne rękawice, na głowie kosmatą czapę.

— Zdrowi jesteście? Wypuścili cię, Pawle? Tak. Jak się miewasz, Niłowna? — Uśmiechał się szeroko ukazując

białe zęby, głos jego dźwięczał bardziej miękko niż dawniej, twarz jeszcze gęściej zarosła brodą.

Matka ucieszyła się. Podeszła do niego, ścisnęła jego dużą, czarną rękę i wdychając zdrowy, mocny zapach dziegciu, mówiła:

— Ach ty!... Taka-m rada... taka-m rada!...

Paweł uśmiechał się oglądając Rybina.

— Dobry chłopak!

Rozbierając się powoli Rybin mówił:

— Tak. Znowu stałem się chłopem. Wy się na panów powoli kierujecie, a ja powracam... Ot co!

Obciążając pasiąstą koszulę, wszedł do pokoju, obrzucił go uważnym spojrzeniem i oświadczył:

— Dobytku wam nie przybyło, ale książek więcej — tak! No, powiadajcie, jak tam sprawy?

Usiadł, rozstawiwszy szeroko nogi i oparłszy się dłońmi o kolana, obmacywał pytająco Pawła swymi ciemnymi oczyma i, uśmiechając się dobronudnie, czekał odpowiedzi.

— Sprawy idą doskonale! — odpowiedział Paweł.

— Orzemy i siejemy, chwalić się nie umiemy, a urodzaj zbierzemy — z żyta winko zwarzymy, pokotem się położymy — tak? — baraszkował Rybin.

— Jak się wam żyje, Michale Iwanowiczu? — zapytał Paweł siadając naprzeciw niego.

— Niczego sobie. Dobrze mi się żyje. W Jengildziejewie zatrzymałem się, słyszeliście o Jengildziejewie? Dobra wieść. Dwa jarmarki w roku, mieszkańców więcej niż dwa tysiące — zły naród! Swojej ziemi nie mają, na dzierżawach siedzą — marna ziemia. Poszedłem na wyrobnika do jednego pasożyta — jest ich tam jak much na padlinie. Dziegieć gonimy, węgiel palimy. Otrzymuję za robotę cztery razy mniej niż tutaj, a grzbiet gnę dwa razy więcej. Ot co! Siedmiu nas pracuje u niego, u pasożyta. Niczego sobie naród — młodzi wszyscy, oprócz mnie, tamtejsi i czytać umie-

ją wszyscy. Jeden chłopak, Jefim, taka gorączka, że aż bieda z nim!

— Rozmawiacie z nimi? — z ożywieniem zapytał Paweł?

— Nie milczę. Zabrałem z sobą wszystkie tutejsze odczyty — trzydzieści cztery. Ale najwięcej biblii używam — stamtąd jest co brać. Książka gruba, rządowa, synod drukował, można jej wierzyć...

Mrugnął do Pawła i ciągnął dalej z uśmiechem:

— Tylko, że mało tego. Ja do ciebie po książki. Jesteś tu we dwóch — Jefima tego mam z sobą. Dziegieć woziliśmy, no, okrążyliśmy nieco i zajechaliśmy do ciebie! Zopatrz mnie w książki, póki Jefim nie przyjdzie — po co ma za dużo wiedzieć...

Matka patrzyła na Rybina i wydawało się jej, że razem z marynarką zdjął z siebie jeszcze coś. Stracił coś ze swojej stateczności, oczy jego patrzyły chytrze, nie tak otwarcie, jak dawniej.

— Mamo — powiedział Paweł — idźcie i przynieście książek. Tam wiedzą co dać. Powiedzcie, że dla wsi.

— Dobrze! — odpowiedziała matka. — Samowar zakipi, a ja tymczasem skoczę.

— To i ty zabrałaś się do tych spraw, Niłowna? — z uśmiechem zapytał Rybin. — Tak. Chętnych do książki nam tam nie brak. Nauczyciel zachęca — mówią, dobry chłop, chociaż pochodzi z duchownego stanu. Nauczycielka także jest o siedem wiorst. No, ale oni się zakazaną książką nie posługują — naród rządowy — boją się. A mnie jest potrzebna zabroniona, ostra książka i ja na ich rachunek będę podrzucał... Gdy komisarz albo pop zobaczą, że to zakazana książka, pomyślą — nauczyciele rozrzucają! A ja na boczkę do czasu zostanę.

I zadowolony ze swej przebiegłości wesoło wyszczerzył zęby.

— Widzicie go! — pomyślała matka. — Wygląda na niedźwiedzia, a żyje jak lis...

— Jak myślicie — zapytał Paweł — jeżeli zaczną podejrzewać nauczycieli, że rozdają zabronione książki—posadzą ich za to do więzienia, czy nie?

— Posadzą. A bo co? — zapytał Rybin.

— Wyście dawali książki, a nie oni, wyście powinni iść do więzienia...

— Dziwak z ciebie! — uśmiechnął się Rybin uderzając go ręką po kolanie. — Kto o mnie pomyśli? Prosty chłop zajmuje się takimi sprawami — czyż to kto widział? Książka to pańska sprawa i oni będą za nią odpowiadać...

Matka czuła, że Paweł nie rozumie Rybina, i widziała, że przymrużył oczy — gniewa się. Powiedziała ostrożnie, miękko:

— Michał Iwanowicz chciaby zrobić tak, żeby on pracował, a na rozprawę, żeby za niego inni szli...

— Ot co! — potwierdził Rybin gładząc brodę. — Do czasu.

— Mamo! — zwrócił się do niej sucho Paweł. — Gdyby ktoś z naszych, na przykład Andrzej, zrobił coś na mój rachunek, a mnie posadzili do więzienia — co byś ty na to powiedziała?

Matka drgnęła, spojrzała ze zdziwieniem na syna i rzekła kręcąc przecząco głową:

— Czy można względem towarzysza tak postąpić?

— Ahaa! — przeciągnął Rybin. — Zrozumiałem cię, Pawle.

Mrugnął kpiąco do matki:

— To, matko, delikatna sprawa...

I znowu, pouczająco, do Pawła:

— Zielono masz jeszcze w głowie, bracie! W tajnej pracy — nie ma uczciwości. Zrozum: po pierwsze, posadzą do więzienia tego chłopca, u którego znajdują książkę, a nie

nauczycieli — to raz. Po drugie, chociaż nauczyciele dają dozwolone książki, ale sens jest w nich ten sam, co i w zabronionych, tylko słowa inne, prawdy mniej — to dwa. Więc chcą tego samego, co ja — tylko idą pełną drogą, a ja szerokim gościńcem — wobec władzy jesteśmy jednakowo winni, nieprawda? A po trzecie, oni mnie, bracie, nie obchodzą — pieszy konnemu nie towarzyszą. Względem chłopu ja bym może i nie zechciał tak postąpić. Ale oni — jeden popowicz, druga — córka dziedzica. Do czego to im jest potrzebne, żeby naród buntować — nie wiem. Mnie, chłopu, nie są wiadome ich pańskie myśli. Co ja sam zrobię — wiem, a czego oni chcą — tego nie wiem. Tysiąc lat ludzie akuratnie panami byli, z chłopu skórę zdzierali, aż tu nagle przebudzili się i dalej chłopu oczy przecierać. Ja, bracie, bajek nie lubię, a to coś w rodzaju bajki. Dla mnie wszyscy panowie są dalecy. Jedziesz zimą polem, przed tobą coś żywego miga, co to takiego? Wilk, czy pies — nie widzę! Daleko...

Matka spojrzała na syna. Twarz miał smutną.

A ciemne oczy Rybina błyskały, patrzył na Pawła zadowolony z siebie, podniecony i, rozczesując palcami brodę, mówił:

— Na grzeczności nie mam czasu, życie jest surowe. Psiarnia — nie owczarnia, każde stado po swojemu beczy...

— Są panowie — odezwała się matka przypomniawszy sobie znajome twarze — którzy zabijają się dla narodu, całe życie w więzieniach się męczą...

— Z nimi inny rachunek i inny szacunek! — powiedział Rybin. — Chłop wzbogaca się, chce na pana wyjść, pan biednieje — do chłopu idzie. Po niewoli dusza czysta, jak kabza pusta. Pamiętasz Pawle, objaśniałeś mnie, że jak kto żyje, tak i myśli, i że jeśli robotnik mówi — tak, to pan z natury swojej musi krzyżeć — nie! Tak więc u chłopu z panem różne natury. Gdy chłop ma co w kładun pchać,

pan nie może w nocy spać. Oczywiście, w każdym stanie znajdzie się psi syn i wszystkich chłopów nie będę bronił...

Podniósł się na nogi, ciemny i silny. Twarz jego zgasła, broda wzdrygnęła się, jakby niedosłyszalnie zgrzytnął zębami i ciągnął dalej zniżonym głosem:

— Wałęsałem się po fabrykach pięć lat, odwykłem od wsi — ot co! Przyszedłem tam, popatrzyłem, widzę — nie mogę tak żyć! Rozumiesz? Nie mogę! Wy żyjecie tutaj — takich krzywd nie widzicie. A tam — głód za człowiekiem jak cień pelza i nie spodziewaj się chleba! Głód pożarł dusze, starł oblicza ludzkie, nie żyją ludzie, ale gniją w niesłychanej nędzy... A wokoło, jak kruki, zwierzchność pilnuje, czy nie ma zbędnego kęska? Zobacz, wyrwie i w mordę ci da...

Rybin obejrzał się, pochylił się ku Pawłowi opierając się ręką o stół.

— Aż zemdliło mnie, jak znowu spojrzałem na to życie! Widzę — nie wytrzymam! Ale przemogłem się — nie, myślę, nie uda ci się, chłopie! Zostanę! Chleba — myślę — wam nie zdobędę, ale kaszy nawarzę — nawarzę ja, bracie, kaszy! Niosę w sobie gniew za ludzi i na ludzi. Jak nóż, który utkwił w sercu i chwieje się, wbiła mi się w serce krzywda ludzka.

Pot wystąpił mu na czoło, zbliżył się powoli do Pawła, położył mu rękę na ramieniu. Ręka jego drgała.

— Pomóż mi! Daj mi książek, ale takich, żeby człowiek, przeczytawszy je, nie mógł znaleźć już spokoju. Jeza pod czaszkę trzeba mu wsadzić, kolącego jeża! Powiedz swoim miastowym, którzy dla was piszą, że i dla wsi powinni pisać! Niech wałą tak, żeby wieś jak warem oblało, żeby naród na śmierć poszedł!

Podniósł rękę i, oddzielnie wymawiając każde słowo, powiedział głucho:

— Śmiercią zwycięż — śmierć! Tak! Znaczy to — umrzyj, żeby ludzie zmartwychwstali. I niech umrą tysiące, żeby wskrzesły nieprzeliczone tłumy ludzi na całej ziemi! Ot co. Umrzeć jest łatwo, ale żeby zmartwychwstali, żeby podnieśli się ludzie!

Matka wniosła samowar spoglądając z ukosa na Rybina. Jego słowa ciężkie i mocne przygniatały ją. Było w nim coś, co jej przypominało męża — tamten tak samo szczerzył zęby, poruszał rękami, zakasywał rękawy. Była w nim taka sama niecierpliwa złość, niecierpliwa, ale niema. Ten — mówił. I był mniej straszny.

— To jest potrzebne! — powiedział Paweł kiwnąwszy głową. — Dawajcie nam materiał, a my będziemy drukować wam gazetę...

Matka popatrzyła z uśmiechem na syna, potrząsnęła głową i, ubrawszy się w milczeniu, wyszła z domu.

— Rób! Wszystkiego dostarczymy! Piszcie prościej, żeby nawet cieleńta zrozumiwały! — wołał Rybin.

W kuchni otworzyły się drzwi, wszedł ktoś.

— To Jefim! — powiedział Rybin zaglądając do kuchni. — Chodź tu, Jefimie!

— Oto Jefim, a to Paweł, mówiłem ci o nim.

Przed Pawłem stanął jasnowłosy, barczysty chłopak, w krótkim półkożuszku, zgrabny i widocznie bardzo silny. Trzymał czapkę w rękach i patrzył na niego spode łba szarymi oczyma.

— Dobrego zdrowia! — powiedział ochryple i, ścisnąwszy rękę Pawła, obiema rękami przyglądził proste włosy. Obejrzał pokój i zaraz, powoli, jak gdyby skradając się, podszedł do półki z książkami.

— Zobaczyl! — powiedział Rybin i mrugnął do Pawła. Jefim odwrócił się, spojrział na niego i oglądając książki, mówił:

— Ile tu do czytania u was! A czytać pewnie nie ma kiedy. Na wsi więcej czasu dla tej sprawy...

— Ale ochoty mniej? — zapytał Paweł.

— Dlaczego? I ochota jest! — odezwał się chłopak pocierając podbródek. — Naród zaczął ruszać głową. „Geologia“ — co to?

Paweł objaśnił.

— Nam to niepotrzebne! — powiedział chłopak odstawiając książkę na półkę.

Rybin westchnął głośno i zauważył:

— Chłopa nie obchodzi, skąd się ziemia wzięła, ale jak ją podzielono — jak ją panowie chłopom spod nóg wyrwali? Stoi, czy wierci się — wszystko jedno! Powieś ją sobie nawet na sznurku, byle dawała jeść, przybij gwoździem — byle karmiła ludzi!...

— „Historia niewolnictwa“ — przeczytał znowu Jefim i zapytał Pawła:

— To o nas?

— Jest i o pańszczyźnie — powiedział Paweł dając mu inną książkę. Jefim wziął ją, poobracał w rękach i, odłożywszy na bok, powiedział spokojnie:

— To — przeszło!

— A wy macie nadzieję? — zapytał Paweł.

— My? Mamy! Trzech nas jest braci, a nadziei — cztery dziesięciny. Piaseczek. Do czyszczenia miedzi dobry, ale pod uprawę — niezdatna ziemia!...

Milczał chwilę, a potem ciągnął dalej:

— Oswobodziłem się od ziemi — na co mi ona? Karmić nie karmi, a ręce wiąże. Już czwarty rok po najmach chodzę. A jesienią do wojska mam iść. Wujko Michał powiada — nie chodź! Teraz — powiada — żołnierzy posyłają, żeby naród bił... A ja myślę iść. Wojsko i za Stieńki Razina naród biło, i za Pugaczowa. Czas z tym skończyć. A po waszemu jak? — zapytał patrząc z uwagą na Pawła.

— Czas! — odpowiedział z uśmiechem Paweł. — Tylko — trudno! Trzeba wiedzieć, co powiedzieć żołnierzom i jak...

— Nauczymy się, będziemy umieli! — powiedział Jefim.

— Jeżeli władze złapią was na tym — mogą rozstrzelać! — I Paweł popatrzył z ciekawością na Jefima.

— Nie oszczędzał! — spokojnie zgodził się chłopak i zaczął znowu przeglądać książki.

— Pij herbatę, Jefim, trzeba się już będzie zbierać! — zauważył Rybin.

— Zaraz! — odezwał się chłopak. I zapytał znowu — Rewolucja to bunt?

Przyszedł Andrzej, czerwony, zgrzany i ponury. W milczeniu ścisnął rękę Jefimā, usiadł obok Rybina i, obejrzawszy go, uśmiechnął się.

— Coś niewesoło ci z oczu patrzy? — zapytał Rybin uderzywszy go ręką po kolanie.

— Tak jakoś... — odpowiedział chachoł.

— Także robotnik? — zapytał Jefim wskazując głową na Andrzeja.

— Także! — odrzekł Andrzej. — A bo co?

— Pierwszy raz fabrycznych widzi! — objaśnił Rybin. — Naród — powiada — osobliwy...

— Dlaczego? — zapytał Paweł.

Jefim uważnie obejrzał Andrzeja i odpowiedział:

— Kości macie ostre. Chłop ma kość okrągłęjszą...

— Chłop spokojniej na nogach stoi — dorzucił Rybin.

— Czuje pod sobą ziemię. Choć nie ma ziemi, a on czuje — ziemi! A fabryczny — niby ptak: nie ma rodzinnej ziemi, domu nie ma, dziś tu, jutro tam. Jego i baba do miejsca nie przywiąże, zdarzy się co — żegnaj, miła, skręć kark! I poszedł szukać, gdzie lepiej. A chłop wokoło siebie chce zrobić lepiej nie ruszając się z miejsca. Ot i matka przyszła!

Jefim podszedł do Pawła i zapytał:

— Może dacie mi jakąś książkę?

— Proszę bardzo! — chętnie zgodził się Paweł.

Oczy chłopca zapaliły się pożądliwie:

— Zwróć! — powiedział pośpiesznie. — Nasi tu blisko dziegieć wożą, to przywiozą.

Rybin, już ubrany, ściągnął mocno pas i powiedział do Jefima:

— Czas jechać!

— A no poczytam sobie! — zawołał Jefim wskazując na książki i uśmiechając się szeroko.

Kiedy odeszli, Paweł zwrócił się do Andrzeja i wykrzyknął z ożywieniem:

— Widziałeś co za chwaty?...

— Taak! — powoli przeciągnął chachoł. — Oni są jak chmury...

— A Michał? — wykrzyknęła matka. — Jakby nigdy nie był w fabryce. Zupelnym chłopem się stał! I taki straszny!

— Szkoda, że cię nie było! — powiedział Paweł do Andrzeja, który siedząc przy stole patrzył pochmurnie w swoją szklanekę herbaty. — Przyjrzałbyś się, jak mogą się rozkołysać uczucia — ty ciągle o sercu mówisz! Tu Rybin takiej pary dodał, że przewrócił mnie, zdławił. Nawet przeczyć mu nie mogłem. Ileż w nim nieufności do ludzi i jak on ich nisko ceni! Prawdę mówi matka — straszną siłę niesie w sobie ten człowiek!...

— Widziałem to! — ponuro powiedział chachoł. — Otruli ludzi! Gdy powstaną, będą obalać wszystko! Potrzebna im jest naga ziemia — i oni obnażą ją, wszystko zerwą!

Mówił powoli i było widać, że myśli o czymś innym. Matka dotknęła go ostrożnie.

— Otrząsnąłbyś się, Jędrusiu!

— Poczekajcie, mateńko, poczekajcie, kochana! — cicho i łagodnie poprosił chachoł.

I nagle podniecając się uderzył ręką w stół.

— Tak, Pawle, chłop obnaży ziemię, kiedy powstanie! Jak po dżumie spali wszystko, żeby ślady swego poniżenia rozwiąć jak popiół.

— A potem stanie w poprzek naszej drogi! — cicho zauważył Paweł.

— Nasza rzecz — nie dopuścić do tego! Nasza sprawa, Pawle, zatrzymać go! My jesteśmy najbliżsi mu ze wszystkich. Nam uwierzy, za nami pójdzie!

— Wiesz, Rybin proponuje nam, żebyśmy wydawali gazetę dla wsi! — powiedział Paweł.

— I — trzeba!

Paweł uśmiechnął się i powiedział:

— Zły jestem, że nie dyskutowałem z nim!

Chachoł pocierając głowę zauważył spokojnie:

— Jeszcze podyskutujemy! Graj na swojej dudce — komu nogi w ziemię nie wrosły, ten w takt twojej muzyki będzie tańczył! Rybin prawdę powiedział — my nie czujemy pod sobą ziemi i nie powinniśmy jej czuć, bo naszym zadaniem jest rozhuścić ją. Zahuścimy raz — ludzie oderwą się, zahuścimy dwa — i jeszcze!

Matka uśmiechnęła się i powiedziała:

— Dla ciebie, Jędrusiu, wszystko jest proste!

— No tak! — powiedział chachoł. — Proste! Jak życie! Po kilku minutach dodał:

— Pójdę w pole, pochodzę...

— Po łaźni? Wietrzno, przewieje cię! — ostrzegła matka.

— Właśnie potrzeba, żeby przewiało! — odpowiedział.

— Uważaj, przeziębisz się! — łagodnie odezwał się Paweł. — Lepiej połóż się.

— Nie, pójdę!

Ubrał się w milczeniu i wyszedł...

— Ciężko mu! — zauważyła matka wzdychając.

— Wiesz co — powiedział Paweł — dobrześ zrobiła, że po tym, co się stało, zaczęłaś mu mówić „ty“!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i odpowiedziała:

— Nie spostrzegłam nawet, jak się to stało! Stał mi się taki bliski, że nie umiem nawet tego wypowiedzieć!

— Dobrze masz serce, matko! — cicho odezwał się Paweł.

— Żeby tylko mogła tobie — wszystkim wam . . . — jakoś pomóc! Gdybym umiała!

— Nie bój się — potrafisz! . . .

Zaśmiała się cicho i powiedziała:

— A właśnie — nie bać się, nie potrafię!

— Dobrze już, mamo! Nie mówmy. Wiedz — dziękuję ci! Mocno, mocno.

Poszła do kuchni, żeby nie niepokoić go swoimi łzami.

Chachoł wrócił późnym wieczorem, bardzo zmęczony, i natychmiast położył się spać powiedziawszy:

— Myślę, że z dziesięć wiorst gonilem . . .

— Pomogło? — zapytał Paweł.

— Nie przeszkadzaj, będę spał!

I zamilkł, jakby umarł.

Po pewnym czasie przyszedł Wiesowszczyk, obdarty, brudny, niezadowolony jak zawsze.

— Nie słyszałeś, kto Isajkę zabił? — zapytał Pawła niezdarnie chodząc po pokoju.

— Nie! — odpowiedział krótko Paweł.

— Znalazł się człowiek — nie pogardził! A ja wciąż się zbierałem zadławić go. Dla mnie to była robota — najodpowiedniejsza dla mnie!

— Zostaw, Mikołaju, nie mów takich słów! — przyjaźnie powiedział Paweł.

— Bo cóż to, w samej rzeczy! — łagodnie odezwała się matka. — Serce miękkie, a — ryczy jak zwierz. Po co to?

W tej chwili było jej przyjemnie, że widzi Mikołaja, i nawet jego dziobata twarz wydała jej się ładniejsza.

— Nie nadaję się do niczego, prócz takich spraw! — powtórzył wzruszając ramionami Mikołaj. — Myślę, myślę — gdzie moje miejsce? Nie ma dla mnie miejsca! Trzeba mówić z ludźmi, a ja nie umiem! Widzę wszystko, czuję wszystkie ludzkie krzywdy, a powiedzieć — nie mogę! Nie ma dusza.

Podszedł do Pawła ze spuszczoną głową i, obdłubując palcem stół, powiedział jakoś dziecinnie i żałośnie, nie tak jak zwykle:

— Dajcie mi jakąś ciężką pracę, bracia! Nie mogę tak bez sensu żyć! Wy wszyscy — w sprawie. Widzę — sprawa rośnie, a ja — na uboczu! Wożę belki, deski. Czy można po to żyć? Dajcie mi jakąś ciężką robotę!

Paweł wziął go za rękę, przyciągnął do siebie:

— Damy!

Ale zza zasłony rozległ się głos Andrzeja:

— Nauczę cię, Mikołaju, składać litery i będziesz naszym zecerem — dobrze?

Mikołaj podszedł do niego mówiąc:

— Jeżeli nauczysz, podaruję ci za to nóż...

— Idź do diabła z nożem! — krzyknął Andrzej i nagle roześmiał się.

— Dobry nóż! — nalegał Mikołaj.

Paweł roześmiał się także.

Wtedy Mikołaj zatrzymał się pośrodku pokoju i zapytał:

— Czy to wy ze mnie?

— No tak! — odpowiedział chachoł zeskakując z łóżka. — Wiecie co? Chodźmy przejść się w pole! Noc ładna, księżycowa. Idziemy?

— Dobrze! — powiedział Paweł.

— I ja pójdę! — oznajmił Mikołaj. — Lubię, chacho! ,
kiedy się śmiejesz...

— A ja — gdy ty podarki obiecujesz! — odpowiedział
Andrzej uśmiechając się.

Gdy ubierał się w kuchni, matka powiedziała gderliwie:

— Ubierz się ciepiej...

A gdy wszyscy trzej wyszli, popatrzyła na nich przez
okno, po czym spojrzała na ikonę i wyszeptła cicho:

— Boże — pomóż im!...

XXVI

Dnie biegły jeden za drugim tak szybko, że matka nie
miała kiedy myśleć o Pierwszym Maju. Tylko nocą, gdy,
zmęczona hałaśliwą i podniecającą krzątaniem dnia, kładła
się do łóżka, czuła w sercu głuchy, tępy ból.

— Żeby już prędzej...

O świcie ryczała fabryczna syrena, syn i Andrzej szybko
pili herbatę, przegryzali czymś i odchodzili zostawiając mat-
ce dziesiątki poleceń. Cały dzień kręciła się jak wiewiórka
w kole, gotowała obiad, liliową galaretę do proklamacyj
i klej do nich. Przychodzili jacyś ludzie, wsuwali jej kar-
teczki, które należało wręczyć Pawłowi, i znikali zaraża-
jąc ją swym podnieceniem.

Odezwy, wzywające robotników do świętowania Pierw-
szego Maja, prawie każdej nocy naklejano na płotach. Uka-
zywały się nawet na drzwiach komendy policyjnej i co-
dziennie znajdowano je w fabryce. Rankiem policja cho-
dziła po osadzie i klnąc zrywała i zeskrobywała liliowe pa-
pierki z płotów, a w obiad karteczki znowu fruwały po uli-
cy, pędzone przez wiatr pod nogi przechodniów. Z miasta
przysłano wywiadowców, którzy stojąc na rogach ulic, ob-

macywali oczyma robotników, idących wesoło i z ożywieniem z fabryki na obiad i z powrotem. Wszystkich bawiła bezsilność policji i nawet starsi robotnicy mówili do siebie z uśmiechem:

— To ci wyrabiają — co?

Wszędzie zbierały się grupki ludzi, gorąco debatując nad podniecającym wezwaniem. Życie kipiało i było tej wiosny ciekawsze dla wszystkich, wszystkim przynosiło coś nowego. Jednym — jeszcze jeden powód do rozdrażnienia, złości i wymyślań na buntowników, drugim — nieokreślony lęk i nadzieje, trzecim — tych było najmniej — ostrą radość, że to oni są tą siłą, która budzi wszystkich.

Paweł i Andrzej prawie nie spali po nocach, zjawiali się w domu tuż przed syreną, obaj zmęczeni, ochrypli i bladzi. Matka wiedziała, że urządzają zebrania w lesie, na bagnach. Wiedziała i to, że wokoło osady myszkują podjazdy konnej policji, pelzają szpicle, chwytają i obszukują pojedynczych robotników, rozganiają grupy i od czasu do czasu arestują tego lub owego. Rozumiała, że jej syna i Andrzeja mogą także arestować każdej nocy i prawie że pragnęła tego — wydawało się jej, że byłoby to lepiej dla nich.

Sprawa zabójstwa kontrolera dziwnie przycichła. Dwa dni miejscowa policja wypytywała z tego powodu ludzi i, przesłuchawszy z dziesięciu, przestała się interesować zabójstwem.

Maria Korsunowa w rozmowie z matką powiedziała jej, a słowa jej odzwierciedlały zdanie policji, z którą, jak ze wszystkimi ludźmi, żyła w przyjaźni:

— Czy tu można znaleźć winnego? W ciągu ranka może ze stu ludzi widziało Isaja, a dziewięćdziesięciu, jeśli nie więcej, mogło go zdzielić! Przez siedem lat dosyć wszystkim dokuczył.

Andrzej zmienił się bardzo. Twarz mu wychudła, ociężałe powieki opuściły się na wypukłe oczy zakrywając

je do połowy. Cienkie zmarszczki przecięły twarz od nozdrzy aż do kątów ust. Mniej teraz mówił o rzeczach i sprawach zwykłych, a coraz częściej wybuchał i, wpadając w oszałamiający i upajający wszystkich zachwyty, mówił o przyszłości, o pięknym i jasnym święcie tryumfu wolności i rozumu.

Kiedy sprawa śmierci Isaja ucichła, powiedział z obrzydzeniem uśmiechając się smutnie:

— Nie tylko lud, ale nawet ci ludzie, którymi nas szczują jak psami — nie są dla nich cenni. Nie żałują swego wiernego Judasza, ale — srebrników...

— Dość już o tym, Andrzeju! — twardo powiedział Paweł. A matka dorzuciła cicho:

— Trącili purchawkę — rozsypała się!

— Sprawiedliwie, ale — nie pociesza!... — ponuro odezwał się chachoł.

Często powtarzał te słowa i w jego ustach nabierały one jakiegoś osobliwego, ogólnego sensu, gorzkiego i zjadliwego...

...I oto przyszedł ów dzień — Pierwszy Maja.

Syrena zaryczała nakazująco i władczo. Matka, która nie usnęła w nocy ani na minutę, wyskoczyła z łóżka, wsunęła żar do przygotowanego z wieczora samowaru i chciała jak zawsze zastukać do drzwi syna i Andrzeja, ale zastanowiła się, machnęła ręką i siadła pod oknem przyłożywszy rękę do twarzy, jakby bolały ją zęby.

Niby duże ptaki, przestraszone głośnym wyciem pary, płynęło po bladobłękitnym niebie stado białych i różowych, lekkich obłoków. Matka patrzyła na nie i wsłuchiwała się w siebie. Głowę miała ciężką, oczy piekły ją po bezsennej nocy i były suche. Ale osobliwy spokój panował w jej piersi. Serce biło równo, myślała o zwykłych, codziennych sprawach...

— Za wcześnie samowar nastawiłam — wykipi! Niech dziś dłużej pośpią. Zmęczeni obydwaj...

Do okna, n'by w wesołej zabawie, zaglądał młodziutki promień słońca. Podstawiła rękę i, kiedy jasny legł na skórze jej dłoni, pogładziła go drugą ręką śmiechając się łagodnie, w zamyśleniu. Potem wstała, zdjęła kominek z samowaru, umyła się i zaczęła się modlić żegnając się gorliwie, i bezgłośnie poruszając wargami. Twarz jej rozjaśniała się, a prawa brew to podnosiła się powoli w górę, to opadała nagle...

Druga syrena zawyła ciszej, już nie tak pewnie, z drżeniem w gęstym i wilgotnym głosie. Matce wydało się, że dzisiaj nawołuje dłużej niż zwykle.

W pokoju rozległ się jasny i donośny głos chachoła:

— Paweł! Słyszysz?

Któryś z nich klasnął bosymi nogami o podłogę, któryś ziewnął.

— Samowar gotowy! — zawołała matka.

— Wstajemy! — odpowiedział wesoło Paweł.

— Słońce wschodzi! — mówił chachoł. — Chmurki biegną. Niepotrzebne dzisiaj — te chmurki...

I wszedł do kuchni potargany, zmięty ze snu, ale wesoły.

— Dzień dobry, mateńko! Jak spaliście?

Matka podeszła do niego i powiedziała cicho:

— Już ty, Jędrusiu, idź obok niego!

— Ależ oczywiście! — szepnął chachoł. — Dopóki jesteśmy razem, będziemy zawsze iść obok siebie — wiedźcie o tym!

— O czym tak szepczecie? — zapytał Paweł.

— O niczym, Pawełku!

— Ona mówi mi: myj się lepiej, to panny będą na ciebie patrzeć! — odpowiedział chachoł wychodząc do sieni, żeby się umyć.

— Niech dźwignie się, wstanie roboczy nasz lud... —
cicho zanucił Paweł.

Dzień był coraz jaśniejszy, obłoki odpływały, pędzone przez wiatr. Matka ustawiała naczynia do herbaty i, kiwając głową, myślała o tym, jakie to wszystko jest dziwne: żartują obaj i uśmiechają się tego ranka, a w południe kto wie, co ich czeka? I ona sama jest spokojna i nie wiadomo dlaczego — prawie radosna.

Herbatę pili długo starając się skrócić oczekiwanie. I Paweł, jak zwykle, powoli i starannie mieszał cukier w szklance, dokładnie posypał solą kawałek chleba — przyłepkę, którą najbardziej lubił. Chachoł poruszał pod stołem nogami — nigdy nie mógł od razu ustawić wygodnie nóg — i patrząc, jak po suficie i ścianie biega, odbity o płyn w szklance, promień słońca, opowiadał:

— Kiedy byłem dziesięcioletnim chłopcem, zechciało mi się złapać słońce szklanką. Wziąłem więc szklankę, podkradłem się i — bęc w ścianę! Rękę sobie rozciąłem i zbili mnie za to. A jak zbili, wyszedłem na dwór, zobaczyłem słońce w kałuży i dalej deptać je nogami. Obryzgałem się całym błotem i znowu mnie zbili... Co miałem zrobić! Zacząłem krzyczeć do słońca: „A nie boli mnie, ty rudy diable! Nie boli mnie!” I pokazywałem mu ciągle język. To pocieszyło mnie.

— Dlaczego wydało ci się rude? — zapytał śmiejąc się Paweł.

— A bo naprzeciw nas mieszkał kowal, czerwony taki na pysku i z rudą brodą. Wesoły, dobry chłop. Więc słońce było według mnie podobne do niego...

Matka nie wytrzymała i powiedziała:

— Lepiej byście pomówili o tym, jak pójdziecie!

— Mówić o tym, co postanowione, to tylko gmatwać sprawę! — miękko zauważył chachoł. — W razie, gdyby

nas wszystkich zabrali, mateńko, przyjdzie do was Mikołaj Iwanowicz i powie, co robić.

— Dobrze! — powiedziała westchnąwszy matka.

— Na ulicę by wyjść! — rzekł z rozmarzeniem Paweł.

— Nie, lepiej posiedź aż do czasu w domu! — sprzeciwił się Andrzej. — Po co niepotrzebnie leżć policji w oczy? — Jesteś jej już i tak dość dobrze znany!

Przybiegł Fedzia Mazin, promieniejący, z czerwonymi plamami na policzkach, pełen radosnego drżenia, i rozeznał nudę oczekiwania.

— Zaczęło się! — wołał. — Ruszył się naród! Lezie na ulicę, a gęby u wszystkich jak topory. U wrót fabryki stali cały czas Wiesowszczykowie z Wasią Gusiewem i Samojłowem i przemawiali. Mnóstwo ludzi zawróciło do domu! Chodźmy! Już pora! Już dziesiąta! ...

— Pójdę! — stanowczo powiedział Paweł.

— Zobaczycie — obiecywał Fedzia — po obiedzie stanie cała fabryka!

I uciekł.

— Pali się jak woskowa świeczka na wietrze! — odprowadziła go cichymi słowami matka, wstała, wyszła do kuchni i zaczęła się ubierać.

— Dokąd idziecie, mateńko?

— Z wami! — odpowiedziała.

Andrzej spojrzał na Pawła pociągając wąsy. Paweł szybkim gestem poprawił włosy na głowie i wyszedł do niej:

— Ja ci, mamo, nic nie powiem ... I ty mnie nic nie mów! Dobrze?

— Dobrze, dobrze ... — szepnęła — Bóg z wami!

XXVII

Gdy wyszła na ulicę i usłyszała unoszący się w powietrzu trwożny, wyczekujący gwar ludzkich głosów, gdy zo-

baczyła wszędzie — w oknach domów, przed bramami, grupy ludzi, odprowadzające jej syna i Andrzeja ciekawymi spojrzzeniami — przed oczyma jej zakolysała się mglista plama, o zmiennych barwach, to przeźroczyściezielona, to mętnoszara...

Witano się z nimi i w powitaniach tych było coś szczególnego. Łowiła słuchem niegłośne, urywkowe uwagi.

— Idą — przywódcy...

— My nie wiemy, kto przewodzi...

— Przecie nie mówię nic złego...

W innym miejscu, na podwórzu, ktoś krzyczał z rozdrażnieniem:

— Wyłowi ich policja i przepadną!...

— Już ich łowiła...

Zawodzący, przestraszony głos kobiety zeskakiwał przez okno na ulicę:

— Opamiętaj się! Czyś ty kawaler, czy co?

Gdy przechodzili obok domu beznogiego Zosimowa, który dostawał od fabryki za swoje kalectwo stałą, miesięczną zapomogę, Zosimow wysunął głowę przez okno i krzyknął:

— Paweł! Ukręca ci głowę, ty łajdaku, za twoje sprawy! Doczekasz się!

Matka wzdrygnęła się i zatrzymała. Ten okrzyk obudził w jej sercu ostrą złość. Spojrzała w obrzmiałą, grubą twarz kaleki. Schował głowę wymyślając. Wówczas przyspieszyła kroku, dogoniła syna i, starając się nie pozostać w tyle, podążyła jego śladem.

Paweł i Andrzej zdawali się nie dostrzegać niczego. Nie słyszeli biegnących za nimi okrzyków. Szli spokojnie nie śpiesząc się. Zatrzymał ich Mironow, starszy, skromny człowiek, szanowany przez wszystkich za trzeźwe i czyste życie.

— I wy także nie pracujecie, Daniło Iwanowiczu? — zapytał Paweł.

— Zona tuż przed rozwiązaniem. No i dzień taki — niespokojny... — objaśnił Mironow, uważnie przyglądając się towarzyszom, i przyciszonym głosem zapytał:

— Wy, chłopcy, podobno skandal dyrektorowi chcecie zrobić, szyby mu wybić?

— Czyśmy pijani? — zawołał Paweł.

— Przejdziemy po prostu przez ulice ze sztandarami i pieśni będziemy śpiewać! — objaśnił chachoł. — Posłuchajcie naszych pieśni, w nich jest nasza wiara!

— Wiare waszą znam! — w zamyśleniu powiedział Mironow. — Papierki te czytałem. Ha, Niłowna! — wykrzyknął uśmiechając się do matki swymi rozumnymi oczyma — i ty buntujesz się?

— Trzeba choć przed śmiercią pod rękę z prawdą się przespacerować.

— Widzisz ją! — powiedział Mironow. — Widać, prawdę o tobie mówią, żeś ty do fabryki zakazane książki nosił!

— Kto to mówi? — zapytał Paweł.

— Tak gadają. — No, żegnajcie i trzymajcie się mocno! Matka śmiała się cicho. Było jej przyjemnie, że tak o niej mówią. Paweł powiedział uśmiechając się:

— Będziesz ty jeszcze w więzieniu, mamol!

Słońce podnosiło się coraz wyżej wlewając swoje ciepło w orzeźwiająca świeżość wiosennego dnia. Obłoki płynęły wolniej, cienie ich stały się delikatniejsze i przeźroczystsze. Przesuwały się miękko przez ulice i dachy domów, okrywały ludzi i jakby oczyszczały osadę ścierając brud i kurz ze ścian i dachów, nudę z twarzy. Robiło się weselej, głosy rozbrzmiewały mocniej zagłuszając daleki szum furkotu maszyn.

I znowu do uszu matki dolatywały i pełzły zewszad, z okien, podwórek, słowa lekliwe i złe, poważne i wesołe. Ale teraz miała ochotę przeczyć, dziękować, objaśniać, wmieszać się w barwne życie tego dnia.

Za węglem ulicy, w wąskim zaułku, zebrał się tłum około stu ludzi. W głębi jego rozległ się głos Wiesowszczykowa.

— Wyciskają z nas krew jak sok z żurawiny! — padały na głowy ludzi niezdarne słowa.

— Prawdę mówi! — odpowiedziało od razu kilka głosów donośnym echem.

— Stara się chłopiec! — powiedział chachoł. — A no, pójdę, pomogę mu!...

Pochylił się i nim Paweł zdołał go powstrzymać, wkreślił swoje długie i gibkie ciało w tłum jak korkociąg w korek. Rozległ się jego śpiewny głos:

— Towarzysze! Mówią, że na ziemi żyją różne narody — Żydzi i Niemcy, Anglicy i Tatarzy. A ja — nie wierzę temu! Są tylko dwa narody, dwa nieprzejednanie wrogie plemiona — bogaci i biedni! Ludzie różnie się ubierają i różnymi językami mówią, a popatrzcie, jak bogaci Francuzi, Niemcy i Anglicy odnoszą się do robotczego ludu, to zobaczycie, że wszyscy oni są dla robotnika takimi samymi ba-szybożukami, bodajby się udławili!

Ktoś w tłumie roześmiał się.

— A popatrzmy z drugiej strony — to zobaczymy, że robotnik Francuz, Tatarzyn czy Turek, takim samym psim życiem żyje, jak nasz rosyjski lud roboczy!

Coraz więcej ludzi podchodziło z ulicy i jeden za drugim, w milczeniu, wyciągając szyję i stając na palcach, wciskali się w uliczkę.

Andrzej podniósł głos.

— Za granicą robotnicy już zrozumieli tę prostą prawdę i dzisiaj w ten słoneczny dzień Pierwszego Maja...

— Policja!... — krzyknął ktoś.

Z ulicy wjechało w zaułek prosto na ludzi czterech konnych policjantów. Machali nahajkami i krzyczeli:

— Rozchodź się!

Ludzie chmurzyli się i niechętnie ustępowali z drogi koniom. Niektórzy włązili na płoty.

— Posadzili świnię na konie, a one chrząkają: teraz my jesteśmy panami! — wołał czyjś dźwięczny i zawadiacki głos.

Chachoł został sam pośrodku ulicy. Dwa konie poruszając głowami, następowały na niego. Odsunął się w bok i w tej samej chwili matka chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą gderając:

— Obiecał iść razem z Pawełkiem, a teraz sam lezie na rożen!

— Zawiniłem! — powiedział chachoł uśmiechając się.

Matka czuła się zupełnie rozbita, opanowało ją niespokojne znużenie, podnoszące się gdzieś z wnętrza i powodujące zawrót głowy. Radość i smutek ustępowały sobie kolejno miejsca w jej sercu z dziwną szybkością. Pragnęła, by już prędzej odezwała się obiadowa syrena.

Wyszli na plac przylegający do cerkwi. Wokoło niej, w cerkiewnym ogrodzeniu, stała i siedziała gęsta ciżba ludzi. Było tu z pięć setek wesolej młodzieży i dzieci. Tłum kołysał się, ludzie niespokojnie podnosili głowy ku górze, patrzyli przed siebie, rozglądali się na wszystkie strony, niecierpliwie czekając na coś. Wszyscy byli podnieceni, niektórzy patrzyli z roztargnieniem, niektórzy zachowywali się z udaną zuchowatością. Cicho szemrały zniżone głosy kobiet, mężczyźni odwracali się od nich z gniewem, czasem rozlegało się niegłośne przekleństwo. Głuchy szum jakichś wrogich tarć ogarniał kolorowy tłum.

— Mitia! — drżał cicho kobiecy głos. — Ulituj ty się nad sobą!...

— Odczep się! — zadźwięczało w odpowiedzi.

A poważny głos Sizowa mówił spokojnie, przekonywająco:

— Nie, my nie powinniśmy opuszczać młodych! Oni stali się rozumniejsi od nas i śmielej żyją! Kto nie dopuścił do „kopieski na biota“? Oni! O tym trzeba pamiętać. Ich za to po więzieniach włóczyli, a skorzystali na tym wszyscy!...

Zawyła syrena zatapiając w swym gęstym, czarnym ryku gwar ludzkich głosów. Tłum drgnął, siedzący wstali, na minutę wszyscy zamarli i wytężyli słuch, wiele twarzy pobladło.

Matce zaćmiło się w oczach jakby zasłonił je gorący, suchy i parzący dym, i jednym ruchem nagle okrzepłego ciała stanęła obok syna. Wszyscy obrócili się ku niemu okrążając go jak opiłki żelaza kawałek magnesu.

Matka patrzyła mu w twarz i widziała tylko jego oczy, dumne, śmiałe, płonące...

— Towarzysze! Postanowiliśmy oznajmić dzisiaj otwarcie, kim jesteśmy, oto wznosimy nasz sztandar, sztandar rozumu, prawdy i wolności!

Długie, białe drzewce mignęło w powietrzu, schyliło się, przecięło tłum, skryło się w nim i po chwili nad podniesionymi ku górze twarzami ludzkimi, zatrzepotało, wzbilo się purpurowym ptakiem, czerwone płótno sztandaru ludu roboczego.

Paweł podniósł rękę do góry, drzewce zachwiało się, a wówczas dziesięć rąk pochwyciło białe, gładkie drzewo. Wśród nich była ręka jego matki.

— Niech żyje lud roboczy! — krzyknął.

Setki głosów odpowiedziały mu donośnym okrzykiem.

— Niech żyje socjaldemokratyczna partia robotnicza, nasza partia, towarzysze, nasza duchowa ojczyzna!

Tłum kipiał. Poprzez ciżbę, ku sztandarowi, przepychali się ci, którzy zrozumieli jego znaczenie. Obok Pawła stanęli Mazin, Samojłow, Gusiewowie, pochyliwszy głowę rozpychał ludzi Mikołaj i jeszcze jacyś nieznanymi matce młodzi ludzie, z płonącymi oczyma, odpychali ją...

— Niech żyją robotnicy wszystkich krajów! — zawołał Paweł. I ciągle rosnąc w siłę i radość, odpowiedziało mu fysiologiczne echo, wstrząsającym duszę okrzykiem.

Matka schwyciła rękę Mikołaja i jeszcze czyjaś. Łzy tamowały jej oddech, ale nie płakała... Nogi drżały pod nią, i załamującym się głosem mówiła:

— Kochani...

Po ospowatej twarzy Mikołaja rozplywał się szeroki uśmiech, patrzył na sztandar i belkotał coś wyciągając do niego rękę. Nagle objął matkę tą ręką za szyję, pocałował ją i zaśmiał się głośno.

— Towarzysze! — jakby zaśpiewał chachoł pokrywając swoim miękkim głosem gwar tłumu. — Wyruszyliśmy teraz krzyżowym pochodem w imię nowego Boga — Boga światła, prawdy, rozumu i dobra! Nasz cel jest daleko, a cierniowe wieńce — blisko! Kto nie wierzy w moc prawdy, w kim nie ma odwagi, by walczyć za nią aż do ostatniego tchu, kto nie dowierza sobie i lęka się cierpienia — niech odejdzie od nas! Wzywamy do pójścia z nami tylko tych, którzy wierzą w nasze zwycięstwo. Ci, którzy nie widzą naszego celu, niech nie idą z nami, takich czeka tylko cierpienie. Do szeregów, towarzysze! Niech żyje święto wolnych ludzi! Niech żyje Pierwszy Maja!

Tłum zwarł się ściślej. Paweł machnął sztandarem. Rozwinął się w powietrzu i popłynął naprzód, zalany słońcem, szeroko roześmiany czerwienią.

Wyrzekniemy się świata starego...

— rozległ się dźwięczny głos Fedzi Mazina.

I dziesiątki głosów podchwyciły miękką, silną falą:

Strząśniem jego pył z naszych nóg...

Matka z gorącym uśmiechem na ustach szła za Mazinem i poprzez jego głowę patrzyła na syna i na sztandar.

Wokoło niej migaly radosne twarze i oczy o różnych barwach — na czele wszystkich szedł jej syn i Andrzej. Słyszała ich głosy — miękki i wilgotny głos Andrzeja zgodnie zlewał się w jeden dźwięk z gęstym i niskim głosem jej syna.

Niech dźwignie się, wstanie roboczy nasz lud,
Niech stanie do walki lud głodny...

I lud biegł na spotkanie czerwonego sztandaru, krzyczał coś, zlewał się z pochodem i szedł z nim naprzód. Okrzyki jego gasły w dźwiękach pieśni, tej pieśni, którą śpiewano w domu ciszej od innych, a która na ulicy płynęła równo i prosto, ze straszliwą siłą. Brzmiało w niej żelazne męstwo. Wzywała ludzi w daleką drogę ku przyszłości, mówiła im uczciwie o trudnościach, które ich czekają. W jej ogromnym, spokojnym płomieniu tonął ciemny szlak przeżytego cierpienia, spalało się na popiół kłębowisko znanych jej, dawnych uczuć i przekłety lęk przed wszystkim, co nowe...

Czyjaś twarz przestraszona i szczęśliwa kołysała się obok matki, a drżący, płaczący głos wołał:

— Mitia! Dokąd?

Matka nie zatrzymując się, mówiła:

— Niech idzie — nie bójcie się! Ja także bałam się bardzo — mój idzie na samym przedzie. Ten, który niesie sztandar — to mój syn!

— Rozbójnicy! Dokąd wy? Przecie tam żołnierze!

I nagle schwywszy rękę matki kościstą ręką, wysoka i chuda kobieta wykrzyknęła:

— Posłuchajcie, droga moja — jak to śpiewają! I mój Mitia śpiewa...

— Nie bójcie się — mówiła matka — to święta sprawa... Pomyślcie, przecie i Chrystusa by nie było, gdyby z niego ludzie nie ginęli!

Ta myśl nagle zapłonęła w jej głowie i olśniła ją swoją wielką i prostą prawdą. Spojrzała w twarz kobiety, mocno trzymającej jej rękę, i powtórzyła uśmiechając się ze zdziwieniem:

— Nie było by Chrystusa, gdyby ludzie za niego, pana naszego, nie ginęli!

Obok niej znalazł się Sizow. Zdjął czapkę, machał nią do taktu pieśni i mówił:

— Otwarcie poszli, matko, co? I pieśń wymyślili. I jaką pieśń! Co?

Car zażądał dla wojska żołnierzy,
Syna oddaj, bo tego chce car...

— Niczego się nie boją! — mówił Sizow. — A mój synek w grobie...

Serce matki biło zbyt silnie. Zaczęła pozostawać w tyle. W krótkim czasie odsunięto ją na bok, przyciśnięto do płotu i obok niej popłynęła kołysząc się gęsta fala ludzi — było ich wielu i to cieszyło ją.

Niech dźwignie się, wstanie roboczy nasz lud...

Zdawało się, że w powietrzu śpiewa ogromna, miedziana trąba, śpiewa i budzi ludzi wywołując u jednych gotowość do boju, w innych niejasną radość, przecucie czegoś nowego, palącą ciekawość. Tu wzbudza świadome drżenie nadziei, tam otwiera ujście potokowi nagromadzonej przez lata, gryzącej złości. Wszyscy spoglądali ku przodowi, gdzie chwiał się i płynął w powietrzu czerwony sztandar.

— Idą! — wrzeszczał czyjś pełen zachwytu głos. — Wspaniale, chłopcy!

I czując widocznie coś wielkiego, czego nie umiał wyrazić w zwykłych słowach, człowiek wybuchnął mocnymi przekleństwami. Ale w gniewnych słowach wiła się także i syczała ciemna, ślepa złość niewolnika, jak żmija przestraszona światłem, które padło na nią.

— Heretycy! — krzyczał z okna czyjś naderwany głos grożąc wysuniętym kulakiem.

I natrętnie wwiercał się w uszy matki czyjś świdrujący pisk:

— Przeciw najjaśniejszemu panu, przeciw jego cesarskiej mości? Buntować się?

Obok matki migwały stropione twarze, podskakując przebiegali mężczyźni i kobiety, przelewał się ciemną ławą lud, pociągany przez tę pieśń, która naporem swych dźwięków zdawała się przewracać przed sobą wszystko oczyszczając drogę. I patrząc na czerwony sztandar kołyszący się w od-dali, widziała nie widząc, twarz syna, jego brązowe czoło i oczy płonące jasnym ogniem wiary.

Ale oto znalazła się w ogniu pochodu, wśród ludzi, którzy szli nie śpiesząc się, obojętnie spoglądając ku przodowi, z chłodną ciekawością widzów, znających z góry zakończenie widowiska. Szli i rozmawiali niegłośno, z pewnością siebie:

— Jedna rota stoi przed szkołą, a druga przed fabryką...

— Gubernator przyjechał...

— Naprawdę?

— Sam widziałem — przyjechał!

Ktoś zaklął z radości i powiedział:

— Ale bać się zaczęli naszych! I wojsko, i gubernator!

— Kochani! — tłukło się w piersiach matki.

Ale słowa wokół niej dźwięczały martwo i chłodno. Przyspieszyła kroku, żeby odejść od tych ludzi, i z łatwością przegoniła ich powolne, leniwe kroki.

I nagle głowa pochodu uderzyła jakby o coś, ciało jego, nie zatrzymując się, zachwiało się w tył, z niespokojnym, cichym pomrukiem. Pieśń drgnęła także, ale potem popłynęła znowu, szybciej jeszcze i głośniej. I znowu gęsta fala dźwięków opadła, cofnęła się w tył. Głosy jeden za drugim

wypadały z chóru, rozlegały się oddzielnie starając się podnieść pieśń na poprzednią wyżynę, popchnąć ją naprzód:

Niech dźwignie się, wstanie roboczy nasz lud,
Niech runie na wroga lud głodny!...

Ale w tym wezwaniu nie było już zbiorowej wiary, drżał w nim już lęk.

Matka nie wiedziała, co się stało na przedzie. Nie widząc nikogo, rozpęchała tłum i szybko przeciskała się ku przodowi, a na spotkanie jej parli ludzie, jedni ze spuszczonymi głowami i nachmurzonymi brwiami, drudzy uśmiechający się z zawstyżeniem, jeszcze inni gwizdząc szyderczo. Patrzyła ze smutkiem w ich twarze, a oczy jej milcząco pytały, prosiły, wzywały...

— Towarzysze! — rozległ się głos Pawła. — Żołnierze są takimi samymi ludźmi jak my. Nie będą nas bić. Za co bić? Za to, że głosimy prawdę potrzebną wszystkim? Przecież ta prawda i im jest potrzebna. Teraz oni nie rozumieją jeszcze tego, ale już bliski jest czas, kiedy staną w jednym szeregu z nami, kiedy pójdą nie pod sztandarem grabieży i mordy, ale pod naszym sztandarem wolności. I po to, żeby prędzej zrozumieli naszą prawdę, musimy iść naprzód. Naprzód, towarzysze! Zawsze — naprzód!

Głos Pawła dźwięczał twardo, słowa dzwoniły w powietrzu wyraźnie i jasno, ale tłum rozpadał się, ludzie jeden za drugim odchodzili w prawo i w lewo, ku domom przytulając się do płotów. Teraz tłum miał kształt klina, którego ostrzem był Paweł i nad jego głową palił się czerwony sztandar roboczego ludu. Tlum przypominał także czarnego ptaka, który, szeroko rozłożywszy skrzydła, nastroszył się czujnie, gotów zerwać się i ulecieć, a Paweł był jego dziobem...

XXVIII

W końcu ulicy — matka to widziała — zamykając wyjście na plac stała szara ściana jednakowych ludzi bez twarzy. Nad ramieniem każdego z nich błyszczały chłodnym blaskiem ostre i wąskie pasemka bagnatów. I od tej nieruchomej, milczącej ściany wiało na robotników chłodem. Chłód ten przenikał także jej pierś, dochodził aż do serca.

Wcisnęła się w tłum, tam gdzie znani jej ludzie, stojący na przedzie, przy sztandarze, stykali się z nieznanymi, jakby opierając się na nich. Przycisnęła się mocno bokiem do wysokiego, ogolonego człowieka. Był jednooki i, żeby spojrzeć na nią, gwałtownie wykręcił głowę.

— Ty co? Czyjaś ty? — zapytał.

— Matka Pawła Własowa! — odpowiedziała, czując, że kolana drżą pod nią, a dolna warga opuszcza się mimo woli.

— Aha! — mruknął jednooki.

— Towarzysze! — przemówił Paweł. — Całe życie naprzód — nie ma przed nami innej drogi!

Zapanowała pełna napiętego oczekiwania cisza. Sztandar podniósł się, zachwiał jakby w zadumie i, powiewając nad głowami ludzi, popłynął ku szarej ścianie żołnierzy. Matka wzdrygnęła się, zamknęła oczy i krzyknęła.

Paweł, Andrzej, Samojłow i Mazin, tylko we czterech oderwali się od tłumy.

Ale w powietrzu zadrżał powoli jasny głos Fedzi Mazina:

Ofiarą — ście padli..

— zaśpiewał.

Ostatni szedł bój...

— dwoma ciężkimi westchnieniami odezwały się głębokie, znużone głosy. Ludzie wolno ruszyli naprzód uderzając

o ziemię drobnymi krokami. I popłynęła nowa pieśń, zdecydowana i decydująca:

Ludowi oddałeś, coś tylko sam mógł...

— jaskrawą wstęgą rozwijał się głos Fedzi.

Za wolność...

— zgodnie śpiewali towarzysze.

— Ahaa! — ze złością krzyknął ktoś z boku. — Żałobne nabożeństwo odprawiają sukinsyni!...

— Bij go! — rozległ się gniewny głos.

Matka chwyciła się rękami za pierś, obejrzała się i zobaczyła, że tłum, który przedtem ciasno zapełniał ulicę, stoi niezdecydowany, kurczy się i patrzy, jak odchodzą od niego ludzie ze sztandarem. Za nimi szło już tylko kilka dziesiątków i każdy krok naprzód zmuszał kogoś do odskoczenia w bok, zupełnie jakby droga pośrodku ulicy była rozpalona i parzyła stopy.

Upadnie gwałt!

— prorokowała pieśń w ustach Fedzi...

I powstanie lud!...

— pewnie i groźnie wtórował mu chór mocnych głosów.

Ale poprzez melodię pieśni przedzierały się ciche słowa:

— Komenderuje...

— Do ataku broń! — rozległ się ostry krzyk na przedzie.

W powietrzu falistą linią zachwiały się bagnety, opadły i wyciągnęły się na spotkanie sztandaru błysnąwszy chytym uśmiechem.

— Maarsz!

— Ruszyli — powiedział jednooki i, wsadziwszy ręce w kieszenie, uskoczył w bok.

Matka nie mrużąc oczu patrzyła. Szara fala żołnierzy zakolysała się i, rozciągnąwszy się na całą szerokość ulicy,

równy i chłodno ruszyła niosąc przed sobą rzadki grzebień srebrzyście połyskujących stalowych zębów. Matka kilku szerokimi krokami przysunęła się do syna. Widziała, jak Andrzej wysunął się naprzód, stanął przed Pawłem i zasłonił go swym ogromnym ciałem.

— Idź w szeregu, towarzyszu! — ostro krzyknął Paweł.

Andrzej śpiewał, ręce miał założone za plecami, głowę podniósł w górę. Paweł trącił go ramieniem i znowu krzyknął:

— W szeregu! Nie masz prawa! Na przedzie — sztandar!

— Rozejść się! — ciekim głosikiem krzyczał maleńki oficerek machając obnażoną szablą. Podnosił wysoko nogi nie zginając ich w kolanach, czupurnie stukał podszewkami o ziemię. Matce rzuciły się w oczy jego lśniące, wyglansowane buty.

Z boku, nieco za nim, szedł rosły, ogolony człowiek, z gęstymi, siwymi wąsami, w długim, szarym palcie na czerwonej podszewce, z żółtymi lampasami na szerokich spodniach. Tak jak chachoł, ręce założył w tył, podniósł siwe, gęste brwi i patrzył na Pawła.

Matka widziała więcej niż mogła objąć wzrokiem. W piersi jej uwiązał głośny krzyk, gotowy wyrwać się za każdym westchnieniem. Dusił ją, ale wstrzymywała go chwytając się rękami za piersi. Popychano ją, chwiała się na nogach, ale szła naprzód bez myśli, prawie nieprzytomna. Czuła, że za nią było coraz mniej ludzi — chłodny mur szedł jej naprzeciw i rozpędzał ich.

Coraz bliżej przysuwali się do siebie ludzie czerwonego sztandaru i gęsty łańcuch szarych ludzi. Widziała wyraźnie twarz żołnierzy — szeroką na całą ulicę, potwornie splecioną w brudnożółte pasmo, z wkropionymi w nie nierówno różnobarwnymi oczyma. Przed nią błyszczały z okrucieństwem cienkie ostrza bagnatów. Skierowane w piersi

ludzkie nie dotknąwszy ich nawet jeszcze, odlupywały jednego człowieka za drugim od tłumu rozpraszając go.

Matka słyszała za sobą tupot biegnących. Zduszone, przestraszone głosy krzyczały:

— Rozchodźcie się, chłopcy!

— Uciekaj, Własow!

— W tył, Pawełku!

— Zostaw sztandar, Pawle! — ponuro powiedział Wiesowszczyk. — Daj go tu, ja schowam!

Chwycił ręką za drzewce, sztandar zachwiał się w tył.

— Zostaw! — krzyknął Paweł.

Mikołaj cofnął rękę, jakby się sparzył. Pieśń zgasła. Ludzie zatrzymali się, ciasnym kręgiem otaczając Pawła. Ale Paweł utorował sobie drogę naprzód. Zapanowała nagle cisza. Stało się to od razu, jak gdyby niespodzianie spłynęła z góry i objęła wszystkich przeźroczytym obłokiem.

Pod sztandarem stało nie więcej niż dwudziestu ludzi, ale stali twardo. Lęk o nich i niejasne pragnienie powiedzenia im czegoś przyciągały ku nim matkę..

— Zabierzcie mu to, poruczniku! — rozległ się równy głos wysokiego starca. Wyciągnął rękę i wskazał na sztandar.

Do Pawła skoczył mały oficer, chwycił za drzewce i krzyknął piskliwie:

— Puszczaj!

— Precz z rękami! — powiedział głośnie Paweł.

Sztandar zachwiał się czerwienią w powietrzu, schylił się w prawo i w lewo i znowu stanął prosto — oficer odskoczył, usiadł na ziemi. Obok matki z nienaturalną szybkością prześliznął się Mikołaj niosąc przed sobą wyciągniętą rękę ze ściśniętym kulakiem.

— Brać ich! — wrzasnął starzec tupiąc nogą o ziemię.

Kilku żołnierzy wyskoczyło naprzód. Jeden z nich zamachnął się kolbą — sztandar drgnął, pochylił się i znikł w szarej grupce żołnierzy.

— Ech! — krzyknął ktoś żałośnie.

I matka zanosła się zwierzęcym, wyjąłym rykiem. Ale w odpowiedzi jej, z tłumu żołnierzy, rozległ się jasny głos Pawła:

— Do widzenia, mamó! Do widzenia, kochana!...

— Żyje! Pamięta! — dwa razy uderzyło ją w samo serce.

— Do zobaczenia, mateńko!

Podnosząc się na palce, machając rękami, starała się ich zobaczyć i ujrzała nad głowami żołnierzy okrągłą twarz Andrzeja — uśmiechała się do niej, kłaniała się.

— Drodzy moi... Jędrusiu! Pawelku! — krzyczała.

— Do widzenia, towarzysze! — krzyknęli spośród tłumu żołnierzy.

Odpowiedziało im wielokrotne, przerywane echo. Odezwało się z okien, gdzieś z góry, z dachów.

XXIX

Pchnięto ją w pierś. Poprzez mgłę w oczach widziała przed sobą oficerka, twarz miał czerwoną z natężenia i krzyczał do niej:

— Precz, babo!

Spojrzała na niego z góry na dół i zobaczyła u jego nóg drzewce sztandaru, złamane na dwie części. Na jednej z nich ocalał kawałek czerwonej materii. Schyliła się i podniosła je. Oficer wyrwał drążek z jej rąk, odrzucił go na bok i, tupiąc nogami, krzyczał:

— Precz, mówię!

Spośród żołnierzy wybuchnęła i polatała się pieśń:

Niech dźwignie się, wstanie roboczy nasz lud!...

Wszystko kręciło się, chwiało, drgało. Powietrze pełne było niespokojnego szumu, podobnego do matowego szumu przewodów telegraficznych.

Oficer odskoczył piszcząc nerwowo:

— Skończyć ze śpiewem! Fe!dfebel Krajnow...

Matka chwiejąc się podeszła do odłamka drzewca cduconego przez niego i znowu podniosła go.

— Zatkanąć im pyski!...

Pieśń splątała się, zadrżała, rozerwała się, zgasła. Ktoś wziął matkę za ramię, odwrócił ją, pchnął w plecy...

— Idź, idź...

— Oczyszczyć ulicę! — krzyczał oficer.

Widziała o dziesięć kroków od siebie gęsty tłum ludzi. Wrzeszczeli, mruzcili groźnie, gwizdali, powoli cofając się w głąb ulicy i rozlewając się po podwórzach.

— Idź! Idź do diabła! — krzyknął jej prosto w ucho młody, wąsaty żołnierz i, zrównawszy się z nią, pchnął ją na chodnik.

Szła opierając się o drzewce, nogi uginały się pod nią. Żeby nie upaść, czepiała się drugą ręką ścian i płotów. Przed nią cofali się ludzie, obok niej i za nią parli żołnierze pokrzykując:

— Rozchodź się, rozchodź się...

Żołnierze wyprzedzili ją. Zatrzymała się, obejrzała. W końcu ulicy rzadkim łańcuchem stali ci sami żołnierze zagradzając wejście na plac. Plac był pusty. Przed nią chwiały się także szare postacie zwolna napierając na ludzi...

Chciała zawrócić, ale nie zdając sobie z tego sprawy, poszła naprzód i doszedłszy do bocznej uliczki, wąskiej i pustej, skręciła w nią.

Znowu zatrzymała się, ciężko westchnęła, przysłuchiwała się. Gdzieś, przed nią, huczał tłum.

Opierając się na drzewcu, poszła dalej. Poczula, że nagle oblewa ją pot. Brwi jej podnosiły się i opuszczały, poruszała ustami i machała ręką. W sercu jej zapalały się jak iskry jakieś słowa, wybuchały, tłoczyły się, rozniecały w niej uparte, władcze pragnienie wypowiedzenia, wykrzyżenia ich...

Zaulek ostro zakręcał w lewo i za węglem matka zobaczyła dużą, ciasno zbitą gromadę ludzi. Czyjś głos donośnie i z siłą mówił:

— Dla swawoli, bracia, na bagnety się nie lezie!

— Ależ ludzie z nich! Co? Idą na nich, a ci nic — stoją! Stoją, bracie, bez strachu!

— Taki Pawełek Własow!...

— A chacho!

— Ręce założył w tył i uśmiecha się diabeł...

— Kochani moi! Ludzie! — krzyknęła matka wciskając się w tłum. Rozstępowano się przed nią z szacunkiem. Ktoś zaśmiał się:

— Popatrz — z chorągwią! Chorągiew ma w rękę!

— Milcz! — surowo powiedział inny głos.

Matka szeroko rozłożyła ręce.

— Posłuchajcie — na Chrystusa! Wszyscyście bracia rodzeni... Wszyscyście bliscy... Popatrzcie bez strachu — co się stało? Idą spokojnie dzieci, krew nasza, idą za prawdą... Dla wszystkich... Dla wszystkich was, dla dzieci waszych ofiarowali się na krzyżową drogę... Szukają jasných dni... Chcą innego życia. W prawdzie, w sprawiedliwości... Chcą dobra dla wszystkich!

Serce rwało się w niej, w piersiach było ciasno, w gardle sucho i gorąco. Głęboko, wewnątrz niej, rodziły się słowa wszystko i wszystkich obejmującej miłości, paliły jej język. Mówiła coraz mocniej, coraz swobodniej.

Widziała — słuchają jej ludzie, milczą wszyscy. Czuła — myślą ludzie okrążywszy ją ciasno, i rosło w niej pragnienie — jasno już je sobie teraz uświadomiła — pragnienie, by pchnąć ich tam, za synem, za Andrzejem, za wszystkimi, których oddali w ręce żołnierzy zostawiwszy ich samych.

Popatrzyła wokoło po chmurnych i uważnych twarzach i ciągnęła dalej z miękką siłą:

— Idą w świat nasze dzieci ku radości... Poszli za wszystkich i za chrystusową prawdę, przeciw wszystkiemu, czym ujarzmili, związali, zdławili nas, źli, fałszywi i chciwi. Serdeczni moi! Przecie to za cały naród podniosła się nasza młoda krew, za cały świat, za wszystkich ludzi pracy poszli!... Nie odchodźcie więc od nich, nie wyrzekajcie się ich, nie porzucajcie swoich dzieci na samotnej drodze. Ulitujcie się nad sobą... Uwierzcie synowskim sercom — prawdę zrodziły i za nią giną. Uwierzcie im!

Głos jej załamał się, zachwiała się, osłabła, ktoś chwycił ją pod rękę...

— Boże słowo mów! — krzyknął ktoś głucho, w podnieceniu. — Słuchajcie jej — dobrzy ludzie — boże słowo!

Ktoś inny litował się:

— Ach, jak się zabija!

Ktoś zaprzeczył z wyrzutem:

— Nie zabija się, tylko nas, głupców bije — zrozum!

Nad tłumem wzbil się wysoki, drżący głos:

— Prawosławni! Mitia mój — czysta dusza — co on zrobił? Poszedł za towarzyszami, za kochanymi... Prawdę ona mówi — dlaczego porzucamy nasze dzieci? Co zrobiły nam złego?

Matka zadrżała pod wpływem tych słów i odpowiedziała cichymi łzami.

— Idź do domu, Niłowna! Idź, matko! Wymęczyłaś się! — głośno powiedział Sizow.

Był blady, potargana broda trzęsała mu się. Nagle nachmurzył brwi, obrzucił wszystkich surowym spojrzeniem, wyprężył się cały i powiedział dobitnie:

— Wiecie, że zadusiło we fabryce syna mego Matwieja. Ale gdyby żył, sam bym go posłał, żeby szedł razem z nimi, z tymi! Sam bym mu powiedział: Idź, Matwieju! Idź — to sprawiedliwie, to — uczciwie!

Urwał, umilkł i wszyscy milczeli ponuro, opanowani przez coś ogromnego i nowego, co ich już jednak nie przerażało. Sizow podniósł rękę, potrząsnął nią i ciągnął dalej:

— Stary człowiek mówi do was — znacie mnie! Trzydzieści lat tu pracuję, pięćdziesiąt trzy lata na ziemi żyję. Krewniaka mego, chłopca czystego i rozumnego, znowu dzisiaj zabrali. Także na przedzie szedł razem z Własowem, obok samego sztandaru...

Machnął ręką, wzruszył ramionami i, ująwszy dłoń matki, dodał:

— Prawdę powiedziała ta kobieta. Dzieci nasze chcą żyć z honorem i rozumnie, a myśmy porzucili je i poszli — tak! Idź, Niłowna...

— Kochani moi! — powiedziała patrząc na wszystkich zapłakanyimi oczyma. — Dla dzieci — życie, dla nich — ziemia!...

— Idź, Niłowna! Masz, weź swój kij — i Sizow podał jej odłamek drzewca.

Patrzano na nią ze smutkiem i szacunkiem, odprowadzał ją szmer współczucia. Sizow w milczeniu odsuwał ludzi z drogi i oni odsuwali się milcząco, ale poddając się niejasnej sile, ciągnącej ich za matką, powoli szli za nią zamieniając ze sobą półgłosem krótkie słowa.

Przed bramą domu odwróciła się ku nim i, opierając się na odłamku sztandaru, ukłoniła się im z wdzięcznością i powiedziała cicho:

— Dziękuję wam...

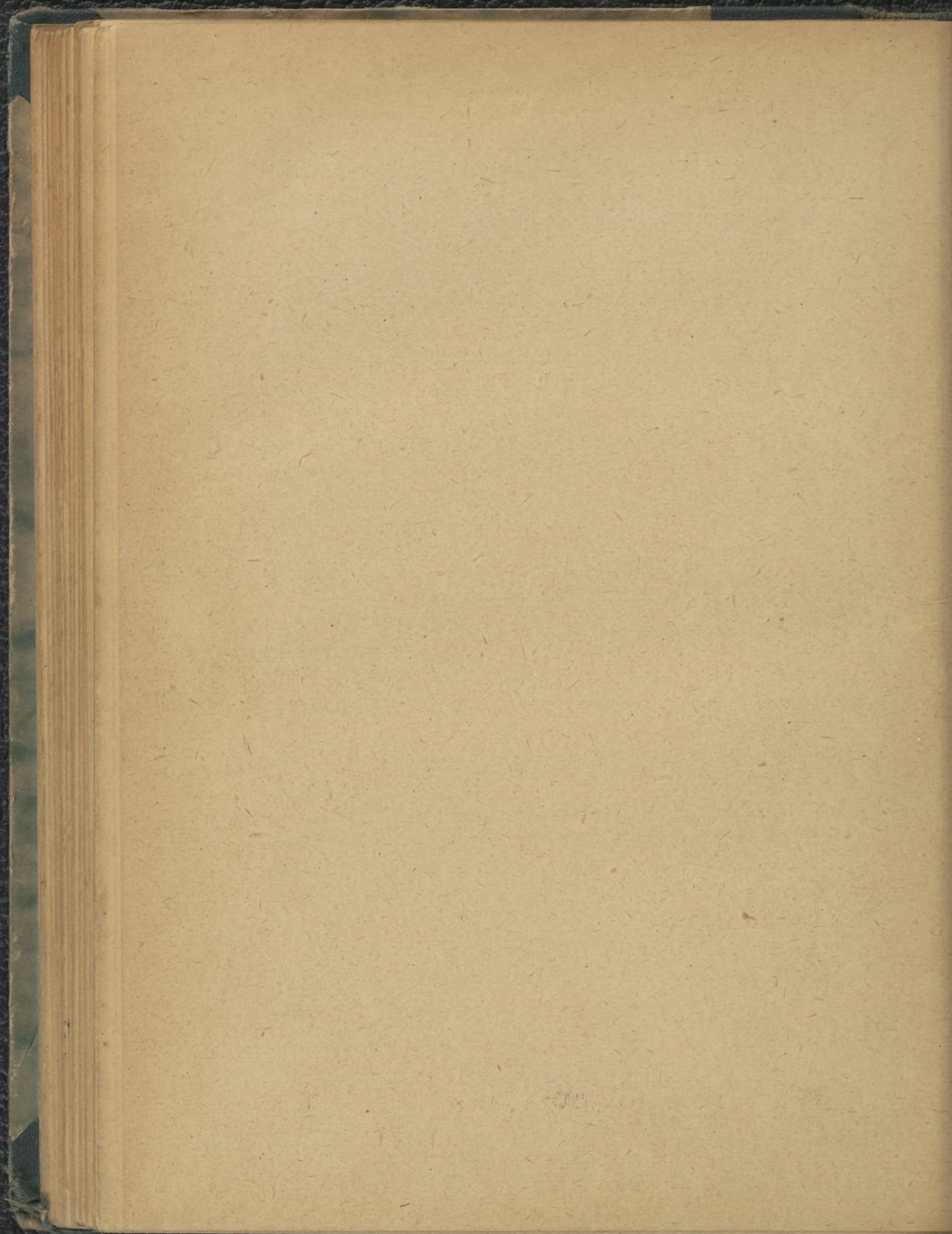
I znowu przypomniawszy sobie swoją myśl, nową myśl, która, zdawało się jej, urodziła się w jej sercu, dodała:

— Pana naszego Jezusa nie było by, gdyby ludzie nie ginęli na jego chwałę.

Tłum patrzył na nią w milczeniu. Skłoniła się jeszcze raz i weszła do swego domu, a Sizow pochyliwszy głowę, wszedł za nią.

Ludzie stali przed bramą, mówili o czymś.

I rozchodzili się bez pośpiechu.



C Z Ę Ś Ć D R U G A

I

Reszta dnia upłynęła matce jakby we mgłę wielobarwnych wspomnień, w ciężkim znużeniu obejmującym ciało i duszę. Niby szara plama skakał maleńki oficerek, błyskała brązowa twarz Pawła, uśmiechały się oczy Andrzeja.

Chodziła po pokoju, siadała przy oknie patrząc w ulicę, znowu chodziła podnosząc brwi. Oglądała się, wzdrygała i bezmyślnie szukała czegoś oczyma. Piła wodę nie mogąc ugasić pragnienia i zalać żaru tłącej w jej piersiach tęsknoty i krzywdy. Dzień był jakby przerąbany — na początku była treść, a teraz wszystko wyciekło z niego, rozpostarło się przed nią posępne pustkowie i kołysało się bezradne pytanie:

— I co teraz? ...

Przyszła Korsunowa. Machała rękami, krzyczała, płakała, zachwycała się, tupała nogami, proponowała coś, obiecywała, groziła komuś. Wszystko to nie wzruszało matki.

— Aha! — słyszała krzykliwy głos Marii. — Dopiekli jednak narodowi! Stała fabryka — cała stała!

— Tak! Tak! — mówiła cicho matka kiwając głową, ale oczy jej przyglądały się nieruchomo czemuś, co było już przeszłością, co odeszło od niej razem z Andrzejem i Pawłem. Nie mogła płakać — serce jej ścisnęło się i wyschło, wargi były suche, w ustach brakło wilgoci, trzęsły się jej ręce, a przez skórę pleców przebiegały krótkie dreszczyki.

Wieczorem przyszli żandarmi. Powitała ich bez zdziwienia i bez strachu. Weszli hałaśliwie, było w ich zachowaniu się coś wesołego i pełnego zadowolenia. Żółtolicy oficerek mówił szczerząc zęby:

— No, jak się miewacie? Trzeci raz się spotykamy, co? Milczała, na próżno starając się zwilżyć wargi suchym językiem. Oficer mówił dużo, pouczająco i matka czuła, że przyjemnie mu jest mówić. Ale jego słowa nie dochodziły do niej i nie przeszkadzały jej. Dopiero kiedy powiedział:

— Ty sama jesteś winna, mateczko, że nie umiałaś wpoić w syna szacunku dla Boga i cara...

Stojąc w drzwiach i nie patrząc na niego, odpowiedziała głucho:

— Tak — naszymi sędziami będą — dzieci. One osądzą nas sprawiedliwie za to, że porzucamy je na takiej drodze.

— Co? — krzyknął oficer. — Głośnicj!

— Mówię, że dzieci będą sędziami! — powtórzyła wzdychając.

Wtedy zaczął mówić o czymś prędko i gniewnie, ale jego słowa przelatywały wokół matki nie dotykając jej.

Świadkiem była tym razem Maria Korsunowa. Stała obok matki, ale nie patrzyła na nią i gdy oficer zwracał się do niej z jakimś pytaniem, odpowiadała pośpiesznie, zawsze tak samo kłaniając mu się nisko:

— Nie wiem, wasza wielmożność! Kobieta jestem niewykształcona, handlem się zajmuję i z powodu głupoty swojej o niczym nie wiem...

— Dostyc, milcz! — rozkazywał oficer poruszając wąsami. Kłaniała mu się znowu i, niespostrzeżenie pokazując mu figę, szeptała do matki:

— Na... masz! Ukąś!

Rozkazano jej zrewidować Własową. Zamrugwała oczyma, wytrzeszczyła je na oficera i powiedziała z przestraszeniem:

— Nie umiem tego, wasza wielmożność!

Tupnęła nogą, zakrzyczała. Maria spuściła oczy i cicho poprosiła matkę:

— Cóż... rozepnij się, Pelagio Niłowna...

Obszukując i obmacując jej ubranie, z twarzą nalaną krwią, szeptała:

— To psy — co?

— Ty co tam mówisz? — surowo krzyknął oficer zaglądając do kąta, gdzie rewidowała.

— W kobiecej takiej sprawie, wasza wielmożność... — wybełkotała Maria z przestraszeniem.

Gdy rozkazał matce podpisać protokół, nakreśliła niewprawną ręką, grubymi, błyszczącymi, jakby tłustymi, drukowanymi literami:

„Wdowa po człowieku pracy, Pelagia Własowa“.

— Coś ty napisała? Po co to? — krzyknął oficer marszcząc z niezadowoleniem twarz, a potem uśmiechając się zjadliwie, powiedział:

— Dzikusy...

Poszli. Matka stanęła przy oknie złożywszy ręce na piersiach i nieruchomo, nie widząc nic patrzyła długo przed siebie. Podniosła wysoko brwi, zacisnęła usta i szczęki tak mocno, że wkrótce poczuła ból w zębach. W lampie wypalała się nafta, płomień trzeszcząc zagasał. Zdmuchnęła ją i została w ciemnościach. W niej samej była także ciemność. Stała bez myśli; napęlniający pierś, ciągnący się bolesny smutek utrudniał bicie jej serca. Stała długo. Zmę-

czyły się nogi i oczy. Słyszała, jak przy oknie zatrzymała się Maria, i pijanym głosem krzyczała:

— Pelagio! Śpisz? Śpij, moja nieszczęśliwa męczennico, śpij!

Matka nie rozbierając się położyła się do łóżka i natychmiast, jak gdyby wpadła w głęboki oddech, pogrążyła się w ciężkim śnie.

Snił się jej żółty, piaszczysty kurhan, za bagnami, po drodze do miasta. Na jego skraju, nad urwiskiem zbiegającym ku jamom, z których wybierano piasek, stał Paweł i śpiewał cicho i melodyjnie głosem Andrzeja:

Niech dźwignie się, wstanie roboczy nasz lud!

Matka przechodziła obok kurhanu po drodze i, przyłożywszy dłoń do czoła, patrzyła na syna. Na tle błękitnego nieba postać jego rysowała się wyraźnie i ostro. Matka wstydziła się podejść do niego, ponieważ była brzemienna i na rękach miała także dziecko. Poszła dalej. Na polu dzieci bawiły się piłką. Było ich dużo, piłka była czerwona. Dziecko zaczęło się wrywać do nich z jej rąk i zapłakało głośno. Dała mu pierś i wróciła z powrotem, ale na kurhanie stali już żołnierze i skierowali ku niej bagnety. Szybko pobiegła ku cerkwi stojącej pośrodku pola, ku białej, lekkiej cerkwi zbudowanej jakby z obłoków i niezmiernie wysokiej. W cerkwi chowali kogoś. Trumna była duża, czarna, ze szczelnie zabitym wiekiem. Ale pop i diakon chodzili po cerkwi w białych ornatach i śpiewali:

— Chrystus zmartwychwstał...

Diakon kadził, kłaniał się jej, uśmiechał się. Włosy miał jaskrawo rude i wesołą twarz Samojłowa. Z góry, ze sklepienia kopuły, padały szerokie jak ręczniki promienie słońca. Na obu chórach cicho śpiewali chłopcy:

— Chrystus zmartwychwstał...

— Brać ich! — krzyknął nagle pop zatrzymując się pośrodku cerkwi. Ornat spadł z niego, na twarzy ukazały się siwe, surowe wąsy. Wszyscy rzucili się do ucieczki i diakon uciekał również, odrzuciwszy kadzielnicę i schwyciwszy się jak chachoł, obu rękami za głowę. Matka upuściła dziecko na podłogę, pod nogi ludzi, a oni okrążali je z daleka oglądając się bojaźliwie na jego nagie ciało. Matka upadła na kolana i krzychała:

— Nie porzucajcie dziecka! Weźcie je...

— Chrystus zmartwychwstał...

— Śpiewał chachoł trzymając ręce założone do tyłu i uśmiechając się.

Matka schyliła się, podniosła dziecko i posadziła je na wóz tarcic, obok którego szedł powoli Mikołaj, śmiał się i mówił:

— Dali mi ciężką robotę...

Na ulicy było brudno, z okien wychylali się ludzie, świsłali, krzyczeli, machali rękami. Dzień był jasny, słońce świeciło olśniewającym blaskiem, nigdzie nie było cieni.

— Śpiewajcie, mateńko! — mówił chachoł. — Takie jest życie!

I śpiewał zagłuszając swym głosem wszystkie dźwięki. Matka szła za nim. Nagle potknęła się i z ogromną szybkością zaczęła spadać w bezdenną, ziejącą przerażeniem głębię...

Obudziła się wstrząsana dreszczami. Jakby jakaś szorstka, ciężka łapa chwyciła jej serce i miętosiła je powoli w okrutnej zabawie.

Uparcie huczało wezwanie do pracy. Stwierdziła, że jest to już druga syrena.

W pokoju walały się nieporządnie książki. Wszystko było porozsuwane i poprzewracane, podłoga zdeptana.

Wstała i, nie umywszy się i nie pomodliwszy, zaczęła porządkować pokój. W kuchni rzucił się jej w oczy drzątek

z kawałkiem czerwonej materii. Nieprzyjaźnie wzięła go do ręki i chciała wsunąć do pieca, ale westchnąwszy, zdjęła z niego strzęp sztandaru, starannie złożyła czerwony skrawek i wsunęła go do kieszeni, a kij przelamała na kolanie i rzuciła na przypiecek. Potem wymyła okna i podłogę zimną wodą, nastawiła samowar i ubrała się. Usiadła w kuchni przy oknie i znowu stanęło przed nią pytanie:

— I co teraz?

Przypomniała sobie, że nie modliła się jeszcze. Stała przed obrazami, ale postawszy tak parę sekund znowu usiadła — w sercu jej była pustka.

Było dziwnie cicho — jak gdyby ludzie, którzy wczoraj tak krzyczeli na ulicy, schowali się dzisiaj w domach i w milczeniu rozmyślali o niezwykłym dniu.

Nagle przypomniała sobie obraz widziany niegdyś, jeszcze za dni młodości:

W starym parku panów Zausajłowych był duży staw zarosły wodnymi liliami. W szary, jesienny dzień przechodziła obok stawu i na jego środku zobaczyła łódkę. Staw był ciemny i spokojny, łódka jakby przyklejona do czarnej wody, po której pływały, niby smutna ozdoba, żółte liście. I od tej łódki bez steru i wiosel, samotnej i nieruchomej na matowej wodzie pośród umarłych liści, wiało głębokim smutkiem i nieznanym cierpieniem. Matka stała wówczas długo nad brzegiem stawu i myślała — kto to odepchnął od brzegu tę łódkę i po co? Wieczorem tego dnia dowiedziano się, że w stawie utopiła się żona ekonoma Zausajłowych, mała kobieta o zawsze rozwichrzonych czarnych włosach i szybkim chodzie.

Matka przesunęła rękę po twarzy i myśl jej zaczęła krążyć lekko nad wrażeniami wczorajszego dnia. Opanowały ją na nowo. Siedziała długo, zatrzymawszy oczy na szklance wystygłej herbaty, a w duszy jej rosło pragnienie zobaczenia kogoś mądrego i prostego i zapytania go

o wiele spraw. I jakby w odpowiedzi na to pragnienie, zjawił się po obiedzie Mikołaj Iwanowicz. Gdy jednak zobaczyła go, znowu owładnął ją lęk i, nie odpowiadając na jego powitanie, przemówiła cicho:

— Aj, drogi mój, niepotrzebnieście przyszli! To nieostrożne! Przecież złapią was, jeżeli zobaczą...

Mocno ściskając jej rękę, poprawiał okulary i, pochyłony nad nią, z twarzą przy jej twarzy, objaśniał ją pośpiesznie:

— Ja, widzicie, umówiłem się z Pawłem i Andrzejem, że jeśli ich zaaresztują, na drugi dzień zajmę się waszą przeprowadzką do miasta! — mówił łagodnie i z zafrasowaniem. — Była u was rewizja?

— Była. Obszukali, obmacali. Ani wstydu, ani sumienia nie mają ci ludzie! — zawołała.

— Po co im wstyd? — powiedział wzruszając ramionami Mikołaj i zaczął objaśniać, dlaczego powinna zamieszkać w mieście.

Śluchała jego przyjaźnie zatroskanego głosu, patrzyła na niego z bladym uśmiechem nie rozumiejąc jego dowodów, i dziwiła się swojej czulej ufności do tego człowieka.

— Jeżeli Pawełek chciał tego — powiedziała — i jeżeli nie będę was krępować...

— O to się nie troszczcie — przerwał jej. — Mieszkam sam, czasem tylko przyjeżdża siostra.

— Darmo chleba jeść nie będę — rozmyślała głośno matka.

— Zechcecie, robota się dla was znajdzie! — powiedział Mikołaj.

Dla matki z pojęciem „o robocie“ nierozdzielnie skojarzyła się już robota jej syna, Andrzeja i towarzyszy. Podeszła do Mikołaja i, zajrzawszy mu w oczy, zapytała:

— Znajdzie się?

— Gospodarstwo mam maleńkie, kawalerskie...

— Ja nie o takiej robocie, nie o domowej... — powiedziała cicho.

I westchnęła smutnie. Czuła się urażoną tym, że jej nie zrozumiał. Uśmiechnął się krótkowzrocznymi oczyma i powiedział:

— Ot, gdybyście przy widzeniu z Pawłem spróbowali się dowiedzieć od niego adresu tych chłopów, którzy prosili o gazetę...

— Znam ich! — zawołała radośnie. — Znajdę ich i zrobię wszystko, co każecie! Kto pomyśli o mnie, że noszę coś zakazanego? Do fabryki też nosiłam, dzięki Bogu!

Nagle zapragnęła iść drogami obok lasów i pól, z torbą na plecach, z kijem w ręku.

— Drogi mój, użyjcie mnie do tej pracy, proszę was! — powiedziała. — Pójdę wszędzie! Po wszystkich guberniach wszystkie drogi znajdę! Będę chodzić zimą i latem, aż do samej śmierci będę pielgrzymować — czy to zła dola dla mnie?

Wyobraziła sobie siebie jako bezdomną pątniczkę proszącą w imię Chrystusa o jałmużnę pod oknami wieśniaczych chat i zrobiło się jej smutno.

Mikołaj ostrożnie ujął jej dłoń i pogładził ją swoją ciepłą ręką. Potem spojrzął na zegarek i powiedział:

— O tym pomówimy później!

— Drogi mój! — zawołała. — Dzieci, najdroższe części naszego serca, oddają wolność i życie, giną nie żałując swoich młodych lat, a cóż ja — matka?

Twarz Mikołaja pobladła. Popatrzył na nią z pełną czułości uwagą i powiedział cicho:

— Wiecie, pierwszy raz słyszę takie słowa...

— Co ja mogę powiedzieć? — przemówiła smutnie kiwając głową i bezsilnym gestem rozkładając ręce. — Gdy-

bym miała takie słowa, którymi mogłabym opowiedzieć o swoim matczynym sercu...

Wstała, jakby nagle podniosła ją jakaś siła, która rosła w jej piersiach, upajała ją. Gorące słowa oburzenia tłoczyły się w jej głowie.

— Zapłakałoby wielu... Nawet złych, nawet bez sumienia...

Mikołaj podniósł się także, znowu spojrzął na zegarek.

— Więc postanowione, że przeprowadzacie się do miasta, do mnie?

Matka w milczeniu skinęła głową.

— Kiedy? Zróbcie to jak najprędzej! — poprosił miękko i dorzucił:

— Będę się bał o was, naprawdę!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem — co go ona obchodzi? Spuścił głowę i uśmiechał się z zakłopotaniem. Stał przed nią zgarbiony, krótkowzroczny, odziany jak zwykle w czarną marynarkę i zdawało się, że wszystko na nim i poza nim jest mu obce.

— Macie pieniądze? — zapytał spuściwszy oczy.

— Nie.

Pośpiesznie wyjął z kieszeni portmonetkę i roztworzywszy ją podał jej.

— Proszę, weźcie...

Matka mimo woli uśmiechnęła się i, pokiwawszy głową, zauważyła:

— Wszystko — po nowemu! Pieniądze — bez wartości. Ludzie dusze dla nich zatracają, a wy... tak sobie... jakby ze współczucia dla ludzi trzymacie je przy sobie...

Mikołaj zaśmiał się cicho.

— Pieniądze to bardzo niewygodna i nieprzyjemna rzecz. Zawsze to jakoś głupio człowiekowi, czy je bierze, czy daje...

Wziął jej rękę, uściskał mocno i jeszcze raz poprosił ją:

— Więc — jak najprędzej!
I jak zawsze cichy, odszedł.
Odprowadziwszy go, pomyślała:
— Taki dobry, a — nie użalił się nade mną.
I nie mogła dociec, czy jest jej nieprzyjemnie, czy tylko dziwi ją?

II

Przeprowadziła się do niego na czwarty dzień po jego odwiedzinach. Gdy wóz z dwoma jej kuferkami wyjechał z osady w pole, obejrzała się za siebie i nagle poczuła, że już na zawsze opuszcza to miejsce, gdzie upłynął posepny i ciężki szmat jej życia i zaczął się drugi okres, pełen cierpienia i radości, szybko pochłaniający dni.

Na ziemi czarnej od sadzy, jak olbrzymi ciemnoczerwony pajak, rozłożyła się fabryka podnosząc wysoko w niebo swoje kominy. Do niej tuliły się jednopiętrowe domki robotnicze. Szare, spłaszczone, tłoczyły się ciasną gromadką na skraju bagien i żałośnie patrzyły na siebie maleńkimi, mętными szybkościami. Nad nimi wznosiła się cerkiew także ciemnoczerwona, zlewająca się w kolorze z fabryką. Dzwonnica jej była niższa od fabrycznych kominów.

Matka westchnęła i poprawiła kołnierz kaftana uciskający jej szyję.

— Ruszaj! — mrucał do konia woźnica machając lejcam. Był to krzywonogi człowiek nieokreślonego wieku, o rzadkich, wypełzłych włosach na twarzy i głowie, z bezbarwnymi oczyma. Kiwając się z boku na bok szedł obok wozu i było widać, że wszystko mu jedno dokąd idzie — na prawo czy na lewo.

— Ruszaj! — mówił swoim bezbarwnym głosem i śmieśnie wyrzucał krzywe nogi w ciężkich butach, oblepionych

zeschłym błotem. Matka obejrzała się wokoło. W polu było pusto jak w jej duszy...

Jednostajnie kiwając głową koń wpierał się ciężko nogami w głęboki nagrany słońcem, szeleszczący cicho piasek. Skrzypiał źle wysmarowany, roztrzęsiony wóz i wszystkie te dźwięki razem z kurzawą pozostawały w tyle...

Mikołaj Iwanowicz mieszkał na skraju miasta, w odludnej uliczce, w maleńkiej zielonej oficynie, przybudowanej do dwupiętrowego, ciemnego, spuchniętego ze starości domu. Przed oficyną był niewielki ogródek i do okien trzech pokoi mieszkania zagłądały przyjaźnie gałęzie bżów, akacyj i srebrzyste liście młodych topoli. W pokojach było cicho i czysto, na podłodze drżały milczące, wzorzyste cienie, pod ścianami ciągnęły się półki ciasno zastawione książkami, na ścianach wisiały portrety jakichś surowych ludzi.

— Czy będzie wam tu wygodnie? — zapytał Mikołaj wprowadzając matkę do niewielkiego pokoju, z jednym oknem wychodzącym na ogródek, a drugim — na podwórze porośnięte gęstą trawą. I w tym pokoju także wszystkie ściany zajęte były szafami i półkami książek.

— Wolalabym w kuchni... — powiedziała. — Kuchenka jasna, czysta.

Wydawało się jej, że przestraszył się czegoś. A gdy niezręcznie i z zakłopotaniem zaczął jej odradzać i matka zgodziła się — poweselał od razu.

We wszystkich trzech pokojach było jakieś osobliwe powietrze. — Oddychało się nim lekko i przyjemnie, ale głos mimo woli zniżał się — nie chciało się mówić głośno, żeby nie naruszyć spokojnej zadumy i skupienia patrzących ze ścian ludzi.

— Trzeba podać kwiaty! — powiedziała matka pomacawszy ziemię w doniczkach z kwiatami w oknach.

— Tak! Tak! — w poczuciu winy przyznał gospodarz. — Ja, widzicie, lubię je, a nie mam czasu zajmować się nimi...

Obserwując go zauważyła, że w swoim zacisznym mieszkaniu Mikołaj porusza się ostrożnie; obcy i daleki wszystkiemu, co go otacza. Zbliżał swoją twarz do tego, na co patrzył, i poprawiając szczupłymi palcami prawej ręki okulary, mrużył oczy i zdawał się skierowywać nieme pytanie do przedmiotu, któremu się przyglądał. Niekiedy brał do ręki jakąś rzecz, podnosił ją do twarzy, starannie obmacywał oczyma. Zdawało się, że wszedł do pokoju razem z matką i że dla niego, tak samo jak i dla niej, wszystko tu jest nieznanne i obce. I widząc go takim, matka poczynała od razu, że tu jest jej miejsce. Chodziła za Mikołajem starając się zapamiętać, gdzie co stoi, wypytywała go o porządek dnia, a on odpowiadał jej tonem człowieka, który czuje się winny, gdyż wie, że robi wszystko nie tak jak trzeba, ale nie potrafi inaczej.

Podławszy kwiaty i ułożywszy rozrzucone na pianinie nuty popatrzyła na samowar i zauważyła:

— Trzeba oczyścić...

Przesunął palcami po mętnym metalu, po czym podniósł palec do nosa i przyjrzał mu się poważnie. Matka uśmiechnęła się do niego serdecznie.

Gdy położyła się spać i przypomniała sobie swój dzień, podniosła ze zdziwieniem głowę z poduszki i rozejrzała się wokoło: pierwszy raz w ciągu całego życia była w domu obcego człowieka i nie czuła się tym skępowana. Myślała o Mikołaju, troszczyła się o niego, czuła chęć urządzenia mu wszystkiego jak najlepiej, pragnęła wlać w jego życie trochę ciepła i serdeczności. Wzruszała ją niezręczność Mikołaja, jego śmieszna niezaradność, oddalenie od wszystkich codziennych spraw i coś mądrego, a zarazem dziecinnego w jasnych oczach. Potem myśli jej zatrzymały się uporczywie na synu i znówu rozwinął się przed nią ów dzień Pierwszego Maja, pełen innych dźwięków, uskrzydłony nową myślą. I cierpienie tego dnia było tak szczególne

jak on sam — nie zginało głowy do ziemi jak tępe uderzenie pięści, ale kłuło serce wieloma podniećmi, budziło w nim cichy gniew, wyprostowywało zgięty grzbiet.

— Idą w świat dzieci — myślała wsłuchując się w nieznane dźwięki nocnego życia miasta. Pełzły ku niej przez otwarte okno, szeleściły liśćmi w ogródku, przylatywały z daleka, znużone, blade, i cicho zamierały w pokoju.

Wczesnym rankiem oczyściła samowar, nastawiła go, cichutko zebrała naczynia i, siedząc w kuchni, czekała, kiedy obudzi się Mikołaj. Rozległ się jego kaszel i stanął w drzwiach, w jednej ręce trzymając okulary, a drugą zakrywając gardło.

Odpowiedziała na jego powitanie i wniosła samowar do pokoju, a Mikołaj zaczął się myć rozpluskując wodę po podłodze, upuszczając mydło i szczoteczkę do zębów, przychając.

Przy herbacie Mikołaj opowiedział jej:

— Zajmuję się w urzędzie ziemskim bardzo smutną pracą — obserwuję ruinę naszych chłopów...

I uśmiechając się smutnym i zawstydzonym uśmiechem, dodał:

— Ludzie wyczerpani głodem przedwcześnie umierają, dzieci rodzą się słabe i giną jak jesienne muchy. Wiemy o tym, znamy przyczyny nieszczęścia, za rozpatrywanie ich otrzymujemy wynagrodzenie. A dalej... dalej, właściwie mówiąc — nic...

— A kim wy jesteście? Studentem? — zapytała matka.

— Nie, nauczycielem. Ojciec mój jest dyrektorem fabryki w Wiatce, a ja zostałem nauczycielem. Ale na wsi zacząłem dawać chłopom książki i posadzili mnie do więzienia. Po wypuszczeniu z więzienia byłem subiektem w księgarni, ale popełniłem nieostrożność i znowu znalazłem się w więzieniu, a potem wywieźli mnie do Archangielska. Tam miałem nieprzyjemności z gubernatorem i ze-

słali mnie nad brzeg Morza Białego, do wioski, gdzie mieszkałem pięć lat.

Jego słowa dźwięczały w jasnym, zalanym słońcem pokoju, spokojnie i równo. Matka słyszała już wiele takich historyj i nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego opowiadają je tak spokojnie odnosząc się do nich jak do czegoś nieuniknionego.

— Siostra moja przyjedzie dzisiaj — oznajmił.

— Zameżna?

— Wdowa. Mąż jej był zesłany na Sybir, ale uciekł stamtąd i umarł dwa lata temu za granicą na suchoty...

— Młodsza od was?

— Starsza o sześć lat. Zawdzięczam jej wiele. Posłuchacie, jak ona gra! To jej pianino... Tu w ogóle jest dużo jej rzeczy. Moje są książki...

— A gdzie ona mieszka?

— Wszędzie! — odpowiedział uśmiechając się. — Wszędzie tam, gdzie potrzeba odważnego człowieka.

— Także — w tej samej robocie? — zapytała matka.

— Oczywiście! — odparł.

I po krótkim czasie odszedł do pracy, a matka zamyśliła się nad „tą robotą“, którą z dnia na dzień uparcie i spokojnie wykonują ci ludzie, i czuła się wobec nich tak dziwnie, jak gdyby stała nocą przed olbrzymią górą.

Około południa zjawiała się dama w czarnej sukni, wysoka i zgrabna. Gdy matka otworzyła jej drzwi, rzuciła na ziemię małą, żółtą walizeczkę i, pośpiesznie schwyciwszy jej rękę, zapytała:

— Jesteście mamą Pawła Michajłowicza, tak?

— Tak — odpowiedziała matka, onieśmielona wytwornością jej stroju.

— Tak sobie was właśnie wyobrażałam! Brat pisał, że będziecie u niego mieszkać — mówiła dama zdejmując

przed lustrem kapelusz. — Ja i Paweł Michajłowicz jesteśmy dawno przyjaciółmi. Opowiadał mi o was.

Głos miała nieco przytłumiony, mówiła powoli, ale poruszała się sprężysto i szybko. Jej duże szare oczy uśmiechały się młodym, jasnym uśmiechem, ale na skroniach zarysowywały się już cieniutkie, promieniste zmarszczki a nad maleńkimi muszelkami uszu przeblyskiwało srebro szwizny.

— Głodna jestem! — oświadczyła. — Dobrze by było wypić filiżankę kawy...

— Zaraz ugotuję! — powiedziała matka i, wyjmując z szafy maszynkę do kawy, zapytała cichutko:

— A czy Pawełek mówi o mnie?

— O, i dużo...

Wyjęła małą skórzaną papierośnicę, zapaliła papierosa i, chodząc po pokoju, spytała:

— Bardzo się o niego boicie?

Matka uśmiechała się przyglądając się jak pod maszynką pełzają niebieskie języki ognia spirytusowej lampy. Jej onieśmienie wobec damy rozplynęło się w radości.

— Więc opowiada o mnie — kochany! — myślała i mówiła powoli. — Oczywiście, nielekkko mi, ale dawniej było by gorzej — teraz wiem, że nie jest sam...

I patrząc w twarz kobiety, zapytała:

— A jak wam na imię?

— Zofia! — odpowiedziała.

Matka przyglądała się jej uważnie. W kobiecie tej było coś pełnego rozmachu, zbyt dziarskiego i pośpiesznego.

Łykając szybko kawę mówiła z pewnością w głosie:

— Najważniejsze jest to, żeby nie siedzieli długo w więzieniu, żeby rozprawa była jak najprędzej. A jak tylko ich ześlą — zaraz zorganizujemy Pawłowi Michajłowiczowi ucieczkę — jego obecność tutaj jest konieczna.

Matka spojrzała na Zofię niedowierzająco, a Zofia poszukawszy oczyma, gdzieby rzucić ogarek papierosa, wsadziła go do ziemi w doniczkę.

— To psuje kwiaty — machinalnie zauważyła matka

— Przepraszam! — powiedziała Zofia. — Mikołaj też mi to zawsze mówi! — I wyjąwszy z doniczki niedopałek wyrzuciła go przez okno.

Matka zmieszała się i, spojrzawszy jej w twarz, powiedziała z zawstydeniem:

— To ja przepraszam! Ja to tylko tak powiedziałam nie pomyślawszy. Nie powinnam była zwracać wam uwagi.

— A dla czegoż nie zwrócić uwagi, jeżeli taki ze mnie niedbałuch? — odezwała się Zofia wzruszając ramionami.

— Kawa gotowa? Dziękuję. A czemu tylko jedna filiżanka? Wy nie będziecie pili? — I nagle wzięła matkę za ramiona, przyciągnęła ją do siebie i, zajrzawszy jej w oczy, powiedziała ze zdziwieniem:

— Czyżbyście się czuli skrępowani?

Matka odpowiedziała z uśmiechem:

— Dopiero co tak wam powiedziałam o tym niedopałku, a wy się pytacie, czy czuję się skrępowana...

I nie kryjąc swego zdziwienia, dodała, a w głosie jej zadźwięczało jakby pytanie:

— Przyjechałam tu do was wczoraj, a zachowuję się jakbym była w domu, niczego się nie boję, mówię co mi się podoba. ...

— Tak powinno być! — zawołała Zofia.

— W głowie mi się kręci i sama siebie nie poznaję — mówiła dalej matka. — Dawniej — krążysz, krążysz koło człowieka, zanim powiesz mu coś od serca, a teraz — serce zawsze otwarte i od razu mówisz coś takiego, że dawniej nie przyszłoby ci to nawet na myśl.

Zofia zapaliła znowu papierosa i objęła matkę serdecznym spojrzeniem swoich szarych, świetlistych oczu.

— Mówicie, że ucieczkę zorganizujecie? No, a jak on żyć będzie jako zbieg? — wypowiedziała matka wreszcie nękające ją pytanie.

— To drobiazg! — powiedziała Zofia nalewając sobie kawy. — Będzie żyć, jak żyją dziesiątki zbiegów... Dopiero co spotkałem i odprowadziłem jednego — także bardzo cenny człowiek. Był zesłany na pięć lat, a spędził na zesłaniu trzy i pół miesiąca...

Matka uważnie popatrzyła na nią, pokiwała głową, uśmiechnęła się i powiedziała cicho:

— Nie, widać oszołomił mnie ten dzień — Pierwszy Maja. Dziwnie mi tak jakoś, jakbym po dwóch drogach naraz chodziła. To zdaje mi się, że wszystko rozumiem, to jakbym nagle znalazła się we mgle. Ot, na przykład wy. Patrzę ja na was — pani... A zajmujecie się tą pracą... Pawełka znacie, szanujecie go. Dziękuję wam...

— No, za to, to już ja wam dziękuję — roześmiała się Zofia.

— Cóż ja? Nie ja go tego nauczyłam! — powiedziała westchnąwszy matka.

Zofia położyła niedopałek na podstawce filiżanki, wstrząsnęła głową i złociste pasma jej gęstych włosów rozsypały się po plecach.

— No — powiedziała wychodząc — czas już zdjąć z siebie te wspaniałości...

III

Po południu zjawił się Mikołaj. Przy obiedzie Zofia opowiadała wesoło, jak pojechała po zbiegłego z zesłania człowieka, jak go ukrywała, jak bała się szpiegów widząc ich we wszystkich ludziach i jak zabawnie zachowywał się

zbieg. W tonie jej było coś, co przypominało matce przechwałki robotnika, który dobrze wykonał trudną pracę i — jest zadowolony.

Teraz miała na sobie lekką i szeroką suknię stalowego koloru. W sukni tej wydawała się wyższa, oczy jej jakby pociemniały, a ruchy stały się spokojniejsze.

— Będziesz musiała, Zofio — powiedział po obiedzie Mikołaj — zając się jeszcze jedną sprawą. Wiesz, że zamierzamy wydawać gazetę dla wsi, ale wskutek ostatnich aresztowań, straciliśmy kontakt z ludźmi. Tylko Pelagia Niłowna może nam wskazać, jak znaleźć człowieka, który zajmie się rozpowszechnianiem gazety... Jedź z nią tam. Trzeba to zrobić jak najprędzej.

— Dobrze! — powiedziała Zofia paląc papierosa. — Jedziemy, Pelagio Niłowna?

— Cóż, jedźmy...

— Daleko to?

— Osiemdziesiąt wiorst...

— Doskonale!... A teraz zagram. Wy jak, Pelagio Niłowna — możecie znieść trochę muzyki?

— Nie pytajcie mnie — jakby mnie tu nie było! — powiedziała matka siadając w kąciku kanapy. Widziała, że brat i siostra niby to nie zwracają na nią uwagi, a jednak cały czas składa się tak, że mimo woli miesza się ciągle do ich rozmowy, niespostrzeżenie zachęcana przez nich.

— Słuchaj, Mikołaju! — To — Grieg. Dzisiaj przywiozłam... Zamknij okna.

Otworzyła nuty, lekko uderzyła po klawiszach lewą ręką. Głębokimi, soczystymi tonami zaśpiewały struny. Z głębokim westchnieniem przyłączyła się do nich jeszcze jedna nuta wibrująca bogactwem dźwięków. Spod palców prawej ręki dzwoniąc srebrzyście jak stado strwożonego ptactwa poderwały się dziwne, wysokie, przejrzyste krzyki

strun, zakolysały się, zatrzepotały jak spłoszone ptaki na ciemnym tle niskich tonów.

Z początku te dźwięki nie wzruszały matki. Słyszała tylko dzwoniący chaos. Jej słuch nie mógł wyłowić melodii ze złożonej, rozedrganej masy tonów. Półdrżemiąc patrzyła na Mikołaja, który siedział podkuliwszy pod siebie nogi w drugim końcu szerokiej kanapy, i przyglądała się surowemu profilowi Zofii i jej głowie obciążonej masą złotych włosów. Promień słońca oświetlał głowę i ramię Zofii, położył się na klawiszach fortepianu i zadrżał pod jej palcami, jakby obejmując je. Muzyka napępiała coraz bardziej pokój i niespostrzeżenie dla matki budziła jej serce.

I nie wiadomo dlaczego z ciemnej otchłani przeszłości wynurzyła się i stanęła przed nią krzywda dawno zapomniana, ożyła z pełną goryczy jasnością.

Pewnego razu jej mąż przyszedł do domu późną nocą, bardzo pijany, chwycił ją za rękę, zrzucił z łóżka na podłogę i, kopnąwszy ją w bok, powiedział:

— Zabieraj się stąd, swolocz, obrzydłaś mi!

Żeby zasłonić się od razów, chwyciła na ręce dwuletniego syna i klęcząc zakryła się jego ciałem jak tarczą. Płakał, wrywał się jej z rąk, przestraszony, golutki i ciepły.

— Wynoś się! — ryczał Michał.

Zerwała się, wpadła do kuchni, narzuciła na plecy kaftan, owinęła dziecko w chustkę i w milczeniu, bez krzyków i skarg, bosa, w jednej koszuli i kaftanie, poszła ulicą. Był maj. Noc była chłodna i pył ulicy zimnym dotknięciem przylepiał się do nóg, włożył między palce. Dziecko płakało, miotało się. Odkryła pierś, przytuliła do siebie syna i, gnana strachem, szła po ulicy kołysząc go cicho:

— A-a-a... a-a-a!...

Switało już. Wstydziła się i lękała czekać, aż ktoś wyjdzie na ulicę i zobaczy ją półnagą. Zeszła ku bagnetom, usia-

dła na ziemi pod gęstą kępą młodych osin. Siedziała tak długo wśród nocy. Patrzyła nieruchomo w ciemność szeroko otwartymi oczyma i śpiewała kołysząc uspione dziecko i własne sponiewierane serce:

— A-a-a... a-a-a... a-a-a!...

O jakiejś chwili, nad głową jej mignął lecąc w dal, czarny, cichy ptak — obudził ją, podniosła się. Drżąc z zimna poszła do domu, gdzie czekał ją ciągły strach przed razami i nowa poniewierka...

Ostatni raz westchnął głośno obojętny, chłodny akord. Westchnął i zamarł.

Zofia odwróciła się i półgłosem zapytała brata:

— Podobało ci się?

— Bardzo! — odparł i wzdrygnął się jak zbudzony ze snu. — Bardzo...

W sercu matki śpiewało i drżało echo wspomnień. I gdzieś, na uboczu, rozwijała się myśl:

— Oto żyją ludzie zgodnie, spokojnie. Nie wymyślają sobie, nie piją wódki, nie sprzecząją się o każdy kęs... jak to jest u nich, u ludzi czarnego życia...

Zofia paliła papierosa. Paliła dużo, niemal bez przerwy.

— To ulubiona rzecz nieboszczyka Kostka! — powiedziała zaciągając się dymem i znowu wzięła cichy, smutny akord. — Tak lubiłam mu grać. Był taki wrażliwy, czuł na wszystko, pełen wszystkiego...

— Męża pewnie wspomina — przeleciało przez myśl matce. — A — uśmiecha się...

— Ileż dał mi szczęścia ten człowiek — cicho mówiła Zofia akompaniując swoim myślom lekkimi dźwiękami strun. — Jak on umiał żyć...

— Ta-ak! — powiedział Mikołaj skubiąc bródkę. — Rozśpiewana dusza!...

Zofia rzuciła gdzieś zaczętego papierosa i, zwracając się do matki, zapytała:

— Nie przeszkadza wam ten mój hałas?

Matka odpowiedziała z rozdrażnieniem, którego nie umiała opanować:

— Nie pytajcie mnie. Ja nie rozumiem nic. Siedzę, słucham, myślę o sobie. . .

— Nie — wy powinniście rozumieć! — powiedziała Zofia. — Kobieta nie może nie rozumieć muzyki — zwłaszcza, jeśli jest jej smutno. . .

Uderzyła silnie po klawiszach i rozległ się głośny krzyk, jakby ktoś usłyszał straszną dla siebie wieść, która uderzyła go w samo serce i wyrwała mu ten wstrząsający dźwięk. Zadźwięczały przestraszone młode głosy, rzuciły się gdzieś pośpiesznie, w zamieszaniu. Znowu zakrzyczał gniewny, donośny głos zagłuszając wszystko. Widocznie zdarzyło się nieszczęście, ale wywołało nie skargę, lecz gniew. Potem zjawił się ktoś łagodny i silny i zaśpiewał prostą, piękną pieśń, namawiając do czegoś, wołając za sobą.

Serce matki napełniało pragnienie powiedzenia tym ludziom czegoś dobrego. Uśmiechała się upojona muzyką i odczuwała pragnienie zrobienia czegoś dla brata i siostry. I poszukawszy oczyma — co by tu takiego zrobić? — ci-chutko wyszła do kuchni nastawić samowar.

Ale pragnienie zrobienia dla nich czegoś nie zniknęło i nalewając herbatę mówiła z zawstydzieniem, jakby obdzielała równocześnie ciepłymi, wprost spod serca wyjętymi słowami i ich, i siebie:

— My, ludzie czarnego życia, wszystko czujemy, ale trudno nam wypowiedzieć to, wstydzimy się, że rozumiemy, a powiedzieć nie umiemy. I często — ze wstydu — gniewamy się na nasze myśli. Życie — ze wszystkich stron bije i kole, odpocząć się chce, a myśli — przeszkadzają.

Mikołaj słuchał przecierając okulary, Zofia patrzyła, szeroko otworzywszy swoje ogromne oczy zapominając palić dogasającego papierosa. Siedziała półobrócona do pianina i od czasu do czasu delikatnie dotykała klawiszy szczupłymi palcami prawej ręki. Akord ostrożnie wlewał się w słowa matki, pośpiesznie oblekającej uczucia w proste, z serca płynące słowa.

— Ja oto mogę już teraz powiedzieć coś o sobie i o ludziach, dlatego, że zaczęłam rozumieć mogąc porównać. — Dawniej żyłam i nie miałam swego życia z czym porównywać. W naszym stanie wszyscy żyją jednakowo. A teraz widzę, jak inni żyją, wspominam własne swoje życie — gorzko mi i ciężko!

Zniżyła głos i ciągnęła dalej:

— Może być, że ja coś nie tak powiem i że nie trzeba było w ogóle tego mówić, bo wy i tak sami wszystko wiecie. . .

W głosie jej zabrzmiały łzy i, patrząc na nich z uśmiechem w oczach, dodała:

— Ale chce mi się otworzyć przed wami serce, żebyście widzieli, że życzę wam wiele, wiele dobrego!

— Widzimy! — cicho powiedział Mikołaj.

Nie mogła jednak wciąż nasycić swego pragnienia i mówiła dalej o tym, co było dla niej nowe i wydawało się jej niezmiernie ważne. Zaczęła opowiadać o swoim życiu w poniewierce i znoszonym bez szemrania cierpieniu. Opowiadała bez gniewu, z uśmiechem współczucia na ustach rozwijając szary zwój smutnych dni. Opowiadała o mężowskich razach dziwiąc się sama, jak nikłe były ich powody i jak nie potrafiła bronić się przed nimi. . .

Słuchali jej w milczeniu, przygnębieni głębokim sensem prostej historii człowieka, którego uważano za bydlę i który długo i bez sprzeciwu czuł się sam tym, za co go uważano. Wydawało się, że tysiące ludzkich żywotów mówi jej

ustami. Codzienne i proste było to, czym żyła, ale tą prostą codziennością żyło tysiące ludzi na ziemi i historia jej nabierała znaczenia symbolu. Mikołaj oparł się łokciami o stół, położył głowę na dłoni i nie ruszał się, patrząc na nią przez okulary przymrużonymi w naprężeniu oczyma. Zofia oparła się o poręcz krzesła i chwilami wzdrygała się, przecząco poruszając głową. Twarz jej stała się jeszcze chudsza i bledsza. Nie paliła.

— Pewnego razu — odezwała się cicho Zofia spuszczać głowę — wydało mi się, że jestem nieszczęśliwa, że całe moje życie to maligna. To było na zesłaniu. Małe prowincjonalne miasteczko, nie ma co robić i nie ma o czym myśleć, chyba tylko o sobie. Z bezczynności zaczęłam zbierać w myśli wszystkie moje nieszczęścia, ważyć je. Oto pokłóciłam się z ojcem, którego bardzo kochałam, z gimnazjum mnie wygnali i znieważyli mnie, więzienie, zdrada bliskiego mi towarzysza, aresztowanie męża, znowu więzienie i zesłanie, śmierć męża. I wydało mi się, że nie ma chyba człowieka nieszczęśliwszego ode mnie. Ale wszystkie moje nieszczęścia, i nawet jeszcze dziesięć razy więcej — nie warte są jednego miesiąca waszego życia, Pelagio Niłowna... To codzienne znęcanie się przez lata całe... Skąd ludzie czerpią siłę, żeby to znieść?

— Przyzwyczajają się! — odpowiedziała z westchnieniem matka.

— Zdawało mi się, że znam życie! — powiedział w zamysleniu Mikołaj. — Ale jeśli mówi o nim nie książka, nie poszczególne moje wrażenia, ale ono samo — przejmuje mnie lęk! I straszne są właśnie drobiazgi, straszne są te nędzne minuty, z których składają się lata...

Rozmowa płynęła, rosła; to czarne życie, o którym mówiła matka, ogarniało ich ze wszystkich stron. A matka zagłębiała się we wspomnienia, i, wywlekając z mroków swojej przeszłości codzienne krzywdy, rozłaczała przed ni-

mi przygnębiający obraz tej poniżającej grozy, w której utonęła jej młodość. Wreszcie powiedziała:

— Oj, nagadałam wam — czas już odpocząć! Wszystkiego się nie opowie. . .

Brat i siostra pożegnali się z nią w milczeniu. Wydało się jej, że Mikołaj ukłonił się jej niżej niż zwykle i mocniej ścisnął jej rękę. A Zofia odprowadziła ją do jej pokoju i, stanąwszy w drzwiach, powiedziała cicho:

— Odpocznijcie — spokojnej nocy!

Głos jej był ciepły, spojrzenie szarych oczu miękką pieśczęcią zatrzymało się na twarzy matki. . .

Wzięła rękę Zofii i, ściskając ją w swoich rękach, odpowiedziała:

— Dziękuję wam! . . .

IV

Po kilku dniach matka i Zofia stanęły przed Mikołajem jako dwie ubogo ubrane mieszczki w znoszonych perkalowych sukniach i kaftanach, z torbami na plecach i kijami w rękę. Strój ten uczynił Zofię niższą, a twarz jej wydawała się jeszcze surowsza i bledsza.

Żegnając się z siostrą, Mikołaj ścisnął mocno jej rękę, a prostota i spokój cechujące ich stosunek jeszcze raz zwróciły uwagę matki. Nie całują się, nie mówią pieśczętliwych słów, a odnoszą się do siebie tak serdecznie, z taką troskliwością. Tam gdzie żyła dotychczas, ludzie dużo całowali się, często mówili przyjazne słowa i zawsze kąsali się jak głodne psy.

Kobiety minęły w milczeniu ulicę miasta, wyszły w pole i ramię przy ramieniu ruszyły po szerokiej, bitej drodze między dwoma rzędami starych brzoź.

— A nie zmęczycie się? — zapytała matka Zofii.

— Myślicie, że mało chodziłam? Jestem przyzwyczajona...

Wesoło, jak gdyby przechwalała się dziecinnymi figlami, Zofia zaczęła opowiadać matce o swojej rewolucyjnej pracy. Musiała często żyć pod cudzym nazwiskiem posługując się fałszywymi dokumentami, przebierać się, ukrywać przed szpiclami, rozwozić pudy zakazanych książek po różnych miastach, organizować ucieczki zesłanych towarzyszy, odprowadzać ich za granicę. W mieszkaniu jej była urządzone tajna drukarnia, a gdy żandarmi dowiedzieli się o tym i przyszli z rewizją, zdążyła na minutę przed ich przyjściem przebrać się za pokojówkę i wyszła spotkawszy swoich gości w bramie domu. Bez płaszcza, w lekkiej chusteczce na głowie, z bańką do nafty w rękę, przeszła wtedy zimą w silny mróz przez całe miasto, z jednego końca na drugi. Innym razem przyjechała do obcego miasta, do swoich znajomych i gdy szła już po schodach do ich mieszkania, zauważyła, że odbywa się u nich rewizja. Zwrócić było już za późno. Zadzwoiła więc śmiało o piętro niżej, weszła z walizką do nieznanym ludzi i wytłumaczyła im otwarcie swoje położenie.

— Możecie mnie wydać, jeśli chcecie, ale myślę, że nie zrobicie tego — powiedziała z przekonaniem.

Nieznanymi byli bardzo przestraszeni i nie spali całą noc oczekując, że lada chwila zapukają do nich, ale nie zdecydowali się na wydanie jej żandarmom, a rankiem razem z nią śmieli się z nich. Pewnego razu przebrana za mniszkę siedziała w tym samym wagonie i na tej samej ławce ze szpiclem, który ją śledził, i szpicel przechwalał się przed nią swoją zręcznością opowiadając jej, w jaki sposób to robi. Był przekonany, że ona jedzie tym samym pociągami w wagonie drugiej klasy. Na każdym przystanku wychodził i po powrocie oświadczał:

— Nie widać jej — pewnie położyła się spać. Oni także męczą się, życie mają ciężkie, w rodzaju naszego!

Matka słuchała jej opowiadań, śmiała się i patrzyła na nią z czułością. Wysoka i chuda, Zofia lekko i twardo kroczyła po drodze kształtnymi nogami. W jej ruchach, słowach, w dźwięku głosu trochę przytłumionego, ale dziarskiego, w całej jej prostej postaci, było dużo duchowego zdrowia i wesołej odwagi. Patrzyła na wszystko młodymi oczyma i wszędzie widziała coś, co napępniało ją młodzieńczą radością.

— Popatrzcie, jaka piękna sosna! — wołała Zofia wskazując na drzewo. Matka zatrzymywała się, patrzyła — sosna nie była ani gęstsza, ani wyższa od innych.

— Ładne drzewo! — potwierdziła uśmiechając się. I widziała, jak wiatr bawi się siwymi włosami nad uchem Zofii.

— Skowronek! — szare oczy Zofii rozjaśniały się i patrzyły z miękką pieśczołą, a całe ciało jak gdyby odrywało się od ziemi i unosiło na spotkanie niewidzialnej muzyki dzwoniącej w jasnym błękicie. Czasami jej gibka postać schylała się, zrywała polny kwiat i lekkim dotknięciem delikatnych, szybkich palców miłośnie gładziła jego drżące płatki. Nuciała coś przy tym cicho i pięknie. Wszystko to pociągało coraz bardziej matkę do kobiety z promiennymi oczyma i mimo woli przytulała się do niej starając się dotrzymać kroku. Ale czasem w słowach Zofii zjawiało się coś rażącego i szorstkiego, co wydawało się matce zbędne i budziło w niej trwożną myśl:

— Nie spodoba się ona Michałowi...

Ale po minucie Zofia mówiła znowu z serdeczną prostotą i matka zaglądała jej z uśmiechem w oczy.

— Jacyście wy jeszcze młodzi! — powiedziała z westchnieniem.

— O, mam już 32 lata! — wykrzyknęła Zofia.

Własowa uśmiechnęła się.

— Ja nie o tym — z twarzy można by wam dać i więcej. A spojrzeć w wasze oczy, posłuchać was — aż się człowiek zadziwi — jak dziewczynka. Życie wasze przecie niespokojne, trudne, niebezpieczne, a serce — uśmiecha się.

— Nie czuję, żeby mi było trudno, i nie mogę sobie wyobrazić lepszego i bardziej zajmującego życia niż moje... Będę nazywać was — Niłowną; Pelagia — to nieodpowiednie dla was imię.

— Nazywajcie mnie, jak chcecie! — powiedziała w zamysleniu matka. — Jak się wam chce, tak do mnie mówcie. Patrzę na was, słucham, myślę. Przyjemnie mi jest, gdy widzę, że znacie drogi do ludzkiego serca. Wszystko w człowieku otwiera się przed wami bez onieśmienia i obawy — serce otwiera się samo na wasze przyjęcie. I myślę ja o was wszystkich, że zwyciężycie zło w życiu, na pewno zwyciężycie!

— Zwyciężymy, ponieważ idziemy z roboczym ludem! — pewnie i głośno powiedziała Zofia. — W nim kryją się wszystkie możliwości, z nim wszystko jest osiągalne! Trzeba tylko obudzić jego świadomość, której nie pozwalają rosnąć...

Słowa jej obudziły w sercu matki złożone uczucie — uczuła nie wiadomo dlaczego litość dla Zofii, była to jednak litość przyjaciela, litość, która nie obraża. Pragnęła usłyszeć od niej jakieś inne, prostsze słowa.

— Kto was nagrodzi za wasze trudy? — zapytała cicho i smutnie.

— Jesteśmy już wynagrodzeni! Znaleźliśmy dla siebie życie, które zadowala nas, żyjemy wszystkimi siłami duszy — czegoż można pragnąć jeszcze? — odpowiedziała Zofia i matce wydało się, że w słowach jej zabrzmiała dumna.

Spojrzała na nią, spuściła głowę i znowu pomyślała:

— Nie, nie spodoba się ona Michałowi. . .

Wdychając pełną piersią słodkie powietrze, szły bez pośpiechu, ale żwawym krokiem i matce wydawało się, że idzie na pielgrzymkę. Przypomniało się jej dzieciństwo i ta dobra radość, z którą wychodziła ze wsi na święto do dalekiego klasztoru, do cudownego obrazu.

Czasem Zofia nuciła pięknie półgłosem jakieś nowe pieśni o niebie i miłości, albo nagle zaczynała mówić wiersze o polu i lasach, o Wołdze, a matka słuchała z uśmiechem, mimo woli kiwając głową w rytm wiersza i poddając się jego muzyce.

W piersi było ciepło i panowała pełna zadumy cisza, jak w maleńkim, starym sadzie, letnim wieczorem.

V

Na trzeci dzień przyszły do wsi. Matka spytała pracującego w polu chłopca, gdzie jest dziegciarnia i wkrótce schodziły już po spadzistej, leśnej ścieżce — korzenie drzew tworzyły na niej jakby schody — na niewielką, okrągłą polankę, zasypaną węglem i wiórami, zalaną dziegciem.

— Otóż i przyszliśmy! — powiedziała matka oglądając się niespokojnie.

Przed szłaśm z żerdzi i gałęzi, przy stole z nieheblowanych desek, położonych na kozłach wkopanych w ziemię, jedli obiad: Rybin, cały czarny, w rozpiętej na piersiach koszuli, Jefim i jeszcze dwóch młodych parobczaków. Rybin zauważył je pierwszy i przyłożywszy dłoń do oczu oczekiwał w milczeniu.

— Witajcie, bracie Michale! — krzyknęła matka jeszcze z daleka.

Wstał i poszedł nie śpiesząc się na ich spotkanie, a poznawszy ją, uśmiechnął się i pogładził brodę ciemną ręką.

— Idziemy z pielgrzymką! — powiedziała matka podchodząc do niego. — Zajdę, myślę sobie, i odwiedzę brata! A oto moja przyjaciółka Anna...

I dumna ze swego konceptu, spojrzała z ukosa na poważną i surową twarz Zofii.

— Witaj! — powiedział Rybin uśmiechając się posępnie. Potrząsnął jej ręką i, ukłoniwszy się Zofii, ciągnął dalej:

— Nie kłam. Tu nie miasto i kłamstwa niepotrzebne! Wszystko swoi ludzie...

Jefim siedząc przy stole, bystro przyglądał się pątniczkom i mówił coś towarzyszom dźwięcznym głosem. Gdy kobiety podeszły do stołu, wstał i ukłonił się im w milczeniu. Jego towarzysze siedzieli nieruchomo, jakby nie zauważyli gości.

— Żyjemy tu jak mnichy! — powiedział Rybin klepiąc Własową lekko w plecy. — Nikt do nas nie zachodzi, gospodarza nie ma we wsi, gospodynię do szpitala zabrali, a ja jestem tu czymś w rodzaju zarządzającego. Siadajcie do stołu. Pewnie chce się wam jeść. Przyniósłbyś mleka, Jefimiel!

Jefim poszedł nie śpiesząc się do szafasu, pątniczki zaczęły zdejmować z pleców worki, jeden z parobczaków, wysoki i chudy, wstał od stołu i pomagał im, drugi, krępy i kudłaty, w zamyśleniu wsparł się na łokciach, drapał się w głowę i cicho mruczał jakąś piosenkę. Ciężki zapach dziegciu zlewał się z duszną wonią zgniłych liści i wywoływał zawrót głowy.

— Oto Jakub — wskazując na wysokiego parobczaka powiedział Rybin — a to Ignacy. No, jak twój syn?

— W więzieniu! — powiedziała westchnąwszy matka.

— Znowu w więzieniu? — zawołał Rybin. — Spodobało mu się tam, jednak...

Ignacy przestał śpiewać, Jakub odebrał kij z ręki matki i powiedział:

— Siadaj!

— A wy dlaczego nie siadacie? Siadajcie! — zaprosił Rybin Zofię. Usiadła w milczeniu na pniu drzewnym, uważnie przyglądając się Rybinowi.

— Kiedy go wzięli? — zapytał Rybin siadając naprzeciw matki. I kiwając głową, zawołał: — Nie wiecie ci się, Niówna!

— To nic! — powiedziała.

— No? Przyzwyczajasz się widać?

— Nie przyzwyczajam się, tylko widzę, że bez tego nie można!

— Tak! — powiedział Rybin. — No, opowiadaj...

Jefim przyniósł garnek mleka, wziął ze stołu filiżankę, wypłukał wodą, nalał do niej mleka i podsunął ją Zofii, uważnie słuchając opowiadania matki. Poruszał się i robił wszystko cicho i ostrożnie. Gdy matka skończyła swoje krótkie opowiadanie, wszyscy milczeli chwilę nie patrząc na siebie. Ignacy siedząc przy stole, rysował na deskach paznokciem jakiś wzór. Jefim stał za Rybinem, oparł się łokciem o jego ramię, Jakub, wsparty o drzewo, złożył ręce na piersiach i spuścił głowę. Zofia oglądała spode łba chłopów...

— Taak! — powoli i posepnie przeciągnął Rybin. — A więc tak wystąpili! Otwarcie!...

— U nas jeżeliby taką paradę urządzić — powiedział Jefim i uśmiechnął się pochmurnie — zatłukliby chłopów na śmierć!

— Zatłukliby! — powiedział Ignacy kiwnąwszy głową. — Nie, pójdę do fabryki, tam lepiej...

— Mówisz, że będą sędzić Pawła? — zapytał Rybin. — A jaka może być kara, nie słyszałaś?

— Katorga albo wieczne osiedlenie na Syberii... — odpowiedziała cicho.

Trzech parobczaków spojrzło na nią jednocześnie, a Rybin spuścił głowę i zapytał powoli:

— A kiedy zaczynał tę sprawę, wiedział, co mu grozi?

— Wiedział — głośno powiedziała Zofia.

Wszyscy zamilkli nie poruszając się, jak gdyby zastygli w jednej chłodnej myśli.

— Tak! — ciągnął dalej Rybin surowo i poważnie. — Ja także myślę, że wiedział. Nie zmierzywszy — nie skakałby, człowiek z niego poważny. Słyszeliście, chłopcy? Wiedział człowiek, że bagnetem go pchnąć mogą i katorgą poczęstują, a — poszedł. Gdyby matka położyła się na jego drodze — przeszedłby po niej. Przeszedłby, Niłowna, po tobie?

— Przeszedłby! — wzdrygnąwszy się powiedziała matka i obejrzała się z westchnieniem.

Zofia milcząco pogładziła jej rękę i nachmurzywszy brwi patrzyła uporczywie na Rybina.

— Oto człowiek! — powiedział niegłośno i powiódł po wszystkich spojrzeniem swoich ciemnych oczu. I znowu sześciu ludzi zamilkło. Wąskie promyczki słońca wisiały w powietrzu jak złote wstążki. Gdzieś z przekonaniem krakała wrona. Matka oglądała się wokoło. Była rozstrojona wspomnieniami o Pierwszym Maja, tęsknotą za synem i za Andrzejem. Na maleńkiej polance wały się beczki od dziegiu, jeżyły się wykarczowane pnie. Dęby i brzozy cisały się wokoło polany, szły za nią niespostrzeżenie ze wszystkich stron. Związane tajemnicą ciszy, nieruchome, rzucały na ziemię ciemne, ciepłe cienie.

Nagle Jakub oderwał się od drzewa, odszedł na bok, zatrzymał się i, machnąwszy głową, zapytał sucho i głośno:

— To przeciw takim postawią mnie i Jefima?

— A ty myślisz — przeciw komu? — odpowiedział Rybin posępnym pytaniem. — Duszą nas naszymi własnymi rękami — w tym sztuka!

— A ja mimo to pójdę do wojska! — niechętno, ale z uporem oświadczył Jefim.

— Kto ci odradza? — zawołał Ignacy. — Idź!

I nie odrywając oczu od Jefima, powiedział z uśmiechem:

— Tylko, gdy będziesz do mnie strzelał, celuj w głowę... nie kalecz, ale od razu zabijaj!

— Słyszałem już to! — gwałtownie krzyknął Jefim.

— Poczekajcie, chłopcy! — przemówił Rybin. Powiódł po nich oczyma i podniósł rękę nieśpiesznym gestem. — Oto — kobieta! — powiedział wskazując na matkę. — Syn jej na pewno przepadł teraz...

— Po co to mówisz? — zapytała cicho i ze smutkiem matka.

— Trzeba! — odpowiedział ponuro. — Trzeba, żeby twoje włosy nie na darmo siwiały. No i co, czy złamali ją? Przyniosłaś książki, Niłowna?

Matka spojrzała na niego i, pomilczawszy chwilę, odparła:

— Przyniosłam...

— Tak! — powiedział Rybin uderzając dłonią po stole. — Od razu się domyśliłem, gdy tylko cię zobaczyłem, bo po coś byś miała przychodzić, jeśli nie po to? Słyszeliście? Syna wytrącili z szeregu — matka zajęła jego miejsce!

Pogroził posępnie ręką i zaklął ordynarnie.

Matka złękła się jego krzyku. Patrzyła na niego i widziała, że twarz Michała wyraźnie zmieniła się — schudł, broda zrobiła się nierówna, czuło się pod nią kości szczęk. Na niebieskawych białkach oczu ukazały się cieniutkie czerwone żyłki, jak gdyby długo nie spał, nos wydłużył się i zagiął drapieźnie. Otwarty kołnierz przepojonej dziegciem, niegdyś czerwonej koszuli, odsłaniał wystające kości oboj-

czyków i gęste włosy na piersiach. W całej jego postaci było coś jeszcze bardziej żalobnego i ponurego niż dawniej. Suchy blask zaczerwienionych oczu oświecał ciemną twarz ogniem gniewu. Zofia zbladła i w milczeniu nie odrywała spojrzenia od chłopów. Ignacy zmrużywszy oczy, potakiwał głową, a Jakub stojąc przed szafasem, odłamywał gniewnie ciemnymi palcami korę z żerdzi. Jefim przechadzał się wzdłuż stołu za plecami matki.

— Kilka dni temu — ciągnął dalej Rybin — wezwał mnie naczelnik ziemski i mówi mi: — Co ty, łajdaku, powiedziałeś duchownemu? — Dlaczego, łajdaku? — mówię. — Pracuję na chleb w pocie czoła, nic złego ludziom nie zrobiłem, ot co! — Wrzasnął na mnie, dał mi w zęby... i trzy doby przesiedziałem w areszcie. Tak mówicie z narodem? Tak. Nie oczekuj, diable, miłosierdzia! Nie ja, to drugi, nie na tobie, to na twoich dzieciach pomści moją krzywdę i poniewierkę — pamiętaj! Zoraliście żelaznymi pazurami piersi narodu, posialiście w nich zło — nie oczekujcie litości, diabły! Ot co.

Był pełen kipiącej złości i w głosie jego drżały dźwięki, które przerażały matkę.

— A co ja powiedziałem popu? — ciągnął dalej spokojnie. — Po zgromadzeniu w gminie siedzi z chłopami na ulicy i opowiada im, że ludzie, to stado, któremu zawsze potrzeba pastucha — tak! A ja zażartowałem: Jak naznaczą w lesie lisa wojewodą, piór będzie dużo, ale ptactwo zniknie! Spojrzał na mnie z ukosa i zaczął gadać o tym, że cierpieć powinien naród i modlić się do Boga, żeby obdarzył go cierpliwością. A ja powiedziałem, że naród modli się dużo, ale widać nie ma Bóg czasu — nie słyszy! Ot co. A on przyczepił się do mnie i dalej się dopytywać, jakie modlitwy odmawiam? A ja mówię — jedną przez całe życie, jak i cały naród: naucz mnie, panie, ciągnąć panom cegły, jeść kamienie, wypluwać polana! Skończyć mi nawet nie dał. Je-

steście panią? — zwrócił się nagle do Zofii przerywając opowiadanie.

— Dlaczego panią? — odparła szybko Zofia, zaskoczona niespodzianym pytaniem.

— Dlaczego? — uśmiechnął się krzywo Rybin. — Taki już wasz los, z tym się urodziście! Ot co. Myślicie, że pod perkalikową chusteczką można ukryć przed ludźmi szlachecki grzech? My poznamy popa i w rogoży. Ot położyliście na przykład łokieć tam, gdzie nachlapane na stole — drgnęliście i skrzywiliście się. Plecy też macie zbyt proste, jak na pracującego człowieka...

Lękając się, że Rybin obrazi Zofię swoim ciężkim głosem, zjadliwym uśmiechem i słowami, matka z pośpiechem powiedziała surowo:

— To moja przyjaciółka, Michale Iwanowiczu, dobry człowiek, w naszej sprawie posiwała. Ty — nie bardzo...

Rybin westchnął ciężko.

— Czyż ja mówię coś złego?

Zofia spojrzała na niego i zapytała sucho:

— Chcieliście mi coś powiedzieć?

— Ja? Tak! Zjawił się tu niedawno nowy człowiek, cioteczny brat Jakuba, chory na suchoty. Można go zawołać?

— Cóż — zawołajcie! — odpowiedziała Zofia.

Rybin spojrzał na nią, zmrużył oczy i znizywszy głos powiedział:

— Jefimie, poszedłbyś do niego i powiedział mu, żeby przyszedł tu przed nocą. Ot co.

Jefim, bez pośpiechu i w milczeniu, wziął czapkę i nie patrząc na nikogo ruszył w stronę lasu i znikł w nim. Rybin wskazał za nim głową i powiedział głucho:

— Męczy się! On i Jakub mają iść do wojska. Jakub mówi po prostu — nie mogę! A ten także nie może, a chce iść... Myśli, że można żołnierzy podburzyć, ale ja myślę,

że głową muru nie przebije... Ot masz — dostali bagnety w ręce i idą! Taak... męczy się! A Ignacy niepotrzebnie jątrzy — niepotrzebnie!

— Wcale nie niepotrzebnie — pochmurnie powiedział Ignacy nie patrząc na Rybina. — Jak go tam obrobiją, znacznie strzelać nie gorzej od innych...

— Wątpię! — odezwał się w zamysleniu Rybin. — No, oczywiście lepiej uciec przed tym. Rosja wielka — nie znajdują. Postarasz się o paszporcik, możesz chodzić po wsiach.

— Tak właśnie zrobię! — zauważył Ignacy uderzając się kijkiem po nodze. — Jeżeli postanowiliśmy iść, idźmy prostą drogą!

Rozmowa urwała się. Krążyły zapobiegliwie krzątające się pszczoły i osy, dźwięczeniem swoim podkreślając jeszcze bardziej panującą ciszę. Świergotały ptaki, gdzieś z oddali dolatywała błędząca po polach pieśń. Rybin przerwał milczenie mówiąc:

— No — nam trzeba do pracy... A wy może odpoczniecie? Tam, w szalasię, są prycze. Nazbieraj im, Jakubię, suchych liści... A ty, matko, dawaj książki...

Matka i Zofia zaczęły rozwiązywać torby. Rybin, pochyliwszy się nad nimi, mówił z zadowoleniem:

— Ale dużoście przynieśli! Czy dawno w tym pracujecie — jak wam na imię? — zwrócił się do Zofii.

— Anna Iwanowna — odpowiedziała. — Dwanaście lat... A co?

— Nic. W więzieniuście już pewnie siedzieli?

— Siedziałam.

— Widzisz? — z wyrzutem powiedziała półgłosem matka. — A tyś przy niej takie rzeczy mówił...

Rybin milczał chwilę, a potem nabrał pełne ręce książek i powiedział wyszczerzywszy zęby:

— Nie obrażajcie się na mnie! Chłop z panem, to jak smoła z wodą — trudno im razem, nie mogą się połączyć.

— Nie jestem panią, tylko człowiekiem! — zaprzeczyła Zofia uśmiechając się łagodnie.

— I to być może! — odezwał się Rybin. — Mówią, że pies był przedtem wilkiem. Pójdę to schować.

Ignacy i Jakub podeszli do niego z wyciągniętymi rękami.

— Daj nam! — powiedział Ignacy.

— Wszystkie jednakowe? — zapytał Rybin.

— Różne. Tu i gazeta jest...

— O!

I wszyscy trzej pośpiesznie weszli do szałas.

— Pali się chłop! — cichutko powiedziała matka odprowadziwszy ich zamyślonym spojrzeniem.

— Tak — cicho odezwała się Zofia — nigdy nie widziałam jeszcze takiej twarzy — jakiś apostoł — męczennik! Chodźmy i my tam, chce mi się popatrzeć na nich...

— Nie gniewajcie się na niego, że taki surowy... — cichutko poprosiła matka.

Zofia uśmiechnęła się.

— Jacyście wy dobrzy, Niłowna...

Gdy stanęły w drzwiach, Ignacy podniósł głowę, przełotnie spojrzął na nią i, zatopiwszy palce w kędzierzawych włosach, pochylił się nad gazetą, leżącą na jego kolanach. Rybin stojąc chwycił na papier promień słońca, który przedostał się do szałas przez szczelinę dachu, i przesuważąc gazetę pod promieniem, czytał poruszając wargami. Jakub klęczał przy pryczy położywszy się na niej piersią, i także czytał.

Matka poszła w kąt szałas i usiadła tam, a Zofia objąwszy ją ramionami, przyglądała się im w milczeniu.

— Wujku Michale! Łają tu nas, chłopów! — półgłosem nie odwracając się powiedział Jakub. Rybin odwrócił się, spojrzął na niego i odpowiedział z uśmiechem:

— Z miłości!

Ignacy zaczerpnął powietrza, podniósł głowę i zamknawszy oczy mówił:

— Tu napisane — „chłop przestał być człowiekiem“ — rozumie się, że przestał!

Po jego prostej, otwartej twarzy przemknął cień obrazy.

— Przyjdź tylko tu, nałóż naszą skórę, pokręć się w niej, a zobaczę, czym ty będziesz — mądralo!

— Położę się! — cichutko powiedziała matka do Zofii.

— Zmęczyłam się jednak trochę i w głowie mi się kręci od tego zapachu. A wy?

— Nie chce mi się spać.

Matka wyciągnęła się na legowisku i zdrzemnęła się. Zofia siedziała nad nią przyglądając się czytającym i, gdy osa lub trzmiel krążył nad głową matki, odganiała go troskliwie. Matka widziała to pół przymkniętymi oczyma i troskliwość Zofii sprawiała jej przyjemność.

Podszedł Rybin i zapytał głośnym szeptem:

— Spi?

— Tak.

Milczał chwilę, po czym uważnie popatrzył w twarz matki, westchnął i powiedział cicho:

— Ona jest może pierwsza, która poszła za synem tą drogą — pierwsza!

— Nie przeszkadzajmy jej, wyjdźmy! — zaproponowała Zofia.

— Tak, trzeba już do pracy. Chciało by się pogadać, ale musimy poczekać do wieczora! Chodźmy, chłopcy!

Wyszli we trzech zostawiwszy Zofię przed szafasem. A matka pomyślała:

— No, dzięki Bogu! Zaprzyjaźnili się...

I spokojnie zasnęła wdychając ostry zapach lasu i dziegciu.

Dziegciarze przyszedli zadowoleni, że ukończyli robotę.

Matka, zbudzona ich głosami, wyszła z szałasów ziewając i uśmiechając się.

— Wyście pracowali, a ja sobie spałam, jak jaka pani!

— powiedziała obrzucając ich życzliwym spojrzeniem.

— Wybaczmy ci to — odezwał się Rybin. Był teraz spokojniejszy. Zmęczenie pochłaniało nadmiar podniecenia.

— Ignacy! — powiedział. — Zajmij się herbatą! My tu po kolei gospodarujemy — dzisiaj Ignacy karmi nas i po!

— Ustąpiłbym chętnie swojej kolei! — zauważył Ignacy i zaczął zbierać szczapy i sęki do ogniska przysłuchując się rozmowie.

— Każdy chciałby być z gośćmi! — powiedział Jefim siadając obok Zofii.

— Pomogę ci, Ignacy — cicho odezwał się Jakub wchodząc do szałasów. Wyniósł stamtąd bochenek chleba i zaczął krajać go na kawałki rozkładając je po stole.

— Tss! — cicho zawołał Jefim. — Kaszle...

Rybin posłuchał i powiedział kiwnąwszy głową:

— Tak, idzie...

I zwróciwszy się do Zofii objaśnił:

— Zaraz przyjdzie świadek. Ja bym go oprowadzał po miastach, stawiałbym go na placach, żeby naród go słuchał. Mówi zawsze to samo, ale wszyscy powinni tego posłuchać...

Cisza i mrok stawały się głębsze, głosy ludzkie dźwięczały łagodniej. Zofia i matka przyglądały się chłopom — poruszali się powoli, ciężko, z jakąś szczególną ostrożnością, i także obserwowali kobiety.

Z lasu na polanę wyszedł wysoki, przygarbiony człowiek. Kroczył powoli mocno opierając się na kij, i słysząc było z daleka jego chrapliwy oddech.

— A no jestem! — powiedział i zaczął kaszlać.

Miał na sobie długie aż do pięt, wytarte palto, spod okrągłego, zmiętego kapelusza zwieszały się bezsilnie rzadkie pasma żółtawych, prostych włosów. Jasna bródka rosła na żółtej, kościstej twarzy, usta były pół otwarte, oczy wpadły głęboko aż pod czoło i błyszczały gorączkowo z ciemnych oczodołów.

Gdy Rybin przedstawił go Zoiii, człowiek zapytał ją:

— Przynieśliście, słyszałem, książki?

— Przyniosłam.

— Dziękuję wam... za lud! Sam on jeszcze nie może zrozumieć prawdy... Więc ja, który ją już zrozumiałem, dziękuję w jego imieniu.

Oddychał prędko chwytając powietrze krótkimi, chciwymi łykami. Głos załamywał mu się, kościste palce bezsilnych rąk pełzały po piersi starając się zapiąć guziki palta.

— Nie powinniście przychodzić do lasu tak późno — to wam szkodzi. Las liściasty, więc wilgotno tu i duszno — zauważyła Zofia.

— Mnie już nic nie zaszkodzi i nie pomoże! — powiedział dusząc się. — Mnie tylko śmierć pomoże...

Trudno było go słuchać. Cała jego postać budziła tę niepotrzebną litość, która zdaje sobie sprawę ze swojej bezsilności i wywołuje ponurą złość i rozdrażnienie. Przysiadł na beczie zginając tak ostrożnie kolana, jakby się bał, że nogi mu się przełamią. Otarł spocone czoło. Włosy miał suche i martwe.

Buchnęło ognisko. Wszystko wokół drgnęło, zakołysało się, cienie jakby sparzyły się, cofnęły się lękliwie do lasu. Nad ogniem mignęła okrągła twarz Ignacego z nadętymi policzkami. Ogień zgasł. Zapachniało dymem, cisza i mgła znowu stłoczyły się na polanie czujnie słuchając ochrypłych słów chorego.

— Ale dla ludu mogę jeszcze być pożyteczny jako świadek przestępstwa. Popatrzcie na mnie... Mam dwadzieścia osiem lat i umieram! A dziesięć lat temu podnosiłem bez wysiłku po dwanaście pudów! Z takim zdrowiem — myślałem — siedemdziesiąt lat przejdę i nie potknę się. A przeżyłem dziesięć i — dalej nie mogę! Okradli mnie panowie fabrykanci, zagrabili mi czterdzieści lat życia — czterdzieści lat!

— Oto jego pieśń! — powiedział głucho Rybin. Ogień znowu buchnął, ale już mocniej, jaśniej. Znowu rzuciły się do ucieczki w las cienie, znowu przypląnęły do ognia i zadrdzały wokół niego w milczącym, wrogim tańcu. Zatrzeszczały, zastękały w ognisku wilgotne gałęzie. Zaszepotały i zaszeleściły liście drzew zaniepokojone falą ciepłego powietrza. Wesole, żywe języki ognia skoczyły w górę obejmując się w radosnej zabawie. Prężyły się żółte i czerwone rozsiewając iskry. Fruwały płonące liście, a gwiazdy uśmiechały się do iskiek wabiąc je do siebie.

— To nie moja pieśń. Spiewają tę pieśń tysiące ludzi, ale nie rozumieją, że ich nieszczęśliwe życie może być dla ludu uzdrawiającą nauką. Ile zamęczonych pracą kalek umiera w milczeniu z głodu...

Zakaszła się kurcząc się i wzdrygając.

Jakub postawił na stole wiadro z kwasem, rzucił wiązkę zielonej cebuli i powiedział do chorego:

— Chodź, Saweli, przyniosłem ci mleka...

Saweli poruszył odmownie głową, ale Jakub wziął go pod ramiona i poprowadził do stołu.

— Słuchajcie — z wyrzutem powiedziała cicho Zofia do Rybina — po coście go zawezwali? Przecież on każdej minuty może umrzeć...

— Może! — zgodził się Rybin. Ale nim umrze, niech mówi. Dla głupstw stracił życie, niech dla ludzi jeszcze pocierpi. Nie szkodzi! Ot co..

— Postępujecie tak, jakbyście się tym rozkoszowali! — zawołała Zofia. Rybin spojrział na nią i odpowiedział ponuro:

— To panowie zachwycają się tym, jak Chrystus na krzyżu jęczał, a my uczymy się od człowieka i chcemy, żebyście i wy się czegoś nauczyli...

Matka podniosła lekliwie brew i powiedziała do niego:

— A ty nie zanadto... Wystarczy!

Przy stole chory zaczął znowu mówić:

— Wyniszczają ludzi pracą — i po co? Kradną człowiekowi życie i na co? — pytam się. Mój pan — w fabryce Niefodowa straciłem życie — nasz pan, właściciel fabryki, śpiewacze jednej złote naczynia do mycia podarował. Nawet nocnik był złoty! W tym to nocniku jest moje zdrowie i życie. Oto cel, dla którego je straciłem — zabił mnie człowiek pracą, żeby krwią moją uradować kochankę — złoty nocnik jej kupił za moją krew!

— Człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo boże — powiedział uśmiechając się szyderczo Jefim — a oto do czego go używają...

— A nie milcz! — zawołał Rybin uderzając dłonią po stole.

— Nie znoś! — cicho dorzucił Jakub.

Ignacy uśmiechnął się.

Matka zauważyła, że wszyscy trzej chłopcy z nienasyconą uwagą głodnych serc słuchają każdego słowa Rybina patrząc mu w twarz czujnymi oczyma, a słowa Sawelego wywołują na ich twarzach dziwne, ostre uśmieszki. Nie czuło się w nich współczucia dla chorego.

Nachyliwszy się ku Zofii, matka spytała cichutko:

— Czy on rzeczywiście mówi prawdę?

Zofia odpowiedziała głośno:

— Tak, to prawda! O tym podarku pisano w gazetach, to było w Moskwie.

— I nie spotkała go za to żadna kara! — głucho powiedział Rybin. — A trzeba było go pokarać — wyprowadzić przed naród, porąbać w kawałki i jego plugawe mięso rzucić psom! Wielu ciężko pokara naród, gdy powstanie! Wiele przeleje krwi, żeby zmyć swoją poniewierkę! Ta krew — to krew wypita z żył ludu i do ludu ona należy!

— Zimno! — powiedział chory.

Jakub pomógł mu wstać i przyprowadził do ognia.

Ognisko paliło się jasno i cienie bez twarzy drżały wokół niego, ze zdziwieniem przyglądając się wesołej zabawie płomieni. Saweli usiadł na pnju i wyciągnął do ognia przeczyste, suche ręce. Rybin kiwnął w jego stronę i powiedział do Zofii:

— To wyraźniejsze od książek! Kiedy maszyna oderwie robotnikowi rękę, albo zabije go, tłumaczą, że sam był sobie winny. A kiedy ot tak wysą krew z człowieka i rzucą go jak padlinę — tego się nawet nie tłumaczy. Każde zabójstwo zrozumieć, ale znęcanie się dla igraszki — tego nie mogę zrozumieć. Po co męczą naród, po co nas wszystkich męczą? Po to, żeby można było żartować, weselić się, żeby zabawniej żyło się na ziemi, żeby można było wszystko kupić za naszą krew — śpiewaczkę, konie, srebrne noże, złote serwisy, drogie zabawki dla dzieci. Pracuj, pracuj jak najwięcej, a ja nagromadzę za twoją pracę pieniędzy i kochance podaruję — złoty urynał.

Matka słuchała, patrzyła i jeszcze raz rozbłysła przed nią w mroku, niby jasna smuga, droga Pawła i wszystkich, którzy z nim szli.

Skończywszy wieczerzę, usiedli wokół ogniska. Przed nimi pośpiesznie pożerając drzewo palił się ogień, za nimi wisiał mrok, spowijający las i niebo. Chory szeroko rozwarłszy oczy, patrzył w płomień kaszląc bez ustanku i drżąc całym ciałem — zdawało się, że ostatki życia wyrywają się niecierpliwie z jego piersi chcąc porzucić wy-

cieńczone chorobą ciało. Odblask ognia drżał na jego twarzy nie ożywiając martwej skóry. Tylko oczy chorego paliły się gasnącym płomieniem.

— Możebyś lepiej poszedł do szafasu, Saweli? — zapytał, pochylając się nad nim, Jakub.

— Po co? — odpowiedział z wysiłkiem. — Posiedzę sobie. Już niedużo mi zostało czasu, żeby z ludźmi pobyc!...

Obejrzał wszystkich, pomilczał chwilę i, uśmiechnawszy się blade, ciągnął dalej:

— Dobrze mi z wami! Patrzą na was i myślę — może cni pomszczą tych, których ograbiono, może pomszczą śmierć ludzi zabitych...

Nie odpowiedziano mu i wkrótce zdrzemnął się zwiśsiwszy głowę na pierś. Rybin popatrzył na niego i powiedział cicho:

— Przychodzi do nas, siedzi i opowiada zawsze to samo o tej poniewierce człowieka. Tkwi w tym całą duszą, jakby wybito mu oczy i jakby poza tą poniewierką nic nie widział.

— Bo czegoż jeszcze potrzeba? — powiedziała w zamysleniu matka. — Jeżeli tysiące ludzi zamęcza się pracą po to, żeby panowie mogli wyrzucać pieniądze na zabawy, to — czegoż jeszcze?...

— Nudno go słuchać! — powiedział cicho Ignacy. — Taką rzecz raz usłyszysz — nie zapomnisz, a on ciągle o tym samym mówi!

— Zrozum, że w tym jednym jest zawarte wszystko — całe życie! — ponuro zauważył Rybin. — Słuchałem już z dziesięć razy o jego losie, a mimo to czasem — nie wierzę. Bywają takie dobre godziny, kiedy nie chce ci się wierzyć w podłość człowieka i w jego szaleństwo, kiedy wszystkim ci żal, i bogatego, i biednego... I bogaty także zabłądzi... Jeden ślepnie z głodu, drugi — ze złota. Ach,

ludzie! — myślisz. — Ach, bracia! Otrząśnijcie się, zastanówcie się uczciwie nie szcędząc siebie! Zastanówcie się!

Chory kiwnął się, otworzył oczy i osunął się na ziemię. Jakub podniósł się cicho, wszedł do szałas, przyniósł stamtąd półkożuszek, odział brata i znowu usiadł obok Zofii.

Rumiane oblicze ognia uśmiechało się wesoło, oświecało ciemne postacie siedzących wokół niego ludzi. Ich zadumanę głosy zlewały się z cichym trzaskiem i szelestem płomieni.

Zofia opowiadała o światowej walce ludu o prawo do życia, o dawnych bojach chłopów niemieckich, o nieszczęściach Irlandczyków, o wielkich zwycięstwach robotników francuskich w ich częstych walkach o wolność...

W lesie spowitym w aksamit nocy, na maleńkiej, osłonionej drzewami polance, przykrytej ciemnym niebem, przed obliczem ognia, w kręgu wrogo zdziwionych cieni — wskrzeszały wydarzenia, wstrząsające światem sytych i chciwych, przesuwają się jeden po drugim narody całej ziemi, ociekające krwią, zmęczone walkami, wyłaniały się z niepamięci imiona bojowników o wolność i prawdę.

Cicho dźwięczał przytłumiony głos kobiecy, dolatujący jak gdyby z dalekiej przeszłości. Budził nadzieję, wpajał w ludzi pewność zwycięstwa. I patrząc w jej chudą i bladą twarz, słuchali w milczeniu opowieści o swych duchowych braciach, a święta sprawa wszystkich narodów świata — odwieczna walka o wolność, stawała przed nimi w coraz jaśniejszym blasku... Człowiek widział swoje pragnienia i myśli w dalekiej przeszłości, ukrytej poza ciemną krwawą zasłoną, wśród nieznanym mu ludów. Zlewał się umysłem i sercem z całym światem odkrywając przyjaciół, którzy dawno już postanowili zgodnie i niezłomnie walczyć o prawdę na ziemi i uświęcili to postanowienie niezliczonymi cierpieniami, przelali rzeki swojej krwi, dla zwycięstwa nowego, jasnego i radosnego życia. Zjawiało się i rosło u-

czucie duchowej bliskości ze wszystkimi, rodziło się nowe serce ziemi pełne gorącego pragnienia zrozumienia wszystkiego, zjednoczenia wszystkiego w sobie.

— Przyjdzie dzień, kiedy robotnicy wszystkich krajów podniosą głowy i powiedzą twardo — dosyć! — Nie chcemy dłużej tego życia! — dźwięczał głęboką wiarą głos Zofii. — Runie wtedy złudna siła naszych wrogów, silnych swoją chciwością, ziemia ucieknie im spod nóg i nie będą mieli na czym się oprzeć...

— Tak będzie! — powiedział Rybin schylając głowę. — Nie szczędź siebie, a zwyciężysz wszystko!

Matka słuchała podniósłszy wysoko brwi, z uśmiechem radosnego zdziwienia zastygłym na twarzy. Widziała, że wszystko szorstkie, głośnie, przesadne, wszystko, co wydawało się jej zbędne w Zofii, znikło teraz i utonęło w gorącym i spokojnym potoku jej opowiadania. Podobała jej się ta cisza nocy, zabawa ognia, twarz Zofii, ale najbardziej — naprężona uwaga chłopów, którzy siedzieli nieruchomo starając się nie naruszyć spokojnego toku opowiadania, jak gdyby obawiali się zerwać tę świetlistą nić, łączącą ich ze światem. Tylko od czasu do czasu któryś z nich ostrożnie podkładał dREW do ogniska i gdy z ogniska podnosił się rój iskier i dym — odganiał iskry i dym od kobiet machając w powietrzu ręką.

Raz powstał Jakub i poprosił cichutko:

— Poczekajcie trochę...

Pobiegł do szafasu, przyniósł stamtąd odzież, po czym obaj z Ignacym okręcili nią w milczeniu plecy i nogi kobiet. Zofia mówiła znowu malując dzień zwycięstwa, wpałając w ludzi wiarę w ich siły, budząc w nich świadomość wspólnoty z wszystkimi, którzy jak oni, poświęcają swe życie bezpłodnej pracy dla głupiej igraszki przesyconych. Słowa Zofii nie wzruszały matki, ale wywołane jej opowiadaniem ogromne, obejmujące wszystkich uczucie, napeł-

niało jej pierś wdzięczną, niemal modlitewną myślą o ludziach, idących wśród niebezpieczeństw do skutych łańcuchami pracy braci i przynoszących im dar rzetelnego rozumu, dar miłości do prawdy.

— Pomóż im, Boże! — myślała przymykając oczy.

O świecie Zofia umilkła znużona. Patrzyła z uśmiechem wokół siebie po zadumanych, rozjaśnionych twarzach.

— Czas już iść! — powiedziała matka.

— Czas — rzekła ze znużeniem Zofia.

Któryś z chłopców westchnął głośno.

— Szkoda, że odchodzicie — powiedział niezwykle miękkim głosem Rybin. — Dobrze mówicie! Wielkie to dzieło — zbratać ludzi ze sobą! Jeżeli się wie, że miliony chcą tego samego co my — serce robi się lepsze. A w dobroci jest wielka siła!

— Ty jego dobrocią, a on ciebie kołem! — cicho powiedział Jefim uśmiechając się i skoczył na nogi.

— Czas już, żeby poszły, wuju Michale, dopóki nikt ich nie widział. Jak rozdamy książki, władze zaczną poszukiwać, skąd się zjawily. I ktoś przypomni sobie — pątniczki przychodziły...

— No, dziękuję ci za trud, matko! — przerwał Jefimowi Rybin. — Gdy patrzę na ciebie, myślę ciągle o Pawle — dobrą drogą poszłaś!

Wzruszony, uśmiechał się szerokim, dobrym uśmiechem. Było chłodno, a on stał tylko w koszuli, z otwartym kołnierzem i obnażoną piersią. Matka obrzuciła spojrzeniem jego ogromną postać i poradziła serdecznie:

— Włożyłbyś co — chłodno!

— Ze środka grzeje! — odpowiedział.

Trzech parobczaków stojąc przy ognisku cicho rozmawiało ze sobą, a u ich nóg leżał okryty półkożuszkim chory. Niebo bladło, cienie topniały, liście drżały w oczekiwaniu słońca.

— No to żegnajcie! — powiedział Rybin ściskając rękę Zofii. — A jak was znaleźć w mieście?

— Mnie szukaj! — powiedziała matka.

Chłopcy powoli, ciasną grupą, podeszli do Zofii i ściskali jej w milczeniu rękę z niezdarną serdecznością. Na twarzach ich malowało się wyraźnie ukryte zadowolenie, wdzięczność i przyjaźń i zapewne te uczucia wprawiały ich w zakłopotanie swoją nowością. Uśmiechając się do Zofii suchymi po bezsennej nocy oczyma, patrzyli jej w twarz i przestępowali z nogi na nogę.

— Może wypijecie mleka na drogę? — powiedział Jakub.

— A czy jest mleko? — zapytał Jefim.

Ignacy zmieszany przyglądał włosy i oznajmił:

— Nie ma — rozlałem...

I wszyscy trzej uśmiechnęli się.

Mówili o mleku, ale matka czuła, że myślą o czymś innym życząc bez słów Zofii i jej wszystkiego dobrego. Wzruszało to widocznie Zofię, wywoływało w niej wstydlive zmieszanie, które pozwoliło jej powiedzieć tylko cicho:

— Dziękuję, towarzysze!

Spojrzeni po sobie, jak gdyby miękkie dotknięcie tego słowa wstrząsnęło nimi.

Rozległ się suchy kaszel chorego. Węgłe w ognisku dogasały.

— Żegnajcie! — powtórzyli półgłosem chlōpi. I to smutne słowo długo towarzyszyło kobietom.

Szły nie śpiesząc się, w mroku przedświt, po leśnej ścieżce. Matka idąc za Zofią mówiła:

— Piękne to wszystko. Jakby we śnie — takie piękne! Chcą ludzie poznać prawdę, moja miła, chcą! Przypomina mi to cerkiew przed porannym nabożeństwem, w wielkie święto... Duchowny jeszcze nie przyszedł, ciemno jeszcze, cicho i straszno w cerkwi, a naród już się zbiera... Tam

zapalą świece przed obrazem, tu zapalą i — po trochu wyganiają ciemność oświecając dom boży.

— Racja! — wesoło odparła Zofia. — Tylko tutaj bożym domem jest cała ziemia!

— Cała ziemia! — powtórzyła matka kiwając w zadumie głową. — Takie to piękne, że nawet trudno w to uwierzyć... Dobrzeście mówili, moja droga, bardzo dobrze! A ja bałam się, że się im nie spodobacie...

Zofia milczała chwilę, po czym odpowiedziała cicho i radośnie:

— Z nimi człowiek staje się prostszy...

Szły razem i rozmawiały o Rybinie, o chorym, o chłopcach, którzy słuchali z taką milczącą uwagą i tak niezręcznie a wymownie wyrażali swe uczucia wdzięczności i przyjaźni drobnymi oznakami troskliwości. Wyszły w pole. Słońce podnosiło się na ich spotkanie. Jeszcze niedostrzegalne dla oka, rozłożyło już na niebie przezroczysty wachlarz różanych promieni i krople rosy w trawie rozbłysły różnobarwnymi iskrami wiosennej radości. Budziły się ptaki i ożywiały poranek wesołym dzwoniem. Krakając z zafrasowaniem, ciężko poruszając skrzydłami, leciały tłuste wrony, gdzieś świstała lekliwie wilga. Odkrywała się niezmiernie dal zdejmując na spotkanie słońca nocne cienie ze swoich pagórków.

— Bywa czasem, że mówi i mówi człowiek, a nie rozumiesz go, dopóki nie uda mu się powiedzieć jakiegoś jednego, prostego słowa, które nagle rozjaśnia wszystko! — opowiadała w zamyśleniu matka. — Tak i z tym chorym. Słyszałam przecie i sama wiem, jak wyciskają ostatnie siły z robotników we fabrykach i wszędzie. Ale przywykasz do tego od małości i nie bardzo już się tym przejmujesz. A on nagle powiedział o takiej krzywdzie i obrazie, o takim świństwie! Boże! Czyż dlatego całe swoje życie robotnik

oddaje, żeby bogacze naigrawali się z niego? Na to nie ma usprawiedliwienia!

Myśl matki zatrzymała się na tym wypadku i w jego tępy, beczelnym świetle widziała cały szereg podobnych wybryków, znanych kiedyś i zapomnianych.

— Widać tacy syci, że aż ich mdli! Wiem, że jeden naczelnik ziemski zmuszał chłopów do kłaniania się swojemu koniowi, gdy przeprowadzano go przez wieś. A kto się nie kłaniał, tego wsadzano do aresztu. No i na co mu to było potrzebne? Nie można tego zrozumieć — nie można!

Zofia półgłosem zanuciła jakąś pieśń rześką jak poranek...

VII

Zycie Niłowny popłynęło dziwnie spokojnie. Spokój ten zadziwiał czasem ją samą. Syn siedział w więzieniu, wiedziała, że czeka go ciężka kara, ale za każdym razem, gdy myślała o nim, przypominała sobie mimo woli Andrzeja, Fedzię i długi szereg innych twarzy. Postać syna pochłaniała jak gdyby wszystkich ludzi, którzy dzielili jego los, rozrastała się w jej oczach, budziła zdolność kontemplacji, mimo woli, niespostrzeżenie rozszerzając myśli o Pawle na wszystkie strony. Myśli te przenikały wszędzie swoimi delikatnymi, nierównymi promieniami, a dotykając wszystkiego, starając się oświetlić wszystko i zebrać w jeden obraz, przeszkadzały jej zatrzymać się na czymś poszczególnym nie pozwalając, by tęsknota do syna i lęk o niego zgęszczały się i krystalizowały.

Zofia w niedługim czasie znowu dokądś wyjechała, po pięciu dniach zjawiała się żywa i wesół, a po kilku godzinach znikła i wróciła znowu po dwóch tygodniach. Wydawało się, że porwały ją szerokie kręgi życia, że od

czasu do czasu tylko zagląda do brata, żeby napęłnić jego mieszkanie muzyką i radością.

Muzyka sprawiała teraz matce przyjemność. Słuchając jej, odnosiła wrażenie, że ciepłe fale uderzają o jej pierś, wlewają się w jej serce. A serce bije równiej i jak ziarna rzucone w wilgotną, głęboko przeoraną ziemię, wesoło i szybko rosną w nim fale myśli i zakwitają lekkie i piękne słowa, zbudzone siłą dźwięków.

Matce trudno się było pogodzić z nieporządkiem Zofii, która rozrzuciła wszędzie swoje rzeczy, niedopałki papierosów, popiół. A jeszcze trudniej z jej głośnymi słowami — wszystko to zanadto rzucało się w oczy w zestawieniu ze spokojną pewnością Mikołaja, z niezmienną, łagodną powagą jego słów. Zofia wydawała się jej wyrostkiem, któremu śpieszno do tego, by uchodzić za dorosłego, i który patrzy na ludzi jak na ciekawe zabawki. Mówiła wiele o świętości pracy, a nierozumnie zwiększała pracę matki przez swoje niedbalstwo. Mówiła o wolności, ale matka widziała, że krępuje wszystkich swą gwałtownością, nietolerancją i ciągłymi sporami. Było w niej wiele sprzeczności. Matka zauważyła to i odnosiła się do niej z naprężoną ostrożnością i czujną uwagą bez tej ciepłej serdeczności, którą budził w niej zawsze Mikołaj.

Mikołaj Iwanowicz, stale zapracowany, żył jednostajnym, uporządkowanym życiem: o ósmej rano pił herbatę i czytając gazetę komunikował matce najnowsze wiadomości. Słuchając go matka widziała z uderzającą jasnością, jak ciężka maszyna życia bezlitośnie miele ludzi na pieńdże. Czuła w nim coś wspólnego z Andrzejem. Jak chachoł, mówił o ludziach bez złości uważając, że zła organizacja życia jest winą wszystkich, ale jego wiara w nowe życie nie była tak gorąca i tak płomienna, jak wiara Andrzeja. Mówił zawsze spokojnie, głosem uczciwego i surowego sędziego i chociaż — nawet, gdy mówił o rzeczach

strasznych — uśmiechał się łagodnym i litosnym uśmiechem, to oczy jego błyszczały chłodno i twardo. Widząc ich blask, matka rozumiała, że człowiek ten nikomu niczego nie wybacza i nie może wybaczyć. I czując, że ta twardość ciąży mu, współczuła Mikołajowi i z każdym dniem podobał się jej bardziej.

O dziewiątej Mikołaj wychodził do biura, a ona sprzątała pokoje, gotowała obiad, myła się, wkładała czyste odzienie i, siedząc w swoim pokoju, oglądała obrazki w książkach. Nauczyła się już czytać, ale wymagało to jeszcze od niej wysiłku. Czytając męczyła się prędko i przestawała rozumieć związek między słowami. Obrazki natomiast pociągały ją jak dziecko, gdyż odkrywały przed nią zrozumiałe, prawie dotykalny świat, nowy i cudowny. Stawały przed nią ogromne miasta, piękne gmachy, maszyny, okręty, pomniki, niezliczone bogactwa stworzone przez ludzi i uderzająca jej umysł różnorodność tworów przyrody. Życie rozszerzało się bezgranicznie, każdy dzień ukazywał jej oczom rzeczy olbrzymie, nieznanne, cudowne, coraz silniej poruszając jej zbudzoną i głodną duszę obfitością swoich bogactw i niezliczonością swoich uroków. Najbardziej lubiła oglądać grube tomy atlasu zoologicznego, i chociaż był wydrukowany w obcym języku, to dawał jej najbardziej jaskrawe wyobrażenie o pięknie, bogactwie i wielkości ziemi.

— Wielka jest ziemia! — mówiła Mikołajowi.

Najbardziej rozrzewniały ją owady, a szczególnie motyle. Przeglądając ze zdumieniem wyobrażające je rysunki, rozmyślała głośno:

— Ile to śliczności jest na świecie, Mikołaju Iwanowiczu, co? I ile to wszędzie tego piękna miłego, a wszystko ukryte przed nami, wszystko mimo nas przelatuje, niewidoczne dla nas. Ludzie miotają się, nie wiedzą o niczym, niczemu się nie mogą napatrzeć, ani czasu nie mają na to, ani ochoty. Ile by to radości mogli doznać, gdyby wie-

dzieli, jaka ziemia jest bogata, ile na niej dziwnych stworzeń żyje! I to przecie wszystko — dla wszystkich, a każdy — dla wszystkiego. Czy nie tak?

— Właśnie! — mówił uśmiechając się Mikołaj. I — przynosił nowe książki z obrazkami...

Wieczorami często przychodzili do niego goście. Przychodził Aleksy Wasyliewicz, piękny mężczyzna z bladą twarzą i czarną brodą, poważny i milczący; Roman Piotrowicz, krostowaty krągłogłowy człowiek, zawsze cmokający z ubolewaniem wargami; Iwan Daniłowicz, chudziutki, malutki, z ostrą bródką i cienkim głosem, czupurny, krzykliwy i ostry jak szydło; Jegor, zawsze pokpiwający z siebie, towarzyszy i swojej ciągle pogarszającej się choroby. Zjawiali się i inni ludzie przyjeżdżający z różnych, dalekich miast. Mikołaj prowadził z nimi długie, ciche rozmowy, zawsze o tym samym — o ludziach pracy całego świata. Sprzeczali się, gorączkowali, machali rękami, pili dużo herbaty. Niekiedy Mikołaj wśród gwaru rozmów układał w milczeniu proklamacje i potem czytał je towarzyszom. Przepisywano je od razu drukowanymi literami, a matka zbierała starannie kawałki porwanych brulionów i paliła je.

Nalewając herbatę, dziwiła się zapałowi, z jakim mówili o życiu i o losie roboczego ludu, o tym, jak najprędzej i najlepiej posiać wśród niego myśli o prawdzie, podnieść go na duchu. Często kłócili się, nie zgadzali się ze sobą, obwiniali się wzajemnie, obrażali się na siebie i znowu spierali się.

Matka czuła, że zna lepiej od tych ludzi życie robotnicze. Zdawało się jej, że jaśniej widzi ogrom wziętego przez nich na siebie zadania i to pozwalało jej odnosić się do nich wszystkich z pobłażliwym i trochę smutnym uczuciem dorosłego względem dzieci, które bawią się w męża i żonę nie pojmując dramatu tych stosunków. Mimo woli porównywała ich słowa ze słowami syna i Andrzeja i, porównując je, odczuwała różnicę, której zrazu nie mogła zrozumieć. Cza-

sem wydawało się jej, że krzyczą tu głośniejsze niż krzyczano niekiedy w osadzie i tłumaczyła to sobie:

— Wiedzą więcej — mówią głośniejsze...

Ale zbyt często widziała, że ci ludzie podniecają się wzajemnie, jakby z rozmysłu, gorączkują się na pokaz, jak gdyby każdy z nich chciał dowieść towarzyszom, że jemu prawda jest bliższa i droższa niż innym, a inni obrażali się o to i z kolei zaczynali się kłócić szorstko i brutalnie chcąc dowieść, że właśnie oni są bliżsi prawdy. Zdawało się jej, że każdy z nich chce się wywyższyć ponad innych, i to budziło w niej lęk i smutek. Ruszała brwią i, patrząc na wszystkich błagalnymi oczyma, myślała:

— A o Pawełku i jego towarzyszach zapomnieli...

Przysłuchiwała się zawsze z natężoną uwagą ich sporum i, nie rozumiejąc ich oczywiście, szukała poza słowami uczucia. Widziała, że gdy w osadzie mówili o dobru, to brali je jako jedną zamkniętą całość, a tutaj wszystko dzielono na części, rozdrabniano. Tam głębiej i silniej odczuwano, tu była sfera ostrych, wszystko rozkrawających myśli. Tutaj mówiono więcej o zburzeniu starego świata, tam marzono o nowym. I dlatego słowa jej syna i Andrzeja były jej bliższe i zrozumialsze...

Zauważyła także, że gdy do Mikołaja przychodził któryś z robotników, gospodarz stawał się niezwykle ożywiony i nienaturalnie swobodny, na twarzy jego zjawiało się coś słodkawego, mówił inaczej niż zwykle, ni to brutalniej, ni to niedbalej.

— Stara się, żeby go zrozumiano! — myślała.

Ale to nie pocieszało jej i widziała, że gość — robotnik także jeży się, jak gdyby skrępowany wewnątrz i nie może mówić tak lekko i swobodnie, jak mówi z nią, prostą kobietą.

Raz gdy Mikołaj wyszedł, zwróciła się do jakiegoś młodego robotnika:

— Dlaczego jesteś taki skrupowany? Przecie nie jesteś chłopaczkiem na egzaminie...

Uśmiechnął się szeroko.

— Z nieprzyzwyczajenia i raki czerwienieją... Zawsze to nie nasz brat...

Czasem przychodziła Saszeńka. Nie siedziała nigdy długo. Mówiła zawsze rzeczowo, bez uśmiechu i za każdym razem pytała przed odejściem matkę:

— A jak Paweł Michajłowicz? Zdrowy?

— Dzięki Bogu! — odpowiadała matka. — Zdrowy, wesoły!

— Pokłońcie mu się ode mnie — prosiła dziewczyna i znikwała.

Czasem matka skarżyła się, że tak długo trzymają Pawła nie wyznaczając rozprawy. Saszeńka zasepiała się i milczała, a palce jej poruszały się szybko.

Niłowna czuła pragnienie powiedzenia jej:

— Droga moja, wiem przecież, że go kochasz...

Ale nie mogła się zdecydować — surowa twarz dziewczyny, jej zaciśnięte usta i sucha rzeczowość mowy, odtrącały jakby z góry serdeczność. Matka ścisnęła wzdychając wyciągniętą do siebie rękę, i myślała:

— Biedactwo ty moje...

Pewnego razu przyjechała Natasza. Ucieszyła się bardzo zobaczywszy matkę, wycalowała ją i nagle, jakby mimochodem, powiedziała cichutko:

— A moja mama umarła — umarła biedaczka!...

Potrząsnęła głową, szybkim gestem ręki otarła łzy i ciągnęła dalej:

— Żal mi jej — nie miała jeszcze pięćdziesięciu lat i mogłaby jeszcze długo żyć! Ale gdy spojrzę z drugiej

strony, to myślę mimo woli: śmierć jest pewnie lżejsza od takiego życia. Zawsze sama, dla wszystkich obca, nikomu niepotrzebna, zastraszona krzykami ojca — czyż ona żyła? Żyje się w oczekiwaniu czegoś dobrego, a ona oprócz krzywd i poniżeń nie miała czego oczekiwać...

— Prawdę mówicie, Natasza! — powiedziała pomyślawszy matka. — Żyje się w oczekiwaniu czegoś dobrego, a jeśli nie ma czego oczekiwać — jakież to życie? — i pogłaskawszy łagodnie rękę dziewczyny, spytała:

— Sami jesteście teraz na świecie?

— Sama — odpowiedziała Natasza.

Matka milczała chwilę, po czym powiedziała z uśmiechem:

— To nic! Dobry człowiek nigdy nie jest sam — ludzie zawsze do niego przylgną...

VIII

Natasza została nauczycielką w powiatowym mieście, w fabryce tkackiej i Niłowna zaczęła jej dostarczać zakazanych książek, proklamacyj i gazet.

To stało się teraz jej pracą. Kilka razy na miesiąc, przebrana za mniszkę, handlarzkę koronek i samodziału, zamożną mieszczańkę lub pątniczkę, rozjeżdżała albo chodziła po prowincji z workiem na plecach lub walizką w rękach. W wagonie i na statku, w hotelach i oberżach, zachowywała się zawsze spokojnie i z prostotą, pierwsza nawiązywała rozmowy z nieznanymi ludźmi nie obawiając się ściągnąć na siebie uwagi. Przyciągała ku sobie ludzi łagodnością, towarzyskością oraz pewnym zachowaniem się obytego w świecie człowieka, który wiele widział.

Lubiła rozmawiać z ludźmi, słuchać ich opowiadań o życiu, skarg i wątpliwości. Serce jej zalewała radość, ile-

króć widziała w człowieku ostre niezadowolenie, to niezadowolenie, które protestuje przeciw uderzeniom losu i z naprężeniem szuka odpowiedzi na pytania już ukształtowane w jego umyśle. Rozwijał się przed nią coraz barwniej obraz życia ludzkiego — zabiegliwego i niespokojnego życia, upływającego w ciągłej walce o chleb. Wszędzie obnażało się przed nią z jaskrawą brutalnością bezwstydnie otwarte dążenie do oszukania człowieka, ograbienia go, wyciśnięcia z niego jak największej korzyści, wypicia jego krwi. I widziała, że na ziemi była obfitość wszystkiego, ale lud cierpiał niedostatek, żył na pół głodny pośród niezliczonych bogactw. W miastach wznosiły się świątynie pełne niepotrzebnego Bogu złota i srebra, a w przedsionkach świątyni drżeli żebracy, na próżno oczekując, kiedy wsunie się im w rękę maleńką, miedzianą monetę. Widziała to i dawniej — bogate cerkwie, wyszywane złotem ornaty popów, lepianki nędzarzy i ich haniebne łachmany, ale przedtem wszystko to wydawało się jej naturalne, a teraz było czymś, z czym nie można się było pogodzić, było krzywdą biedaków, którym przecież — wiedziała o tym — cerkiew jest bliższa i potrzebniejsza, niż bogactw.

Z obrazów przedstawiających Chrystusa, z opowiadań o nim, wiedziała, że przyjaciel ubogich ubierał się z prostotą. A w cerkwi, gdzie biedacy szukali u niego pociechy, widziała go zakutego w bezczelne złoto, spowitego w jedwab, szeleszczący pogardliwie na widok nędzy. I mimo woli przypominały się jej słowa Rybina:

— I Boga nam zamienili!

Niespostrzeżenie dla siebie zaczęła się mniej modlić, a więcej myśleć o Chrystusie i o ludziach, którzy, nie wspominając jego imienia i nie wiedząc jak gdyby nic o nim, żyli — tak się jej wydawało — według jego nakazów. Ludzie ci, podobnie jak on, uważali, że ziemia jest królestwem

ubogich, i chcieli rozdzielić równo między ludzi wszystkie jej bogactwa. Myślała o tym wiele i myśl ta rosła w jej duszy pogłębiając się i ogarniając wszystko co widziała i słyszała, przyjmując jak gdyby jasną postać modlitwy, która oświecała swym równym płomieniem cały ciemny świat, całe życie i wszystkich ludzi. I wydawało się jej, że Chrystus, którego zawsze kochała niejasną miłością, złożonym uczuciem, w którym strach związany był ściśle z nadzieją, a rozrzewnienie i czułość ze smutkiem, że Chrystus stał się teraz bliższy jej i jakby inny — wyższy i widoczniejszy dla niej, radośniejszy i o jaśniejszym obliczu. Jak gdyby naprawdę zmartwychwstał dla życia, obmyty i ożywiony gorącą krwią, którą ludzie szczerze przelali za niego, nie wymieniając jednak wstydliwie imienia nieszczęśliwego przyjaciela ludzi. Ze swoich podróży wracała zawsze do Mikołaja radośnie podniecona tym, co widziała i słyszała w drodze, rześka i zadowolona z wykonanej pracy.

— Dobrze jest tak wszędzie jeździć i dużo widzieć! — mawiała wieczorami do Mikołaja. — Zaczynasz rozumieć jak się buduje życie. Spychają, odrzucają naród na jego krańce i, skrzywdzony, tłoczy się tam, ale chcąc nie chcąc myśli — za co? Dlaczego odganiają mnie? Dlaczego wszystkiego jest dużo, a ja jestem głodny? I tyle rozumu wszędzie, a ja głupi i ciemny? I gdzie jest ten miłosierny Bóg, wobec którego nie ma bogatego i biednego, są tylko drogie sercu dzieci? I zwolna rośnie w narodzie oburzenie przeciw takiemu życiu — czuje, że fałsz zadusi go, jeżeli nie pomyśli o sobie!

I coraz częściej odczuwała pragnienie mówienia ludziom własnymi słowami o niesprawiedliwościach życia; niekiedy trudno jej było opanować to pragnienie...

Mikołaj zastając ją nad obrazkami, uśmiechał się i opowiadał jej o czymś, a było to zawsze coś cudownego. Oszo-

lomiona zuchwałością zadań, które stawia sobie człowiek, pytała go z niedowierzaniem:

— Ale — czyż to możliwe?

A on uporczywie i z niezachwianą wiarą w prawdziwość swoich prorocत्व patrząc w jej twarz przez okulary swymi dobrymi oczyma, opowiadał jej bajki o przyszłości.

— Pragnienia ludzkie są niezmierzone, a siła człowieka — niewyczerpana! Ale mimo to świat bardzo powoli wzbogaca się na duchu, ponieważ obecnie każdy chcąc oswobodzić się od zależności, zmuszony jest gromadzić nie wiedzę, lecz pieniądze. Gdy ludzie zniweczą chciwość, gdy wyswobodzą się z jarzma niewolniczej pracy...

Matka rzadko rozumiała sens jego słów, ale ożywiające je uczucie spokojnej wiary było dla niej coraz bardziej dostępne.

— Na ziemi zbyt mało jest wolnych ludzi — oto jej nie-szczęście! — mówił.

To było zrozumiałe — znała takich, którzy oswobodzili się od chciwości i złości, i rozumiała, że gdyby takich ludzi było więcej, ciemne i straszne oblicze życia byłoby przyjaźniejsze i prostsze, lepsze i jaśniejsze.

— Człowiek mimo woli musi być okrutny! — ze smutkiem mówił Mikołaj.

Kiwała potakująco głową, przypominając sobie słowa chachoła.

IX

Raz Mikołaj, zawsze punktualny, przyszedł z biura o wiele później niż zwykle i, nie rozebrawszy się, powiedział pośpiesznie zacierając z podnieceniem ręce:

— Wiecie, Niłowna, dzisiaj z więzienia uciekł jeden z naszych towarzyszy. Ale który z nich — tego nie udało się nam dowiedzieć...

Matka zachwiała się na nogach. Przejęta wzruszeniem, usiadła na krześle i zapytała szeptem:

— Może... Pawełek?

— Może! — powiedział Mikołaj podniósłszy ramiona.

— Ale jak pomóc mu się ukryć, gdzie go odnaleźć? Chodziłem teraz po ulicach — może spotkam? To głupie, ale trzeba przecież coś zrobić! I — znowu pójdę...

— Ja także! — zawołała matka.

— Idźcie do Jegora, może on wie o czymś? — zaproponował Mikołaj i zniknął.

Narzuciła chusteczkę na głowę i, ożywiona nadzieją, szybko wyszła na ulicę.

Migało jej w oczach, serce uderzało pośpiesznie zmuszając ją niemal do biegu. Szła z opuszczoną głową na spotkanie tego, co miało nastąpić, nic wokoło nie widząc.

— Przyjdę, a on tam jest! — majaczyła nadzieja popychając ją naprzód.

Było gorąco. Dusila się ze zmęczenia i, gdy doszła do schodów prowadzących do mieszkania Jegora, zatrzymała się nie mając sił iść dalej. Obejrzała się, krzyknęła cichutko i zamknęła oczy — wydało się jej, że w bramie stoi Mikołaj Wiesowszczyk z rękami w kieszeniach. Ale gdy spojrzała znowu — nie było nikogo...

— Wydało mi się! — powiedziała w myśli wchodząc po stopniach i przysłuchując się. Na dole, na podwórzu, słychać było głuchy odgłos powolnych kroków.

Zatrzymała się na zakręcie schodów, przechyliła się, spojrzała w dół i znowu zobaczyła uśmiechającą się do niej ospowatą twarz.

— Mikołaj! Mikołaj... — zawołała biegnąc na jego spotkanie, a serce jej ścisnęło się boleśnie z rozczarowania.

— Idź na górę, idź! — odpowiedział jej machnąwszy ręką.

Pobiegła szybko po schodach, weszła do pokoju Jegora, który leżał na kanapie, i wyszeptwała bez tchu:

— Mikołaj uciekł... z więzienia...

— Który? — zapytał ochryplym głosem Jegor podnosząc głowę z poduszki. — Jest ich tam dwóch...

— Wiesowszczykow... idzie tutaj!...

— Cudownie!

A on wszedł już do pokoju, zamknął drzwi na haczyk, zdjął czapkę i śmiejąc się cicho, przyglądał włosy na głowie.

Jegor podniósł się opierając się na łokciach, odchrząknął, kiwnął głową.

— Pozwólcie...

Uśmiechając się szeroko, Mikołaj podszedł do matki, chwycił jej rękę.

— Gdybym cię nie był zobaczył, to choć z powrotem do więzienia wracaj! Nikogo w mieście nie znam, a do osady pójdę — schwyca od razu. Chodzę i myślę — głupiec ze mnie! Po co uciekłem? Nagle widzę — Niłowna biegnie! Ja za tobą...

— Jak uciekłeś? — zapytała matka.

Usiadł niezręcznie na brzegu kanapy i mówił zmieszany wzruszając ramionami:

— Nadarzyła się sposobność. Byłem na spacerze, a kryminalni zaczęli bić dozorcę. Jest tam jeden taki, były żandarm, wygnany za kradzież — szpieguje, donosi, żyć nikomu nie daje! Biją go więc — zamieszanie, dozorczy zlekli się, biegają, gwizdzą. Widzę — brama otwarta, plac, miasto... I wyszedłem nie śpiesząc się... Jak we śnie. Odshedłem trochę, opamiętałem się — dokąd iść? Patrę — a brama więzienna już zamknięta...

— Hm! — powiedział Jegor. — A możebyście, mój panie, wrócili, zapukali do drzwi i poprosili, żeby was wpuszczono... Wybaczcie, zapomniałem się trochę...

— Tak — ciągnął dalej z uśmiechem Mikołaj — wiem, że to głupio, ale nieprzyjemnie mi wobec towarzyszy. . . Nikomu nic nie powiedziałem. . . i idę sobie. . . Więc idę, widzę — nieboszczyka niosą, dziecko. Poszedłem za trumną, schyliłem głowę, nie patrzę na nikogo. Posiedziałem na cmentarzu, owionęło mnie powietrze i przyszła mi do głowy jedna myśl. . .

— Jedna? — zapytał Jegor i westchnąwszy dorzucił. — Myślę, że nie jest jej tam ciasno. . .

Wiesowszczykowi zaśmiał się nieurazony i potrząsnął głową:

— No, teraz nie mam już takiej pustej głowy, jak dawniej. A ty, Jegorze Iwanowiczu, ciągle chorujesz. . .

— Każdy robi co może! — odpowiedział Jegor kaszląc. — Mów dalej.

— Potem poszedłem do muzeum. Chodziłem tam, patrzyłem i wciąż myślę — jak i dokąd teraz? Nawet rozgniewałem się na siebie. I jeść mi się bardzo zachciało. Wyszedłem na ulicę, chodzę, złoścę się. . . Widzę — policjanci przyglądają się wszystkim. . . No, myślę, z moim pyskiem, szybko znajdę się na bożym sądzie! . . . Nagle Niłowna biegnie mi naprzeciw! Odsunąłem się, a potem za nią — cł i wszystko!

— A ja cię nawet nie zauważyłam! — z zawstydzieniem powiedziała matka. Przyglądała się Wiesowszczykowi i wydało się jej, że zrobił się jakiś lżejszy.

— Pewnie towarzysze się niepokoją... — powiedział drapiąc się w głowę Mikołaj.

— A władzy to ci nie żal? Ona się także niepokoi! — zauważył Jegor. Otworzył usta i zaczął tak poruszać wargami, jak gdyby przeżuwał powietrze.

— Jednakże — żart na stronę! Trzeba cię ukryć, co nie jest łatwe, chociaż przyjemne. Gdybym mógł wstać. . .

Zaczął się znowu dusić, chwycił się rękami za pierś i pocałował ją rozcierając słabymi ruchami.

— Mocno się rozchorowałeś, Jegorze Iwanowiczu! — powiedział Mikołaj opuszczając głowę.

Matka westchnęła i z niepokojem rozejrzała się po maleńkim, ciasnym pokoiku.

— To moja osobista sprawa! — powiedział Jegor. — Wy, mamusiu, pytajcie o Pawła, dosyć tego udawania!

Wiesowszczykowi uśmiechnął się szeroko.

— Paweł zdrowy. Jest u nas czymś w rodzaju starosty. Z władzami rozmawia i w ogóle — komenderuje. Szanują go. . .

Własowa kiwając głową słuchała opowiadania Wiesowszczykowa i patrzyła z ukosa na obrzmiałą, sinawą twarz Jegora. Nieruchoma, zastygła, pozbawiona wyrazu, wydawała się jakby dziwnie spłaszczona i tylko oczy błyszczały w niej żywo i wesoło.

— Dalibyście mi co zjeść, jak Boga kocham, bardzo mi się jeść chce — niespodzianie zawołał Mikołaj.

— Mamusiu, na półce leży chleb, potem idźcie korytarzem i zastukajcie w drugie drzwi na lewo. Otworzy wam kobieta. Powiedzcie jej, żeby przyszła tutaj i zabrała ze sobą wszystko, co ma do jedzenia.

— Po co wszystko? — zaprotestował Mikołaj.

— Nie denerwuj się — niewiele tego jest. . .

Matka wyszła, zastukała do drzwi i, wsłuchana w ciszę panującą za nimi, myślała ze smutkiem o Jegorze:

— Umiera. . .

— Kto tam? — zapytano za drzwiami.

— Od Jegora Iwanowicza! — odpowiedziała półgłosem matka. — Prosi was do siebie. . .

— Zaraz przyjdę! — odpowiedziano nie otwierając. Poczekała jeszcze trochę i znowu zapukała. Teraz drzwi otworzyły się szybko i na korytarz wyszła wysoka kobieta w

okularach. Poprawiając na sobie pośpiesznie zmięty rękaw kaftanika, zapytała surowo matkę:

— Czego sobie życzycie?

— Ja od Jegora Iwanowicza...

— Aha! Chodźmy. O, ale ja znam was przecież! — zawołała cicho. — Witajcie! Ciemno tutaj.

Własowa spojrzała na nią i przypomniała sobie, że widywała ją czasem u Mikołaja.

— Sami swoi! — przemknęło jej przez głowę.

Popychając z lekka Własową przed sobą, idąca za nią kobieta pytała:

— Gorzej mu?

— Tak, leży. Prosił, żebyście przynieśli coś do zjedzenia.

— No, to zbytuczne...

Gdy weszły do Jegora, wybiegł im na spotkanie jego ochrypły głos:

— Wybieram się do praocjów, przyjaciółko moja, Ludmiło Wasyliwna! Ten oto mąż uciekł z więzienia bez pozwolenia władzy — zuchwalec! Przede wszystkim nakarmcie go, a potem ukryjcie gdzieś.

Kobieta skinęła głową, po czym patrząc uważnie w twarz chorego, powiedziała surowo:

— Powinniście byli, Jegorze, posłać po mnie natychmiast, gdy tylko do was przyszli. I, jak widzę, dwa razy nie braliście lekarstwa — co to za niedbalstwo? Idźcie do mnie, towarzyszu! Tu zaraz przyjdą ze szpitala po Jegora.

— Więc jednak pójdę do szpitala? — zapytał Jegor.

— Tak. Będę tam z wami.

— Tam także? O Boże!

— Nie błaznujcie...

Podczas rozmowy kobieta poprawiła koldrę na pierśsiach Jegora, uważnie przyjrzała się Mikołajowi, zmierzyla okiem ilość lekarstwa w buteleczce.

Mówiła spokojnie nie podnosząc głosu, ruchy jej były harmonijne. Twarz miała bladą, ciemne brwi prawie scho-
dziły się nad nosem. Twarz jej nie podobała się matce —
wydawała się jej arogancka i oczy jej patrzyły bez uśmie-
chu i bez blasku. I mówiła nawet tak, jakby komendero-
wała.

— Chodźmy! — ciągnęła dalej. — Ja niedługo wrócę!
Dajcie Jegorowi stołową łyżkę tego oto lekarstwa. Nie po-
zwalajcie mu mówić.

I wyszła zabierając ze sobą Mikołaja.

— Cudowna kobieta! — powiedział Jegor z westchnie-
niem. — Wspaniała kobieta... Was, mamusiu, należało
by przy niej urządzić — męczy się zanadto...

— A ty nie rozmawiaj... Masz, wypij lepiej!... —
poprosiła miękko matka.

Przełknął lekarstwo i mówił dalej przymrużywszy oko:

— I tak umrę. Jeżeli nawet będę milczał...

Patrzył drugim okiem w twarz matki, wargi jego po-
woli rozchyłały się w uśmiechu. Matka spuściła głowę,
ostry żal napelniał jej oczy łzami.

— To nic... To naturalne... Przyjemność życia po-
ciąga za sobą obowiązek śmierci...

Matka położyła rękę na jego głowie i znowu powtó-
rzyła cicho:

— Poleżelibyście lepiej cicho, co?..

Zamknął oczy jakby przysłuchując się rzęzeniu w swych
piersiach i ciągnął dalej z uporem:

— Głupio jest milczeć, mamusiu! Co mi przyjdzie z mil-
czenia? Jeszcze kilka zbędnych sekund agonii, a stracę
przyjemność pogawędzenia z dobrym człowiekiem. Myślę,
że na tamtym świecie nie ma takich dobrych ludzi, jak na
tym...

Matka przerwała mu z niepokojem:

— Przyjdzie ta pani i będzie się gniewać na mnie za to, że rozmawiacie...

— To nie pani, to rewolucjonistka, towarzysz, niezwykle serce... A gniewać się na was, mateńko, na pewno będzie — zawsze i na wszystkich się gniewa...

I powoli, z wysiłkiem poruszając ustami, Jegor zaczął opowiadać historię życia swojej sąsiadki. Oczy jego uśmiechały się, matka widziała, że przekomarza się z nią umyślnie i patrząc w jego twarz, pokrywaną się wilgotną siłą, myślała z lękiem:

— Umrze...

Weszła Ludmiła i, zamknąwszy za sobą drzwi, powiedziała zwracając się do Własowej:

— Wasz znajomy musi się koniecznie przebrać i jak najprędzej odejść stąd. Idźcie więc natychmiast, Pelagio Niłowna, postarajcie się dla niego o ubranie i przynieście je tutaj. Szkoda, że nie ma Zofii. Ukrywanie ludzi to jej specjalność.

— Jutro przyjedzie! — zauważyła Własowa narzucając chustkę na plecy. Za każdym razem, kiedy dawano jej jakieś polecenie, opanowywało ją mocne pragnienie wykonania go szybko i dobrze i nie mogła już myśleć o niczym innym, prócz swego zadania. I teraz, spuściwszy z zafrosowaniem brwi, zapytała rzeczowo:

— Jak go myślicie ubrać?

— Wszystko jedno! Pójdzie w nocy...

— W nocy gorzej — ludzi na ulicach mniej, śledzą więcej, a on nie jest bardzo obrotny...

Jegor roześmiał się ochryple.

— Można przyjść do ciebie do szpitala? — zapytała matka.

Kiwnął głową kaszląc. Ludmiła zająrzała matce w twarz swymi ciemnymi oczyma i zaproponowała:

— Chcecie dyżurować przy nim na zmianę ze mną? Tak? Dobrze. A teraz idźcie czym prędzej...

Łagodnie, ale stanowczo ujęła matkę pod rękę, wyprowadziła ją za drzwi i tam powiedziała cicho:

— Nie obrażajcie się, że wyprowadzam was! Ale rozmowa jest dla niego szkodliwa... A ja... mam nadzieję...

Ścisnęła ręce, palce jej zatrzęszczały, a zmęczone powieki przykryły oczy...

To usprawiedliwienie zmieszało matkę.

— Co wy? — wyjąkała.

— Uważajcie, czy nie ma szpicli! — cicho powiedziała kobieta. Podniosła rękę do twarzy, potarła skronie. Wargi jej drżały, twarz stała się łagodniejsza.

— Wiem!... — odpowiedziała nie bez dumy matka.

Wyszedszy z bramy, zatrzymała się na chwilę poprawiając chusteczkę i niespostrzeżenie, ale uważnie rozejrzała się wokoło. Umiała już prawie bez omyłki odróżnić w ulicznym tłumie szpicla. Znała już dobrze tę umyślnie podkreślaną niedbałość chodu, sztuczną swobodę gestów, wyraz zmęczenia i nudy na twarzy, źle skrywany trwożny błysk niespokojnych, nieprzyjemnie przenikliwych oczu. Tym razem nie zauważyła znajomej twarzy i nie śpiesząc poszła przez ulicę, wzięła dorożkę i kazała się zawieźć na rynek. Kupując ubranie dla Mikołaja, targowała się zawzięcie z handlarzami i klęła przy tym swego męża — pijanicę, którego musi każdego niemal miesiąca na nowo ubierać... Ten koncept robił małe wrażenie na handlarzu, ale podobał się bardzo jej samej — podczas drogi zastanowiła się, że policja na pewno zrozumie, iż Mikołaj musi zmienić ubranie i pośle szpicli na rynek. Z takimi samymi naiwnymi ostrożnościami wróciła do mieszkania Jegora, po czym musiała jeszcze odprowadzić Mikołaja na kraniec miasta. Szli oboje po przeciwległych stronach ulicy i matka bawił a zarazem sprawiał jej przyjemność widok Miko-

łaja, który kroczył ciężko, ze spuszczoną głową płacząc się w długich połach rudawego palta i poprawiając zlatując mu na nos kapelusz. Na jednej z odludnych ulic spotkali się z Szaszą i matka pożegnawszy się z Mikołajem kiwnięciem głowy, poszła do domu.

— A Paweł siedzi. I — Andrzej... — myślała ze smutkiem.

X

Mikołaj powitał ją smutnym okrzykiem:

— Wiecie, z Jegorem jest bardzo źle! Bardzo! Zawieźli go do szpitala. Była tu Ludmiła. Prosiła, żebyście tam przyszli do niej...

Mikołaj poprawił nerwowym ruchem okulary, pomógł jej włożyć kaftan i, ściskając jej rękę w swojej suchej i ciepłej ręce, powiedział drżącym głosem:

— Tak! Weźcie z sobą to zawiniątko. Urządziliście Wiesowszczykowa?

— Wszystko dobrze...

— Ja także przyjdę do Jegora...

Matce kręciło się w głowie ze zmęczenia, a pełen lęku nastrój Mikołaja budził w niej przecucie nieszczęścia.

— Umiera... — tępo kołatała w głowie niejasna myśl.

Ale gdy przyszła do maleńkiego, czystego i jasnego pokoju szpitalnego i zobaczyła, że Jegor siedząc na posłaniu wśród stosu białych poduszek, śmieje się ochryple — uspokoiła się od razu.

Stała z uśmiechem w drzwiach i słuchała, jak chory mówi do doktora:

— Leczenie to reforma...

— Nie błażnuj, Jegorze! — cienkim głosem wołał zafrasowany doktor.

— A ja — rewolucjonista — nienawidzę reform...

Doktor ostrożnie położył rękę Jegora na jego kolanach, wstał z krzesła i, skubiąc w zamyśleniu brodę, zaczął obmacywać obrzmienia na twarzy chorego.

Matka dobrze знаła doktora. Był to jeden z bliskich przyjaciół Mikołaja — Iwan Daniłowicz. Podeszła do Jegora, który pokazał jej na powitanie język. Doktor odwrócił się.

— A, Niłowna! Witajcie! A co tam macie w ręku?

— Pewnie książki.

— Jemu nie wolno czytać! — zauważył mały doktor.

— Chcą zrobić ze mnie idiotę! — poskarżył się Jegor.

Krótkie, ciężkie westchnienia, którym towarzyszyło rżenie, wrywały się z piersi Jegora. Twarz jego pokryta była kropelkami potu. Wycierał dłonią czoło podnosząc powoli ciężkie i nieposłuszne ręce. Dziwna nieruchomość opuchniętych policzków szpeciła jego szeroką, dobrą twarz, wszystkie jej rysy znikły pod martwą maską, tylko głęboko zapadnięte w opuchliznę oczy patrzyły jasno i uśmiechały się pobłażliwym uśmiechem.

— Hej, nauko! Zmęczyłem się — można się położyć?
— zapytał.

— Nie! — krótko odpowiedział doktor.

— No, połóż się i tak, gdy tylko odejdziesz...

— Nie pozwólcie mu na to, Niłowna! Poprawcie mu poduszkę i proszę was, nie mówcie z nim — to mu szkodzi...

Matka skinęła głową. Doktor wyszedł drobnymi, przędkimi krokami. Jegor odrzucił głowę, zamknął oczy i zamarł, tylko palce jego poruszały się powoli. Od białych ścian maleńkiego pokoiku wiało oschłym chłodem i mętным smutkiem. Do dużego okna zaglądały kędzierzawe wierzchołki lip, w ciemnym, zapyłonym listowiu błyszczały jaskrawe, żółte plamy — chłodne dotknięcia nadchodzącej jesieni.

— Śmierć podchodzi do mnie powoli i niechętnie... — nie poruszając się i nie otwierając oczu, mówił Jegor. — Widać, że żal jej trochę — taki był towarzyski i przyjemny chłopiec...

— Nie mów, Jegorze Iwanowiczu! — prosiła matka delikatnie gładząc jego rękę.

— Poczekaj, zamilknę...

Tracąc oddech i wymawiając z wysiłkiem słowa mówił dalej. Czasem słowa jego urywały się i następowała przerwa, spowodowana bezsilnością:

— To doskonale, że jesteście z nami — przyjemnie jest patrzeć w waszą twarz. Jak się to dla niej skończy? — zadaję sobie czasem pytanie. I smutno mi, gdy pomyślę, że czeka was, jak wszystkich, więzienie i różne świństwa. Nie boicie się więzienia?

— Nie! — odpowiedziała z prostotą.

— No, tak, oczywiście. Ale mimo to — więzienie to pa-skudna rzecz. Ono to właśnie okaleczyło mnie. Mówiąc prawdę, nie chce mi się umierać...

— Może nie umrzesz -jeszczel — chciała powiedzieć, ale spojrzawszy w jego twarz zamilkła.

— Mógłbym jeszcze pracować... Ale jeśli nie można pracować, nie ma czym żyć i — głupie jest takie życie...

— Sprawiedliwe to, ale nie pociesza! — mimo woli przypomniała sobie słowa Andrzeja i westchnęła. Zmęczyła się bardzo tego dnia i chciało się jej jeść. Monotonny szept chorego napełniał pokój, pełzał bezradnie po gładkich ścianach. Wierzchołki lip za oknem podobne były do chmur, które opuściły się nisko i zadziwiwały swoją smutną czernią. Wszystko jakby zamierało w dziwacznej, ponurej nieruchomości, w posępnym oczekiwaniu nocy.

— Jak mi niedobrze! — powiedział Jegor i, zamknąwszy oczy, zamilkł.

— Uśnij! — poradziła matka. — Może będzie ci lepiej.

Przysłuchiwała się jakiś czas jego oddechowi, potem obejrzała się, siedziała nieruchomo jeszcze kilka minut, opanowana chłodnym smutkiem, i zdrzemnęła się.

Zbudził ją ostrożny szelest za drzwiami, wzдрыgnęła się i zobaczyła otwarte oczy Jegora.

— Wybacz, zasnąłam! — powiedziała cichutko.

— I ty wybacz... — powtórzył równie cicho.

Do okna zaglądał wieczorny mrok, chłodny zmierzch nużył oczy, wszystkie kształty stały się niewyraźne, twarz chorego była ciemna.

Rozległ się znowu szelest i głos Ludmiły:

— Siedzą w ciemnościach i szepczą. Gdzie tu jest kontakt?

Pokój zalało nagle białe, nieprzyjemne światło. Pośrodku pokoju stała Ludmiła, cała w czerni, wysoka i prosta.

Jegor wzдрыgnął się całym ciałem i podniósł rękę do piersi.

— Co? — krzyknęła Ludmiła podbiegając do niego.

Patrzył na matkę nieruchomymi oczyma, które teraz wydawały się duże i dziwnie błyszczące.

Szeroko otworzył usta, uniósł głowę, a rękę wyciągnął przed siebie. Matka ostrożnie ujęła jego rękę i, wstrzymując oddech, patrzyła w twarz Jegora. Kurczowym, silnym ruchem odrzucił głowę i powiedział głośno:

— Nie mogę — skończona!...

Ciało jego drgnęło łagodnie, głowa opadła bezsilnie na ramię, w szeroko otwartych oczach odbiło się martwym blaskiem światło palącej się nad łóżkiem lampy.

— Drogi mój! — wyszeptła matka.

Ludmiła odeszła powoli od łóżka, zatrzymała się przy oknie i patrząc gdzieś, przed siebie, powiedziała nieznanym matce, niezwykle donośnym głosem:

— Umarł...

Zgięła się, oparła się łokciami o parapet i nagle, jak gdyby uderzono ją po głowie, osunęła się bezsilnie na kolana, zakryła twarz rękami i zajęczała głucho.

Matka złożyła bezwładne ręce Jegora na jego piersi, poprawiła na poduszce dziwnie ciężką głowę i ocierając łzy podeszła do Ludmiły. Pochyliła się nad nią, delikatnie pogładziła jej gęste włosy. Kobieta powoli odwróciła się ku niej, jej matowe oczy rozszerzyły się chorobliwie, wstała i wyszeptwała drżącymi ustami:

— Byliśmy razem na zesłaniu, szliśmy tam, siedzieliśmy w więzieniach... Czasem bywało nieznośnie, ohydnie, wielu upadało na duchu...

Suche, głośnie łkanie dusiło ją, pokonała je i zbliżywszy do twarzy matki swą twarz, która złagodniała i odmłodziła pod wpływem smutku i rozczulenia, ciągnęła dalej pospiesznym szeptem łkając bez łez:

— A on był zawsze niezmqczenie wesoly, żartował, śmiał się, ukrywał mqżnie swoje cierpienia... starał się dodać odwagi słabym. Dobry, wrażliwy i miły... Tam, na Syberii, beczynność psuje ludzi, budzi w nich często złe uczucia — jak on umiał walczyć z nimi! Gdybyście wiedzieli, jaki był z niego towarzysz! Ciężkie i mqżące było jego osobiste życie, ale nikt z jego ust nie usłyszał skargi — nikt nigdy! Byłam jego bliskim przyjacielem i wiele mu zawdzięczam. Dał mi wszystko, co mógł dać jego umysł i, samotny, zmęczony, nigdy nie żądał w zamian serdeczności czy troskliwości...

Podeszła do Jegora, pochyliła się nad nim i, całując jego rękę, mówiła z przejmującym smutkiem:

— Towarzyszu... drogi mój... kochany... Dziękuję ci. Dziękuję ci całym sercem — żegnaj! Będę pracować jak ty — niezmordowanie, nigdy nie wątpiąc, całe życie... Żegnaj!

Łkania wstrząsały jej ciałem, dusiły ją. Położyła głowę na łóżku u nóg Jegora. Matka płakała w milczeniu, z oczu jej nieustannie płynęły łzy. Chciała, nie wiadomo dlaczego, powstrzymać je, pragnęła okazać Ludmile szczególną, mocną czułość, pragnęła mówić o Jegorze dobrymi słowami miłości i smutku. Przez łzy patrzyła na jego zapadniętą twarz i oczy, jak gdyby we śnie, przykryte opuszczonymi powiekami, na ciemne wargi zastygłe w lekkim uśmiechu. Było cicho i męcząco jasno...

Wszedł Iwan Daniłowicz szybkimi i drobnymi jak zawsze krokami. Nagle zatrzymał się pośrodku pokoju i pośpiesznym gestem wsunąwszy ręce w kieszenie zapytał nerwowo i głośno:

— Dawno? ..

Nie odpowiedziano mu. Podeszedł lekko kołyszając się na nogach i pocierając czoło do Jegora, uściśnił jego rękę i odszedł na bok.

— Nic dziwnego, z jego sercem to powinno było nastąpić pół roku temu... przynajmniej...

Jego nienaturalnie wysoki i wymuszenie spokojny głos nagle załamał się. Oparłszy się plecami o ścianę, kręcił szybkimi palcami bródkę i patrzył na grupę przy łóżku.

— Jeszcze jeden! — powiedział cicho.

Ludmiła wstała, podeszła do okna, otworzyła je. I po minucie stali już przy nim wszyscy, przytuleni mocno do siebie, i patrzyli w ponure oblicze jesiennej nocy. Nad ciemnymi wierzchołkami drzew migotały gwiazdy, nieskończenie pogłębiając dal nieba...

Ludmiła wzięła matkę pod rękę i w milczeniu przytuliła się do jej ramienia. Doktor nisko spuścił głowę przecierając chusteczką binokle. W ciszy za oknem wzdychał ze znużeniem wieczorny szum miasta, chłód owiewał twarz, poruszał włosy na głowach. Ludmiła wzdrygała się, po policzku jej płynęła łza. W korytarzu szpitalnym miotają się

zmięte, wystraszone dźwięki, pośpieszne szurganie nóg, jęki, żaloszny szept. Ludzie, stojący nieruchomo przy oknie, patrzyli w ciemność i milczeli.

Matka poczuła się zbyt ciężka i, ostrożnie oswobodziwszy rękę, ukloniła się Jegorowi i skierowała się ku drzwiom.

— Odchodzicie? — zapytał cicho doktor nie oglądając się.

— Tak...

Na ulicy pomyślała o Ludmile i o jej skąpych łzach.

— I płakać nawet nie umie...

Ostatnie słowa Jegora wyrwały jej ciche westchnienie. Krocząc powoli po ulicy, wspominała jego żywe oczy, jego żarty, opowiadania o życiu.

— Dobremu człowiekowi żyć trudno, umierać — łatwo. Jak też to ja będę umierać?...

Potem wyobraziła sobie Ludmilę i doktora przy oknie w białym, zbyt jasnym pokoju, martwe oczy Jegora za nimi i, opanowana przygnębiającą litością dla ludzi, westchnęła ciężko i przyspieszyła kroku — jakieś niejasne uczucie popędzało ją.

— Trzeba przędzej! — myślała poddając się tej smutnej, ale rześkiej wewnętrznej sile popychającej ją naprzód.

XI

Cały następny dzień matka spędziła na bieganinie, zajęta urządzaniem pogrzebu. Wieczorem, gdy wraz z Mikołajem i Zofią piła herbatę, zjawila się Saszeńka, dziwnie głośna i ożywiona. Na policzkach jej paliły się rumieńce, oczy błyszczały wesoło. Matce wydało się, że dziewczyna pełna jest jakiejś radosnej nadziei. Nastrój jej rażąco, buźliwie wdzierał się w smutny ton wspomnień o zmarłym

i nie zlewając się z nim, zmieszał i oślepił wszystkich, niby ogień, który niespodzianie zapalił się w ciemnościach. Miłkołaj stukając w zamyśleniu palcem po stole, powiedział:

-- Niepodobni dziś jesteście do siebie, Sasza...

— Tak? Może być! — odpowiedziała i zaśmiała się radośnie.

Matka spojrzała na nią z milczącym wyrzutem, a Zofia tonem upomnienia zauważyła:

— Mówiliśmy teraz o Jegorze Iwanowiczu...

— Jaki to był cudowny człowiek! Nieprawda? — zawołała Sasza. — Nie widziałam go nigdy bez uśmiechu na twarzy, bez żartu! A jak pracował! To był artysta rewolucji! Władał rewolucyjną myślą jak prawdziwy mistrz! Z jaką prostotą i siłą odmalowywał obrazy kłamstwa, gwałtu i obłudy!

Mówiła półgłosem, z uśmiechem zadumy w oczach, ale uśmiech ten nie gasił w jej spojrzeniu innego ognia, ognia radości, której nikt nie rozumiał, ale którą wszyscy widzieli wyraźnie.

Nie chcieli jednak zastąpić nastroju smutku po towarzyszu uczuciem wnieśionego przez Saszę wesela. I broniąc bezwiednie swego smutnego prawa do żałoby, starali się mimo woli wciągnąć dziewczynę w krąg swojego nastroju...

— I oto umarł! — patrząc uważnie na dziewczynę powiedziała z naciskiem Zofia.

Szasza obrzuciła wszystkich szybkim, pytającym spojrzeniem. Brwi jej nachmurzyły się. Spuściła głowę i milczała poprawiając powolnym gestem włosy.

— Umarł! — powiedziała głośno po chwili i znowu spojrzała po wszystkich wyzywająco: — Co to znaczy — umarł? Co umarło? Czy umarł mój szacunek dla Jegora, moja miłość do towarzysza, pamięć o jego pracy? Czy umarła ta praca, czy znikły te uczucia, które wzbudził

w moim sercu, czy zniszczone zostało moje wyobrażenie o nim jako o odważnym i uczciwym człowieku? Czy wszystko to umarło? Nie, to nie umrze dla mnie nigdy. Wiem o tym. Zdaje mi się, że śpieszymy się zanadto z tym powiedzeniem o człowieku — umarł. „Martwe są jego usta, ale słowo żyć będzie wiecznie w sercach żywych!“

Wzburzona, usiadła znowu przy stole, oparła się na łokciu i ciszej, z zadumą, ciągnęła dalej patrząc na towarzyszy z uśmiechem, zamglonymi oczyma:

— Może być, że mówię głupio, ale wierzę, towarzysze, w nieśmiertelność szlachetnych ludzi, w nieśmiertelność tych, którzy dali mi szczęście żyć tym pięknym życiem, życiem, które upaja mnie radośnie swoją zadziwiającą złożonością, różnorodnością zjawisk, rozwojem idei drogich mi jak własne serce. Być może, że my jesteśmy zbyt oszczędni, gdy chodzi o uczucie. Żyjemy myślą i to nas trochę wypacza, oceniamy, a nie czujemy...

— Czy zdarzyło się wam coś dobrego? — zapytała z uśmiechem Zofia.

— Tak! — kiwnąwszy głową powiedziała Sasza. — Wydaje mi się, że bardzo dobrego! Całą noc rozmawiałam z Wiesowszczykowem. Nie lubiłam go przedtem. Wydawał mi się brutalny i ciemny. I na pewno był taki. Tkwilo w nim niezmiennie, posępne rozdrażnienie przeciw wszystkim i wszystkiemu i, z jakąś zabójczą ociężałością stawiając siebie w centrum wszystkiego, brutalnie i ze złością powtarzał ciągle — ja! ja! ja! Było w nim coś mieszczańskiego i drażniącego...

Uśmiechnęła się i znowu powiodła po wszystkich promieniających oczyma.

— Teraz mówi — towarzysze! I trzeba słyszeć, jak on to mówi. Z jaką nieśmiałą, miękką miłością — nie można tego nawet wyrazić słowami! Stał się zadziwiająco prosty i szczerzy, pełen chęci do pracy. Odnalazł samego siebie, wie,

jakie są jego siły, wie, czego mu nie dostaje; ale najważniejsze, że zrodziło się w nim prawdziwe poczucie spójni z towarzyszami...

Własowa słuchała słów Saszy i widok tej surowej dziewczyny, złagodniałej i radosnej, sprawiał jej przyjemność. Ale jednocześnie, gdzieś, w głębi duszy, zadrżała zazdrosna myśl: A Pawełek?

— Pochłonięty jest zupełnie myślą o towarzyszach — ciągnęła dalej Sasza — i wiecie, o czym mnie przekonuje? O konieczności zorganizowania dla nich ucieczki — tak! Mówi, że to bardzo proste i łatwe...

Zofia podniosła głowę i powiedziała z ożywieniem:

— A jak wy myślicie, Sasza? To jest myśl!

Filiżanka z herbatą zadrżała w ręku matki. Sasza nachmurzyła brwi opanowując swoje ożywienie, milczała chwilę, po czym poważnym głosem, ale z radosnym uśmiechem, powiedziała z zakłopotaniem:

— Jeśli naprawdę jest tak jak on mówi — powinniśmy postarać się. To nasz obowiązek...

Zarumieniła się, usiadła na krześle i zamilkła.

— Kochanie ty moje! — myślała z uśmiechem matka. Zofia uśmiechnęła się także, a Mikołaj patrząc na nią z czułością, roześmiał się cicho. Dziewczyna podniosła głowę, popatrzyła na wszystkich surowo i błada, błysnąwszy oczyma, powiedziała sucho, z obrazą w głosie:

— Śmiejecie się — rozumiem was. Uważacie mnie za osobście zainteresowaną?

— Dlaczego, Sasza? — podstępnie spytała Zofia wstając i podchodząc do niej. Pytanie to wydało się matce zbędne — mogło urazić dziewczynę; westchnęła, podniosła brew i spojrzała z wyrzutem na Zofię.

— Odmawiam udziału w rozstrzygnięciu tej sprawy, jeżeli będziecie rozpatrywać ją...

— Zostawcie, Sasza! — powiedział spokojnie Mikołaj.

Matka także podeszła do niej i ostrożnie pogładziła ją po głowie. Sasza chwyciła jej rękę i podniósłszy zarumienioną twarz spojrzała zmieszana w twarz matki. Matka uśmiechnęła się i, nie wiedząc co powiedzieć Saszy, westchnęła smutnie. Zofia usiadła na krześle przy Saszy, otoczyła ją ramieniem i, zaglądając jej ciekawie w oczy, powiedziała z uśmiechem:

— Dziwaczka!

— Tak, ja, zdaje się, nagadałam głupstw...

— Jak mogliście pomyśleć... — ciągnęła dalej Zofia, ale Mikołaj przerwał jej rzeczowo i poważnie:

— W sprawie zorganizowania ucieczki, jeśli tylko jest ona możliwa, nie może być dwóch zdań. Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, czy uwięzieni towarzysze życzą sobie tego...

Sasza spuściła głowę.

Zofia zapalając papierosa, spojrzała na brata i szerokim gestem rzuciła zapałkę w kąt.

— Jakże by mogli nie chcieć! — powiedziała z westchnieniem matka. — Tylko nie wierzę, żeby można było...

Wszyscy milczeli, a jej tak się chciało posłuchać jeszcze o możliwości ucieczki!

— Muszę się zobaczyć z Wiesowszczykowem — powiedziała Zofia.

— Jutro powiem wam kiedy i gdzie! — półgłosem odparła Sasza.

— Co on będzie robił? — zapytała Zofia chodząc po pokoju.

— Postanowiono, że będzie zecerem w nowej drukarni, a do tego czasu zamieszka u leśniczego.

Brwi Saszy ściągnęły się, twarz nabrała zwykłego, surowego wyrazu, głos dzwięczał ostro. Mikołaj podszedł do matki, która myła filiżanki i powiedział:

— Idziecie pojutrze na widzenie, więc trzeba będzie oddać Pawłowi karteczkę. Rozumiecie, trzeba wiedzieć...

— Rozumiem, rozumiem! — odpowiedziała pośpiesznie. — Już ja oddam!

— Odchodzę! — oświadczyła Sásza i uściskawszy w milczeniu wszystkie ręce wyszła szczególnie twardym krokiem, prosta i sucha.

Zofia położyła ręce na ramionach matki i zapytała z uśmiechem kołyszając ją na krześle:

— Niłowna, kochalibyście taką córkę?

— O Boże! Żebyż choć jeden dzień widzieć ich razem! — zawołała Własowa bliska płaczu.

— Tak — trochę szczęścia robi dobrze każdemu! — półgłosem zauważył Mikołaj. — Ale nie ma ludzi, którzy by pragnęli odrobiny szczęścia. A jeśli jest go dużo — robi się tanie...

Zofia usiadła do fortepianu i zaczęła grać coś smutnego.

XII

Na drugi dzień rankiem kilka dziesiątków mężczyzn i kobiet stało u bramy szpitalnej oczekując, kiedy wyniosą na ulicę trumnę ich towarzysza. Wokół nich kręcili się ostrożnie szpicle, łowili czujnymi uszami pojedyncze głosy, notowali sobie w pamięci twarze, zachowanie się, słowa. A z drugiej strony ulicy patrzyła na nich grupa policjantów z rewolwerami u pasa. Bezczelność szpiclów, szydercze uśmiechy policji i jej gotowość okazania swojej siły, drażniły tłum. Niektórzy, ukrywając swoje rozdrażnienie, żartowali, inni patrzyli ponuro w ziemię starając się nie dostrzegać tego, co było obraźliwe, jeszcze inni nie hamując gniewu szydzili z administracji, która lęka się ludzi uzbrojonych tylko słowem. Bładoniebieskie, jesienne niebo patrzyło jasnym spojrzeniem w ulicę wybrukowaną

okrągłymi, szarymi kamieniami, usianą żółtym listowiem, a wiatr podnosił liście i rzucał je pod nogi ludzi.

Matka stała w tłumie i, dostrzegając znane sobie twarze, myślała ze smutkiem:

— Niewielu was — niewielu! A roboczego ludu nie ma prawie...

Otworzyła się brama i na ulicę wyniesiono wieko trumny i wianki z czerwonymi wstęgami. Ludzie zgodnie zdjęli kapelusze, jak gdyby stado czarnych ptaków wleciało nad ich głowami. Wysoki oficer policji z gęstymi, czarnymi wąsami na czerwonej twarzy, wszedł pośpiesznie w tłum, a za nim, bez ceremonii rozpychając ludzi, kroczyli żołnierze głośno stukając po kamieniach ciężkimi butami. Oficer powiedział ochryłym, rozkazującym głosem:

— Proszę zdjąć wstążki!

Okrzykli go mężczyźni i kobiety, mówili coś machając rękami, gorączkując się, jedno odpychało drugie. Przed oczyma matki migwały blade, podniecone twarze z drżącymi ustami, po twarzy jednej z kobiet płynęły łzy obrazy...

— Precz z przemocą! — krzyknął jakiś młody głos i zbląkał się samotnie we wrzawie sporu.

Matka poczuła także gorycz w sercu i, zwracając się do ubogo odzianego młodego człowieka, powiedziała z oburzeniem:

— Nawet pochować człowieka nie dadzą tak jak tego chcą towarzysze! Cóż to jest znowu takiego?

Wrogość rosła. Nad głowami ludzi chwiało się wieko trumny, wiatr bawił się wstęgami, okręcał nimi głowy i twarze, słychać było suchy, nerwowy szelest jedwabiu.

Matka zlekła się możliwości starcia i doradzała pośpiesznie, półgłosem, na prawo i na lewo:

— Bóg z nimi! Jeżeli już tak koniecznie tego chcą, to może lepiej ustąpić i zdjąć wstążki? Co tam!

Zagłuszając wrzawę, zabrzmiał donośny i wyrazisty głos:

— Żądamy, by nie przeszkadzano nam w oddawaniu ostatniej posługi temu, któregoście zamęczyli...

Ktoś wysoko i cienko zaśpiewał:

Ofiarą-ście padli...

— Proszę zdjąć wstążki! Jakowlew, obetnij!

Słychać było szcęk wyjmowanej szabli.

Matka zamknęła oczy w oczekiwaniu krzyku. Jednakże uciszyło się. Ludzie szemrali, odgryzali się jak zaszczute wilki, ale spuściwszy nisko głowy ruszali naprzód, napełniając ulicę szuraniem kroków.

Na przedzie płynęła w powietrzu ogołocona trumna ze zmiętymi wiankami i, przechylając się z boku na bok, jechali na koniach policjanci.

Matka szła chodnikiem i nie widziała trumny w gęstym, otaczającym ją ciasno tłumie, który niespostrzeżenie wzrósł i zappełnił całą szerokość ulicy. Za tłumem wznosiły się szare postacie jeźdźców, z boku trzymając ręce na szablach, kroczyła piesza policja, wszędzie migały znane matce ostre oczy szpicli, uważnie obmacujące twarze ludzkie.

Zegnaj, towarzyszu nasz, żegnaj...

zaśpiewały smutnie dwa piękne głosy.

— Nie trzeba! — rozległ się okrzyk. — Idźmy w milczeniu, panowie!

W tym okrzyku było coś surowego i sugestywnego. Smutna pieśń urwała się, rozmowy stały się cichsze i tylko twarde uderzenia nóg o kamienie napełniały ulicę głuchym, miarowym dźwiękiem. Dźwięk ten podnosił się nad głowami ludzi płynąc w przezroczyste niebo, i wstrząsał powietrzem niby odgłos pierwszego gromu, oddalonej jeszcze burzy. Chłodny wiatr wzmagał się i niósł wroga na spotkanie ludzi pył i śmiecie ulic miasta. Rozdymał suknie i włosy, oślepił oczy, bił w pierś, plątał się pod nogami...

Ten milczący pogrzeb bez popów i bez chwytającego za serce żalobnego śpiewu, te zadumane twarze i nachmurzone brwi, budziły w matce trwogę, i myśl jej krążąc powoli, ubierała wrażenia w smutne słowa:

— Niedużo was jest, tych, którzy za prawdą...

Szła ze spuszczoną głową i wydawało się jej, że to nie Jegora chowają, ale chowają coś, do czego przywykła, bliskiego i potrzebnego. Było jej smutno i nieswojo. Serce jej napelniało szorstkie i trwożne uczucie niezgody z ludźmi odprowadzającymi Jegora.

— Oczywiście — myślała — Jegoruszka w Boga nie wierzył i wszyscy oni także...

Ale nie chciała dokończyć swojej myśli i wzdychała chcąc zepchnąć ciężar z serca.

— O Jezu! Jezu! Czy i mnie także tak...

Przyszli na cmentarz i długo krążyli po wąskich ścieżkach między grcbami, aż w końcu wyszli na otwartą przestrzeń, usianą niziutkimi białymi krzyżami. Stłoczyli się koło mogiły, umilkli. I to surowe milczenie żywych wśród mogił zwiastowało coś strasznego. Serce matki wzdrygnęło się i zamarło w oczekiwaniu. Między krzyżami świstał i wył wiatr, na wieku trumny smutno drżały zmięte kwiaty...

Policja wyprężyła się patrząc czujnie na swego dowódcę. Nad mogiłą stanął wysoki, młody człowiek bez czapki, z długimi włosami, o bladej twarzy i czarnych brwiach. I jednocześnie rozległ się chrapliwy głos naczelnika policji:

— Panowie...

— Towarzysze! — głośno i dźwięcznie zaczął czarnobrewy.

— Przepraszam! — krzyknął policjant. — Oznajmiam, że nie mogę dopuścić do przemówień...

— Powiem tylko kilka słów! — spokojnie oświadczył młody człowiek. — Towarzysze! Nad mogiłą naszego na-

uczyciela i przyjaciela przysięgnijmy, że nie zapomnimy nigdy jego wskazań, że każdy z nas będzie całe życie nieustannie kopać grób przyczynie wszystkich nieszczęść naszej ojczyzny, złej sile, która ją gnębi — caratowi!

— Aresztować! — krzyknął policjant, ale głos jego zagłuszył wybuch podnoszących się z różnych stron okrzyków:

— Precz z caratem!

Rozpychając tłum policjanci rzucili się ku mówcy, który, otoczony ciasno ze wszystkich stron, krzychał machając ręką:

— Niech żyje wolność!

Matkę odepchnięto na bok. Przestraszona, przytuliła się do krzyża i w oczekiwaniu uderzenia zamknęła oczy. Burzliwy wicher pomieszanych dźwięków ogłuszał ją, ziemia kołysała się pod nogami, wiatr i strach utrudniały oddech. W powietrzu unosiły się niespokojne gwizdki policjantów, rozlegał się brutalny, komenderujący głos, histerycznie krzychały kobiety, trzeszczało drzewo ogrodzeń, głucho dudnił po suchej ziemi ciężki tupot nóg. Trwało to długo i stanie z zamkniętymi oczyma stało się dla niej straszne, nie do zniesienia.

Spojrzała, krzyknęła i rzuciła się naprzód z wyciągniętymi rękami. Niedaleko od niej, na wąskiej dróżce wśród mogił, policjanci, otoczywszy długowłosego człowieka, bronili się przed tłumem, nacierającym na nich ze wszystkich stron. W powietrzu biała i chłodno błyskały obnażone szable wzlatując nad głowami i szybko opadając w dół. Migły laski, odłamki ogrodzeń, wirowały w dzikim tańcu wrzaski szepionych ze sobą ludzi, wznosiła się nad nimi blada twarz młodego człowieka i ponad burzą kipiącego złością rozdrażnienia grzmiał jego mocny głos:

— Towarzysze! Na co marnujecie siły?..

Zwycięzał. Rzucając pałki, ludzie jeden po drugim odskakiwali w bok, a matka wciąż przepychała się naprzód, przyciągana przez niezwyciężoną siłę. Widziała, jak Mikołaj, w zsuniętym do tyłu kapeluszu, odpychał pijanych złością ludzi i słyszała jego pełen wyrzutu głos:

— Powariowaliście! Uspokójcie się!...

Wydawało się jej, że jedna jego ręka jest czerwona.

— Mikołaju Iwanowiczul! Idźcie stąd! — krzyknęła rzucając się ku niemu.

— Dokąd? Uderzą was tam...

Chwyciwszy ją za ramiona stanęła obok niej Zofia. Była bez kapelusza, z rozrzuconymi włosami. Podtrzymawała młodego człowieka, prawie chłopca, który ocierał ręką okrwawioną twarz i belkotał:

— To nic... Puśćcie...

— Zajmijcie się nim, odwieźcie go do nas! Oto chusteczka! Zawiążcie mu twarz!... — szybko mówiła Zofia. Włożyła rękę chłopca w rękę matki i pobiegła wołając:

— Idźcie stąd! Aresztuj!...

Ludzie rozchodzili się po cmentarzu na wszystkie strony, za nimi, między mogiłami, ciężko kroczyli policjanci, niezgrabnie płatając się w polach długich płaszczy, wymyślając i machając szablami. Chłopiec odprowadzał ich wilczym spojrzeniem.

— Chodźmy prędzej! — powiedziała matka ocierając mu twarz chusteczką.

Chłopak belkotał wypluwając krew:

— Nie bójcie się — nie boli mnie. On mnie ręką jeścią szabli... Ale i ja jego także! I jak jeszcze! Tak go zdzieliłem pałką, że aż zawył!...

I potrząsając zakrwawionym kułakiem, dokończył zalamującym się głosem:

— Poczekajcie — nie to jeszcze będzie! Zmiażdżymy was bez bitki, gdy powstaniemy wszyscy, cały lud roboczy!

— Prędejl! — nagiła matka idąc pośpiesznie ku ma-
leńskiej furtce w ogrodzeniu cmentarnym. Wydawało się jej,
że tam, za ogrodzeniem, w polu, ukryła się czekająca na
nich policja i że gdy tylko wyjdą, rzuci się na nich i zacznie
bić. Ale gdy otworzywszy ostrożnie drzwiczki, wyrzała
w pole spowite szarą tkaniną jesiennego mroku, cisza i od-
ludzie uspokoiły ją od razu.

— Dajcie no, zawiążę wam twarz — powiedziała.

— Nie trzeba. I tak mi nie wstyd! Bitka była uczciwa:
on — mnie, ja — jego...

Matka naprędce obwiązała mu ranę. Widok krwi na-
pełniał jej serce żalnością i gdy palce jej namacały ciepłą
wilgoć, wstrząsnął nią dreszcz przerażenia. W milczeniu,
pośpiesznie, poprowadziła rannego przez pole trzymając
go za rękę. Oswobodziwszy usta, zapytał z uśmiechem
w głosie:

— Dokąd mnie prowadzicie, towarzyszek? Mogę sam
iść!...

Ale czuła, że chwieje się, nogi jego stąpają niepewnie,
ręka drży. Mówił słabnym głosem i zadawał pytania nie
czekając odpowiedzi:

— Jestem blacharz Iwan — a wy kto jesteście? Było
nas trzech w kółku Jegora Iwanowicza — trzech blacha-
rzy... a wszystkich — jedenastu. Bardzośmy go kochali,
wieczny mu odpoczynek! Chociaż — nie wierzę w Boga...

Na jednej z ulic matka wzięła dorożkę i usadowiwszy
w niej Iwana szepnęła mu:

— Teraz milcz! — i ostrożnie owinęła mu usta chuste-
czką.

Podniósł rękę do twarzy, ale nie mógł już oswobodzić
ust, ręka opadła mu bezsilnie na kolana. Mimo to mruczał
dalej przez chusteczkę:

— Nie zapomnę wam, mili moi, tych uderzeń... A przed nim uczył nas student Titowicz...ekonomię polityczną... potem aresztowali go...

Matka objęła Iwana, położyła sobie jego głowę na pierśiach. Chłopiec nagle ocieężał i zamilkł. Zamierając ze strachu, spoglądała spode łba na wszystkie strony. Wydawało się jej, że oto skądś, zza węgla, wybiegną policjanci, zobaczą owiązaną głowę Iwana, pochwycą go i zabiją.

— Podpił sobie? — zapytał dorożkarz obracając się ku niej z kozła i uśmiechając się dobrodusznie.

— Wzięło go! Lpił się jak beła! — westchnąwszy odpowiedziała matka.

— Syn?

— Tak. Szewc. A ja w służbie — kucharka...

— Męczysz się. Taak...

Machnąwszy batem na konia, dorożkarz odwrócił się i ciągnął dalej:

— A teraz właśnie, gadają, na cmentarzu bili się!... A no, chowali jednego politycznego człowieka, z takich, co to są przeciw władzom... Oni tam mają z władzami takie swoje rozrachunki. Chowali go także tacy sami, przyjaciele jego widać i dalej krzyzcć — precz z władzami, że niby władze naród grabią... A policja dalej bić ich! Mówią, że niektórych porąbali na śmierć. No i policji także się dostało... — zamilkł i, kiwając ze smutkiem głową, powiedział dziwnym głosem:

— Umarłych niepokoją, nieboszczyków budzą!

Dorożka z trzaskiem podskakiwała na kamieniach, głowa Iwana miękko uderzała o pierś matki, dorożkarz półobrócony do niej mruczał:

— Idzie wzburzenie przez naród — nieporządek się robi na ziemi, tak! Wczoraj w nocy przyszedli do naszych sąsiadów żandarmi, krzatali się tam aż do rana, a rano zabrali ze sobą jednego kowala. Mówią, że wyprowadzą go w nocy

na rzekę i potajemnie utopią. A kowal niezły człowiek był, człowiek...

— Jak się nazywał? — przerwała mu matka.

— Kowal? Szawel. A nazwisko — Jewczenko. Młody jeszcze, a dużo rozumiał. Rozumieć teraz, widać — zabrania się! Przyjdzie, bywało, i mówi: jakie jest wasze życie, dorożkarze? Prawda, mówimy, psie życie.

— Stój! — powiedziała matka.

Iwan zbudził się na skutek wstrząsu i zajączał cicho.

— Rozebrało chłopca! — zauważył dorożkarz — ech ty, wódko — wódeczko...

Z trudem powłócząc nogami i chwiejąc się całym ciałem, Iwan szedł przez podwórze i mówił:

— Drobnostka... Potrafię sam...

XIII

Zofia była już w domu. Wyszła na spotkanie matki z papierosem w ustach, ruchliwa i podniecona.

Układała rannego na kanapie, rozwiązywała zręcznie opatrunek na jego głowie i w trakcie tego zarządzała mrużąc oczy od dymu papierosa.

— Iwan Daniłowicz — przywieźli! Niłowna, zmęczycie się? Przestraszyliście się — co? Odpocznijcie. Mikołaj, kieliszek wódki Niłownie!

Matka, oszołomiona wszystkim, co przeżyła, oddychała ciężko i, czując w piersiach bolesne klucie, mruczała:

— Nie troszczcie się o mnie...

Ale cała jej istota zdawała się ze drżeniem prosić o troskliwość i uspokajającą pieśczętę.

Z sąsiedniego pokoju wyszedł Mikołaj z opatrunkiem na ręce i doktor Iwan Daniłowicz potargany i nastroszony jak

jeż. Podszedł szybko do Iwana i pochylił się nad nim mówiąc:

— Wody, więcej wody, czystych lnianych szmatek, waty!

Matka ruszyła do kuchni, ale Mikołaj wziął ją pod lewą rękę i powiedział łagodnie wyprowadzając ją do jadalni:

— To nie do was mówią, ale do Zofii! Bardzoście się zdenerwowali, kochana, co?

I matka spotkawszy jego uważne, współczujące spojrzenie, zawołała ze łkaniem, którego nie mogła już powstrzymać:

— Co tam się działo, mój drogi! Rąbali! Ludzi rąbali!

— Widziałem! — Mikołaj podał jej wódkę i kiwnął głową. — Obie strony trochę się rozgorączkowały. Ale nie martwcie się — bili płazem i zdaje się, że jest tylko jeden poważnie ranny. Widziałem, jak go uderzono i wytaszczyłem go z tłoku...

Twarz Mikołaja i jego głos, ciepło i światło pokoju uspokajało Własową. Spojrzała na niego z wdzięcznością i spytała:

— Was także uderzono?

— Zdaje się, że nieostrożnie zahaczyłem o coś ręką i zdarłem sobie skórę. Pijcie herbatę — zimno jest, a wy jesteście lekko ubrani...

Wyciągnęła rękę po filiżankę, zobaczyła, że palce jej są pokryte plamami zaschniętej krwi i mimo woli cofnęła rękę, opuściła ją na kolana. Spódnica jej była wilgotna. Szeroko otworzywszy oczy, podniosła brew i spojrzała z ukosa na swoje palce. Kręciło się jej w głowie, a w sercu kołatało:

— Tak i Pawełka — mogą!

Wszedł Iwan Daniłowicz w kamizelce, z zakasаныmi rękawami koszuli, i na milczące pytanie Mikołaja odpowiedział swym cieniem głosem:

— Na twarzy nieznaczna rana, czaszka pęknięta, ale niezbyt głęboko. Chłopak zdrowy! Ale krwi stracił dużo. Odeślemy do szpitala?

— Po co? N'ech zostanie tutaj! — zawołał Mikołaj.

— Dzisiaj, zgoda. No, może jeszcze jutro. Ale potem będzie mi wygodniej, żeby leżał w szpitalu. Nie mam czasu na wizyty! Napiszesz odezwę o wypadkach na cmentarzu?

— Oczywiście! — odpowiedział Mikołaj.

Matka wstała cicho i wyszła do kuchni.

— Dokąd, Niłówna? — zatrzymał ją zaniepokojony. — Zosia da sobie radę sama.

Spojrzała na niego i wzdrygnąwszy się odpowiedziała uśmiechając się dziwnie:

— Cała jestem we krwi...

Przebiegając się w swoim pokoju, jeszcze raz zadumała się nad spokojem tych ludzi i nad ich zdolnością szybkiego przeżywania strasznych wydarzeń. Otrzeźwiało ją to, wyganiało strach z jej serca. Gdy weszła do pokoju, gdzie leżał ranny, Zofia pochylona nad nim mówiła:

— Głupstwo, towarzyszu!

— Ale, będę was krępował! — sprzeciwiał się słabym głosem ranny.

— Nie rozmawiajcie. Mówienie szkodzi wam...

Matka stanęła za Zofią i, położywszy rękę na jej ramieniu, zaczęła opowiadać, z uśmiechem patrząc w bladą twarz rannego, jak bredził w dorożce i jak lękała się jego nieostrożnych słów. Iwan słuchał, oczy jego błyszczały gorączkowo. Cmokał wargami i wykrzykiwał z zawstydzeniem:

— O, jaki ze mnie głupiec!

— No, a teraz zostawimy was! — poprawiwszy mu kołdrę oświadczyła Zofia. — Wypoczywajcie!

Poszły do stołowego. Rozmawiano długo o wydarzeniach dnia i odnoszono się już do dramatycznych wypadków jak do czegoś dalekiego, z ufnością patrząc w przy-

szłość i omawiając metody pracy na najbliższy okres. Twarze były zmęczone, ale myśli — rześkie i, mówiąc o swojej pracy, ludzie nie ukrywali niezadowolenia z siebie. Kręcąc się nerwowo na krześle i tłumiąc z wysiłkiem swój cieniutki i przenikliwy głos, doktor mówił:

— Propaganda, propaganda! To obecnie za mało, robotnicza młodzież ma słuszość! Trzeba przejść do agitacji w masach — robotnicy mają rację, powiadam...

Mikołaj powiedział ponuro:

— Zewsząd nadchodzą skargi na brak literatury, a my wciąż jeszcze nie możemy urządzić dobrej drukarni. Ludziła pracuje ponad siły, zachoruje, jeżeli nie damy jej pomocników...

— A Wiesowszczyk? — zapytała Zofia.

— Wiesowszczyk nie może mieszkać w mieście. Weźmie się do pracy dopiero w nowej drukarni, a jej trzeba jeszcze jednego człowieka...

— Czy ja nie byłabym odpowiednia? — cicho zapytała matka.

Spojrzeli wszyscy troje na nią i na kilka sekund zamilkli.

— Dobra myśl! — zawołała Zofia.

— Nie, to byłoby za trudne dla was, Niłowna! — powiedział oschle Mikołaj. — Musielibyście mieszkać za miastem, przerwać widywanie się z Pawłem i w ogóle...

— Dla Pawła to niewielka strata — odpowiedziała z westchnieniem. — A i mnie te widzenia tylko serce szarpają! Mówić o niczym nie można. Stoisz tylko przed synem jak głupia, a oni ci w gębę patrzą, czy nie powiesz czego niepotrzebnego...

Zdarzenia ostatnich dni zmęczyły ją i teraz usłysawszy, że otwiera się dla niej możliwość przeniesienia się za miasto, z dala od jego dramatów, uchwyciła się skwapliwie tej sposobności.

Ale Mikołaj zmienił temat rozmowy:

— O czym rozmyślasz, Iwanie? — zwrócił się do doktora.

Doktor podniósł nisko pochyloną nad stołem głowę i odpowiedział ponuro:

— Myślę o tym, że mało nas! Musimy koniecznie pracować energiczniej... i przekonać Pawła i Andrzeja o konieczności ucieczki. Oni obaj są zbyt potrzebni i wartościowi, by siedzieć bez pracy...

Mikołaj nachmurzył brwi i pokiwał powątpiewająco głową spojrzawszy przelotnie na matkę. Zrozumiała, że krępują się mówić przy niej o jej synu, i poszła do swego pokoju unosząc w piersiach cichy żal do tych ludzi, którzy odnieśli się tak lekceważąco do jej pragnienia. Leżąc w łóżku z otwartymi oczyma, przysłuchiwała się cichemu szeptowi głosów. Opanował ją lęk.

Dzień, który upłynął, był posepny, niezrozumiały i pełen złowieszczych zapowiedzi. Było jej ciężko myśleć o nim i, odsuwając od siebie ponure wrażenia, zaczęła myśleć o Pawle. Pragnęła zobaczyć go na wolności i jednocześnie bała się tego: czuła, że wokół niej wszystko zaostrza się, grozi niebezpiecznymi starciami. Milcząca cierpliwość ludzka znikła ustępując miejsca pełnemu napięciu oczekiwaniu. Coraz widoczniej rosło rozdrażnienie, dźwięczały twarde słowa, zewsząd wiało czymś podniecającym... Każda proklamacja wywoływała na rynku, w sklepikach, wśród służby i rzemieślników ożywione rozmowy. Każde arestowanie budziło trwożne, zdziwione, a czasem nieświadomie współczujące echo i dociekanie jego przyczyn. Coraz częściej słyszała od prostych ludzi słowa, których niegdyś tak się lękała: bunt, socjaliści, polityka; wymawiano je z szyderstwem, ale poza szyderstwem ukrywało się niezręcznie — pytanie; ze złością — ale poza nią dźwięczał strach; z zadowoleniem, z nadzieją, z groźbą. Powoli, ale

szerokimi kręgami po ciemnej, stojącej powierzchni życia rozchodziły się fale, budziła się senna myśl, wyrobiony przez przyzwyczajenie, spokojny stosunek do treści dnia zaczynał się chwiać. Wszystko to widziała jaśniej od innych, gdyż lepiej od nich знаła jednostajne i posępne oblicze życia i teraz, widząc na nim zmarszczki żłobione przez myśl i rozdrażnienie, i cieszyła się, i lękała. Cieszyła się, gdyż uważała, że jest to dzieło jej syna, bała się, bo wiedziała, że jeśli wyjdzie z więzienia, to stanie na czele wszystkich, w najniebezpieczniejszym miejscu i — zginie.

Niekiedy obraz syna rozrastał się w jej myślach do rozmiarów bajecznego bohatera, łączył w sobie wszystko, co szlachetne — wszystkie śmiałe słowa, które słyszała, wszystkich ludzi, którzy jej się podobali, wszystko, co znała bohaterskiego i jasnego. I wówczas wzruszona i dumna rozkoszowała się nim w cichym zachwycie i pełna nadziei myślała:

— Wszystko będzie dobrze, na pewno!

Jej miłość — miłość matki — rozpaliała się ściskając niemal do bólu serce, ale potem uczucia macierzyńskie zaczynały hamować w niej wzrost uczuć ogólnoludzkich, spały je i w szarym popiele lęku nieśmiało trzepotała już tylko jedna posępna myśl:

— Zginie... przypadnie!..

XIV

W południe siedziała w więziennej kancelarii naprzeciw Pawła. Poprzez przesłaniającą jej oczy mgłę przypatrywała się brodatej twarzy i szukała sposobności podania mu ściśniętej mocno między palcami karteczki.

— Zdrow jestem i wszyscy zdrowi! — mówił półgłosem Paweł. — No, a co u ciebie?

— Jegor Iwanowicz zmarł! — powiedziała machinalnie.

— Tak? — krzyknął Paweł i spuścił głowę.

— Na pogrzebie policja biła, aresztowali jednego — ciągnęła dalej naiwnie.

Pomocnik naczelnika z oburzeniem cmoknął cienkimi wargami i, zerwawszy się z krzesła, wybełkotał:

— To zabronione, trzeba przecież rozumieć! Nie wolna mówić o polityce!...

Matka podniosła się także z krzesła i, niby nie rozumiejąc i usprawiedliwiając się, powiedziała:

— Ja nie o polityce, tylko o bójce! A że bili się, to przecie prawda... Jednemu nawet głowę rozbili...

— Wszystko jedno! Proszę milczeć! To jest — nie mówić o niczym, co nie tyczy się osobiście was, rodziny i w ogóle waszego domu!

I czując, że się zaplątał, usiadł przy stole i, przeglądając papiery, posepnie i ze znużeniem dorzucił:

— Ja jestem odpowiedzialny, tak...

Matka obejrzała się i szybko wsunąwszy karteczkę w rękę Pawła, odetchnęła z ulgą.

— Sama już nie wiem o czym mówić...

Paweł uśmiechnął się.

— Ja także nie wiem...

— W takim razie niepotrzebne są wam widzenia! — zauważył z rozdrażnieniem urzędnik. — Nie mają sobie nic do powiedzenia, a chodzą i zawracają głowę...

— Sąd prędko? — po chwili milczenia zapytała matka.

— Niedawno prokurator był, mówił, że prędko...

Zamieniali ze sobą słowa niepotrzebne i bez znaczenia, ale matka widziała, że oczy Pawła patrzą w jej twarz łagodnie i z miłością. Spokojny i równy jak zawsze, nie zmienił się, tylko odrosła mu broda i postarzała go, a dłonie wybielały. Pragnęła sprawić mu radość, powiedzieć

o Mikołaju i, nie zmieniając głosu, tym samym tonem, którym mówiła o niepotrzebnych i nieciekawych rzeczach, ciągnęła dalej:

— Chrześniaka twego widziałam...

Paweł uważnie wpatrywał się jej w oczy z milczącym pytaniem. Chcąc mu przypomnieć ospowatą twarz Wiesowszczykowa, postukała palcem po swoim policzku...

— Chłopczyk żywy i zdrowy. Wkrótce na służbę pójdzie.

Syn zrozumiał. Kiwnął jej głową i, z wesołym uśmiechem w oczach, odpowiedział:

— To — doskonale!

— Tak! — powiedziała z satysfakcją, zadowolona z siebie, wzruszona jego radością. Przy pożegnaniu uściśnęła jej mocno rękę:

— Dziękuję ci, matko!

Osołomiło ją i upoiło radosne uczucie ich bliskości i nie znajdując sił, by odpowiedzieć mu słowami, odpowiedziała milczącym uściskiem dłoni.

W domu zastała Saszę. Dziewczyna zwykle zjawiała się u niej w te dni, kiedy matka była na widzeniu. Nigdy nie wypytywała o Pawła i, jeżeli matka nie mówiła o nim, zadowalała się uważnym spojrzeniem jej w oczy. Ale teraz powitała ją niespokojnym pytaniem:

— No i cóż on?

— Wszystko dobrze! Zdrów.

— Kartkę oddaliście?

— Naturalnie! Wsunęłam ją tak zgrabnie...

— Przeczytał?

— Co wy? Jakim sposobem!

— Tak, zapomniałam! — powiedziała powoli dziewczyna. — Poczekamy jeszcze tydzień — jeszcze tydzień! A jak wy myślicie — zgodzi się?

Nachmurzyła brwi i patrzyła w twarz matki znieruchomiałymi oczyma.

— Czy ja wiem — zastanawiała się matka. — Dlaczego nie uciec, jeżeli nie ma niebezpieczeństwa?

Sasza potrząsnęła głową i spytała sucho:

— Nie wiecie, co można dać jeść choremu? Prosi o jedzenie.

— Wszystko można, wszystko! Ja zaraz...

Poszła do kuchni, a Sasza powoli podążyła za nią.

— Pomóc wam?

— Dziękuję. Co wy?!

Matka nachyliła się nad piecem zdejmując garnek. Dziewczyna powiedziała do niej cicho:

— Poczekajcie...

Twarcz jej pobladła, oczy rozszerzyły się i drżące usta zaszeptały gorąco i pośpiesznie:

— Chcę was poprosić. Wiem, że on się nie zgodzi! Namówcie go! Powiedzcie mu, że jest potrzebny, że jest niezbędny dla sprawy! Że boję się, że zachoruje. Widzicie sami — rozprawa nie jest jeszcze wyznaczona...

Mówiła z widoczną trudnością. Wyrężyła się cała, patrzyła w bok, głos jej załamywał się. Opuściła ze znużeniem powieki, przygryzła usta, a kurczowo zaciśnięte palce jej rąk chrzęściły.

Matka była oszołomiona jej wybuchem, ale zrozumiała go i, wzruszona, pełna uczucia smutku, objęła Saszę i odpowiedziała cichutko:

— Nikogo on nie posłucha, droga moja! Nikogo prócz siebie — nikogo!

Milczały obie, przytuliwszy się mocno do siebie. Po czym Sasza ostrożnie zdjęła ze swych ramion ręce matki i powiedziała wzdrygając się:

— Tak — macie słuszność! Wszystko to głupstwo, nerwy...

I nagle zakończyła poważnie, z prostotą:

— Ale trzeba nakarmić rannego...

I oto siedząc przy łóżku Iwana, pytała go już troskliwie i serdecznie:

— Bardzo boli głowa?

— Nie bardzo, tylko taki mam w niej zamęt! I słabo mi tak... — odpowiedział, wstydliwie podciągając koldrę pod brodę, i zmrużył oczy od jaskrawego światła. Zauważywszy, że nie może się zdecydować jeść przy niej, Sasza wstała i wyszła. Iwan usiadł na łóżku i, odprowadziwszy ją spojrzeniem, powiedział mrugając oczyma:

— Ach ła-a-dna!...

Oczy miał jasne i wesołe, zęby drobne i zwarte, głos jeszcze nie sformowany.

— Ile macie lat? — spytała w zadumie matka.

— Siedemnaście...

— A rodzice gdzie?

— Na wsi. Miałem dziesięć lat, jak tu przyjechałem. Szkołę tutaj skończyłem! A jak wasze nazwisko, towarzyszeko?

Matkę zawsze śmieszyło i wzruszało to słowo zwrócone do niej. I teraz zapytała uśmiechając się:

— A na co wam to potrzebne?

Chłopak zmieszał się i zamilkł a potem wyjaśnił:

— Widzicie, student z naszego kółka, to jest ten, który czytał z nami, mówił mi o matce Pawła Własowa, robotnik — wiecie — demonstracja Pierwszego Maja?

Kiwnęła głową i słuchała z naprężoną uwagą.

— On pierwszy podniósł otwarcie sztandar naszej partii! — z dumą oświadczył chłopak i jego duma odezwała się echem w sercu matki.

— Mnie przy tym nie było. Chcieliśmy tutaj urządzić swoją demonstrację, ale nie udało się! Mało nas było wtedy. Ale tego roku — zapraszam was do nas!... Zobaczycie!

Zachłystywał się ze wzruszenia czując już przedsmak przyszłych wydarzeń, machał w powietrzu łyżką i ciągnął dalej:

— Więc ta Własowa — matka, także wstąpiła potem do partii. Mówią, że to taka... po prostu coś cudownego powiadam wam!

Matka uśmiechnęła się szeroko. Słuchała tych pełnych zachwytów pochwał chłopaczka. Z przyjemnością, ale i ze zmieszaniem. Chciała nawet powiedzieć — to ja jestem Własowa!... Ale — powstrzymała się i pomyślała o sobie z lekką ironią i ze smutkiem:

— Ech! Stara a głupia!...

— Ale... jedzcie więcej! Musicie co prędzej, wyzdrowieć dla dobra sprawy! — powiedziała nagle ze wzruszeniem nachylając się nad nim.

Drzwi otworzyły się, wionęło wilgotnym, jesiennym chłodem, weszła Zofia rumiana i wesoła.

— Szpicle za mną chodzą jak konkurenci za bogatą panną — daję słowo! Muszę wynosić się stąd! No, jak Wania? Dobrze? Co z Pawłem, Niłowna? Sasza jest tutaj?

Zapalając papierosa rzucała pytania i nie czekała na odpowiedź; ogarniała łagodnym i pełnym czułości spojrzeniem matkę i chłopca. Matka patrzyła na nią, uśmiechała się wewnątrz i myślała:

— Okazuje się, że i ze mnie będą ludzie!

I znowu pochyliwszy się nad Iwanem, powiedziała:

— Wracaj jak najprędzej do zdrowia, synku!

I wyszła do stołowego. Tam Zofia opowiadała Saszy:

— Ma już gotowych trzysta egzemplarzy! Zabija się taką pracą! Oto — bohaterka! Wiecie, Saszo, że to wielkie szczęście żyć wśród takich ludzi, być ich towarzyszem, pracować z nimi...

— Tak — cicho odpowiedziała dziewczyna.

Wieczorem przy herbacie, Zofia powiedziała matce:

— Będziecie musieli, Niłowna, znowu wybrać się na wieś.

— No, więc cóż? Kiedy?

— Za trzy dni — możecie?

— Dobrze.

— Jedźcie! — półgłosem poradził Mikołaj. — Najmiejcie pocztowe konie i proszę was, pojedźcie inną drogą, przez Nikolską gminę.

Zamilkł i spochmurniał. Było mu z tym nie do twarzy, szpeciło ją, dziwnie zmieniając jej spokojny wyraz.

— Przez Nikolskie daleko! — zauważyła matka. — I konie drogo kosztują...

— Wiecie co — ciągnął dalej Mikołaj — ja w ogóle jestem przeciwny temu wyjazdowi. Tam jest niespokojnie. Były już aresztowania. Wzięto jakiegoś nauczyciela. Trzeba działać ostrożniej. Należało by przeczekać pewien czas...

Zofia postukała palcami po stole i zauważyła:

— Zachowanie ciągłości w rozpowszechnianiu literatury jest dla nas bardzo ważne. Nie boicie się jechać, Niłowna? — spytała nagle.

Matka poczuła się dotknięta.

— Czy bałam się kiedykolwiek? I za pierwszym razem nie czułam strachu, a teraz... — i, nie skończywszy zdania, spuściła głowę. Za każdym razem, gdy pytano ją, czy nie boi się, czy jej to odpowiada, albo czy może to lub tamto zrobić, słyszała w tych pytaniach prośbę i wydawało się jej, że ci ludzie odsuwają ją od siebie, odnoszą się do niej inaczej niż do siebie wzajemnie.

— Niepotrzebnie pytacie się mnie, czy się boję — powiedziała wzdychając. — Wy nie pytacie się przecie jeden drugiego, czy się boi...

Mikołaj pośpiesznie zdjął okulary, włożył je znowu i uważnie popatrzył w twarz siostry.

Zawstydzone milczenie zaniepokoiło Własową, zmieszana podniosła się z krzesła chcąc im coś powiedzieć, ale Zofia dotknęła jej ręki i poprosiła cichutko:

— Wybaczcie mi! Już nigdy nie będę!

To rozśmieszyło matkę i po kilku minutach wszyscy troje zgodnie i starannie omawiali sprawę wyjazdu na wieś.

XV

O świcie matka trzęsła się na pocztowej bryczce po rozmięklej od jesiennych deszczów drodze. Dał wilgotny wiatr, bryzgało błoto, woźnica siedząc na koźle półobrótyny do niej, skarżył się smutnym, nosowym głosem:

— Mówię mu — mojemu bratu niby — cóż, dzielimy się! Zaczęliśmy się dzielić...

Nagle chlasnął batem lewego konia i ze złością wrzasnął:

— Nno! Dalej, cholero!...

Tłuste jesienne wrony kroczyły zafrasowane po nagich pastwiskach. Wiatr napadał na nie z chłodnym świstem. Wrony nastawiały boki pod uderzenia wiatru, który rozdymał im pióra, zwał je z nóg. Wówczas ustępowały przed siłą i kilkoma leniwymi poruszeniami skrzydeł przelatywały na inne miejsce.

— No i obdzielł mnie. Widzę, nie ma się za co uchwycić... — mówił woźnica.

Matka słyszała jego słowa jakby przez sen. Pamięć jej odtwarzała długi łańcuch zdarzeń, które przeżyła w ciągu ostatnich lat, i przeglądając je, widziała wszędzie siebie. Dawniej życie tworzyło się gdzieś daleko od niej, nie wiadomo przez kogo i po co, a oto teraz wiele spraw dzieje się w jej oczach i z jej pomocą. I to budziło w niej złożone uczucie — nieufności do siebie i zadowolenia z siebie, zdziwienia i cichego smutku...

Wszystko wokół kołysało się w powolnym ruchu. Po niebie przeganiając jedna drugą, płynęły ciężkie, szare chmury, po obu stronach drogi chwiejąc nagimi wierzchołkami, migwały mokre drzewa, rozchodziły się w krąg pola, występowały i rozpływały się pagórki.

Nosowy głos woźnicy, dźwięk dzwoneczków, wilgotny poświst i szum wiatru, ziewały się w drżący strumień, który wił się i płynął ponad polami z jednostajną siłą...

— Bogatemu i w raję za ciasno — taka to sprawa! ... Zaczął mnie naciskać, a z władzami w przyjaźni żyje — kiwając się na koźle, ciągnął dalej woźnica.

Gdy dojechali do stacji, wyprzągnął konie i powiedział do matki beznadziejnie smutnym głosem:

— Dałabyś mi pięć kopiejek — wypiłbym chociaż!

Dała mu monetę. Woźnica podrzucił ją na dłoń i oznajmił jej tym samym tonem:

— Za trzy — wypiję wódki, za dwie — zjem chleba...

Po południu, rozbita i zziębnięta, przyjechała do dużej wsi Nikolskoje, poszła na stację, poprosiła o herbatę i usiadła przy oknie postawiwszy pod ławką swoją ciężką walizę. Z okna widać było niewielki plac pokryty zdeptanym kobiercem żółtej trawy — urząd gminny — ciemnoszary dom ze spadzistym dachem. Na ganku urzędu siedział łysy chłop z długą brodą, w samej tylko koszuli i palił fajkę. Po trawie przechadzała się świnia z niezadowoleniem poruszając uszami. Wsadzała ryj w ziemię i kiwała głową.

Ciemnymi masami płynęły chmury i zwałały się jedna na drugą. Było cicho, ponuro i nudno, życie jak gdyby schowało się gdzieś, zaczęło się.

Nagle na plac wpadł galopem przodownik policji, osadził rudego konia przed gankiem urzędu i machając w powietrzu nahajką zaczął krzyżeć na chłopca — wrzaski jego uderzały o szyby okien, ale słów nie było słyhać. Chłop wstał, wyciągnął rękę pokazując gdzieś w dal, przodownik

zeskoczył na ziemię, zachwiał się na nogach, rzucił chłopu cugle i, chwytając się rękami poręczy, ciężko wszedł na ganek i znikł w drzwiach urzędu...

Znowu zapanowała cisza. Koń uderzył dwa razy kopytami w miękką ziemię. Do pokoju weszła dziewczynka — podłotek, z krótkimi, żółtymi warkoczykami i łagodnymi oczyma w okrągłej twarzy. Zagryzłszy wargi, niosła w wyciągniętych rękach dużą tacę o powyginanych brzegach, całą zastawioną naczyniami i, kłaniając się niemal co krok, kiwała głową.

— Dzień dobry, mała gosposiu! — powiedziała życzliwie matka.

— Dzień dobry!

Rozstawiając na stole talerze i filiżanki do herbaty, dziewczynka oznajmiła nagle z ożywieniem:

— Właśnie schwytali rozbójnika — prowadzą go!

— Jakiego rozbójnika?

— Nie wiem...

— A co on zrobił?

— Nie wiem! — powtórzyła dziewczynka. — Słyszałam tylko, że złapali! Stróż gminny pobiegł po komisarza policji.

Matka popatrzyła przez okno. Na placu zjawili się chłopci. Niektórzy szli powoli, statecznie, inni w pośpiechu zapinali po drodze półkożuszki. Zatrzymując się przed gankiem urzędu, wszyscy patrzyli gdzieś w lewo.

Dziewczynka także spojrzała w ulicę i wybiegła z pokoju trzasnąwszy głośno drzwiami. Matka wzdrygnęła się, wsunęła głębiej swoją walizkę pod ławkę i, narzuciwszy na głowę chustkę, podeszła prędko do drzwi. Miała ochotę nie iść, ale biec, i z trudem opanowywała tę niezrozumiałą chęć pośpiechu, która owładnęła nią nagle...

Gdy wyszła na ganek, ostry chłód uderzył ją w oczy, w pierś. Zabrakło jej tchu, nogi zdrętwiały — środkiem

placu szedł Rybin ze związanymi na plecach rękami, a obok niego kroczyło dwóch setników*), miarowo uderzając o ziemię pałkami. Przed gankiem urzędu stała grupa ludzi i czekała w milczeniu.

Matka patrzyła oszołomiona nie odrywając oczu — Rybin mówił coś, słyszała jego głos, ale słowa znikały bez echa w ciemnej, drżącej pustce jej serca.

Ocknęła się, schwyciła oddech — przed gankiem stał chłop z szeroką, jasną brodą, uważnie patrząc jej w twarz niebieskimi oczyma. Kaszląc i rozcierając szyję osłabłymi ze strachu rękami, spytała go z trudem:

— Co to takiego?

— A no — popatrzcie! — odpowiedział chłop i odwrócił się. Podeszedł jeszcze jeden chłop i stanął obok niego.

Setnicy zatrzymali się przed tłumem, który rósł szybko, ale w milczeniu i nagle podniósł się nad nim niski głos Rybina:

— Prawosławni! Czy słyszeliście o prawdziwym piśmie, w którym stała prawda o waszym chłopskim życiu? Za nie właśnie cierpię, to ja rozdawałem te pisma narodowi!

Ludzie okrążyli ciasniej Rybina. Głos jego brzmiał spokojnie, miarowo. To otrzeźwiło matkę.

— Słyszysz? — trąciwszy w bok niebieskookiego chłopca, zapytał go cichutko drugi. Ten nie odpowiadając, podniósł głowę i spojrzał znowu w twarz matce. Drugi chłop popatrzył także na nią. Był młodszy od pierwszego, z ciemną, rzadką bródką i pstrą od piegów, chudą twarzą. Obydwaj odsunęli się od ganku.

— Boją się! — mimochodem zauważyła matka.

Uwaga jej zaostrzała się. Z wysokości ganku widziała wyraźnie skatowaną, czarną twarz Michała, dostrzegając

*) Kolejni dyżurni (jeden na sto chat) obowiązani do spełniania posług administracyjnych w gminie. — Pr z y p. t ł u m.

gorący blask jego oczu. Pragnęła, by i on ją zobaczył, i uniosła się na palcach wyciągając w jego stronę szyję.

Ludzie patrzyli na niego pochmurnie, z niedowierzaniem i milczeli. Tylko w tylnych rzędach tłumu słychać było przytłumione rozmowy.

— Chłopi! — mówił Rybin pełnym i mocnym głosem. — Wierście tym papierom — ja za nie może na śmierć pójde. Bito mnie, męczono, chciano ze mnie wydobyć, skąd je wziąłem. I będą jeszcze bić — wszystko zniosę! Bo w tych papierach jest prawda, prawda, która powinna być dla nas droższa od chleba — ot co!

— Po co on to mówi? — wyrwał się cichy okrzyk jednemu z chłopów przy ganku. Niebieskooki odpowiedział powoli:

— Teraz wszystko jedno! Dwóch śmierci nie ma, a jednej się nie uniknie...

Ludzie stali w milczeniu patrząc ponuro, spode łba. Wszystkich przygniatało coś niewidzialnego, ciężkiego.

Na ganku zjawił się przodownik i, zataczając się, zaryczał pijackim głosem:

— Kto tu mówi?

Stoczył się nagle z ganku, schwycił Rybina za włosy i, ciągnąc go za głowę w przód i w tył, wrzeszczał:

— To ty mówisz, psi synu — ty?

Tłum zachwiał się i zahuczał. Matka w bezsilnym smutku opuściła głowę. I znowu rozległ się głos Rybina:

— Przypatrzcie się, dobrzy ludzie...

— Milczeć! — przodownik uderzył go w ucho. Rybin zachwiał się na nogach, poruszył ramionami.

— Zwiążali wam ręce i męczą jak chcą...

— Setnicy! Prowadźcie go! Rozchodźcie się! — skacząc przed Rybinem jak łańcuchowy pies przed kawałkiem mięsa, przodownik uderzał go kulakiem w twarz, w pierś, w brzuch.

— Nie bij! — krzyknął ktoś w tłumie.

— Po co bijesz? — podtrzymał go inny głos.

— Chodźmy! — powiedział niebieskooki chłop kiwnąwszy głową na drugiego. I obaj nie śpiesząc się, ruszyli ku urzędowi, a matka odprowadziła ich dobrym spojrzeniem. Odetchnęła z ulgą — przodownik wbiegł znowu ciężko na ganek i wrzeszczał stamtąd z wściekłością grożąc kuliakiem.

— Prowadźcie go tu! Mówię...

— Nie trzeba! — rozległ się w tłumie głos — matka zrozumiała, że to mówi chłop z niebieskimi oczyma. — Nie dopuścimy do tego, chłopcy! Uprowadzą go tam — zatłuką na śmierć. A potem na nas powiedzą, że my niby zabiliśmy! Nie dopuście!

— Chłopi! — huczał głos Michała. — Czy nie widzicie swego życia, nie rozumiecie, jak was grabią, jak oszukują, jak piją waszą krew? Wszystko na was się opiera, wy jesteście największą siłą na świecie, a jakie macie prawa? Zdychać z głodu — to jedyne wasze prawo!...

Chłopi zakrzyczeli nagle przerywając jeden drugiemu.

— Dobrze mówi!

— Zawołajcie komisarza! Gdzie komisarz?...

— Przodownik pojechał po niego!...

— Pijany!...

— Nie nasza sprawa władze zwoływać!...

Hałas rósł.

— Mów! Nie damy cię bić!...

— Rozwiążcie mu ręce!...

— Uważaj, żeby nie było biedy!...

— Bolał mnie ręce! — zagłuszając wszystkie głosy mówił spokojnie i dźwięcznie Rybin. — Nie ucieknę, chłopie! Nie ukryję się przed moją prawdą — ona żyje we mnie!...

Kilku ludzi statecznie odłączyło się od tłumy i rozeszło się w różne strony rozmawiając ze sobą półgłosem i kiwa-

jąc głowami. Ale coraz więcej zbiegało się, źle i w pośpiechu odzianych, podnieconych ludzi. Kipieli niby ciemną pianą wokół Rybina, a on stał pośród nich jak kaplica w lesie. Podniósł ręce nad głową i potrząsając nimi krzyczał w tłum:

— Dziękuję wam, dobrzy ludzie, dziękuję! Powinniśmy sami sobie nawzajem ręce oswobadzać — tak! Któż inny nam pomoże?

Otarł brodę i znowu podniósł rękę całą we krwi.

— Oto krew moja — za prawdę się leje!

Matka zeszła z ganku, ale z ziemi nie było widać Michała otoczonego ludem, więc znowu weszła na stopnie. W piersiach czuła żar. Trzepotało w nich coś niejasnego i radosnego.

— Chłopi! Szukajcie tego pisania, czytajcie, nie wiercie władzom i popom, gdy mówią, że ci ludzie, którzy niosą wam prawdę, to bezbożnicy i buntownicy. Prawda chodzi potajemnie po ziemi i szuka sobie gniazda wśród narodu. Dla władz jest ona ogniem i nożem — nie mogą jej przyjąć, gdyż zarżnie je ona i spali! Prawda to dobry przyjaciel dla was, ale śmiertelny wróg dla władzy! Oto dlaczego się kryje!...

W tłumie wybuchnęło znowu kilka okrzyków.

— Słuchajcie, prawosławni!...

— Ech, bracie, zginiesz ty...

— Kto cię wydał?

— Pop! — odpowiedział jeden z setników.

Dwóch chłopów zaklęło siarczyście.

— Uwaga, chłopcy! — rozległ się ostrzegawczy okrzyk.

XVI

W stronę tłumu szedł komisarz policji, wysoki, tęgi człowiek z okrągłą twarzą. Czapkę miał włożoną na

bakier, jeden wąs zakręcony do góry, a drugi opuszczony w dół, na skutek czego cała jego twarz wydawała się krzywa. Szpecił ją tępy, martwy uśmiech. W lewej ręce trzymał szablę, prawą wymachiwał w powietrzu. Słychać było jego ciężkie i twarde kroki. Tłum rozstępował się przed nim. Coś posepnego i przygniatającego zjawilo się na twarzach, hałas milkł, zniżał się, jakby uciekał w ziemię. Matka czuła, że na jej czole drży skóra, a oczy pieką ją. Chciała znowu zejść w tłum, nachyliła się i zamarła w tej naprężonej pozycji.

— Co to ma znaczyć? — zapytał komisarz zatrzymując się naprzeciw Rybina i mierząc go oczyma. — Dlaczego ręce nie związane? Setnicy! Związać!

Głos miał wysoki, dźwięczny, ale bezbarwny.

— Były związane — naród rozwiązał! — odpowiedział jeden z setników.

— Co?! Naród? Jaki naród?

Komisarz spojrział na ludzi stojących przed nim półkolem. I tym samym monotonnym, bezbarwnym głosem, nie podnosząc go i nie zniżając, ciągnął dalej:

— Kto tu jest — naród?

Uderzył na odlew rękojeścią szabli w pierś niebiesko-okłego chłopca.

— Czy to ty, Czumakow, jesteś naród? No, kto jeszcze? Ty Miszyn?

I pociągnął kogoś prawą ręką za brodę.

— Rozchodzić się, swołocz! ... Albo ja was — ja wam pokażę!

W głosie jego ani na jego twarzy nie było rozdrażnienia ani groźby, mówił spokojnie, bił ludzi jakby z przyzwyczajenia, równomiernymi ruchami silnych, długich rąk. Ludzie cofali się przed nim spuszczać głowy i odwracając twarze.

— No, a wy co robicie? — zwrócił się do setników. —
Wiązać!

Zaklął ordynarnie, znowu popatrzył na Rybina i powiedział głośno:

— Ręce w tył — ty!

— Nie chcę, żeby mi wiązano ręce! — przemówił Rybin. — Uciekać nie mam zamiaru, nie opieram się — po cóż mnie wiązać?

— Czego? — zapytał komisarz podchodząc do niego.

— Dosyć namęczyliście naród, bestie! — podnosząc głos ciągnął dalej Rybin. — Wkrótce przyjdzie i na was czerwony dzień...

Komisarz stał przed nim i patrzył mu w twarz poruszając wąsami. Po czym odstąpił ze zdziwieniem o krok i piskliwym głosem zapiał:

— A-a-ch, psi synu! Ta-akie słowa?

I nagle szybko i mocno uderzył Rybina w twarz.

— Prawdy kułakiem nie zabijesz! — krzyknął Rybin idąc ku niemu. — A bić mnie nie masz prawa, psie parszywy!

— Nie mam prawa? Ja? — przeciągle zawył komisarz. I znowu zamierzył się ręką chcąc uderzyć w głowę. Ale Rybin przysiadł, uderzenie nie dotknęło go, a komisarz zachwiał się i ledwie utrzymał się na nogach. W tłumie ktoś parsknął śmiechem. Rozległ się znowu gniewny krzyk Michała:

— Nie śmiej, mówię, bić mnie, diable!

Komisarz obejrzał się. Ludzie w ponurym milczeniu stłaczali się w ciasny, ciemny pierścień...

— Nikita! — głośno zawołał komisarz oglądając się. — Ej! Nikita!

Z tłumy wysunął się krępy, niewysoki chłop w krótkim półkożuszk. Patrzył w ziemię spuściwszy dużą, kudłatą głowę.

— Nikita! — zakręcając węża powiedział nie śpiesząc się komisarz. — Daj mu w ucho, ale dobrze!

Chłop postąpił krok naprzód, zatrzymał się przed Rybinem, podniósł głowę. Rybin patrząc mu prosto w oczy, uderzał go w twarz ciężkimi słowami prawdy:

— Popatrzcie, ludzie, jak zwierz dusi was waszą własną ręką! Patrzcie i myślcie!

Chłop podniósł rękę i leniwie uderzył go po głowie.

— Czy tak się bije, psi synu?! — zawył komisarz.

— Ej, Nikito! — powiedział ktoś z tłumu półgłosem. — Miej sumienie! Pamiętaj o Bogu!

— Bij, mówię! — ryknął komisarz uderzając go w kark.

Chłop odsunął się i powiedział ponuro spuszczać głowę:

— Nie będę więcej...

— Co?

Twarz komisarza drgnęła, zatupał nogami i wymyślając rzucił się na Rybina. Tępo klasnęło uderzenie. Michał zachwiał się, zamierzył się ręką, ale komisarz przewrócił go drugim uderzeniem na ziemię i skacząc wokół niego kopał z rykiem w pierś, w boki, w głowę.

Tłum zahuczał wrogo, zakolysał się, ruszył na komisarza. Komisarz zauważył to, odskoczył, wyrwał szablę z pochwy.

— To wy tak? Buntować się? Tak? ... Więc to taka sprawa? ...

Głos jego drgnął, zapiszczał, załamał się, zachrypl. I razem z głosem utracił jakby swoją siłę. Wciągnął głowę w ramiona, zgarbił się i, tocząc na wszystkie strony pustymi oczyma, cofnął się ostrożnie macając grunt za sobą. Cofając się, krzyczał ochryple i ze strachem:

— Dobrze! Weźcie go sobie, a ja pójdę. Ale czy wy wiecie, swolocz przekłeta, że to polityczny przestępca, że

przeciw carowi występuje, bunty urzęda, wiecie? A wy bronicie go? Co? Buntownicy jesteście? Aha-a!...

Nie poruszając się i nie mrużąc oczu, matka stała jakby w ciężkim śnie, zmiądzona strachem i litością. W głowie jej jak trzmiiele brzęczały oburzone, ponure i złe okrzyki ludu, drżał głos komisarza, szemrały czyjeś szepty...

— Jeżeli zawinił — sądz!...

— Wybaczcie mu, wasza wielmożność...

— Cóż to wy tak bezprawnie?...

— Czy to tak można? Jeżeli każdy zacznie bić, co wtedy będzie?...

Ludzie rozbili się na dwie grupy. Jedna otoczywszy komisarza krzyczała i starała się go ułagodzić, druga, mniejsza liczebnie, stała przy pobitym i głucho i posepnie huczała. Kilku ludzi podniosło go z ziemi. Setnicy chcieli mu na nowo związać ręce.

— Poczekajcie, cholery! — krzyczano im.

Michał obcierał z twarzy i brody błoto i krew i milczał oglądając się. Spojrzenie jego ześliznęło się po twarzy matki. Wzdrygnęła się, wyprężyła się w jego kierunku, mimo woli machnęła ręką — odwrócił się. Ale po kilku minutach oczy jego znowu zatrzymały się na jej twarzy. Wydało się jej, że wyprostował się, podniósł głowę, jego okrwawione policzki zadrżały...

— Poznał! Czy naprawdę poznał?...

Kiwała mu głową drżąc na całym ciele, opanowana jednocześnie smutkiem, grozą i radością.

Ale w następnej chwili zobaczyła, że obok niego stoi niebieskooki chłop i także patrzy na nią. Jego spojrzenie obudziło w niej na minutę świadomość niebezpieczeństwa...

— Co ja wyrabiam? Przecie i mnie wezmą!

Chłop powiedział coś Rybinowi, ów potrząsnął głową i drżącym głosem, ale wyraźnie i rześko przemówił:

— To nic! Nie ja jeden na świecie — całej prawdy nie wyłowią! Tam gdzie byłem, zostanie pamięć o mnie — ot co! Chociaż zburzyli gniazdo, nie ma już tam przyjaciół-towarzyszy...

— To do mnie mów! — szybko zmiarkowała matka.

— Ale przyjdzie dzień, wylecą na swobodę orły — zbudzi się naród!

Jakaś kobieta przyniosła wiadro wody i zaczęła wzdychając i zawodząc, obmywać twarz Rybina. Jej cienki, żalony głos płątał się ze słowami Michała i przeszkadzał matce rozumieć je. Podszedł tłum chłopów z komisarzem na czele. Ktoś krzyczał głośno:

— Dajcie podwodę dla aresztowanego! Hej! Czyja kolej?

Potem rozległ się inny już, jakby obrażony głos komisarza:

— Ja mogę cię uderzyć, ale ty mnie nie, nie wolno ci, nie waż się — bałwanie!

— Tak? A ty kto jesteś — Bóg? — krzyknął Rybin.

Wybuch nieskoordynowanych, przytłumionych okrzyków zagłuszył jego głos:

— Nie spieraj się, wuju! To przecie — władza!

— Nie gniewajcie się, wasza wielmożność! Człowiek nieprzytomny...

— Młcz, dziwaku!

— Zaraz do miasta cię zawiozą...

— Tam będzie więcej wedle prawa...

Krzyki tłumu brzmiały pokojowo, prosząco i w tej bezładnej krzątaninie ludzi wszystko było beznadziejne i żalčne. Setnicy zaprowadzili Rybina pod ręce na ganek i zniknęli za drzwiami. Chłopi rozchodzili się powoli po placu. Matka widziała, że niebieskooki zbliża się ku niej i patrzy na nią spode łba. Nogi zadrżały jej pod kolanami — po-

sępne przeczucie zassało gdzieś aż pod sercem wywołując mdłości.

— Nie trzeba uciekać! — myślała. — Nie trzeba!
I trzymając się kurczowo poręczy, czekała.

Komisarz stojąc na ganku urzędu, mówił z wyrzutem machając rękami, swoim zwykłym już, bezbarwnym i bezdusznym głosem:

— Głupcy z was, psiekrwie! Nie rozumiecie się na niczym, a liziecie w taką sprawę — w państwową sprawę! Bydlaki! Dziękować mi powinniście, do nóg mi paść za moją dobroć! Zechcę — to wszyscy pójdziecie na katorgę...

Ze dwie dziesiątki chłopów stało słuchając go, ze zdjętymi czapkami. Ściemniało się, chmury opuszczały się niżej. Niebieskooki podszedł do ganku i powiedział westchnąwszy:

— Oto jakie rzeczy dzieją się u nas...

— Taak... — odezwała się cicho.

Popatrzył na nią otwartym spojrzeniem i zapytał:

— Czym się zajmujecie?

— Koronki skupuję u bab, płótna także...

Chłop powoli pogładził brodę, po czym spojrzawszy w kierunku urzędu, powiedział znudzonym i przytłumionym głosem:

— Tego u nas nie znajdziecie...

Matka patrzyła na niego z góry i czekała odpowiedniej chwili, żeby wrócić do pokoju. Chłop miał marzycielską, piękną twarz, o smutnych oczach. Barczysty i wysoki, odziany był w kaftan cały pokryty łatanami, czystą perkalową koszulę, rude spodnie z wiejskiego sukna i stare buty z obciętymi cholewami, włożone na bosą nogę...

Matka nie wiadomo dlaczego odetchnęła z ulgą. I nagle poddając się intuicji, która poprzedziła niejasną jeszcze myśl, zapytała niespodzianie dla samej siebie:

— A przenocować by u ciebie można?

Zapytała i wszystko naprężyło się w niej jak struna — muskuły, kości. Wyprostowała się i patrzyła na chłopca nieruchomymi oczyma. W głowie jej migaly z zawrotną szybkością kłujące myśli: Zgubię Mikołaja Iwanowicza. Pawełka nie zobaczę — długo! Zatłuką!

Patrząc w ziemię, chłop odpowiedział bez pośpiechu zapinając kaftan na piersiach:

— Przenocować? Można. Dlaczego by nie? Tylko że izbę mam lichą...

— Nie jestem rozpieszczona — odpowiedziała niemal bez udziału świadomości matka.

— Można! — powtórzył chłop mierząc ją badawczym spojrzeniem.

Ściemniło się już. Oczy jego błyszczały chłodno w mroku i twarz wydawała się biała. Matka poczuła się lekka i oswobodzona od ciężaru, jak gdyby schodziła z góry, i powiedziała cicho:

— A więc pójdę zaraz, a ty weźmiesz walizkę.

— Dobrze.

Poruszył ramionami, owinął się mocniej kaftanem i odezwał się cicho:

— Podwoda jedzie...

Na ganku urzędu ukazał się Rybin, ręce miał znowu związane, głowę okręconą czymś szarym.

— Żegnajcie, dobrzy ludzie! — zabrzmiał w chłodzie wieczornego zmroku jego głos. — Szukajcie prawdy, strzeżcie jej, wierzcie człowiekowi, który przyniesie wam czyste słowo, nie szczedźcie ofiar dla prawdy!...

— Milcz, psie! — huknął skądś głos komisarza. — Setniku, ruszaj, durniu!

— Czego macie żałować? Jakie jest wasze życie?

Podwoda ruszyła. Rybin siedział w niej między dwoma setnikami i wołał głucho:

— Za co giniecie z głodu? Starajcie się o wolność — z nią przyjdzie chleb i prawda! Żegnajcie, dobrzy ludzie! Pośpieszny turkot kół, tętent koni, głos komisarza, zmieszały się z jego słowami, splątały je, zdusiły.

— Skończone! — powiedział chłop potrząsnawszy głową i, zwracając się do matki, ciągnął dalej cicho:

— Posiedźcie na stacji — ja niedługo przyjdę...

Matka weszła do pokoju, siadła przy stole przed samowarem, wzięła do ręki kawałek chleba, popatrzyła nań i odłożyła powoli z powrotem na talerz. Nie chciało jej się jeść. Sciskało ją w dołku, uczucie mdłości wzmagało się. Obrzydliwe ciepło obezwładniało ją, wysysało krew z serca, powodowało zawrót głowy. Przed nią stała twarz niebieskookiego chłopca — dziwna, jakby niewykończona, nie budząca zaufania. Nie chciała z jakiegoś powodu pomyśleć wprost, że wyda ją, ale myśl ta obudziła się w niej i leżała ciężarem na sercu, tępa i nieruchoma.

— Zauważył! — zastanawiała się leniwie i bezsilnie. — Zauważył i — domyślił się...

Dałej myśl nie sięgała tonąc w męczącym, posępnym smutku, w lepkiem uczuciu mdłości.

Lękliwie przyczajona za oknem cisza zastąpiła wrzawę obnażając we wsi coś przyduszonego, zastraszonego, zacstrzając w piersiach uczucie samotności, napieniając duszę szarym i miękkim jak popiół, mrokiem.

Weszła dziewczynka i, zatrzymawszy się przy drzwiach, spytała:

— Przynieść jajecznicę?

— Nie, nie trzeba. Nie chce mi się jeść. Przestraszyli mnie tym krzykiem!

Dziewczynka podeszła do stołu i z podnieceniem, ale cicho, zaczęła opowiadać:

— Jak ten komisarz bił! Stałam blisko i widziałam — wszystkie zęby mu wybił — pluje, a krew gęsta... gęsta...

i ciemna!... A oczu wcale nie ma! To dziegiarz. Przodownik leży u nas pijaniuteńki, a wódki ciągle jeszcze żąda. Mówi, że była ich cała szajka, a ten brodaty to najstarszy między nimi — herszt niby. Trzech złapali, a jeden podobno uciekł. I nauczyciela jeszcze złapali — także z nimi. W Boga nie wierzą i innych namawiają, żeby cerkwie ograbić — oto jacy oni są! A nasi chłopci to niektórzy żalowali go, a inni mówili — dokończyć by go! U nas są tacy źli chłopci, że ach!

Matka przysłuchiwała się uważnie jej bezładnemu i rozpieszemu opowiadaniu starając się zdusić w sobie lęk, rozprószyć smutek ponurego wyczekiwania. A dziewczynka z radości, że ją słuchają, aż zachłystywała się słowami i paplała z coraz większym ożywieniem niżając głos:

— Tatuś mówi, że to wszystko z nieurodzaju! Drugi rok nie rodzi u nas ziemia — wymęczyło to ludzi! I teraz z tego tacy chłopci porobili się, że bieda z nimi! Krzyczą na zebraniach gminnych, biją się. Kilka dni temu licytowali Wasiukowa za niezapłacone podatki, a on jak trzaśnie soltyśa w pysk: masz tu podatek — powiada...

Za drzwiami rozległy się ciężkie kroki. Matka podniosła się opierając się rękami o stół. Wszedł niebieskooki chłopiec, nie zdejmując czapki, zapytał:

— Gdzie bagaż?

Podniósł lekko walizę, potrząsnął nią i powiedział:

— Pusta! Maryjka, odprowadź podróżną do mojej chaty.

I wyszedł nie oglądając się.

— Przenocujecie tu? — spytała dziewczynka.

— Tak! Ja po koronki. Koronki skupuję.

— U nas tego nie robią! To w Tińkowie robią i w Darinie, a u nas — nie — objaśniała dziewczynka.

— Pojadę tam jutro...

Zapłaciła dziewczynce za herbatę i dała jej trzy kopiejki, czym uradowała ją bardzo. Na ulicy człapiąc szybko bosymi nogami po wilgotnej ziemi, dziewczynka mówiła:

— Chcecie, to pobiegnę do Dariny i powiem babom, żeby tu przyniosły koronki? Przyjdą i nie będziecie potrzebowali tam jechać. Zawsze to dwanaście wiorst...

— Nie trzeba, kochanie! — odpowiedziała matka idąc obok niej. Chłodne powietrze orzeźwiło ją. Zwolna kształtowało się w niej niejasne jeszcze postanowienie. Mętne jeszcze zrazu, ale już coś zapowiadające, rosło powoli, z trudnością i, chcąc przyspieszyć jego skryształizowanie się, zadawała sobie uporczywe pytanie:

— Co by tu zrobić? A gdyby tak wprost do sumienia...

Było ciemno, wilgotno i chłodno. Okienka chat świeciły zamglonym, czerwonym, nieruchomym światłem. W sennie ciszy porykiwało bydło, rozlegały się krótkie okrzyki. Pośepna, pełna przygnębienia zaduma spowiła wieś...

— Tutaj! — powiedziała dziewczynka. — Zły sobie nocleg wybraliście — to bardzo biedny chłop...

Namacala drzwi, otworzyła je, krzyknęła wesoło:

— Ciotko Tatiano!

I uciekła. Z mroku doleciał jeszcze jej głos:

— Żegnajcie!...

XVII

Matka zatrzymała się w progu i podniósłszy dłoń do oczu rozejrzała się. Izba była ciasna, mała, ale czysta — to rzucało się od razu w oczy. Zza pieca wyjrzała młoda kobieta, ukloniła się w milczeniu i znikła. Na pokuciu paliła się na stole lampa.

Gospodarz siedział przy stole, stukał palcem po jego brzegu i uważnie patrzył matce w oczy.

— Chodźcie — powiedział po chwili. — Tatiana, idź zwołać Piotra, ale żywo!

Kobieta wyszła pośpiesznie nie spojrzawszy na gościa. Siedząc na ławce obok gospodarza, matka rozejrzała się — jej walizki nie było widać. Męcząca cisza napełniała izbę. Tylko ledwie dosłyszalnie syczał ogień w lampce. W jej niepewnym świetle twarz chłopą, zachmurzona i zafrasowana, zdawała się niedostrzegalnie kołysać w oczach matki budząc w niej posępne rozdrażnienie.

— A gdzie moja walizka? — zapytała raptem, niespodziewanie dla siebie samej, głośno.

Chłop wzruszył ramionami i odpowiedział w zamyśleniu:

— Nie zginie...

I znizywszy głos, ciągnął dalej pochmurnie:

— Ja wtedy naumyślnie powiedziałem przy dziewczynie, że pusta — nie, nie pusta! Dobrze wyładowana! Ciężka!

— No? — spytała matka. — Więc co?

Wstał, podszedł do niej, pochylił się nad nią i zapytał cicho:

— Człowieka tego znacie?

Matka wzdygnęła się, ale odpowiedziała twardo:

— Znam!

I to krótkie słowo jakby oświeciło ją wewnątrz i rozjaśniło jej wszystko od zewnątrz. Odetchnęła z ulgą, poprawiła się na ławie, usiadła pewniej...

Chłop uśmiechnął się szeroko.

— Zauważyłem, jak mu dawaliście znak i on wam także. Spytałem go po cichu — czy to wasza znajoma stoi tam na ganku?

— A on co? — szybko spytała matka.

— On? Dużo jest nas — powiedział. Tak! Dużo — powiada...

Spojrzał pytająco w twarz gościa i znowu ciągnął dalej:
— Wielkiej siły człowiek! Śmiały... Powiada otwarcie
— ja. Biją go, a on swoje...

Jego niepewny, słaby głos, niewykończona jakby twarz i jasne, szczere oczy, coraz bardziej uspokajały matkę. Trwoga i smutek z wolna ustępowały miejsca żrącej, boleśnej litości dla Rybina. Nie starając się już opanować, zawołała z nagłą złością, goryczą i przygnębieniem:

— Zbóje, zwierzęta!

I załkała.

Chłop odszedł od niej ponuro kiwając głową.

— Wyhodowała sobie władza przyjaciół — taak!

I nagle, znowu zwracając się do matki, powiedział cicho:

— A ja tak sobie myślę, że w walizce są gazety — prawda?

— Tak! — szczerze odpowiedziała matka ocierając łzy.

— Przywiozłam dla niego.

Chłop nachmurzył brwi, zebrał brodę w garść i, patrząc w bok, myślał chwilę.

— Dochodziła ona do nas. I książki także dochodziły. Znamy tego człowieka — widywaliśmy!

Urwał, pomyślał, a potem zapytał:

— A co teraz będziecie z tym robić, z tą walizką?

Matka popatrzyła na niego i powiedziała wyzywająco:

— Wam zostawię!

Nie zdziwił się i nie zaprotestował, powtórzył tylko krótko:

— Nam.

Skinął potakująco głową, puścił brodę z garści, rozczesał ją palcami i usiadł.

Z nieubłaganą, upartą natarczywością, stawała przed oczyma matki scena pastwienia się nad Rybinem. Obraz jego gasił w jej głowie wszystkie myśli, ból i uczucie znie-

ważonego człowieczeństwa przesłaniały wszystkie inne uczucia, nie mogła nawet myśleć o walizce ani o niczym innym. Z oczu jej płynęły bezustannie łzy, twarz była ponura, a głos jej nie drżał, gdy mówiła do gospodarza chaty:

— Grabią, dławią, wdeptują w błoto człowieka — przekłęci!

— Siła! — cicho odezwał się chłop. — Potęga za nimi wielka!

— A skąd ją biorą? — zawołała z gniewem matka. — Od nas ją biorą, od ludu, wszystko od nas zabrane!

Drażnił ją ten chłop swoją jasną, ale nieodgadnioną twarzą.

— Taak! — przeciągnął w zamyśleniu. — W koło...

Chwilę nasłuchiwał czujnie, pochylił głowę ku drzwiom i powiedział cichutko:

— Idą...

— Kto?

— Swoi... pewnie...

Do izby weszła jego żona, a za nią chłop. Rzucił w kąt czapkę, szybko podszedł do gospodarza i zapytał go:

— No, jak?

Gospodarz kiwnął potwierdzająco głową.

— Stefan! — powiedziała kobieta stojąc przy piecu. — Możeby podróżna coś zjadła?

— Nie chcę. Dziękuję, moja miła! — odpowiedziała matka.

Chłop podszedł do matki i szybkim, urywanym głosem przemówił:

— Pozwólcie przedstawić się — nazywam się Piotr Jegorow Riabinin, a przezwisko — Szydło. Na sprawie waszej znam się trochę. Piśmienny jestem i można powiedzieć niegłupi...

Pochwycił wyciągniętą do siebie rękę matki i potrząsając nią zwrócił się do gospodarza:

— Popatrz, Stefanie! Barbara Nikołajewna dobra pani, prawda? A mówi, że to wszystko głupstwa, mrzonki! Że niby smarkacze i studenci z głupoty narodowi w głowie mącą. A widzimy teraz my obaj — przedtem statecznego chłopca zaarrestowali, a teraz oto — starsza kobieta i, jak widać, nie pańskiego rodu. Nie obrażajcie się — z jakiego jesteście stanu?

Mówił wyraźnie, pośpiesznie, niemal bez tchu, bródka drżała mu nerwowo, a przymrużone oczy szybko obmączyły twarz i postać kobiety. Oberwany, potargany, z rozczochranymi włosami na głowie, sprawiał wrażenie, jak gdyby dopiero co pobił się z kimś, pokonał przeciwnika i był cały pochłonięty radosnym podnieceniem zwycięstwa. Matce spodobała się jego dziarskość, a także to, że przemówił od razu tak szczerze i otwarcie. Patrząc mu życzliwie w twarz, odpowiedziała na pytanie. Potrząsnął jeszcze raz jej ręką i zaśmiał się cichym, suchym, przerywanym śmiechem.

— Sprawa jest czysta, Stefanie, widzisz? Sprawa jest wspaniała! Mówiłem ci — to sam naród własnymi rękami zaczyna. A pani — prawdy nie powie, to dla niej szkodliwe. Szanuję ją. Co tu gadać! Człowiek z niej dobry i pragnie dla nas dobra, ale nie za wiele — tak, żeby to było bez uszczerbku dla niej! A naród pragnie iść naprzód i nie boi się ani strat, ani szkód — widziałeś? Całe życie jest dla niego szkoda, wszędzie straty, nie ma się gdzie obrócić, wokół nie ma nic, wszędzie, ze wszystkich stron krzyczą — stój!

— Widzę! — powiedział Stefan kiwając głową i zaraz dorzucił:

— Ona niepokoi się o bagaż.

Piotr chytrze mrugnął do matki i przemówił znowu machając uspokajająco ręką:

— Nie martwcie się! Wszystko będzie w porządku, mateczko! Walizka wasza jest u mnie. Jak tylko powiedział mi o was, że niby wy także bierzecie w tym udział, mówię mu — uważaj, Stefan! Nie można gęby rozdziawić i przegapić takiego ważnego zdarzenia! No, i wy, mateczko, pewnie poczuliście coś do nas, jakieś przy was stali? Uczciwych ludzi można po gębie poznać, bo niedużo ich, że tak powiem, po ulicach chodzi! Walizeczka wasza jest u mnie...

Siadł obok niej i, zaglądając jej prosząco w oczy, ciągnął dalej:

— Jeżeli chcecie ją wypatroszyć — pomożemy wam z przyjemnością! Książki są nam potrzebne...

— Ona chce nam wszystko oddać! — zauważył Stefan.

— Wspaniale, mateczko! Już my to wszystko umieścimy!

Zerwał się z ławki, zaśmiał się i, chodząc szybko w przód i w tył po izbie, mówił zadowolony:

— Wypadek, że tak powiem nadzwyczajny! Chociaż zupełnie prosty. W jednym miejscu zerwało się, w drugim nawiązało! Nieźle! A gazeta, mateczko, dobra i pracę spełnia — przeciera ludziom oczy! Dla panów — nieprzyjemna. Ja tu o siedem wiorst stąd u pani jednej pracuję przy stolarskiej robocie. Dobra kobieta, trzeba przyznać, książki daje różne. Przeczytasz i czasem aż cię olśni! W ogóle — wdzięczni jej jesteśmy. Ale pokazałem jej numerek tej gazety, to nawet — obraziła się trochę. Zostawcie to, mówi, Piotrze! To smarkacze bez rozsądku robią. I z tego tylko nieszczęście może być dla was, więzienie, Sybir, mówi, z tego...

Znowu zamilkł niespodzianie, pomyślał i zapytał:

— A powiedzcie, mateczko, ten człowiek to wasz krewny?

— Nie, obcy! — odpowiedziała matka.

Piotr zaśmiał się bezdźwięcznie, uradowany czymś, i pokiwał głową. Ale już w następnej chwili matce wydało się, że słowo „obcy“ jest nieodpowiednie w stosunku do Rybina i krzywdzi go.

— Nie jestem jego krewną — powiedziała — ale znam go dawno i szanuję jak rodzzonego brata... starszego!

Nie znajdowała odpowiedniego słowa i było jej to nieprzyjemne. Nie mogła znowu powstrzymać cichego łkania. Ponura, wyczekująca cisza napelniła izbę. Piotr stał z przechyloną na ramię głową, jakby przysłuchiwał się czemuś, Stefan oparłszy się łokciem o stół cały czas postukiwał w zamyśleniu palcem po stole. Żona jego oparła się o piec i matka czuła w mroku, że nie odrywa od niej spojrzenia i od czasu do czasu także spoglądała w jej twarz — owalną, smagłą, z prostym nosem i ostro zarysowanym podbródkiem. Jej zielonawe oczy świeciły uważnie i bystro.

— Więc przyjaciel! — cicho powiedział Piotr. — Z charakterem — taak!... Ocenił się wysoko — jak należy! Oto człowiek, Tatiano — co? Ty mówisz...

— Czy on żonaty? — zapytała Tatiana przerywając mu i cienkie wargi jej maleńkich ust zacisnęły się mocno.

— Wdowiec — odpowiedziała smutnie matka.

— Dlatego też odważył się! — powiedziała Tatiana niskim, piersiowym głosem. — Żonaty taką drogą nie pójdzie — obawiałby się...

— A ja? Żonaty jestem, a mimo to — zawołał Piotr.

— Zostaw, kumie! — nie patrząc na niego powiedziała skrzywiwszy usta kobieta. — Cóż ty takiego robisz? Tylko tyle, że gadasz i z rzadka książkę przeczytasz. Nie dużo ludzie będą mieli z tego pożytku, że ty ze Stefanem po kątach szepczesz.

— Mnie wielu słyszy! — zaprzeczył cicho z urazą chłop.
— Ja tu jestem czymś w rodzaju drożdży, nie masz racji...

Stefan spojrział w milczeniu na żonę i znowu spuścił głowę.

— I po co w ogóle chłopci się żenią? — zapytała Tatiana. — Robotnica potrzebna, mówią, a co to za robota?

— Mało ci jeszcze! — głucho powiedział Stefan.

— Co z tej roboty? Żyje się głodując z dnia na dzień, wciąż to samo. Urodzą się dzieci — nie ma czasu zająć się nimi, nie pozwala na to praca, która nie daje chleba.

Podeszła do matki, siadła obok niej i mówiła dalej z uporem, bez skargi i smutku:

— Miałam ich dwoje. Jeden, dwuletni, sparzył się wrzątkiem, drugiego nie donosiłam — martwy się urodził przez tę przekłątą pracę! Oto moje radości. Niepotrzebnie chłopci się żenią — powiadam — ręce sobie tylko wiążą. Żyliby swobodnie, staraliby się o ten inny porządek, szliby jawnie za prawdą jak ten człowiek! Czy nie słusznie mówię, mateczko?...

— Słusznie! — powiedziała matka. — Słusznie, moja miła — inaczej nie pokonasz życia...

— A wy macie męża?

— Umarł. Syna mam...

— A gdzie on, z wami mieszka?

— W więzieniu siedzi! — odpowiedziała matka.

I poczuła, że te słowa, zamiast, jak zwykle smutkiem, napełniły jej serce spokojną dumą.

— Drugi już raz go wsadzają — zawsze za to, że rozumie prawdę bożą i otwarcie ją sieje... Młody jest, piękny, rozumny. To on wymyślił tę gazetę i Michała Iwanowicza skierował na tę drogę, choć jest dwa razy młodszy od niego! Teraz będą sądzić mego syna i skazają. A on ucieknie z Sybiru i znowu będzie pracował...

Mówiła i uczucie dumy i wzruszenia rosło w jej piersiach, ścisnęło jej gardło. Tworzyła obraz bohatera i obraz ten domagał się nowych słów. Czuła nieodpartą potrzebę zrównoważenia czymś promiennym i rozumnym mrocznych przeżyć tego dnia, które przygniatały ją swą bezmyślną grozą i bezwstydnym okrucieństwem. I poddając się nieświadomie tej potrzebie zdrowej duszy, stąpiła wszystko, co widziała jasnego i czystego, w jeden płomień, oślepiający swym czystym blaskiem...

— Dużo już jest na świecie takich ludzi, a będzie ich coraz więcej i wszyscy oni aż do ostatniego tchu walczyć będą o wolność i prawdę dla ludzi...

Zapomniała o ostrożności i, chociaż nie wymieniała imion, opowiadała o wszystkim, co wiedziała, o tajnej pracy dla oswobodzenia ludu z łańcuchów chciwości. Kreśląc drogie sercu obrazy, wkładała w nie całą siłę swej ogromnej miłości, tak późno zbudzonej w jej sercu przez uderzające w nie ciosy życia. I sama z gorącą radością zachwycała się ludźmi, którzy stawali w jej pamięci oświetleni i upiększeni przez jej uczucie.

— Praca wre wspólna na całej ziemi, we wszystkich miastach. Siły dobrych ludzi rosną, nie można już ich ani wyliczyć, ani wymierzyć, a rosną one ciągle i będą rosnąć aż do dnia naszego zwycięstwa...

Głos jej płynął spokojnie, znajdowała łatwo potrzebne słowa i nawlekała je niby błyszczące, różnokolorowe paciorki na mocną nić swoich pragnień. Chciała oczyścić serce z krwi i brudu tego dnia. Widziała, że chłopcy przyrosli jak gdyby do miejsca, gdzie zastały ich jej słowa, że nie poruszają się patrząc jej poważnie w twarz. Słyszała przerywany oddech siedzącej obok niej kobiety i wszystko to wzmacniało jeszcze jej wiarę w to, co mówiła i obiecywała ludziom...

— Wszyscy, dla których życie jest trudne, kogo dźwi nędza i bezprawie, kogo pognębili bogacze i ich sługusy — wszyscy, cały naród powinien wyjść na spotkanie tych, którzy giną za niego w więzieniach i idą na śmiertelną kaźń. Oni jedni objaśnią lud nie szukając osobistej korzyści, gdzie leży droga prowadząca do szczęścia wszystkich ludzi. Oni powiedzą szczerze, że droga ta jest trudna i siłą nikogo nie powiodą za sobą. Ale jeśli raz staniesz ramię przy ramieniu z nimi, to już nie odejdiesz od nich nigdy, bo widzisz, że mówię prawdę i że to właśnie jest ta droga, a nie inna!

Cieszyła się, że ziszcza się jej dawne pragnienie, że oto ona sama mówi ludziom o prawdzie!

— Za takimi ludźmi może naród iść bez obawy. Oni nie poprzestaną na małym, nie zatrzymają się, póki nie zwyciężą fałszu, zła i chciwości, nie spoczną, póki cały naród nie stopi się w jedno serce i nie powie jednym głosem — ja jestem władcą i sam ustanowię równe dla wszystkich prawa!...

Umilkła zmęczona i rozejrzała się. Serce jej nappełniła spokojna pewność, że słowa jej nie przepadną na darmo. Chłopi patrzyli na nią, jakby oczekiwali jeszcze czegoś. Piotr złożył ręce na piersiach, zmrużył oczy, na jego upstrzonej piegami twarzy drżał uśmiech. Stefan oparłszy się łokciem o stół, pochylił się cały naprzód i wyciągnął szyję, jakby wciąż jeszcze słuchał. Na twarz jego padał cień, co uczyniło ją bardziej wykończoną. Żona jego, siedząca obok matki, zgarbiła się oparłszy łokcie na kolanach i patrzyła sobie pod nogi.

— Więc to tak! — szeptem powiedział Piotr i ostrożnie usiadł na ławce kiwając głową.

Stefan wyprostował się powoli, popatrzył na żonę i rozłożył w powietrzu ręce, jakby chcąc coś objąć..

— Jeżeli już brać się do tej sprawy — powiedział półgłosem w zamyśleniu — to już naprawdę trzeba całą duszą...

— Taak... W tył się nie oglądaj!... — wtrącił nieśmiało Piotr.

— Zakrojone to szeroko! — ciągnął dalej Stefan.

— Na całą ziemię! — dorzucił znowu Piotr.

XVIII

Matka oparła się plecami o ścianę i, odrzuciwszy w tył głowę, słuchała ich cichych, jak gdyby odważanych słów. Tatiana wstała, obejrzała się i znowu usiadła. Jej zielone oczy błysnęły suchym blaskiem, gdy popatrzyła z niezadowolaniem i lekceważąc na chłopów.

— Dużoście widać wycierpieli w życiu? — zapytała nagle zwracając się do matki.

— Dość! — odezwała się matka.

— Dobrze mówicie. Za serce chwytają wasze słowa. Myślisz — o Boże, żeby choć przez szparkę popatrzeć na takich ludzi i na takie życie! Jak żyjesz? Jak owca! Ja oto piśmienna jestem, książki czytam, myślę dużo i czasem w nocy myśli spać nie dają. I co z tego? Nie będę myśleć, szczerzę marnie, a będę — też szczerzę.

Mówiła z uśmiechem ironii w oczach i czasami urywała nagle rozmowę, jak gdyby przegryzała nitkę. Mężczyźni milczeli. Wiatr gładził szyby okien, szurał słomą po dachu, cichutko huczał w kominie. Wył pies. Niechętnie, z rzadka stukwały w okno kropie deszczu. Ogień w lampie drgnął, zamglił się, ale po sekundzie znowu zapłonął równo i jasno.

— Słuchałam waszych słów — oto dla czego ludzie żyją! I takie to dziwne — słucham ja was i widzę, że przecie

wiem to wszystko! A przed wami nigdy nie takiego nie sły-
szałam i myśli takich nie miałam...

— Trzeba by coś zjeść, Tatiano, i zgasić lampę — po-
wiedział pochmurnie i powoli Stefan. — Zauważą ludzie —
u Czumakowów długo się świeciło. Nam to wszystko jed-
no, ale gościowi może zaszkodzić...

Tatiana wstała i podeszła do pieca.

— Taak! — cicho i z uśmiechem przemówił Piotr. —
Teraz, kumie, nastaw słuchy! Jak pojawi się w narodzie
gazeta...

— Ja nie o sobie mówię. Jak zaaresztują mnie — dziu-
ry w niebie nie będzie!

Zona jego podeszła do stołu i powiedziała:

— Odejdź...

Wstał, odszedł na bok i patrząc jak nakrywa do stołu,
dodał z uśmiechem:

— Cena takich ludzi jak ja, niewielka — pięć groszy
za wiązkę, a i to, kiedy w wiązce setka...

Matce zrobiło się go nagłe żal — podobał się jej teraz
coraz więcej. Gdy skończyła mówić, poczuła, że wypoczęła
jak gdyby po trudzie i ciężarze dnia. Była zadowolona
z siebie i pełna życzliwości dla wszystkich.

— Złe mówicie, gospodarzu! — powiedziała. — Czło-
wiek nie powinien się zgadzać z tym, jak go oceniają lu-
dzie, którym potrzebna jest tylko jego krew. Powinniście
sami siebie oceniać od wewnątrz, nie dla wrogów, ale dla
przyjaciół...

— Czyż my mamy przyjaciół? — cicho zawołał chłop.
— Chyba do pierwszego kęsa...

— A ja wam powiadam — lud ma przyjaciół...

— Są, tak — ale nie tutaj — ot co! — w zamyśleniu
powiedział Stefan.

— A wy postarajcie się, żeby i tutaj byli.

Stefan zamyślił się i powiedział cicho:

— Taak... trzeba by...

— Siadajcie do stołu! — zaprosiła Tatiana.

Przy wieczerzy Piotr, przytłoczony słowami matki i jakby onieśmielony, rozgadał się znowu.

— Wam, mameczko — mówił szybko i z ożywieniem — trzeba by wyjechać stąd jak najwcześniej, żeby was, że tak powiem, nie spostrzeżono. I jedźcie do następnej stacji, a nie do miasta — pocztowymi końmi jedźcie...

— Po co? Ja odwiozę — powiedział Stefan.

— Nie trzeba! W razie czego spytają ciebie — nocowała? Nocowała. A gdzie się podziała? Odwiozłem! Aha... Ty odwiozłeś? Chodź do kryminału! Zrozumiałeś? A po co śpieszyć się do więzienia? Na wszystko przyjdzie czas. Mówią, że jak przyjdzie jego godzina, to i car umrze. A tak to powiesz po prostu — nocowała, najęła konie, wyjechała. Mało kto u kogo nocuje? Wieś przejezdna...

— Gdzieś ty się, Piotrze, bać uczył? — szyderczo zapytała Tatiana.

— Wszystko trzeba umieć, kumo! — uderzywszy się po kolanie zawołał Piotr. — Trzeba umieć bać się i trzeba umieć być odważnym! Pamiętasz, jak z powodu tej gazety naczelnik ziemski Waganowa bił? Teraz Waganowa za żadne pieniądze nie namówisz, żeby książkę wziął do ręki — tak! Wy, mameczko, wierzcie mi, ja jestem szelma kuta na cztery nogi — to wszyscy wiedzą. Książeczki i papierki posięję wam jak najlepiej i ile chcecie! Naród u nas oczywiście nie bardzo piśmienny i lękliwy, jednakże czasy tak ściskają boki, że człowiek mimo woli wytrzeszcza oczy i szuka — jaka przyczyna? A książka jemu po prostu odpowiada: a oto taka! Czytaj i rozważ sobie! Są nawet przykłady, że niepiśmienny więcej od piśmiennego rozumie, osobliwie jeżeli piśmienny — syty! Ja tu dużo chodzę, wiele widzę — niczego sobie naród. Życ można, ale trzeba mieć głowę na karku i dużo obrotności, żeby od razu nie

wdepnąć. Władze także poczuły pismo nosem. Powiało jakby chłodem od chłopca — uśmiecha się mało i nieżyczliwie i w ogóle chciałby się od ich widoku odzwycząić! W tych dniach przyjechali do Smolakowa — tu niedaleko jest taka wioska — podatki ściągać, a chłopci dęba stanęli i za drągi! Komisarz do nich otwarcie: „Ach, wy, psiekrwie. To wy przeciw caratowi?!“ A był tam chłop jeden, Spiwakin, i powiada: „A idźcie do cholery, takie syny, z waszym carem! Jaki tam car, jeżeli ostatnią koszulę ze mnie ściąga?“ Ot do czego doszło, mateczko! Oczywiście Spiwakina capnęli i do kozy, ale słowo zostało i nawet dzieciaki wiedzą o tym — jego nie ma, a słowo krzyczy i żyje!

Nie jadt i mówił bez przerwy, szybkim szeptem błyskając wesoło ciemnymi, szelmowskimi oczyma i hojnie rozsypując przed matką, niby miedziane monety z woreczka, niezliczone spostrzeżenia nad życiem wsi.

Stefan dwa razy przerywał mu:

— Zjadłbyś co...

Piotr chwytął za chleb i łyżkę, ale znowu dawał się porywać swemu opowiadaniu, upajał się nim jak szczygiel pieśnią. Po wieczery skoczył na nogi i oznajmił:

— No, pora do domu...

Stanął przed matką, skinął głową i, potrzęsając jej ręką, powiedział:

— Żegnajcie, mateczko! Może już nigdy się nie zobaczymy! Muszę powiedzieć, że bardzo to dobrze się stało — to spotkanie z wami i to, coście powiedzieli — bardzo dobrze! W walizce waszej oprócz drukowanego nic nie ma? Wełniana chusteczka? Doskonale! Pamiętaj, Stefan! Wełniana chusteczka! On wam zaraz przyniesie walizkę! Chodźmy, Stefanie! Żegnajcie! Wszystkiego dobrego!...

Wyszli. W izbie słyhać było, jak szeleszczą karaluchy, wiatr krząta się po dachu i stuka drzwiczkami od komina, drobny deszcz monotonna bije o szyby. Tatiana przysto-

wywała posłanie dla matki ściągnając z pieca i z zapiecka odzież i układając ją na ławce.

— Żywy człowiek! — zauważyła matka.

Gospodyni spojrzała na nią spóde łba i odpowiedziała:

— Dzwoni, dzwoni, ale — niedaleko go słyhać...

— A wasz mąż? — zapytała matka.

— Niczego sobie. Dobry chłop — nie pije. Żyjemy zgodnie, niezły z niego człowiek! Tylko — słabego charakteru...

Wyprostowała się, milczała chwilę, po czym zapytała:

— Bo przecież teraz czego trzeba — buntować się powinien naród? Oczywiście! Wszyscy o tym myślą, ale każdy z osobna, dla siebie. A trzeba, żeby głośno przemówili... I z początku musi się ktoś jeden odważyć...

Siadła na ławce i nagle zapytała:

— Powiadacie, że młode panienci zajmują się tym, chodzą do robotników, czytają, nie brzydzą się, nie boją?

I wysłuchawszy uważnie odpowiedzi matki, westchnęła głęboko, po czym opuściwszy powieki i pochyliwszy głowę, ciągnęła dalej:

— W jednej książce przeczytałam takie słowa — bezmyślne życie. Zrozumiałam to — od razu! Znam takie życie! Myśli niby są, ale nie powiązane ze sobą! Wałęsają się jak owce bez pastucha i nie ma czym ani nie ma komu ich zebrać... To jest właśnie — bezmyślne życie. Uciekłabym od niego i nie obejrzała się nawet — taka nuda, tęsknota i smutek, kiedy człowiek zaczyna coś rozumieć!

Matka widziała tę tęsknotę w suchym blasku zielonych oczu kobiety, w jej chudej twarzy, słyszała ją w jej głosie. Zapragnęła ją pocieszyć, przygarnąć.

— Ale wy, droga moja, rozumiecie, co należy robić... Tatiana przerwała jej cicho:

— Trzeba umieć. Gotowe, połóżcie się!

Odeszła do pieca i stanęła tam w milczeniu, prosta, surowa i skupiona. Matka położyła się nie rozbiegając się, poczuła bolesne zmęczenie w kościach i jęknęła cicho. Tatiana zgasła lampę i gdy ciemność napełniła izbę, rozległ się jej niski, równy głos. Brzmiał tak, jak gdyby coś ścierał z płaskiego oblicza dusznego mroku.

— Nie modlicie się. Ja także myślę, że nie ma Boga. I cudów także nie ma.

Matka niespokojnie odwróciła się na ławce — prosto na nią patrzył z okna bezdenny mrok i w ciszę wpełzał uparcie ledwie dosłyszalny szmer, szelest. Powiedziała prawie szeptem, lękliwie:

— Co do Boga, nie wiem, ale w Chrystusa wierzę... I słowom jego wierzę — kochaj bliźniego jak siebie samego — w to wierzę!...

Tatiana milczała. W ciemnościach matka widziała niewyraźne kontury jej prostej postaci, szarej na czarnym tle pieca. Stała nieruchomo. Matka zamknęła oczy. Było jej smutno i tęskno.

Nagle rozległ się chłodny głos:

— Śmierci moich dzieci nie mogę wybaczyć ani Bogu, ani ludziom — nigdy!...

Nilowna uniosła się na posłaniu zaniepokojona — poczuła sercem siłę bólu, który wywołał te słowa.

— Młodzi jesteście, będziecie jeszcze mieli dzieci — powiedziała łagodnie.

Kobieta odpowiedziała nie od razu, szeptem:

— Nie! Zepsuta jestem. Doktor mówi, że nigdy już nie urodzę...

Mysz przebiegła po podłodze. Coś sucho i głośno trzasnęło przerywając nieruchomość ciszy błyskawicą niewidzialnego dźwięku. I znowu słyhać było szmery i szelesty jesiennego deszczu w słomie dachu, jak gdyby szperały w niej czyjeś przestraszone, cienkie palce. Posępnie spa-

dały na ziemię krople wody znacząc powolne upływanie jesiennej nocy.

Przez ciężki półsen matka słyszała głucho kroki na ulicy, w sieni. Drzwi otworzyły się ostrożnie. Rozległo się ciche nawoływanie:

— Tatiana, położyłaś się?

— Nie.

— A ona śpi?

— Widać śpi.

Zapalił się ogień, zadrżał i utonął w ciemnościach. Chłop podszedł do posłania matki, poprawił na niej kożuch, otulił jej nogi. Ta czuła troskliwość wzruszyła matkę swoją prostotą; zamknęła znowu oczy i uśmiechnęła się. Stefan rozebrał się w milczeniu i włożył na zapiecek. Zapanowała cisza.

Czujnie wsłuchując się w leniwą ciszę nocy, matka leżała nieruchomo, a przed nią w mroku poruszała się żalana krwią twarz Rybina...

Na zapiecku odezwał się suchy szept:

— Widzisz, jacy ludzie biorą się do tego? Starsi ludzie, ludzie, którzy dość już wycierpieli i napracowali się i którym czas by już spocząć, a oni — oto jak! A ty przecie jesteś młody, rozumny, ech Stefan!...

Wilgotny i niski głos chłopca odpowiedział:

— Do takiej sprawy nie można się brać nie namyśliwszy się...

— Już to słyszałam...

Szepty urwały się i odezwały się znowu — zabrzmiał niski głos Stefana:

— Trzeba zrobić tak — z początku pomówić z każdym oddzielnie. Taki na przykład Alosza Makow — rozzębiony, piśmienny, a z władzami w niezgodzie. Albo Sergiej Szorin — także rozumny chłop. Kniaziew — człowiek uczciwy, śmiały. Tymczasem wystarczy! Trzeba przyjrzeć się

tym ludziom, o których ona mówiła. Wezmę topór i pójdę do miasta, niby na zarobek. Tu trzeba ostrożnie. Ona prawdę mówi — trzeba oceniać człowieka wedle sprawy, której służy. Ot na przykład ten chłop. Jego choćbyś przed Bogiem postawił nie podda się — mocno stoi! A Nikita, co? Odezwało się w nim sumienie — cudeńka!

— Przy was biją człowieka, a wyście gęby rozdziewili...

— Ty — poczekaj! Powiedz — dzięki Bogu, żeśmy sami tego człowieka nie bili! Ot co!

Szeptał długo, to zniżając głos tak, że matka ledwie słyszała jego słowa, to nagle hucząc nisko i donośnie. Wówczas kobieta powstrzymywała go:

— Ciszej! Zbudzisz...

Matka zasnęła ciężkim snem, który zwałił się na nią niespodzianie niby duszna chmura, objął ją i uprowadził.

Tatiana zbudziła ją, gdy w okna chaty patrzył jeszcze ślepymi oczyma szary mrok poranny i ponad wsią w chłodnej ciszy płynął sennie i tajał miedziany dźwięk dzwonu cerkiewnego.

— Nastawiłam samowar, wypijcie herbaty, bo zimno wam będzie tak prosto ze snu jechać...

Stefan rozczesując palcami splątana brodę, wypytywał rzeczowo matkę, jak ją odnaleźć w mieście, a jej wydawało się, że dzisiaj twarz chłopca nabrała wyrazu, stała się jak gdyby bardziej wykończona. Przy herbacie zauważył z uśmiechem:

— Jak się to wszystko dziwnie ułożyło!

— Co? — spytała Tatiana.

— A ta znajomość! Tak jakoś po prostu...

Matka z zadumą, ale stanowczością powiedziała:

— Przy tej pracy jest już taka zadziwiająca prostota we wszystkim.

Gospodarze rozstali się z nią powściągliwie, skąpi w słowach, ale hojni w okazywaniu mnóstwa drobnych dowodów troskliwości o jej wygodę.

Siedząc w bryczce matka myślała, że chłop ten znacznie pracować ostrożnie i cicho jak kret, ale nieustannie. I zawsze będzie dźwięczał obok niego niezadowolony głos żony i błyskał palący płomień jej zielonych oczu i nigdy, póki życia, nie umrze w niej mściwa, wilcza tęsknota matki za straconymi dziećmi.

Przypomniawszy jej się Rybin, jego krew, twarz, płonące oczy, słowa — serce ścisnęło się w gorzkim poczuciu bezsilności wobec rozbestwienia. I przez całą drogę do miasta, na tle mglistego, szarego dnia, stała przed nią mocna postać czarnobrodego Michała, w porwanej koszuli, ze związanymi na plecach rękami, z rozwichrzoną głową. Postać pełna gniewu i wiary w swoją prawdę. Myślała o niezliczonych wsiach lekliwie przytulonych do ziemi, o ludziach czekających tajemnie nadejścia prawdy i o tysiącach ludzi, którzy milcząco i bezmyślnie pracują całe życie nie oczekując niczego.

Życie wydawało się jej nieprzeoranym, falistym polem, które w niemym naprężeniu oczekuje robotników i milcząco obiecuje wolnym i uczciwym rękami:

— Zapłodnijcie mnie ziarnem rozumu i prawdy, a dam wam stokrotny plon!

Przypomniała sobie o swoim powodzeniu, czuła głęboko w piersi ciche drżenie radości i tłumiała je wstydliwie.

XIX

W domu otworzył jej drzwi Mikołaj, potargany, z książką w ręku.

— Już? — zawołał radośnie. — Tak prędko!

Oczy jego życzliwie i żywo migają zza okularów. Pomógł się jej rozebrać i, przyjaźnie zaglądając jej w twarz, mówił:

— A u mnie w nocy była rewizja. Myślałem — co za przyczyna, czy nie przydarzyło się wam co złego? Ale — nie aresztowali. A przecie jeśliby was aresztowano, to i mnie by nie zostawiono!

Wprowadził ją do stołowego i ciągnął dalej z ożywieniem:

— Jednakże wyrzucą mnie teraz z posady. Nie martwi mnie to. Uprzykrzyło mi się liczenie chłopów bez sprzężaju.

Pokój wyglądał tak, jak gdyby ktoś silny wpadłszy w szal rozwydrzenia, walił z ulicy w ściany, dopóki nie rozwalilił wszystkiego w jego wnętrzu. Portrety poniewierały się po podłodze, obicia były zdarte i wisiały strzępami, w jednym miejscu była uchylona deska podłogi, parapet okna zerwany i przewrócony, na podłodze przed piecem rozsypany popiół. Matka pokiwała głową na widok znanego już jej obrazu i uważnie popatrzyła na Mikołaja czując w nim coś nowego.

Na stole stał zagasty samowar, niepomyte naczynia, kiełbasa i ser na papierku zamiast talerza, walały się kawałki i okruszyny chleba, książki, węgiel do samowaru. Matka uśmiechnęła się, Mikołaj uśmiechnął się także z zawstydzeniem.

— Dopełniłem jeszcze obrazu zniszczenia... Ale to nic, Niłowna, to nic! Myślę, że przyjdą znowu, i dlatego nie sprzątałem. No, jak się wam podróżowało?

To pytanie uderzyło ją mocno w samo serce — przed oczyma jej stanął Rybin i poczuła się winna, że nie od razu zaczęła mówić o nim. Zgarbiwszy się na krześle, przysunęła się do Mikołaja i, starając się zachować spokój, w obawie, żeby nie zapomnieć o czymś, zaczęła opowiadać:

— Schwytali go...

Twarz Mikołaja drgnęła:

— Tak?

Matka powstrzymała jego pytanie ruchem ręki i mówiła dalej tak, jakby siedziała przed obliczem sprawiedliwości i zanosila do niej skargę na pastwiących się nad człowiekiem. Mikołaj oparł się o poręcz krzesła, pobladał, zagryził wargi, słuchał. Zdjął powoli okulary, położył je na stole, powiódł dłonią po twarzy jak gdyby ścierał z niej niewidoczną pajęczynę. Twarz jego zaostrzyła się, szczęki wysunęły się dziwnie, nozdrza drgały — matka pierwszy raz widziała go takim i bała się go trochę.

Gdy skończyła, wstał, chodził z minutę w milczeniu po pokoju wsadziwszy zaciśnięte pięści w kieszenie. Potem mruknął przez zęby:

— Widać, że to wielkiej miary człowiek. Będzie mu ciężko w więzieniu. Tacy jak on źle się tam czują!

Chował coraz głębiej ręce opanowując swoje wzburzenie, ale mimo to matka wyczuwała je i jego wzburzenie udzielało się jej również. Oczy jego stały się wąskie jak ostrza noży. Chodził znowu po pokoju i mówił zimno i gniewnie:

— Popatrzcie co za potworność! Grupka głupców w obronie swojej zgubnej władzy nad ludem, bije, dusi, dławia wszystkich. Rośnie zdziczenie, okrucieństwo staje się prawem życia — pomyślcie! Jedni biją i zwierzęcej, ponieważ uchodzi im to bezkarnie i budzi się w nich chorobliwe, lubieżne pożądanie torturowania — ohydna choroba niewolników, którym pozwolono na swobodne wyładowywanie swoich niewolniczych instynktów i bydlęcych nawyków. Drudzy zatrują się myślą o zemście, trzeci, skatowani, otepiali, stają się niemi i ślepi. Deprawują naród! Cały naród!

Zatrzymał się i zamilkł zacisnąwszy zęby.

— I mimo woli sam stajesz się zwierzęciem w tym zwierzęcym życiu! — powiedział cicho.

Opanował jednak swoje wzburzenie i niemal spokojnie, z twardym błyskiem w oczach spojrzął w zalaną łzami twarz matki.

— Jednakże — nie wolno nam tracić czasu, Niłowna! Spróbujemy się wziąć w garść, droga towarzyszek...

Podszedł do niej ze smutnym uśmiechem, pochylił się nad nią i zapytał uściskawszy jej rękę:

— Gdzie wasza waliza?

— W kuchni — odpowiedziała.

— Przed naszą bramą stoją szpicle. Takiej masy bibuły nie potrafimy wynieść niespostrzeżenie, schować nie ma gdzie, a przypuszczam, że przyjdą znowu tej nocy. Więc chociaż żal mi zmarnowanej pracy, musimy to spalić.

— Co? — zapytała matka.

— Wszystko, co jest w walizie.

Zrozumiała go i, mimo smutku, uczucie dumy ze swego powodzenia wywołało uśmiech na jej twarzy.

— Nie ma tam nic, ani jednego papierka! — powiedziała i, ożywiając się stopniowo, zaczęła opowiadać o swoim spotkaniu z Czumakowem.

Mikołaj słuchał jej z początku z niepokojem, ze ściągniętymi brwiami, potem ze zdumieniem, a wreszcie zawołał przerywając jej:

— Słuchajcie! Przecież to wspaniałe! Macie nadzwyczajne szczęście...

Uściskał jej rękę i dodał cicho:

— Wasza wiara w ludzi jest taka wzruszająca... Na prawdę kocham was jak rodzoną matkę!

Patrzyła na niego z uśmiechem, zaciekawiona. Pragnęła zrozumieć, dlaczego stał się nagle taki ożywiony i promieniejący.

— W ogóle — to nadzwyczajne! — mówił zacierając rękę i śmiejąc się cichym, dobrodusznym śmiechem. — Mnie, wiecie, ostatnio bardzo przyjemnie się żyło — cały czas z robotnikami, czytałem, mówiłem, patrzyłem. Nabierało mi się w duszy czegoś takiego dziwnie zdrowego i czystego. Jacy to dobrzy ludzie, Niłowna! Mówię o młodych robotnikach — silni, wrażliwi, pełni pragnienia, by zrozumieć wszystko. Patrzysz na nich i widzisz, że Rosja będzie najdoskonalszą demokracją świata!

Podniósł rękę, jak gdyby składał przysięgę, zamilkł na chwilę i znowu mówił dalej:

— Siedziałem tu, pisałem — skisłem jakby i zapleśniałem w książkach i cyfrach. Prawie rok takiego życia — to potworność. Przywykłem przecież przebywać wśród robotników i gdy odrywam się od nich, robi mi się nieswojo — muszę, wiecie, naginać się i zmuszać do takiego życia. A teraz mogę znowu żyć swobodnie, widywać się z nimi, uczyć ich. Rozumiecie — będę u kołyski nowonarodzonych myśli, w obliczu młodej, twórczej energii. To zadziwiająco proste, piękne i bardzo podniecające. Stajesz się sam młody, twardy, żyjesz bogatym życiem!

Zaśmiał się wesoło z lekkim zawstydzeniem i jego radość chwytła matkę za serce, była dla niej zrozumiała.

— A przy tym — strasznie z was dobry człowiek! — zawołał Mikołaj. — I jak wy wyraźnie malujecie ludzi, jak dobrze ich widzicie!...

Mikołaj usiadł obok niej zmieszany, odwrócił radosną twarz przyglądając włosy. Ale prędko zwrócił się znowu do niej i, patrząc na matkę, słuchał chciwie jej płynnego, prostego i barwnego opowiadania.

— Nadzwyczajne powodzenie! — zawołał. — Mogliśmy wszyscy znaleźć się w więzieniu i — nagle! Tak, wiadać, że chłop zaczyna się ruszać — to naturalne zresztą! Ta kobieta — tak wyraźnie ją widzę!... Powinniśmy prze-

znaczyć dla spraw wsi specjalnych ludzi. Ludzi! Tego właśnie nam brak... Życie wymaga setek rąk...

— Gdyby Pawelek wyszedł na wolność... I — Andrzej!
— powiedziała cichutko.

Spojrzał na nią i spuścił głowę.

— Widzicie, Niłowna, będzie wam ciężko to usłyszeć, ale mimo to, powiem wam: znam dobrze Pawła — nie ze chce uciec z więzienia. Potrzebny mu jest sąd, żeby mógł stanąć przed nim, wyprostować się na całą wysokość — nie wyrzeknie się tego. I nie trzeba, żeby się wyrzekał! Ucieknie z Sybiru.

Matka westchnęła i odpowiedziała cicho:

— No cóż? On wie, jak jest lepiej...

— Hm! — powiedział Mikołaj po minucie patrząc na nią przez okulary. — Gdyby ten chłopak pośpieszył się z odwiezieniem nas! Widzicie, o Rybinie trzeba by napisać odezwę dla wsi, jemu to nie zaszkodzi, jeżeli zachowuje się tak odważnie i otwarcie. Napiszę dzisiaj, a Ludmiła wydrukuje ją prędko... Ale jak odezwa dostanie się do nich?

— Ja zawiozę...

— Nie, dziękuję! — szybko zawołał Mikołaj. — Myślę, czy Wiesowszczykowie nie nadaje się do tego, co?

— Pomówić z nim?

— Spróbujcie! I pouczcie go.

— A co ja będę robiła?

— Nie martwcie się!

Zasiadł do pisania. Matka sprzątała ze stołu spoglądając na niego. Pióro drżało w jego ręku pokrywając papier rzędem czarnych słów. Czasem skóra na jego szyi drgała, odrzucał w tył głowę, zamykał oczy, podbródek jego drżał. Wzruszało ją to.

— Otóż gotowe! — powiedział wstając. — Schowajcie ten papierek gdzieś przy sobie. Ale wiedźcie, że jeśli przyjdą żandarmi, to i was obszukają.

— Pies z nimi! — odpowiedziała spokojnie.

Wieczorem przyjechał doktor Iwan Daniłowicz.

— Dlaczego to władze tak się nagle zaniepokoiły? — mówił biegnąc po pokoju. — Siedem rewizji było tej nocy. A gdzie chory, co?

— Poszedł jeszcze wczoraj! — odpowiedział Mikołaj.

— Dzisiaj, uważasz, jest sobota — czytanie — nie może przepuścić...

— No, to głupie z rozłupaną głową na czytanie biegać...

— Tłumaczyłem mu to samo, ale bez skutku.

— Pochwalić się chce przed towarzyszami — zauważyła matka. — Popatrzcie, niby, krew już przelewałem...

Doktor spojrział na nią, zrobił wściekłą minę i powiedział zacisnąwszy zęby:

— O, jaka żadna krwi...

— No, Iwanie, nie masz tu nic do roboty, a my czekamy na gości — zabieraj się! Niłowna, dajcie mu papierek!

— Jeszcze papierek? — zawołał doktor.

— Tak! Weź i oddaj do drukarni.

— Wziąłem. Oddam. Czy to wszystko?

— Wszystko. Przed bramą — szpicel.

— Widziałem. Przed moją także. No, do widzenia! Do widzenia, okrutna kobieto! A wściekłe przyjaciele, bójka na cmentarzu wyszła nam jednak na dobre. Całe miasto o niej mówi. Twoja odezwa z tej okazji — bardzo dobra i na czasie. Zawsze mówiłem, że dobra kłótnia lepsza od złego pokoju.

— Dobrze, ale idź już...

— Niezbyt grzecznie! No, rączkę na pożegnanie, Niłowna! A chłopczyk źle postąpił. Wiesz, gdzie mieszka?

Mikołaj dał mu adres.

— Jutro muszę do niego pojechać — wspaniały dzieciak, co?

— Nadzwyczajny...

— Trzeba go strzec — ma dobrą głowę! — mówił doktor wychodząc. — Właśnie z takich dzieci powinna wyrosnąć prawdziwa proletariacka inteligencja, która nas zastąpi, gdy przyjdzie nam odejść tam, gdzie prawdopodobnie nie ma już przeciwieństw klasowych...

— Zrobiłeś się gadatliwy, Iwanie...

— Wesoło mi jest, to dlatego. A więc — oczekujesz więzienia? Życzę ci, żebyś tam wypoczął.

— Dziękuję. Nie zmęczyłem się.

Matka słuchała tej rozmowy. Ich troska o młodego robotnika sprawiała jej przyjemność.

Odprowadziwszy doktora, Mikołaj i matka pili herbatę i jedli oczekując nocnych gości i rozmawiając cicho. Mikołaj opowiadał jej długo o swych towarzyszach przebywających na wygnaniu i o tych, którzy uciekli stamtąd i pracują dalej pod przybranym nazwiskiem. Nagie ściany pokoju odbijały cichy dźwięk jego głosu, jak gdyby dziwiąc się i nie dowierzając tym historiom o cichych bohaterach, poświęcających bezinteresownie swe siły wielkiej sprawie odnowienia świata. Ciepły zmierzch łagodnie otaczał kobietę. Serce jej rozgrzewało uczucie miłości do nieznanych ludzi. W jej wyobraźni stapiali się wszyscy w jednego olbrzymiego człowieka, pełnego niewyczerpanej siły i męstwa. Olbrzym ten powoli, ale niestrudzenie kroczy po ziemi, oczyszcza ją miłującymi swą pracę rękami z odwiecznej pleśni kłamstwa ukazując oczom ludzkim prostą i jasną prawdę życia. I wielka prawda zmartwychwstaje, przywołuje do siebie wszystkich bez różnicy ludzi, wszystkim obiecuje to samo — oswobodzenie od chciwości, zła i kłamstwa, trzech potworów, które ujarzmiły cały świat i pognębiły go swą cyniczną przemocą... Obraz ten wywoływał w jej duszy uczucie podobne do tego, z jakim dawniej

stawiała czasem przed ikoną chcąc zakończyć dzień, który wydał się jej lżejszy i lepszy od innych, radosną i wdzięczną modlitwą. Teraz zapomniała już o tych dniach, a uczucie, które budziły, rozszerzyło się, stało się jaśniejsze i radośniejsze, głębiej wrosło w serce, rozpalało się mocniejszym płomieniem.

— A żandarmów wciąż nie ma! — zawołał Mikołaj przerywając opowiadanie.

Matka spojrzała na niego i odezwała się z gniewem:

— A niech ich diabli wezmą!

— Rozumie się. Ale — czas już spać, Niłowna! Musicie być strasznie zmęczeni. Dużo macie sił — to wam trzeba przyznać! Tyle wzruszeń, niepokojów, a wy tak łatwo to wszystko znosicie! Tylko włosy wam szybko siwieją. No, idźcie, odpocznijcie.

XX

Zbudziło matkę głośnie pukanie do kuchennych drzwi. Ktoś stukał bez przerwy z cierpliwym uporem. Było jeszcze ciemno i cicho i w tej ciszy uparte, jednostajne bębnienie budziło lęk. Ubrawszy się napędce, matka wyszła do kuchni, stanęła przed drzwiami i zapytała:

— Kto tam?

— Ja — odpowiedział nieznajomy głos.

— Kto?

— Otwórzcie! — odezwał się proszący głos zza drzwi.

Matka podniosła haczyk, pchnęła drzwi nogą — wszedł Ignacy i powiedział radośnie:

— No, nie omyliłem się!

Był po pas obryzgany błotem, twarz jego poszarzała, oczy zapadły i tylko bujne, kędzierzawe włosy sterczały na wszystkie strony wystając spod czapki.

— U nas — źle! — powiedział szeptem zamykając drzwi.

— Wiem.

Chłopak zdziwił się.

— Skąd? — zapytał mrugnawszy oczyma.

Opowiedziała mu pokrótce i pośpiesznie wszystko.

— A tamtych dwóch towarzyszy wzięli?

— Nie było ich. Poszli do poboru. Pięciu nas wzięli wliczając wuja Michała...

Pociągnął powietrze nosem i powiedział uśmiechając się:

— A ja — zostałem. Pewnie szukają mnie!

— Jak ocalałeś? — zapytała matka.

Drzwi do pokoju uchyliły się cicho.

— Ja? — powiedział Ignacy siedząc na ławce i rozglądając się. — Na minutę przed nimi leśniczy przybiegł — puka w okno — trzymajcie się, chłopcy, lizą na was...

Zaśmiał się cicho, wytarł twarz połą kaftana i ciągnął dalej:

— No, wuja Michała młotkiem nawet nie ogłuszysz. Powiada zaraz do mnie: Ignacy — do miasta, a żywo! Pamiętasz starszą kobietę? A sam karteczkę już pisze: Masz, idź! Ja w krzaki, pełzam, słyszę — lizą! Dużo ich, ze wszystkich stron hałasują diabły. Jakby pętlę naokoło naszej dziegciarni zacisnęła... Położyłem się w krzakach — przeszli mimo! Wtedy wstałem i dalej w drogę! Szedłem, szedłem... Dwie noce i cały dzień — bez odpoczynku!

Widać było, że jest zadowolony z siebie. W jego piwnych oczach świecił się uśmiech, a duże, czerwone usta drżały.

— Zaraz dam ci herbaty! — pośpiesznie zawołała matka chwytając za samowar.

— Oddam wam kartkę!

Podniósł z trudem nogę i, krzywiąc się i stękając, postawił ją na ławce.

W drzwiach ukazał się Mikołaj.

— Witajcie, towarzyszu! — powiedział mrużąc oczy. — Pozwólcie, że wam pomogę.

I nachyliwszy się, zaczął prędko odwijać brudną onucę.

— No! — cicho zawołał chłopak wyrwijąc nogę i, mrugając ze zdumienia oczyma, patrzył na matkę.

Nie zauważywszy jego spojrzenia, powiedziała:

— Trzeba by mu nogi natrzeć wódką...

— Oczywiście! — odparł Mikołaj.

Ignacy zmieszany parsknął śmiechem.

Mikołaj znalazł list, rozprostował go, zbliżył szary, pomięty paperek do twarzy i przeczytał:

„Nie zostawiaj matko sprawy bez nadzoru powiedz wysokiej pani żeby nie zapomniała żeby pisali więcej o naszych sprawach proszę. Żegnaj. Rybin“.

Mikołaj powoli opuścił rękę z listem i powiedział półgłosem:

— To wspaniałe!...

Ignacy patrzył na nich poruszając wolno brudnymi palcami rozzutej nogi. Matka ukrywając twarz mokrą od łez, podeszła do niego z miednicą wody, usiadła na podłodze i wyciągnęła rękę do jego nogi. Wsunął ją szybko pod ławkę i zawołał z przestradchem:

— Czego?!

— Dawaj prędzej nogę...

— Zaraz przyniosę spirytusu — powiedział Mikołaj.

Chłopak wsunął jeszcze głębiej nogę pod ławkę i bełkotał:

— Co wy? W szpitalu, czy co?

Zaczęła rozzuwać mu drugą nogę.

Ignacy pociągnął głośno nosem i, poruszając niezdarnie

szują, patrzył na nią z góry, śmiesznie rozdziawiwszy usta.

— Wiesz — powiedziała drżącym głosem — bili Michała Iwanowicza.

— No? — cicho i z przestachem wykrzyknął chłopak.

— Tak. Przyprawdzili go skatowanego, a w Nikolskim przodownik go znowu bił i komisarz. I w twarz, i kopali go... Cały był we krwi!

— To oni umieją! — odezwał się chłopak chmurząc brwi. Plecy jego drgnęły. — Boję się ich jak diablów. A chłopci nie bili?

— Jeden uderzył. Komisarz mu kazał. A inni — nic. Ujęli się nawet — nie wolno, powiadają, bić...

— Taak, chłopci zaczynają rozumieć, gdzie kto stoi i za czym.

— Są tam i rozumni...

— Gdzie ich nie ma? Bieda! Wszędzie są, ale znaleźć ich trudno.

Mikołaj przyniósł butelkę spirytusu, podłożył węgla do samowaru i wyszedł w milczeniu. Odprowadziwszy go ciekawym spojrzeniem, Ignacy zapytał cichutko matkę:

— Pan jest lekarzem?

— U nas nie ma panów, tylko — towarzysze...

— Dziwno mi! — powiedział Ignacy uśmiechając się z zakłopotaniem i niedowierzająco.

— Co tu dziwnego?

— A bo — tak. Na jednym końcu po mordzie biją, na drugim nogi myją, a w środku — co?

Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i Mikołaj stając w progu powiedział:

— A w środku ci, którzy liżą łapy tym, co po mordzie biją i ssą krew z tych, których po mordzie biją — oto co w środku!

Ignacy spojrział na niego z szacunkiem i powiedział po chwili milczenia:

— Zdaje się, że tak właśnie jest!

Wstał, przestąpił z nogi na nogę i, twardo uderzając nimi o podłogę, zauważył:

— Jak nowe się zrobiły! Dziękuję wam...

Usiedli w stołowym pokoju i pili herbatę, a Ignacy opowiadał statecznie:

— To ja roznosiłem gazetę — chodzę dobrze.

— Dużo ludzi czyta? — zapytał Mikołaj.

— Wszyscy, którzy są piśmienni, nawet bogacze czytają. Oni oczywiście nie od nas ją biorą... Rozumieją przecie, że chłopci swoją krwią podmyją ziemię spod panów i bogaczy, więc sami ją dzielić będą i już tak roz dzielą, żeby nie było więcej właścicieli i robotników. Bo i jakże! Za co by łba nadstawiali, jeśli nie za to!

Ignacy obraził się nawet jak gdyby i popatrzył nieufnie i pytająco na Mikołaja. Mikołaj uśmiechał się w milczeniu.

— Bo jeżeli dzisiaj pobiliśmy się i wszyscy razem zwyciężyliśmy, a nazajutrz jeden ma być znowu bogaty, a drugi biedny, to — pokornie dziękuję! My dobrze rozumiemy — bogactwo jest jak lotny piasek, nie leży nigdy spokojnie, ale leci na wszystkie strony! Nie, tego nam nie potrzeba!

— A ty nie gniewaj się tak! — zażartowała matka.

Mikołaj w zamyśleniu zawołał:

— Jakby tu jak najprędzej skierować tam odezwę o aresztowaniu Rybina?

Ignacy nadstawił uszu.

— A odezwę macie? — zapytał.

— Tak.

— Dajcie — ja odniosę! — zaproponował chłopak zacierając ręce.

Matka nie patrząc na niego zaśmiała się cicho.

— Ale przecie zmęczyłeś się i powiadasz, że się boisz? Ignacy przyglądał szeroką dłonią kędzierzawe włosy i odpowiedział rzeczowo i spokojnie:

— Strach — strachem, a sprawa — sprawą! Czego się ze mnie śmiejecie? I wy także!

— Ach ty, dziecko moje drogie! — mimo woli wykrzyknęła matka poddając się wywołanej przez chłopca radości. Uśmiechnął się zawstydzony.

— No, także coś — dziecko!

Mikołaj przyglądając się chłopcu przymrużonymi oczyma przemówił dobrodusznie:

— Nie pójdziecie tam ...

— A co? Gdzież ja? — zapytał niespokojnie Ignacy.

— Zamiast was pójdzie kto inny, a wy opowiecie mu szczegółowo, co i jak trzeba robić — dobrze?

— Dobrze! — odpowiedział nie od razu i niechętnie Ignacy.

— A dla was postaramy się o dobry paszport i o miejsce leśniczego.

Chłopak szybko odrzucił głowę i spytał zaniepokojony:

— A jeżeli chłopci będą drzewo brać i w ogóle ... to co ja? Wiązać? To nie dla mnie ...

Matka roześmiała się i Mikołaj także. Zmieszało to znowu i zmartwiło chłopca.

— Nie bójcie się! — pocieszył go Mikołaj. — Nie będziecie musieli wiązać chłopów — wiercie mi! ...

— Tak! tak! — powiedział Ignacy, uspokoił się i uśmiechnął wesoło. — Dobrze by było do fabryki. Tam, mówią, są dosyć rozumni chłopcy ...

Matka podniosła się z za stołu i, patrząc w zadumie w okno, powiedziała:

— Ech, życie, życie! Pięć razy na dzień zaśmiejesz się, pięć zapłaczesz! No, skończyłeś, Ignacy? Chodź spać ...

— Kiedy mi się nie chce...
— Chodź, chodź...
— Surowo tu u was! No, idę... Dziękuję za herbatę i za dobre serce...

Kładąc się na łóżku matki, mruczał drapiąc się w głowę:

— Teraz będzie u was wszystko dziegiem śmierdziało... Ech! Niepotrzebne to wszystko... Nie chce mi się spać... Jak to on o tym środku dobrze utrafił... Diabły...

I nagle zasnął i zachrapał głośno, z wysoko podniesionymi brwiami i półotwartymi ustami.

XXI

Wieczorem siedział na krześle w maleńkim suterennym pokoiku naprzeciw Wiesowszczykowa i mówił zniżając głos i marszcząc brwi:

— W średnie okienko cztery razy...

— Cztery? — ze skupieniem powtórzył Mikołaj.

— Naprzód trzy: ot tak!

I uderzył zgiętym palcem po stole licząc:

— Raz, dwa, trzy. Potem trzeba poczekać i jeszcze raz.

— Rozumiem.

— Otworzy rudy chłop i spyta — po położną? Powiecie — tak, od dziegiarza. Nic więcej, on już zrozumie!

Siedzieli pochyliwszy się ku sobie głowami, obaj krępi i twardzi, i rozmawiali zniżonymi głosami, a matka przyglądała im się stojąc przy stole z założonymi na piersiach rękami. Wszystkie te tajemnicze pukania, umówione pytania i odpowiedzi sprawiały, że uśmiechała się w duszy i myślała:

— Dzieci z nich jeszcze...

Na ścianie paliła się lampa oświetlając ciemne plamy wilgoci i obrazki wycięte z pism. Na podłodze poniewierały się powyginane wiadra i skrawki blachy z dachu. Odór olejnej farby, rdzy i wilgoci napełniał pokój.

Ignacy miał na sobie grube, jesienne, z włochatego materiału palto, które podobało mu się bardzo, i matka widziała, jak gładzi miłośnie jego rękaw i przygląda się sobie ze wszystkich stron, z trudnością wykręcając muskularną szyję.

— Dzieci! Kochane dzieci... — myślała z czułością.

— Tak! — powiedział Ignacy wstając. — Więc — pamiętacie? Naprzód do Muratowa, zapytacie o dziadka...

— Pamiętam — powiedział Wiesowszczyk.

Ale Ignacy widocznie nie dowierzał mu, bo jeszcze raz powtórzył wszystkie pukania, słowa i znaki. W końcu uścił mu rękę:

— Kłaniajcie się im! Ludziska dobrzy — zobaczycie...

Obrzucił swą postać zadowolonym spojrzeniem, pogładził palto rękami i zapytał matkę:

— Iść już?

— A znajdziesz drogę?

— No! Znajdę... Więc — do widzenia, towarzysze!

I wyszedł, wysoko podnosząc ramiona i wypinając pierś, w nowej czapce na bakier, z powagą wsunąwszy rękę w kieszenie. Na jego skroniach drżały wesoło niesforne, jasne loki.

— No, otóż jestem znowu w pracy! — powiedział Wiesowszczyk podchodząc do matki. — Nudno mi już było... Uciekłem z więzienia i po co? Żeby się ukrywać? A tam uczyłem się. Paweł tak nam napychał lby, że po prostu — rozkosz! No, Niłowna, jak zdecydowano w sprawie ucieczki?

— Nie wiem! — odpowiedziała z mimowolnym westchnieniem.

Mikołaj położył ciężką rękę na jej ramieniu i zbliżywszy do niej twarz powiedział:

— Powiedz im — ciebie oni posłuchają — że to bardzo łatwo! Popatrz sama. To jest na przykład ściana więzienia, a obok — latarnia. Naprzeciw — odludzie, na lewo — cmentarz, na prawo — ulice, miasto. Do latarni podchodzi latarnik — w dzień. Chce oczyścić latarnię, przystawia drabinę do muru, włazi, zaczepia o występ muru haki sznurowej drabiny, spuszcza ją na podwórze więzienne i — odchodzi. Tam, za murem, wiedzą, kiedy to będzie zrobione, i proszą kryminalnych, żeby podnieśli krzyk, albo sami go podnoszą, a ci, którym to jest potrzebne, po drabinie przez mur — raz, dwa — gotowe!

Wymachiwał rękami przed twarzą matki przedstawiając jej swój plan. I wszystko w jego planie wydawało się jasne, proste, zręcznie obmyślane. Matką znała go jako chłopca ciężkiego i nieobrotnego. Oczy Mikołaja patrzyły dawniej na wszystko z ponurą złością i niedowierzaniem, a teraz, jak gdyby przejrzały na nowo, płonęły jasnym i ciepłym światłem wzruszając i przekonywując matkę...

— Pomyśl! Przecież to będzie za dnia! Koniecznie za dnia!... Komu przyjdzie do głowy, że więzień zdecyduje się uciekać w dzień, w oczach całego więzienia.

— A jeżeli — zastrzelą? — powiedziała wzdrygnąwszy się kobieta.

— Kto? Żołnierzy nie ma, dozorczy przybijają rewolwerymi gwoździe...

— Za proste mi się to jakoś wydaje...

— Zobaczysz, że mówię prawdę! Ty tylko pomów z nimi! Mam wszystko przygotowane — sznurową drabinę, haki, mój gospodarz będzie latarnikiem...

Za drzwiami ktoś krzątał się, kaszłał, brzęczało żelazo.

— Otóż i on! — powiedział Mikołaj.

Przez otwarte drzwi wsunęła się blaszana wanna, a ochryple głos mrucał:

— Wiaź, cholero...

Potem ukazała się okrągła, siwa głowa bez czapki, z wytrzeszczonymi oczyma, wąsata i dobroduszna.

Mikołaj pomógł wciągnąć wannę, w drzwiach stanął wysoki, przygarbiony człowiek, zakaszał, odął wygolone policzki, splunął i przywitał się ochryple:

— Dobrego zdrowia...

— O to jego zapytaj! — zawołał Mikołaj

— Mnie? O co?

— O ucieczkę...

— A-a! — powiedział gospodarz wycierając wąsy czarnymi palcami.

— Jakubie Wasiliewiczu, ona nie wierzy, że to takie proste.

— Hm — nie wierzy? To znaczy — nie chce. A my z tobą chcemy, to — wierzymy! — powiedział spokojnie gospodarz. I nagle zgiąwszy się w pół, zakaszał głucho. Wykaszlawszy się, stał długo pośrodku pokoju rozcierając pierś, sapiąc i patrząc na matkę wytrzeszczonymi oczyma.

— To musi rozstrzygnąć Pawelek i towarzysze — powiedziała Niłowna.

Mikołaj w zadumie opuścił głowę.

— Kto to jest — Pawelek? — zapytał gospodarz siedając.

— Mój syn.

— Jak nazwisko?

— Własow.

Kiwnął głową, wyjął kapciuch i fajkę, nabił ją tytoniem i przemówił urywanymi zdaniami:

— Słyszałem. Mój siostrzeniec zna go. On także jest w więzieniu — Jewczenko, słyszeliście? A moje nazwisko

— Gobun. Niedługo wszystkich młodych w więzieniu zam-

kną — my starzy będziemy mieli dużo wolnego miejsca... Zandarm mi obiecuje, że mojego siostrzeńca na Sybir wyśle. I wyśle go, ten pies!

Zapaliwszy zwrócił się do Mikołaja plując często na podłogę.

— Więc nie chce? Jej sprawa. Wolna wola. Zmęczyło cię siedzenie — chodź, zmęczyło cię chodzenie — siedź. Ograbili cię — milcz, biją — cierp, zabili — leż. Wiadomo... Ale mego Sawkę — wyciągnę! Wyciągnę!

Jego krótkie, jakby wyszcze kiwane zdania wzbudzały w matce zdziwienie, a ostatnie słowa — zazdrość.

Idąc ulicą w zimnym wietrze i deszczu, myślała o Mikołaju:

— Jaki to się zrobił — popatrzcie tylko!

I przypomniawszy sobie Gobuna, prawie modlitewnie rozmyślała:

— Widać nie ja jedna zaczęłam na nowo swoje życie!...

A zaraz potem wzbudziła się znowu w jej sercu myśl o synu:

— Gdybyż się zgodził!

XXII

W niedzielę żegnając się z Pawłem w kancelarii więziennej, poczuła w ręku maleńką papierową kulkę. Wzdrygnęła się, jak gdyby ta kulka sparzyła skórę jej dłoni i spojrzała w twarz syna, a w oczach jej była prośba i pytanie. Ale nie wyczytała odpowiedzi. Niebieskie oczy Pawła uśmiechały się zwykłym, znanym jej uśmiechem, spokojnym i stanowczym.

— Żegnaj! — powiedziała wzdychając.

Syn wyciągnął do niej znowu rękę. Twarz jego drgnęła. Wyraz jej złagodniał, stał się czuły i miękki:

— Żegnaj, matko!

Czekała nie wypuszczając jego ręki.

— Nie martw się i nie gniewaj! — powiedział.

Te słowa i uparta zmarszczka na jego czole odpowiedziały jej.

— No, co ty? — wyjąkała spuściwszy głowę. — Co tam...

I wyszła pośpiesznie nie spojrzawszy na niego, żeby łyzy w oczach i drżące usta nie zdradziły jej uczuć. Po drodze zdawało się jej, że ręka, w której ścisnęła mocno odpowiedź syna, ciągnie ją i boli, i cała stała się ciężka, jak od uderzenia w ramię. W domu wsunęła karteczkę w dłoń Mikołaja, stanęła przed nim oczekując aż rozprostuje mocno zwinięty papierek i znowu odczuła drżenie nadziei. Ale Mikołaj powiedział:

— Oczywiście! Oto co pisze: „Nie uciekniemy, towarzysze, nie możemy. Nikt z nas. Stracilibyśmy szacunek dla siebie. Zwróćcie uwagę na niedawno aresztowanego chłopca. Zasłużył na wasze starania, wart jest zachodu. Tutaj jest mu zbyt ciężko. Codzienne starcia z władzami. Był już dobie w ciemnicy. Zamęczą go. Wszyscy prosimy o niego. Pocieszcie i przygarnijcie moją matkę. Opowiedzcie jej, ona wszystko zrozumie“.

Matka podniosła głowę i cicho, głosem, który załamał się nagle, powiedziała:

— No i cóż tu jest do opowiadania? Rozumiem!

Mikołaj odwrócił się pośpiesznie, wyjął chustkę, wytarł głośno nos i mruknął:

— Nabawiłem się kataru, widzicie...

Po czym zakrył oczy rękami, żeby poprawić okulary, i ciągnął dalej chodząc po pokoju:

— Widzicie — i tak byśmy nie zdążyli...

— To nic, niech go sądzą! — powiedziała ściągając brwi matka, a serce jej napełniła mglista tęsknota.

— Otrzymałem list od towarzysza z Petersburga...

— Przecież i z Sybiru może uciec... Może?

— Oczywiście! Towarzysz pisze — sprawę wkrótce wyznaczą, wyrok jest z góry postanowiony — wszystkich na zesłanie! Widzicie? Te nędzne łotrzyki zmieniają swój sąd w niesmaczną komedię. Rozumiecie — wyrok jest postanowiony w Petersburgu przed rozprawą...

— Zostawcie to, Mikołaju Iwanowiczu! — powiedziała stanowczo matka. — Nie trzeba mnie pocieszać, nie trzeba mi objaśniać. Pawełek nie zrobi nic złego i nadaremnie nie będzie męczył ani siebie, ani innych! I kocha mnie — tak! Widzicie — myśli o mnie. Wyjaśnijcie jej, pisze, pocieszcie, co?...

Serce jej biło pośpiesznie, w głowie kręciło się ze wzruszenia.

— Wasz syn jest wspaniałym człowiekiem! — zawołał Mikołaj nienaturalnie głośno. — Mam dla niego wielki szacunek!

— Wiecie — pomyślmy o Rybinie! — zaproponowała. Pragnęła robić coś natychmiast, iść dokądś, chodzić aż do zmęczenia.

— Tak — dobrze! — powiedział Mikołaj chodząc po pokoju: — Trzeba by Saszę...

— Ona przyjdzie! Przychodzi zawsze wtedy, gdy idę na widzenie z Pawełkiem...

Mikołaj spuścił głowę w zamyśleniu, przygryzł wargi i, kręcąc bródkę, usiadł koło matki.

— Szkoda, że nie ma siostry...

— Dobrze by było urządzić to teraz, póki Pawełek tam jest... Sprawi mu to przyjemność! — mówiła matka.

Milczeli chwilę. Nagle matka powiedziała powoli i cicho:

— Nie rozumiem — dlaczego on nie chce?...

Mikołaj zerwał się, ale w tej samej chwili rozległ się dzwonek. Spojrzeli jednocześnie po sobie.

— To — Sasza — hm! — cichutko powiedział Mikołaj.

— Jak to jej powiedzieć? — także cicho zapytała matka.

— T-a-a-k... wiecie...

— Bardzo mi jej żal...

Dzwonek zabrzmiał ciszej, jak gdyby człowiek za drzwiami nie mógł się zdecydować. Mikołaj i matka wstali i poszli razem, ale przed drzwiami do kuchni Mikołaj cofnął się i powiedział:

— Lepiej — wy...

— Nie zgadza się? — twardo zapytała dziewczyna, gdy matka otworzyła jej drzwi.

— Nie.

— Wiedziałam! — powiedziała z prostotą Sasza, ale twarz jej pobraźnia. Rozpięła guziki płaszcza, znowu zaپیęła dwa, spróbowała go zdjąć, a gdy się to jej nie powiodło, powiedziała:

— Deszcz, wiatr — obrzydliwie! Zdrów?

— Tak.

— Zdrów i wesół... — półgłosem powtórzyła Sasza oglądając swoją rękę.

— Pisze, żeby oswobodzić Rybina! — zakomunikowała matka nie patrząc na dziewczynę.

— Tak? Zdaje mi się, że powinniśmy wykorzystać ten plan — powoli powiedziała dziewczyna.

— Ja też tak sądzę! — odezwał się Mikołaj ukazując się we drzwiach. — Dzień dobry, Sasza!

Dziewczyna zapytała wyciągając do niego rękę:

— O co właściwie idzie? Wszyscy są zgodni, że plan jest dobry?

— A kto organizuje? Wszyscy są zajęci...

— Powierzcie to mnie! — szybko powiedziała Sasza powstając. — Ja mam czas!

— Dobrze — bierzcie to! Ale trzeba zapytać innych...

— Dobrze, zapytam! Pójdę zaraz.

I znowu zaczęła zapinać guziki płaszcza szybkimi ruchami szczupłych palców.

— Odpocznijcie trochę! — zaproponowała matka.

Uśmiechnęła się łagodnie i odpowiedziała miękko:

— Nie niepokójcie się o mnie, nie zmęczyłam się...

I uściskawszy w milczeniu ich ręce, odeszła, już znowu chłodna i surowa jak zawsze.

Matka i Mikołaj podeszli do okna i patrzyli, jak dziewczyna przeszła przez podwórze i znikła w bramie. Mikołaj poświsując cicho, usiadł przy stole i zaczął coś pisać.

— Zajmie się tą sprawą i będzie jej lżej — powiedziała matka cicho i z zadumą.

— Tak, oczywiście! — odezwał się Mikołaj i, zwracając się do matki z dobrym uśmiechem na twarzy, zapytał:

— A was, Niłowna, ominął ten kielich goryczy — nie zazналиście tęsknoty za kochanym człowiekiem?

— Ech! — zawołała machnąwszy ręką matka. — Jaka tam tęsknota! Bałam się tylko, żeby za tego czy innego nie wydali za męża.

— I nikt się wam nie podobał?

Pomyślała i odpowiedziała:

— Nie pamiętam, mój drogi. Nie może być, żeby nikt się nie podobał... Pewnie ktoś się podobał, ale — nie pamiętam!

Popatrzyła na niego i dodała z prostotą i ze spokojnym smutkiem:

— Bardzo mnie mąż bił i wszystko, co było przed nim, zatarło mi się jakoś w pamięci.

Odwrócił się do stołu, a matka na minutę wyszła z pokoju. Gdy wróciła, Mikołaj spoglądając na nią serdecznie,

przemówił znowu, jak gdyby delikatnie i miłośnie gładził słowami swoje wspomnienia:

— A moja historia jest, wiecie, taka sama jak historia Saszy! Kochałem — niezwykle był z niej człowiek, cudowny. Miałem dwadzieścia lat, gdy ją spotkałem i pokochałem i, prawdę mówiąc, kocham ją dotychczas! Kocham zawsze tak samo — całym, pełnym wdzięczności sercem i na zawsze.

Stojąc obok niego, matka widziała jego oczy rozjaśnione ciepłym i jasnym światłem. Podłożywszy ręce pod odrzuconą na oparcie krzesła głowę, Mikołaj patrzył gdzieś w dal i całe jego chude i długie, ale silne ciało, zdawało się prężyć naprzód, niby łodyga rośliny ku słońcu.

— No więc cóż? Ożeńcie się z nią! — poradziła matka.

— O! Już piąty rok jak wyszła za mąż...

— A dlaczegoż — przedtem?

Zastanowił się i odpowiedział:

— Widzicie, tak jakoś zawsze wypadało, że ja na wolności, to ona w więzieniu, ona na wolności, to ja w więzieniu, albo na zesłaniu. Bardzo to było naprawdę podobne do położenia Saszy. W końcu zesłali ją na dziesięć lat na Sybir, strasznie daleko. Chciałem nawet jechać tam za nią, ale wstydził'smy się — i ona, i ja. I tam spotkała innego człowieka — towarzysz, bardzo dobry chłopak. Potem uciekli razem, a teraz mieszkają za granicą, tak...

Mikołaj skończył mówić, zdjął okulary, przetarł je, popatrzył pod światło na szkła i znowu zaczął je wycierać.

— Ach, mój drogi! — zawołała serdecznie matka kiwając głową. Było jej żal Mikołaja, ale jednocześnie coś w nim zmuszało ją do ciepłego, macierzyńskiego uśmiechu. A Mikołaj zmienił pozycję, wziął znowu do ręki pióro i mówił machając nim w takt swoich słów:

— Życie rodzinne obniża energię rewolucjonisty, zawsze obniża! Dzieci, konieczność zabezpieczenia rodzi-

ny i poświęcenia dużej ilości czasu pracy dla chleba. A rewolucjonista powinien rozwijać nieustannie swoją energię, coraz głębiej i szerzej. Czasy wymagają tego. Powinniśmy iść zawsze na czele wszystkich, ponieważ jesteśmy pracownikami, powołanymi przez historię do zburzenia starego świata i stworzenia nowego życia. A jeśli pozostajemy w tyle poddając się zmęczeniu albo pozwalając się skusić bliskiej możliwości małego zwycięstwa — to źle, to prawie zdrada sprawy! Nie ma nikogo, z kim moglibyśmy iść w jednym szeregu nie skaziwszy naszej wiary. Nie powinniśmy nigdy zapominać, że naszym zadaniem nie są małe zdobycze, ale całkowite zwycięstwo.

Głos jego zabrzmiał mocniej, twarz pobladła, w oczach zapłonęła jego zwykła, opanowana i zawsze jednakowa siła. Ktoś zadzwonił mocno przerwawszy mu w pół słowa — to przyszła Ludmiła w lekkim, nieodpowiednim do pory roku, płaszczu, z czerwonymi od mrozu policzkami.

— Rozprawa wyznaczona za tydzień — powiedziała gniewnym głosem zdejmując podarte kalosze.

— Czy to pewne? — zawołał Mikołaj z pokoju.

Matka szybko podeszła do niego nie zdając sobie sprawy z tego, czy to przestroch, czy radość są powodem jej wzburzenia. Ludmiła idąc z nią, mówiła z ironią swoim niskim głosem:

— Pewne! W sądzie zupełnie otwarcie mówią, że wyrok jest już gotowy. Ale co to znaczy? Czyżby rząd obawiał się, że jego urzędnicy zbyt łagodnie odniosą się do jego wrogów? Tak długo i tak gorliwie deprawowali swoich pacholków, a teraz jeszcze nie są pewni ich służalczej podłości?...

Ludmiła usiadła na kanapie rozcierając chude policzki rękami. W jej matowych oczach błyszczała pogarda, głos drżał coraz większym gniewem.

— Niepotrzebna strata amunicji, Ludmiło! — powiedział uspokajająco Mikołaj. — Przecież oni i tak was nie słyszą...

Matka słuchała jej z naprężeniem, ale nic nie rozumiała mimo woli powtarzając w myśli wciąż te same słowa:

— Sąd — za tydzień sąd!

Poczuła nagle zbliżanie się czegoś nieubłaganego i nie-ludzko surowego.

XXIII

I tak, we mgle niepewności i posępnego smutku, pod brzemieniem tęsknoty i oczekiwania, matka przeżyła w milczeniu dzień, drugi, a na trzeci zjawiła się Sasza i powiedziała Mikołajowi:

— Wszystko gotowe. Dzisiaj o pierwszej...

— Już gotowe? — zdziwił się.

— No i cóż tu dziwnego? Musiałam tylko zdobyć mieszkanie i odzież dla Rybina. Resztę wziął na siebie Gobun. Rybin będzie musiał przejść tylko jedną dzielnicę. Na ulicy spotka go Wiesowszczyków — oczywiście ucharakteryzowany — narzuci na niego płaszcz, da mu czapkę i wskaże drogę. Ja będę na niego czekać, przebiorę go i wywiozę.

— Nieźle! A kto to taki — Gobun? — zapytał Mikołaj.

— Znaie go. W jego mieszkaniu prowadziliście kółko ze ślusarzami.

— A! Pamiętam. Oryginalny staruszek...

— On jest byłym żołnierzem, blacharzem. Mało uświadomiony, ale z niewyczerpaną nienawiścią do każdej przemocy... Trochę filozof — mówiła w zamyśleniu Sasza patrząc przez okno. Matka słuchała jej w milczeniu i dojrzewało w niej coś niejasnego.

— Gobun chce oswobodzić swego siostrzeńca — pamiętacie, podobał się wam — Jewczenko, taki elegant i czyścioszek.

Mikołaj kiwnął głową.

— Przygotował wszystko dobrze — ciągnęła dalej Sasza — ale zaczynam wątpić, czy się uda. Spacery są wspólne i myślę, że gdy więźniowie zauważą drabinę — wielu zechce uciec...

Zamknęła oczy i zamilkła na chwilę. Matka przysunęła się do niej bliżej.

— I będą sobie wzajemnie przeszkadzać...

Stali wszyscy troje przy oknie, matka — za Mikołajem i Saszą. Ich pośpieszne słowa budziły w jej sercu jakieś mgliste uczucie...

— Pójdę tam! — powiedziała nagle.

— Po co? — zapytała Sasza.

— Nie chodźcie moja kochana! Możecie jeszcze wpaść! Nie trzeba! — poradził Mikołaj.

Matka popatrzyła na niego i ciszej, ale z uporem powtórzyła:

— Nie, pójdę.

Spojrzeli po sobie. Sasza wzruszyła ramionami i powiedziała:

— To zrozumiałe...

Odwróciwszy się do matki, wzięła ją pod ramię, pochyliła się ku niej i przemówiła ciepłym, trafiającym wprost do serca matki głosem:

— A jednak, mówię wam — na próżno czekacie...

— Kochanie! — zawołała matka przyciągając ją do siebie drżącą ręką. — Weźcie mnie ze sobą, nie będę zawadzała! Ja — muszę. Nie wierzę, że to możliwe, żeby — uciec!

— Niłowna pójdzie! — powiedziała dziewczyna Mikołajowi.

— To wasza sprawa! — odparł schylając głowę.

— Nie możemy iść razem. Idźcie polem ku ogrodowi. Stamtąd widać mury więzienia. Ale — jeżeli spytają was co tam robicie?

Matka uradowana odpowiedziała z pewnością siebie:

— Już ja będę wiedziała, co powiedzieć!...

— Nie zapominajcie, że dozorca więzienni was znają!

— mówiła Sasza. — Jeśli zobaczą was tam...

— Nie zobaczą! — zawołała matka.

Ożywiła się — tlejąca zawsze w jej sercu niedostrzeżalnie nadzieja buchnęła nagle jasnym płomieniem.

— A może i on także... — myślała ubierając się pośpiesznie.

Po godzinie matka była już w polu za więzieniem. Ostry wiatr wirował wkoło niej, rozdymał jej suknię, uderzał o zamazaną ziemię, chwiały starym płótnem ogrodu, obok którego przechodziła, i z rozpędu uderzał o niewysoki mur więzienny. Wywracał się, wpadał za ścianę, zmiatał z podwórza czyjeś krzyki, roznosił je w powietrzu, podrzucił aż w niebo. Po niebie biegły szybko obłoki odślaniając małe okienka, przez które przeświecała słońca.

Za matką był ogród, przed nią cmentarz, a na prawo, w odległości dziesięciu sążni, więzienie. Obok cmentarza żołnierz pędził na linie konia, drugi stał obok niego, tupał głośno o ziemię nogami, krzyczał, gwizdał i śmiał się. Nikogo więcej nie było koło więzienia.

Przeszła powoli obok nich. Poszła dalej ku cmentarzu ogrodu spoglądając z ukosa na prawo i za siebie. I nagle poczuła, że nogi jej zadrżały i ociężały, jak gdyby przymarzły do ziemi.

Zza węgła więzienia wyszedł pośpiesznie, jak zawsze chodzą latarnicy, zgarbiony człowiek z drabiną na ramieniu. Matka zmrużyła oczy ze strachu, po czym rzuciła szybkie spojrzenie na żołnierzy. Dreptali w jednym

miejscu, a koń biegał dokoła nich. Popatrzyła na człowieka z drabiną — przystawił ją już do ściany i wchodził po niej nie śpiesząc się. Machnąwszy ręką w podwórze, spuścił się szybko i znikł za węglem. Serce matki biło prędko, sekundy upływały powoli. Na ciemnej ścianie więziennej kontury drabiny były ledwie widoczne wśród brudnych plam i opadłego tynku, spod którego widać było cegłę. I nagle, nad ścianą ukazała się czarna głowa, wyrosło ciało, przewaliło się przez mur, ześliznęło się po nim. Ukazała się druga głowa w kosmatej czapce, na ziemię stoczył się czarny kłęb i szybko znikł za węglem. Michał wyprostował się, obejrzał, potrząsnął głową...

— Uciekaj, uciekaj! — szeptała matka tupiąc nogą.

W uszach huczało jej, dochodziły do niej głośnie okrzyki, nad murem ukazała się trzecia głowa. Matka schwyciła się rękami za piersi i patrzyła zamierając z przerażenia. Jasnowłosa głowa bez brody przeżyła się ku górze, jak gdyby chciała się oderwać, i nagle znikła za ścianą. Krzyki stawały się coraz głośniejsze, wiatr roznosił w powietrzu cienkie trele gwizdów. Michał szedł koło muru, oto już minął go, przeszedł otwartą przestrzeń między więzieniem a domami miasta. Wydawało się jej, że idzie zbyt powoli i niepotrzebnie tak wysoko podnosi głowę. Każdy, kto spojrzy w jego twarz, zapamięta ją na zawsze.

— Prędej... prędej... — szeptała.

Za murem więziennym rozległ się suchy trzask. Słysząc było cienki dźwięk rozbitego szkła. Żołnierz wpięrając się nogami w ziemię, ciągnął do siebie konia, drugi przyłożywszy do ust zwiniętą w trąbkę rękę, krzyczał coś w kierunku więzienia, a krzyknąwszy zwracał w tę stronę bokiem głowę nadstawiając ucha.

Wyprężywszy się matka obracała głowę na wszystkie strony, oczy jej widziały wszystko, ale nie wierzyła niczemu — zbyt prędko i zbyt po prostu stało się to, co wyobra-

żała sobie jako coś strasznego i skomplikowanego. Ta szybkość oszalała ją i przytępiła świadomość. Na ulicy nie widać już było Rybina, szedł jakiś wysoki człowiek w długim płaszczu, biegła dziewczynka, Zza węgła więzienia wyskoczyło trzech dozorców. Biegli jeden obok drugiego i wszyscy wyciągali przed siebie prawe ręce. Jeden z żołnierzy pobiegł im naprzeciw, drugi krążył koło konia starając się wskoczyć nań, ale koń nie pozwalał się dosiąść, podskakiwał i wszystko wokół zdawało się podskakiwać razem z nim. Bez przerwy zachłystując się dźwiękiem, przecinały powietrze gwizdki. Ich pełne trwogi, rozpaczliwe krzyki, zbudziły w kobiecie świadomość niebezpieczeństwa. Wzdrygnęła się i poszła obok ogrodzenia cementarnego śledząc ruchy dozorców. Ale dozorczy i żołnierze pobiegli za drugi róg więzienia i znikli. Zaraz za nimi przebiegł pomocnik naczelnika, którego znała, w rozpiętym mundurze. Zjawiła się niewiadomo skąd policja i zbiegli się ludzie.

Wiatr kołował i miotał się, jak gdyby cieszył się z czegoś i przynosił kobiecie urywane, pomieszane krzyki, gwizd... Całe to zamieszanie cieszyło ją, poszła prędzej myśląc:

— A więc i on — mógłby!

Nagle zza ogrodzenia wynurzyło się naprzeciw niej dwóch policjantów.

— Stój! — krzyknął jeden dysząc ciężko. — Nie widziałś człowieka z brodą?

Pokazała ręką w stronę ogrodów i odpowiedziała spokojnie:

— Tam pobiegł — a co?

— Jegorow! Gwizdaj!

Poszła do domu. Było jej czegoś żal. Na dnie serca czuła osad goryczy i rozdrażnienia. Gdy wchodziła z pola w ulicę, przeciął jej drogę dorożkarz. Podniósłszy głowę

ujrzała w dorożce młodego człowieka z jasnymi wąsami i bladą, zmęczoną twarzą. I on także spojrział na nią. Siedział bokiem i zapewne z tego powodu jego prawe ramię wyższe było od lewego.

Mikołaj przywitał ją radośnie.

— No, co tam?

— Jak gdyby się udało...

Starając się wskrzesić w pamięci wszystkie szczegóły, zaczęła opowiadać o ucieczce. Mówiła jednak tak, jakby powtarzała czyjeś słowa wątpiąc o ich prawdziwości.

— Wiedzie się nam! — powiedział Mikołaj zacierając ręce. — A ja tak bałem się o was! Nie macie pojęcia jak! Wiecie co, Niłowna, przyjmijcie moją przyjacielską radę i — nie bójcie się sądu! Im prędzej odbędzie się rozprawa, tym bliższe jest uwolnienie Pawła, wierzcie mi! Być może, że ucieknie już z drogi. A sąd, to wiecie, w przybliżeniu, taka rzecz...

Zaczął jej odmalowywać obraz posiedzenia sądowego. Słuchała i rozumiała, że sam boi się czegoś i że chce dodać jej odwagi.

— Może myślicie — powiedziała nagle — że ja powiem coś sędziom? Poproszę ich o coś?

Zerwał się, zamachał na nią rękami i zawołał z obrazą w głosie:

— Co wy!

— Boję się, to prawda! Czego się boję — nie wiem!... Milczała chwilę błędząc oczyma po pokoju. — Czasem wydaje mi się, że zaczną krzywdzić Pawełka, naigrawać się z niego. Ach ty, chamie, powiedzą, ty chamski synu! Do czego się brałeś? A Pawełek — jest dumny, on im odpowie! Albo — Andrzej zadrwi z nich. Wszyscy oni są tacy gorący. Więc myślisz sobie — a może który nie wytrzyma i... I zasądzą tak, że już ich nigdy nie zobaczysz!

Mikołaj milczał ponuro skubiąc bródkę.

— Nie mogę odpędzić od siebie tych myśli! — cicho powiedziała matka. — Straszne to — sąd! Jak zacząć wszystko badać i ważyć! Bardzo się boję! Nie kara jest straszna, ale — sąd. Nie umiem tego wypowiedzieć...

Czuła, że Mikołaj nie rozumie jej, i to jeszcze bardziej utrudniało jej opowiedzenie mu o swoim strachu, chociaż pragnęła to wypowiedzieć.

XXIV

Lęk ten rozrósł się w jej piersi niby pleśń, tamująca oddech ciężką wilgocią, i gdy nadszedł dzień rozprawy, weszła na salę posiedzeń pochylona pod jego ponurym brzemieniem.

Na ulicy witali się z nią znajomi z osady. Kłaniała się w milczeniu przeciskając się przez ponury tłum. W korytarzach i sali sądu spotkała krewnych oskarżonych, mówili coś do niej niższymi głosami. Słowa ich wydawały się jej zbędne, nie rozumiała ich. Wszyscy ludzie opanowani byli tym samym uczuciem przygniatającego smutku — udzielało się to matce i przygnębiało ją jeszcze bardziej.

— Siądźcie koło mnie! — powiedział Sizow posuwając się na ławce.

Usiadła posłusznie obok niego, poprawiła suknię, rozejrzała się wokół. Przed oczyma jej pływały zlewając się ze sobą, jakieś zielone i malinowe smugi i plamy, mięły cienkie, żółte nici.

— Zgubił twój syn naszego Grzesia! — odezwała się cicho siedząca obok niej kobieta.

— Milcz, Natalio! — powiedział ponuro Sizow.

Matka popatrzyła na kobietę — była to Samojsowa. Dalej siedział jej mąż, łysy, o przyzwoitym wyglądzie człowieka, z dużą, rudą brodą. Twarz miał kościstą, patrzył

przymrużonymi oczyma przed siebie, broda jego drżała.

Światło szarego dnia równomiernie zalewało salę przez wysokie okna, z zewnątrz po szybach ześlizgiwał się śnieg. Pomiędzy oknami wisiał duży portret cara w grubej, błyszczącej niby od tłuszczu, złotej ramie, ciężkie malinowe draperie okien spływały prostymi fałdami po obydwu stronach ramy. Przed portretem, prawie przez całą szerokość sali, rozciągał się pokryty zielonym suknem stół, na prawo, pod ścianą, stały za kratą dwie drewniane ławki, na lewo — dwa rzędy malinowych foteli. Po sali biegali cicho urzędnicy z zielonymi kołnierzami i złotymi guzikami na piersiach i brzuchu. W mętym powietrzu błędziły nieśmiało ciche szepty, unosił się jakiś złożony, jak gdyby apteczny zapach. Wszystko to — kolory, blaski, dźwięki i zapachy — przytłaczało oczy, wdzierало się razem z oddechem w pierś i napelniało opustoszałe serce nieruchomym osadem posępnego lęku.

Nagle jeden z ludzi powiedział coś głośno, wszyscy wstali. Matka drgnęła i podniosła się także uchwyciwszy się ramienia Sizowa.

W lewym rogu sali otworzyły się wysokie drzwi i wszedł przez nie chwiejnym krokiem staruszek w okularach. Na jego szarej twarzyczce trzęsły się rzadkie, białe bokobrody, górna, ogolona warga zapadła, ostre szczęki i podbródek wspierały się na wysokim kołnierzu. Wywierało to wrażenie, jak gdyby pod kołnierzem nie było szyi. Podtrzymywał go z tyłu pod ramię idący za nim wysoki, młody człowiek, z porcelanową, rumianą i okrągłą twarzą, a za nimi podążali wolno jeszcze trzej ludzie w haftowanych złotem mundurach i trzej cywilni.

Marudzili długo zanim usadowili się za stołem, a gdy wreszcie usiedli, jeden z nich, w rozpiętym mundurze, z leniwą, ogoloną twarzą, zaczął coś mówić do staruszka, ciężko i bezdźwięcznie poruszając pulchnymi wargami.

Staruszek słuchał siedząc dziwnie prosto i nieruchomo, za szklami jego okularów matka widziała dwie maleńkie, bezbarwne plamki.

Na końcu stołu, przed biurkiem, siedział wysoki, łysawy człowiek, pokasywał i szeleścił papierami.

Staruszek kiwnął się w przód i przemówił. Pierwsze słowo wymawiał wyraźnie, następne jak gdyby rozpełzały się na jego cienkich, szarych wargach.

— Otwieram... Wprowadźcie...

— Patrz! — powiedział Sizow, lekko trącił matkę i wstał.

W ścianie, za kratą, otworzyły się drzwi, wyszedł żołnierz z obnażoną szablą na ramieniu, za nim ukazali się — Paweł, Andrzej, Fedzia Mazin, obaj Gusiewowie, Samojułow, Bukin, Somow i jeszcze pięciu młodych ludzi, nieznanym matce z nazwiska. Paweł uśmiechał się łagodnie, Andrzej szczyrzył także zęby kiwając głową; ich ożywienie, uśmiechy i ruchy wniosły na salę coś jasnego i prostego, co wtargnęło w naprężone i napuszone milczenie. Tłusty blask złota na mundurach zbladł, stał się miękniejszy, powiew rzeńskiej pewności siebie i żywej siły przeniknął serce matki, zbudził je. I na ławach poza nią, gdzie ludzie do tej pory trwali w wyczekującym przygnębieniu, teraz odezwały się także ciche rozmowy.

— Nie boją się! — usłyszała szept Sizowa, a z prawej strony załkała cicho matka Samojułowa.

— Ciszej! — rozległ się surowy okrzyk.

— Ostrzegam... — powiedział staruszek.

Paweł i Andrzej usiedli obok siebie. Razem z nimi na pierwszej ławie — Mazin, Samojułow i Gusiewowie. Andrzej ogolił sobie brodę, wąsy odrosły mu i zwieszały się w dół czyniąc jego krągłą głowę podobną do głowy kota. Coś nowego pojawiło się w wyrazie jego twarzy — ostrego i zjadliwego w kątach ust, posępnego w oczach.

Na górnej wardze Mazina czerniały dwa ciemne pasemka, twarz stała się pełniejsza. Samojłow był tak samo kędzierzawy jak przedtem i tak samo szeroko uśmiechał się Iwan Gusiew.

— Ech, Fedźka, Fedźka! — szeptał spuściwszy głowę Sizow.

Matka słuchała niewyraźnych pytań staruszka — pytał nie patrząc na podsądnych, a głowa jego leżała nieruchomo na kołnierzu munduru. Słyszała spokojne, krótkie odpowiedzi syna. Wydawało się jej, że starszy sędzia i wszyscy jego towarzysze nie mogą być złymi, okrutnymi ludźmi. Uważnie wpatrywała się w twarze sędziów starając się coś odgadnąć, czuła, że w jej sercu kiełkuje na nowo nadzieja.

Porcelanowy człowiek obojętnie przeglądał papiery, jego jednostajny głos napełniał salę nudą, pogrążeni w niej ludzie siedzieli nieruchomo, jak gdyby odrętwieli. Czterech adwokatów, cicho, ale z ożywieniem rozmawiało z podsądnymi. Poruszali się szybko i sprężysto i przypominali cztery wielkie, czarne ptaki.

Po jednej stronie staruszka napełniał swoim ciałem fotel tęgi, pulchny sędzia z maleńkimi, tonącymi w tłuszczu oczyma, po drugiej — siedział zgarbiony sędzia z rudawymi wąsami na bladej twarzy. Odrzucił ze znużeniem głowę na oparcie fotelu i przymknąwszy oczy rozmyślał o czymś. Prokurator miał także twarz zmęczoną i znużoną. Za sędziami siedział gładząc w zamyśleniu policzek, burmistrz, tęgi, stateczny mężczyzna; marszałek szlachty, siwy, rumiany człowiek, z dużymi, dobrymi oczyma i ogromną brodą; wójt w kaftanie, z ogromnym brzuchem, który najwidoczniej krępował go, bo starał się przykryć go połą kaftana, co mu się nie udawało.

— Tu nie ma przestępców i nie ma sędziów! — rozległ się twardy głos Pawła. — Są tylko jeńcy i zwycięzcy...

Zapanowała cisza. W ciągu kilku sekund matka słyszała tylko cieni, pośpieszny skrzyp pióra po papierze i bicie własnego serca.

Starszy sędzia czekał, jak gdyby także wsłuchując się w coś. Jego towarzysze poruszyli się. Wówczas powiedział:

— Taak... — Andrzej Nachodka! Czy przyznajecie się...

Andrzej podniósł się powoli, wyprostował się i, pociągając w dół wąsy, patrzył spode łba na staruszkę.

— Do jakiej winy mam się przyznać? — zapytał swym zwykłym, śpiewnym i powolnym głosem wzruszywszy ramionami. — Nie zabiłem, nie ukradłem, nie zgadzam się tylko z takim porządkiem życia, przy którym ludzie zmuszeni są ograbić i zabijać jeden drugiego...

— Odpowiadajcie zwięźle — z wysiłkiem, ale wyraźnie powiedział staruszek.

Na ławach, za sobą, matka wyczuła ożywienie. Ludzie cicho szeptałi do siebie i poruszali się, jakby oswobadzając się z pajęczyny szarych słów porcelanowego człowieka.

— Słyszysz, jak to oni? — szepnął Sizow.

— Fiodor Mazin, odpowiadajcie...

— Nie chcę! — wyraźnie powiedział Fedzia zrywając się z miejsca. Twarz jego oblał rumieniec wzburzenia, oczy błysnęły, nie wiadomo dlaczego założył ręce w tył.

Sizowowi wyrwał się cichy okrzyk, matka rozwarła szeroko oczy ze zdumienia.

— Zrzekłem się obrony i nie będę wcale mówić. Sąd wasz uważam za bezprawny! Kim wy jesteście? Czy to lud dał wam prawo sądenia nas? Nie, nie dał wam takiego prawa! Nie znam was!

Usiadł i skrył swoją rozpaloną twarz za ramieniem Andrzeja.

Gruby sędzia pochylił głowę ku starszemu i szepnął mu coś. Sędzia z bladą twarzą podniósł powieki, spojrzął

z ukosa na podsądnych, położył rękę na stole i nakreślił coś ołówkiem na leżącym przed nim papierze. Wójt pokiwał głową, ostrożnie przestawił nogi, ułożył brzuch na kolanach i zakrył go rękami. Nie poruszając głową, staruszek zwrócił swój tułów do rudego sędziego i bezdźwięcznie mówił z nim; ów wysłuchał go pochyliwszy głowę. Marszałek szlachty szeptał coś do prokuratora, burmistrz słuchał pocierając policzek. Znowu zadźwięczały niewyraźne słowa starszego sędziego.

— Ale ich zjechał! Najlepiej ze wszystkich! — szeptał na ucho matce ze zdziwieniem Sizow.

Matka uśmiechała się niepewnie. Wszystko, co się działo z początku, wydawało się jej zbędnym i nudnym wstępem do czegoś strasznego, co nastąpi potem i zmiażdży wszystkich swoją zimną grozą. Ale spokojne słowa Pawła i Andrzeja zabrzmiały tak odważnie i twardo, jakby zostały wypowiedziane w małym domku w osadzie, a nie przed obliczem sądu. Gorący wypad Fedzi ożywił ją. Salę objął śmiały i rzeźwy powiew i po ruchu ludzi za sobą matka domyślała się, że nie ona jedna to czuje.

— Pańskie zdanie? — zapytał staruszek.

Łysawy prokurator wstał i, trzymając się jedną ręką biurka, mówił szybko przytaczając jakieś cyfry. W głosie jego nie było nic przerażającego. Ale to, co mówił, pozostawiało w sercu matki suchy i kłujący osad, który jątrzył je i napełniał lękiem. Wyczuwała mętnie coś wrogiego sobie, coś, co nie groziło, nie krzyczało, ale rozwijało się niewidzialne i nieuchwytnie, leniwie i tępo otaczało sędziów, spowijało ich jak gdyby nieprzeniknionym obłokiem, przez który nic z zewnątrz nie mogło do nich dotrzeć. Patrzyła na sędziów i nie mogła ich zrozumieć. Nie gniewali się, jak tego oczekiwała, na Pawła i na Fedzię, nie mówili im obraźliwych słów, ale wydawało się jej, że wszystko, o co ich pytają, nie jest im potrzebne. Wydawało

się jej, że pytają jakby z musu, z trudem wysłuchują odpowiedzi, wszystko z góry wiedzą i nic ich nie interesuje.

Oto stoi przed nimi żandarm i mówi basem:

— Na Pawła Własowa wskazywali wszyscy jako głównego podżegacza...

— A na Nachodkę? — leniwie i niegłęboko zapytał gruby sędzia.

— I na niego także...

Jeden z adwokatów powstał mówiąc:

— Czy mogę?

Staruszek zapytał kogoś:

— Pan nie ma nic przeciw temu?

Wszyscy sędziowie wydawali się matce chorymi ludźmi. W ich pozach i głosach przebijało zmęczenie, twarze ich wyrażały chorobliwe znużenie i dokuczliwą, szarą nudę. Widocznie wszystko to było dla nich ciężkie i niewygodne — mundury, sala, żandarmi, adwokaci, obowiązki siedzenia w fotelach, pytania i słuchania.

Stanął przed nimi znany matce żółtolicy oficer i, rozciągając z powagą słowa, opowiadał głośno o Pawle, o Andrzeju. Matka słuchając go myślała mimo woli:

— Niewiele wiesz.

I patrzyła na ludzi za kratą już bez strachu o nich, bez współczucia dla nich — współczucie było tu jakby nie na miejscu, wywoływali w niej tylko podziw i ogrzewającą serce miłość. I podziw ten był spokojny, miłość — radosna i jasna. Młodzi, silni, siedzieli z boku pod ścianą, prawie nie mieszając się do monotonnej rozmowy świadków z sędziami, do sporów adwokatów z prokuratorem. Czasem któryś z nich uśmiechnął się pogardliwie, mówił coś towarzyszom i po twarzach ich przebiegał ironiczny uśmiech. Andrzej i Paweł prawie cały czas rozmawiali cicho z jednym z obrońców — matka widziała go w przeddzień u Mikołaja. Mazin przysłuchiwał się ich rozmowie bardziej

od innych ożywiony i ruchliwy. Samojłow mówił coś czasem do Iwana Gusiewa i matka widziała, że za każdym razem Iwan odtrąca niespostrzeżenie towarzysza łokciem, ledwie powstrzymując śmiech, twarz mu czerwienieje, policzki odymają się, głowa pochyla. Ze dwa razy parsknął nawet i potem kilka minut przesiedział nadęty starając się zachować większą powagę. I w każdym z nich tak lub inaczej pulsowała młodość, z łatwością zwyciężając wysiłki zduszenia jej sił żywotnych.

Sizow dotknął lekko jej łokcia. Odwróciła się do niego — twarz miał zadowoloną, choć nieco zakłopotaną.

— Popatrz no na nich — szepnął — jacy mocni, co? Hrabiowie, co?

W sali trwało dalej badanie świadków. Świadkowie mówili pośpiesznie, bezbarwnymi głosami, sędziowie — niechętnie i obojętnie. Gruby sędzia ziewał zakrywając usta pulchną ręką, sędzia z rudymi wąsami pobladł jeszcze bardziej, od czasu do czasu podnosił rękę, mocno przyciskając skroń palcem, i patrzył żałośnie w sufit rozszerzonymi oczyma. Prokurator kreślił coś z rzadka ołówkiem po papierze i dalej rozmawiał bezdźwięcznie z marszałkiem szlachty, a marszałek gładząc siwą brodę, wytrzeszczał duże, piękne oczy i uśmiechał się skłaniając z powagą głowę. Burmistrz siedział założywszy nogę na nogę i, bębniąc palcami po kolanie, obserwował je ze skupieniem. Tylko wójt umieściwszy brzuch na kolanach i troskliwie objąwszy go rękami, siedział ze spuszczoną głową i widać było, że on jeden wsłuchuje się w monotonne brzęczenie głosów. Staruszek wsadzony w fotel sterczał w nim nieruchomo, jak chorągiewka na dachu w bezwietrzny dzień. Ciągnęło się to długo i znowu odrętwienie nudy oładnęło ludźmi.

— Zarządzam... — powiedział staruszek i, zdusiwszy cienkimi ustami następne słowa, wstał.

Szum, westchnienia, ciche okrzyki, kaszel, szuranie nóg, napełniło salę. Pódsądnych wyprowadzono, wychodząc uśmiechali się, kiwali głowami krewnym i znajomym, a Iwan Gusiew zawołał do kogoś półgłosem:

— Trzymaj się, Jegorzel...

Matka i Sizow wyszli na korytarz.

— Pójdziecie napić się herbaty do szynku? — zapytał ją troskliwie Sizow. — Mamy półtorej godziny czasu!

— Nie chcę.

— No, to i ja nie pójdę. Ale — dzielnie się trzymają chłopcy, co? Siedzą, jakby tylko oni byli prawdziwymi ludźmi, a wszyscy pozostali nic nie znaczą! A Fedźka jaki to, co?

Podszedł do nich ojciec Samojłowa z czapką w rękę. Uśmiechnął się pośępnie i powiedział:

— Widzieliście mego Grzesia? Zrzekł się obrońcy i nie chce z nimi gadać. On pierwszy to podobno wymyślił. Twój, Pelagio, był ponoż za adwokatem, a mój powiada, nie życzę sobie! I wtedy wszyscy czterej się zrekli...

Obok niego stała żona. Mrugała nieustannie oczyma i wycierała nos rogiem chusteczki. Samojłow wziął brodę w rękę i ciągnął dalej patrząc na podłogę:

— Trudne to do rozgryzienia! Patrzysz na nich i myślisz — niepotrzebnie się do tego zabrali, zginą tylko nadaremnie. I nagle zaczynasz rozważać — a może ich jest prawda? Przypomnisz sobie, że na fabryce przecie rosną ciagle w siłę. Wyłapują ich, a oni jak te jazgarze w rzece — nie giną! I myślisz znowu — a może siła jest przy nich?

— Trudno jest nam, Stefanie Piotrowiczu, zrozumieć te sprawy! — powiedział Sizow.

— Trudno! — zgodził się Samojłow. Żona jego pociągnęła głośno powietrze nosem i zauważyła:

— Zdrowe chłopaki...

I nie mogąc powstrzymać uśmiechu na szerokiej, zwiędłej twarzy, dodała:

— Ty, Niłowna, nie gniewaj się na mnie. Palnęłam ci wpierw, że niby twój jest wszystkiemu winny, ale diabeł ich, prawdę mówiąc, wie, który z nich bardziej winny! Co to na naszego Grzegorza żandarmi i szpicle wygadywali! Postarał się rudy pies!

Była najwidoczniej, może nie zdając sobie z tego nawet sprawy, dumna z syna. Matka знаła to uczucie i odpowiedziała na jej słowa dobrym uśmiechem.

— Młode serce jest zawsze bliższe prawdy... — odezwała się cicho.

Po korytarzu wążęsalil się ludzie, zbieralil się w gromadki, rozmawialil ze wzburzeniem, rozważalil przytłumionymi głosami. Prawie nikt nie stał samotnie — na wszystkich twarzach widać było wyraźnie chęć mówienia, pytania, słuchania. W wąskiej, białej rurze korytarza, między dwiema ścianami, ludzie miotalil się w przód i w tył, niby pod uderzeniami silnego wiatru. Zdawało się, że szukają jakiegoś twardego i mocnego gruntu, na którym mogliby stanąć.

Starszy brat Bukina, wysoki i jak on bezbarwny, wymachiwał rękami, kręcił się na wszystkie strony i dowodził:

— Wójt Klepanow jest tutaj nie na miejscu...

— Milcz, Konstanty! — prosił go ojciec, maleńki starsuszek oglądając się bojaźliwie.

— Nie, muszę powiedzieć! Opowiadają o nim, że zeszłego roku zabił swego podwładnego. O żonę im poszło. A teraz żyje z nią. Jakże to zrozumieć? A przy tym — to znany złodziej...

— Ach ty Boże mój! Konstanty!

— Racja! — powiedział Samońłow. — Racja! Sąd nie jest taki jak należy...

Bukin usłyszawszy jego głos, podszedł do niego szybko pociągając za sobą innych i machając rękami, cały czerwony ze wzburzenia, krzyczał:

— Za kradzież, za zabójstwo sądzą przysięgli, prości ludzie, chłopci, mieszczanie! A ludzi, którzy są przeciw władzom, sądzą same władze — jakże to tak, pozwólcie? Jeżeli ty mnie skrzywdziłeś, a ja ci dam w zęby, a ty mnie za to będziesz sądził, to na pewno wyjdzie, że ja jestem winny. A kto pierwszy skrzywdził? Ty? Ty!

Siwy woźny, z garbatym nosem i medalami na pierśsiach, rozepchnął tłum i powiedział do Bukina grożąc mu palcem:

— Nie krzycz! Tu nie karczma!

— Za pozwoleniem, mój panie, ja wiem, co mówię! Posłuchajcie — jeżeli ja was uderzę i ja będę was sądzić, to jak myślicie...

— Każę cię stąd wyprowadzić! — powiedział surowo woźny.

— Dokąd? Po co?

— Na ulicę. Żebyś nie wrzeszczał...

Bukin powiódł spojrzeniem po wszystkich i powiedział półgłosem:

— Dla nich najważniejsze jest to, żeby ludzie milczeli...

— A ty co myślałeś?! — krzyknął surowo i grubiańsko stary. Bukin rozłożył ręce i zaczął mówić ciszej.

— I dlaczego nie dopuszczą do sądu wszystkich, a tylko krewnych? Jeżeli sądzisz sprawiedliwie, to nie masz się czego bać — sądz przy wszystkich!

Samojłow powtórzył jeszcze głośniej:

— Sąd nie jest wedle sumienia — to racja!...

Matka chciała opowiedzieć mu to, co słyszała od Mikołaja o bezprawiu sądu. Ale nie zrozumiała wtedy wszystkiego, a niektórych słów zapomniała. Starając się przy-

pomnieć je sobie, odsunęła się na bok i zobaczyła, że przygląda się jej jakiś młody człowiek z jasnymi włosami. Prawą rękę trzymał w kieszeni spodni, dlatego też jego lewe ramię było jakby niższe — ta osobliwość wydała się matce skądś znana. Ale odwrócił się od niej, a ona tak była pochłonięta wspomnieniami, że natychmiast zapomniała o nim.

Po chwili doleciało do niej rzucone półgłosem pytanie:
— Ta?

I ktoś głośniejszym i radośnie odpowiedział:

— Tak!

Obejrzała się. Człowiek z krzywym ramieniem stał bokiem do niej i mówił coś do swego sąsiada, czarnobrodego, młodego człowieka, w krótkim płaszczu i butach do kolan.

Coś poruszyło się niespokojnie w jej pamięci, ale nie wywołało żadnego jasnego obrazu. Rozpalała się w niej coraz mocniej i opanowywała ją chęć mówienia ludziom o prawdzie syna. Chciała słyszeć, co powiedzą ludzie przeciw tej prawdzie, chciała z ich słów wnioskować o wyroku sądu.

— Czy tak się sądzi? — zaczęła ostrożnie i cicho zwracając się do Sizowa. — Pytają o to, co kto zrobił, ale po co to zrobił — nie pytają. I sami starzy; młodych powinni sądzić młodzi...

— Tak — powiedział Sizow — trudno nam zrozumieć tę sprawę, trudno! — i pokiwał w zamyśleniu głową.

Woźny otworzył drzwi sali i zawołał:

— Krewni! Pokazywać bilety...

Ponury głos wymówił wolno:

— Bilety! Jak w cyrku!

We wszystkich ludziach wyczuwało się głuche rozdrażnienie, niejasny sprzeciw. Zaczęli zachowywać się swobodniej, hałasowali, kłócili się z woźnymi.

Sadowiąc się na ławce, Sizow mruczał coś pod nosem.

— Co ty? — spytała matka.

— Tak! Głupi naród...

Zadźwięczał dzwonek. Ktoś oznajmił jobojetnie:

— Sąd idzie...

Znowu wszyscy powstali i znowu w tym samym co przedtem porządku weszli sędziowie i zajęli miejsca. Wprowadzono oskarżonych.

— Trzymaj się! — szepnął Sizow. — Teraz będzie mówił prokurator!

Matka wyciągnęła szyję, całym ciałem pochyliła się do przodu i zamarła w nowym oczekiwaniu czegoś straszego. Stojąc bokiem do sędziów, z obróconą ku nim głową i opierając się łokciem o biurko, prokurator westchnął i, nerwowo wymachując w powietrzu prawą ręką, zaczął przemawiać. Pierwszych słów matka nie rozumiała. Głos prokuratora był niski, płynął nierównomiernie, to wolniej, to prędzej. Słowa wyciągały się monotennie w długi szereg jak ścięgi nitki i nagle wlatywały pośpiesznie, krążyły jak rój czarnych much nad kawałkiem cukru. Nie widziała w nich jednak nic przerażającego i groźnego. Zimne jak śnieg i szare jak popiół sypały się, sypały napełniając salę czymś drażniąco-dokuczliwym, jak drobny, suchy pył. Mowa jego skąpa w uczucia, ale obfita w słowa nie dosięgała pewnie Pawła i jego towarzyszy i nie dotykała ich — siedzieli wszyscy spokojnie, rozmawiali jak przedtem, uśmiechali się, czasem chmurzyli, żeby ukryć uśmiech.

— Kłamie! — szeptał jej Sizow.

Matka nie mogłaby tego powiedzieć. Słyszała słowa prokuratora, rozumiała, że oskarża wszystkich nie wyłączając nikogo. Powiedziawszy o Pawle, zaczynał mówić o Fedzi, a ustawivszy go obok Pawła, uparcie przysuwał

do nich Bukina — wydawało się, że pakuje i zaszywa wszystkich do jednego worka układając ich ciasno obok siebie. Ale zewnętrzny sens jego słów nie zadowalał jej, nie wzruszał i nie przerażał. Oczekiwała czegoś strasznego i z uporem szukała tego poza słowami — w twarzy, w oczach, w głosie prokuratora, w jego migającej w powietrzu, białej dłoni. Coś strasznego istniało, czuła to, ale było nieuchwytnie, nie dawało się określić pokrywając jej serce suchym i gryzącym nalotem.

Patrzyła na sędziów — bez wątpienia nudzili się słuchając tej mowy. Ich martwe, żółte i szare twarze były zupełnie bez wyrazu. Słowa prokuratora rozsnuwały w powietrzu niedostrzegalną dla oka mgłę, mgła ta zgęszczała się wokół sędziów, coraz mocniej spowijając ich obłokiem obojętności i znużonego oczekiwania. Starszy sędzia nie poruszał się, zastygł w swojej wyprostowanej pozycji, szare plamki za szklami jego okularów znikwały czasem, rozplywały się.

I widząc jego martwą bierność i pozbawioną złości obojętność, matka zadawała sobie zdumione pytanie:

— Sądzą?

Pytanie to ścisnęło jej serce i stopniowo wypędzało z niego oczekiwanie czegoś strasznego, dźwięło gardło ostrym uczuciem krzywdy i obrazy.

Mowa prokuratora urwała się niespodzianie — zrobił kilka pośpiesznych, drobnych ściegów, uklonił się sędziom i usiadł zacierając ręce. Marszałek szlachty kiwnął mu głową wytrzeszczając oczy, burmistrz uściśnął mu rękę, a wójt patrzył na swój brzuch i uśmiechał się.

Ale sędziów mowa jego widocznie nie ucieszyła — nie poruszali się.

— Głos ma — przemówił staruszek podnosząc do twarzy jakiś papier — obrońca Fedosięwa, Markowa i Zagarowa.

Wstał adwokat, którego matka widziała u Mikołaja. Twarz miał dobroduszną, szeroką, jego maleńkie oczka uśmiechały się promieniście — wydawało się, że spod rudawych brwi wysuwają się dwa ostrza i niby nożyce strzygą coś w powietrzu. Mówił powoli, dźwięcznie i wyraźnie, ale matka nie mogła przysłuchiwać się jego słowom, bo Sizow szeptał jej na ucho:

— Zrozumiałaś co on powiedział? Zrozumiałaś? Ludzie, powiada, nerwowo chorzy, szaleńcy. To — o Fedorze?

Nie odpowiadała, przytłoczona ciężkim rozczarowaniem, uczucie krzywdy i zniewagi rosło w niej przyniatając jej duszę. Teraz Własowa rozumiała, dlaczego czekała sprawiedliwości, myślała, że zobaczy surową, uczciwą walkę prawdy syna z prawdą jego sędziów. Sądziła, że sędziowie będą długo, uważnie i szczegółowo wypytywać Pawła o całe jego życie uczuciowe, że bystrymi oczyma badać będą myśli i czyny jej syna, wszystkie jego dni. I gdy zobaczą, że słuszność jest po jego stronie, to sprawiedliwie i głośno powiedzą:

— Ten człowiek ma rację!

Ale nic podobnego się nie stało — zdawało się, że oskarżeni są gdzieś, nieskończenie daleko od sędziów, a sędziowie są im niepotrzebni. Matka uczuła znużenie, przestała interesować się sądem i, nie słuchając słów, myślała z obrazą:

— Czy taki powinien być sąd?

— Dobrze im powiedział! — z aprobatą szepnął Sizow. Mówił już drugi adwokat, maleńki, z ostrą, bladą i ironiczną twarzą, a sędziowie przeszkadzali mu.

Prokurator zerwał się i powiedział coś szybko i gniewnie o protokole, po czym starszy udzielił obrońcy upomnienia — obrońca z szacunkiem skłonił głowę, wysłuchał ich i przemawiał dalej:

— Zakręcaj — zauważył Sizow. — Rozkręcaj...

W sali budziło się ożywienie i zapal walki, adwokat drażnił ostrymi słowami starą skórę sędziów. Sędziowie przysunęli się jak gdyby bliżej do siebie, nadęli się i nastrożyli, żeby odeprzeć ostre i kłujące prztyczki słów.

Ale oto podniósł się Paweł i nagle zrobiło się nieoczekiwanie cicho.

Matka pochyliła się całym ciałem ku przodowi. Paweł przemówił spokojnie:

— Jestem członkiem partii i uznaję tylko sąd mojej partii. Nie będę więc mówił w swojej obronie, ale na żądanie moich towarzyszy, także i tych, którzy zrzekli się obrony, spróbuję wyjaśnić wam to, czego nie rozumiecie. Prokurator nazwał nasze wystąpienie pod sztandarem socjaldemokracji—buntem przeciw najwyższej władzy i cały czas mówił o nas jak o buntownikach przeciw carowi. Muszę oświadczyć, że carat nie jest jedynym łańcuchem, który skuwa nasz kraj, jest on tylko pierwszym i najbliższym łańcuchem, który obowiązani jesteśmy zedrzeć z ludu...

Jego twardy głos zdawał się pogłębiać ciszę, rozszerzać ściągnięty sali. Paweł odsunął się jak gdyby od ludzi i z tego oddalenia postać jego zarysowywała się wyraźniej, stała się plastyczniejsza.

Sędziowie poruszyli się ciężko i niespokojnie. Marszałek szlachty szepnął coś sędziemu z leniwą twarzą, ów kiwnął głową i zwrócił się do staruszka, któremu z drugiej strony mówił jednocześnie coś na ucho chory sędzia. Przechyliwszy się na fotelu na prawo i na lewo, staruszek powiedział coś Pawłowi, ale głos jego utonął w równym i szerokim strumieniu mowy Własowa.

— Jesteśmy socjalistami. To znaczy, że jesteśmy wrogami prywatnej własności, która dzieli ludzi, uzbraja ich przeciw sobie, stwarza nieprzejednaną wrogość wyplwającą ze sprzeczności interesów, kłamie starając się ukryć albo usprawiedliwić tę wrogość, i deprawuje wszystkich

kłamstwem, obłudą i nienawiścią. Uważamy, że społeczeństwo, które patrzy na człowieka jako na narzędzie swego wzbogacenia się, jest nieludzkie, jest wrogie nam i nie możemy pogodzić się z jego dwulicową i kłamliwą moralnością. Cynizm i okrucieństwo jego stosunku do jednostki są dla nas wstrętne, chcemy i będziemy walczyć przeciw wszelkim formom fizycznego i moralnego ujarzmięcia człowieka przez takie społeczeństwo, przeciw wszelkim metodom miażdżenia człowieka dla dogodzenia zachłanności. My, robotnicy, jesteśmy ludźmi, którzy swoją pracą stwarzają wszystko, od gigantycznych maszyn do dziecinnych zabawek, jesteśmy ludźmi pozbawionymi prawa walki o swoją godność ludzką. Każdy stara się przekształcić nas w narzędzie służące mu do osiągnięcia swoich celów i może to uczynić. Chcemy mieć tyle swobody, by pozwoliła nam zdobyć z czasem władzę. Nasze hasła są proste: Precz z własnością prywatną, wszystkie środki produkcji — ludowi, cała władza — w ręce ludu, obowiązek pracy — dla wszystkich! Widzicie, że nie jesteśmy buntownikami!

Paweł uśmiechnął się, przeciągnął powoli ręką po włosach, jego błękitne oczy zapłonęły jaśniejszym blaskiem.

— Proszę mówić do rzeczy! — powiedział głośno i wyraźnie przewodniczący. Obrócił się piersią do Pawła, patrzył na niego i matce wydało się, że jego lewe, przymgłone oko zapłonęło złym, żarłocznym ogniem. I wszyscy sędziowie patrzyli teraz na jej syna tak, iż wydawało się jej, że oczy ich przylepiają się do jego twarzy, wsysają się w jego ciało, pożądają jego krwi, żeby ożywić nią swoje starcze, zużyte ciała. A Paweł, prosty i wysoki, stojąc twardo i mocno, wyciągał ku nim rękę i, nie podnosząc głosu, wyraźnie skandował:

— Jesteśmy rewolucjonistami i będziemy nimi do tej pory, póki jedni będą tylko — rozkazywać, drudzy tylko — pracować. Jesteśmy przeciw społeczeństwu, którego in-

teresów kazano wam bronić, jesteśmy jego i waszymi nieprzejebranymi wrogami i zgoda między nami jest niemożliwa do tej pory, póki nie zwyciężymy. A zwyciężymy my, robotnicy! Wasi mocodawcy nie są tak silni, jak się im wydaje. Ta sama własność, którą gromadzili i której bronili poświęcając jej miliony ujarzmionych przez siebie ludzi, ta sama siła, która daje im władzę nad nami, budzi wśród nich wrogie tarcia, staje się powodem ich fizycznej i moralnej ruiny. Własność wymaga zbyt wielkiego natężenia sił dla swej obrony i w istocie rzeczy, wy, nasi władcy, jesteście bardziej niewolnikami niż my — jesteście ujarzmieni duchowo, my — tylko fizycznie. Wy nie możecie wyzwolić się z ucisku przesądów i nawyków, które zabijają was duchowo, nam nic nie przeszkodzi być wewnątrz wolnymi — trucizny, którymi nas zatruwacie, są słabsze niż ich odtrutki, które wsączacie mimo woli w naszą świadomość. Świadomość nasza rośnie, rozwija się bezustannie, coraz szybciej, rozpala się i pociąga za sobą wszystko, co jest najlepszego i duchowo zdrowego, nawet z waszego środowiska. Popatrzcie — nie macie już przecież ludzi, którzy mogliby ideowo walczyć w obronie waszej władzy, zużyliście już wszystkie argumenty, które zdolne by były ochronić was przed naporem sprawiedliwości dziejowej, nie możecie stworzyć niczego nowego w sferze idei, jesteście duchowo bezpłodni. Nasze idee rosną, płoną coraz jaśniejszym blaskiem, opanowują masy ludowe, organizują je do walki o wolność. Świadomość wielkiej misji dziejowej robotnika łączy wszystkich robotników całego świata w jedną całość — nie możecie niczym powstrzymać tego procesu odradzania się życia, niczym oprócz okrucieństwa i cynizmu. Ale cynizm widoczny jest dla każdego, okrucieństwo — drażni. I ręce, które teraz dławią nas, wkrótce zamienią z nami uścisk dłoni towarzysza. Wasza energia to mechaniczna energia procen-

tującego złota, jednoczy was ona w grupy, które są skazane na wzajemne pożeranie się. Nasza energia — to żywa siła ciągle wzrastającego uświadamiania sobie solidarności wszystkich robotników. Wszystko, co wy robicie, jest przestępstwem, zmierza bowiem do ujarzmiania ludzi. Nasza praca oswobadza świat od upiorów i zmór, zrodzonych z waszego kłamstwa, złości i chciwości, potworów, którymi zastraszyliście lud. Wy oderwaliście człowieka od życia i zburzyliście je, socjalizm złączy zniszczony przez was świat w jedną wielką całość — i to się stanie!

Paweł zatrzymał się na sekundę i powtórzył ciszej, ale z jeszcze większą siłą:

— I to się stanie!

Sędziowie szeptali między sobą wykrzywiając się dziwnie, i nie odrywali żarłocznych oczu od Pawła. Matka czuła, że brudzą swoimi spojrzeniami jego gibkie, mocne ciało, że zazdroszczą mu zdrowia, siły i świeżości. Pod sądni słuchali uważnie mowy towarzysza, twarze ich pobladły, oczy błyszczały radością. Matka chłoneła słowa syna i słowa te ryły się w jej pamięci harmonijnymi strofami. Staruszek kilka razy przerywał Pawłowi, objaśniał mu coś, raz uśmiechnął się nawet smutnie. Paweł wysłuchiwał go w milczeniu i zaczynał mówić znowu surowo, ale spokojnie zmuszając ich do słuchania, poddając wolę sędziów swojej woli. Ale w końcu staruszek krzyknął wyciągając rękę do Pawła. Głos Pawła odpowiedział mu nieco szyderczo:

— Już kończę. Nie miałem zamiaru obrazić was osobiście. Przeciwnie — biorąc mimo woli udział w tej komedii, którą wy nazywacie sądem, czuję niemal litość dla was. Mimo wszystko — jesteście ludźmi, a nam jest zawsze przykro, gdy widzimy ludzi, choćby z wrogiego nam obozu, tak haniebnie spodlonych służbą przemocy, ludzi, którzy do tego stopnia utracili poczucie swej ludzkiej godności...

Usiadł nie patrząc na sędziów. Matka wstrzymując oddech obserwowała uważnie sędziów, czekała.

Andrzej, cały promieniejący, mocno uścisnął rękę Pawła, Samojłowa, Mazina i wszyscy inni z ożywieniem skupili się koło niego. Paweł uśmiechał się, trochę zmieszany porywem towarzyszy, spojrzał w stronę, gdzie siedziała matka, i kiwnął jej głową, jakby pytał:

— Czy tak?

Odpowiedziała mu głębokim westchnieniem szczęścia, cała oblana falą miłości.

— Teraz zaczął się sąd! — wyszeptał Sizow. — Ale im dał, co?

Skinęła w milczeniu głową, zadowolona, że syn mówił tak śmiało, i może jeszcze bardziej z tego, że skończył. W głowie jej kołatało pełne oczekiwania pytanie:

— No? I co wy na to?

XXVI

To, o czym mówił syn, nie było dla niej nowe. Znała te myśli. Ale pierwszy raz tutaj, przed obliczem sądu, odczuła dziwną, porywającą siłę jego wiary. Uderzył ją spokój Pawła i słowa jego stapały się w jej sercu w promienistą gwiazdę mocnego, niezłomnego przekonania o słuszności jego idei i wiary w jego zwycięstwo. Oczekiwała, że sędziowie zaczną teraz walczyć z nim zacięcie, przeczyć mu przeciwstawiając mu swoją prawdę. Ale oto wstał Andrzej, pochylił się ku sędziom, spojrzał spode łba na nich i przemówił:

— Panowie obrońcy ...

— Przed wami jest sąd, a nie obrońcy! — zwrócił mu uwagę głośno i gniewnie sędzia z chorą twarzą. Po wyrazie twarzy Andrzeja matka zmiarkowała, że chce zakpić

z nich — wąsy mu drżały, w oczach świeciła się znana jej, chytra, kocia przymilność. Potarł mocno głowę długą ręką i westchnął:

— Naprawdę? — powiedział kiwając głową. — A ja myślę, że nie jesteście sędziami, tylko obrońcami...

— Proszę mówić o istocie sprawy! — sucho zauważył staruszek.

— O istocie? Dobrze! Już zmusiłem się do uwierzenia, że jesteście naprawdę sędziami, ludźmi niezależnymi, uczciwymi...

— Sąd nie potrzebuje waszej charakterystyki!

— Nie potrzebuje? Hm — no... Mimo to będę mówił dalej... Jesteście ludźmi, dla których nie ma ani swoich, ani obcych, jesteście wolnymi ludźmi. Przed wami stają dwie strony. Jedna skarży się — grabią mnie i mordują! A druga odpowiada — mam prawo grabić i mordować, ponieważ posiadam karabin...

— Czy macie do powiedzenia coś związanego ze sprawą? — podnosząc głos zapytał staruszek. Ręka drżała mu i matka widziała z przyjemnością, że złości się. Ale zachowanie się Andrzeja nie podobało się jej — nie zlewało się z nastrojem mowy jej syna, a ona pragnęła poważnego i surowego sporu.

Chachoł popatrzył w milczeniu na staruszkę, po czym, pocierając głowę, powiedział poważnie:

— W związku ze sprawą? Po co mam mówić z wami o tym? To, co należało powiedzieć, towarzysz mój już powiedział. Resztę dopowiedzą wam, gdy nadejdzie czas, inni...

Staruszek uniósł się na fotelu i oznajmił:

— Odbieram wam głos! Grzegorz Samojłow!

Zacisnąwszy mocno usta, chachoł opuścił się leniwie na ławę, obok niego powstał Samojłow i potrząsnął kędzierzawą czupryną.

— Prokurator nazwał towarzyszy dzikusami, wrogami kultury...

— Proszę mówić tylko o tym, co dotyczy sprawy!

— To jej dotyczy. Nie ma niczego, co by nie dotyczyło uczciwych ludzi. I proszę mi nie przerywać. Pytam was — co to jest ta wasza kultura?

— Nie przyszliśmy tu na dyskusję z wami! Do rzeczy! — obnażając zęby powiedział staruszek.

Zachowanie się Andrzeja wyraźnie zmieniło sędziów. Słowa jego jak gdyby starły z nich coś. Na szarych twarzach ukazały się plamy, w oczach zapaliły się chłodne, zielone iskry. Mowa Pawła rozdrażniła ich, ale jednocześnie siła jej powstrzymywała to rozdrażnienie nakazując mimowolny szacunek, chachoł zerwał to zewnętrzne opowanie i z łatwością obnażył to, co było pod nim. Szeptali ze sobą z dziwnym grymasem i poruszali się zbyt szybko jak na nich.

— Wy wychowujecie szpicli, pchacie w objęcia rozpusty kobiety i dziewczęta, wy czynicie z człowieka złodzieja i zabójcę, zatruwacie ludzi wódką. Międzynarodowe rzezie, rozpusta i zdziczenie — oto wasza kultura! Tak, jesteśmy wrogami tej kultury!

— Proszę! — zawołał staruszek trzęsąc podbródkiem. Ale Samojłow cały czerwony, błyskając oczyma, krzychał:

— Ale cenimy i szanujemy tę inną kulturę, kulturę twórców, których gnoiliście w więzieniach, doprowadzaliście do szaleństwa...

— Odbieram wam głos! Fedor Mazin!

Małeńki Mazin podniósł się, jakby nagle wysunęło się szydło, i przerywanym głosem powiedział:

— Ja... ja przysięgam! Wiem — skazaliście mnie już.

Zatchnął się, poblądł, na jego twarzy widać było tylko oczy, wyciągnął rękę i krzyknął:

— Ja... daję słowo honoru! Gdziekolwiek mnie pośle-
cie, ucieknę, wrócę i będę pracować zawsze — całe życie!
Słowo honoru!

Sizow chrząknął głośno, poruszył się. I cała publiczność
dając się unieść podnoszącej się coraz wyżej fali wzburze-
nia, zahuczała głucho. Jakaś kobieta płakała, ktoś kaszłał
dusząc się. Żandarmi patrzyli na podsądnych z tępym zdzi-
wieniem, na publiczność ze złością. Sędziowie przechylili
się w fotelach, staruszek wywołał cienkim głosem:

— Iwan Gusiew!

— Nie chcę mówić!

— Wasyli Gusiew!

— Nie chcę!

— Fiodor Bukin!

Podniósł się białowłosy i białorzęsy chłopak i, kiwając
głową, powiedział:

— Wstydzilibyście się! Ja myślę ciężko, ale mimo to ro-
zumiem, co sprawiedliwość! — podniósł rękę wyżej głowy,
zamilkł w pół przymknawszy oczy, jakby przyglądał się cze-
muś w oddali.

— Co takiego? — z rozdrażnieniem i ze zdumieniem
zawołał staruszek przechylając się w tył na fotelu.

— Ażeby was...

Bukin osunął się ponuro na ławę. Było coś ogromnego
i ważkiego w jego mętnych słowach, był jakiś smutny
i naiwny wyrzut. Wszyscy poczuli to i sędziowie przysłuchi-
wali się, jakby oczekując, czy nie rozlegnie się echo wyraż-
niejsze niż słowa. I na ławach publiczności wszystko za-
marło, tylko cichy płacz unosił się w powietrzu. Prokura-
tor wzruszył ramionami i uśmiechnął się, marszałek
szlachty kaszlnął głośno i znowu stopniowo rozległy się
szepty, z podnieceniem krążąc po sali.

Matka pochyliwszy się do Sizowa spytała:

— Teraz sędziowie będą mówić?

— Wszystko skończone ... Tylko wyrok oznajmią...

— I więcej nic?

Tak...

Nie uwierzyła mu.

Samojłowa, niespokojnie poruszając się na ławce i trącając matkę ramieniem i łokciem, mówiła cicho do męża:

— Jakże to tak? Czy tak można?

— Widzisz, że można!

— Więc co z nim będzie, z Grzesiem, co?

— Odczep się...

Czuło się, że we wszystkich coś się przesunęło, poruszyło, rozbiło. Ludzie mrugali ze zdziwieniem oślepienymi oczyma, jak gdyby zapaliło się przed nimi coś jaskrawego o niejasnych konturach i niezrozumiałym znaczeniu, ale pociągającego ich ku sobie z niepokonaną siłą. I nie rozumiejąc tego, co było wielkie i tak nagle otwarło się przed nimi, pośpiesznie przejawiali nowe dla nich uczucie w rzeczach drobnych, widocznych i zrozumiałych dla nich. Starszy Bukin, nie krępując się, szeptał głośno:

— Pozwólcie — dlaczego nie dają mówić? Prokurator może mówić, co mu się tylko podoba i jak długo chce...

Obok ławek stał urzędnik i machając rękami na ludzi, mówił półgłosem:

— Ciszej! Ciszej...

Samojłow odrzucił w tył głowę i huczał za plecami żony wyrzucając urywane słowa:

— Oczywiście — powiedzmy, że są winni. Ale pozwól wyjaśnić! Przeciw czemu poszli? Chcę to zrozumieć! Mnie także to interesuje...

— Ciszej! — grożąc mu palcem, zawołał urzędnik.

Sizow ponuro kiwał głową.

A matka nie odrywała wzroku od sędziów i widziała, że są coraz bardziej podnieceni i rozmawiają ze sobą niewy-

rażnymi głosami. Chłodny i śliski dźwięk ich rozmowy dotykał jej twarzy i dotknięcie to wywoływało drzenie w policzkach i chorobliwe, obrzydliwe uczucie w ustach. Matce wydawało się nie wiedzieć czemu, że mówią o ciele jej syna i jego towarzyszy, o muskułach i członkach młodzieńców, pełnych gorącej krwi i żywej siły. Że to ciało budzi w nich niedobrą zazdrość żebraków, lepką chciwość wyčerpanych i chorych. Cmokają wargami i żałują tych ciał, które mogłyby pracować i wzbogacać ich, rozkoszować się życiem i tworzyć. Teraz ciała te wycofują się z obiegu życia, wyrzekają się go i równocześnie znika możliwość władania nimi, wykorzystania ich siły, pożarcia jej. I dlatego ci młodzi wywołują w starych sędziach mściwe rozdrażnienie osłabłego zwierza, który widzi świeży pokarm, ale nie ma już siły pochwycić go, stracił już zdolność nasycania się cudzą siłą i bezsilnie warczy, posępnie wyje widząc, że źródło jego sytości oddala się od niego.

I im uważniej przyglądała się matka sędziom, tym wyraźniejszych kształtów nabierała ta dziwaczna i potworna myśl. Zdawało się jej, że sędziowie nie ukrywają już podnieconej żarłoczności i bezsilnej wściekłości głodnych zwierząt, które mogły kiedyś dużo żreć. I ją, matkę i kobietę, dla której ciało syna jest zawsze i mimo wszystko droższe od tego, co nazywa się duszą, napełniał lękiem widok tych zgasłych oczu, pełzających po jego twarzy, obmacujących jego pierś, plecy i ręce. Spojrzenia ich zdawały się ocierać o jego gorącą skórę, jak gdyby pragnęły ogrzać krew w ich stwardniałych żyłach i w zużytych mięśniach. Ci półmartwi ludzie, teraz ożywieni nieco bodźcami chciwości i zawiści względem młodego życia, musieli je osądzić, ale jednocześnie — odebrać samym sobie. Wydawało się jej, że syn czuje te wilgotne, nieprzyjemnie łaskoczące dotknięcia, wdryga się i patrzy na nią.

Paweł patrzył w twarz matki spokojnie, łagodnie znużonymi oczyma, czasem kiwał do niej głową i uśmiechał się.

— Wkrótce wolność! — mówił jej ten uśmiech, jakby gładził serce matki swoją miękką pieśczętą.

Nagle sędziowie podnieśli się jednocześnie. Matka podniosła się mimo woli także.

— Poszli! — powiedział Sizow.

— Po wyrok? — zapytała matka.

— Tak...

Naprężenie nagle ustąpiło. W całym ciele odczuła wyczerpanie i znużenie, brew zadrżała, na czole wystąpił pot. Ciężkie uczucie rozczarowania i obrazy napłynęło do serca i przekształciło się szybko w przygniatające jej duszę uczucie pogardy dla sędziów i sądu. Czuła ból w brwiach i powiodła mocno ręką po czole. Rozejrzała się: krewni pod sądnych podchodzili bliżej do kraty, sala napelniła się gwarem rozmów. Podeszła również do Pawła i, ścisnąwszy mocno jego rękę, rozplakała się, pełna oburzenia i radości, zbląkana w chaosie różnorodnych uczuć. Paweł mówił jej dobre, serdeczne słowa, chachoł żartował i śmiał się.

Wszystkie kobiety płakały, ale bardziej z przyzwyczajenia niż ze smutku. Nie zdarzyło się nieszczęście spadające niespodzianie i nie wiadomo skąd na głowę, niby tępe uderzenie. Była tylko smutna świadomość konieczności rozstania się z dziećmi, ale i ona tonęła i rozplywała się we wrażeniach, wywołanych przez ten dzień. Ojcowie i matki patrzyli na dzieci z niejasnym uczuciem, w którym niedowierzanie dla młodości i ukształtowane przez przyzwyczajenie przekonanie o swojej wyższości w stosunku do dzieci — zlewało się dziwnie z innym uczuciem, uczuciem zbliżonym do szacunku. Nieodstępną myśl — jak teraz żyć, przytępiała ciekawość, którą wzbudziła ta młodzież, tak śmiało i nieustraszenie mówiąca o możliwości innego, pięknego

zycia. Nieumiejętność wyrażania swych uczuć hamowała je. Zużywano wiele słów, ale mówiono o najprostszych rzeczach — o bieliźnie, o odzieży, o konieczności strzeżenia zdrowia.

Brat Bukina wymachując rękami, przekonywał młodszego brata:

— Właśnie — sprawiedliwości! Niczego więcej!

Młodszy Bukin odpowiadał:

— Pilnuj szpaka...

— Będzie cały i zdrowy!...

Sizow trzymał siostrzeńca za rękę i mówił powoli:

— Tak, Fiodor, a więc — pojechałeś...

Fedzia pochylił się ku niemu i szepnął mu coś na ucho uśmiechając się szelmowsko. Żołnierz z konwoju uśmiechnął się także, ale zaraz przybrał surowy wyraz twarzy i chrząknął.

Matka mówiła z Pawłem, podobnie jak inni i o tym samym — o ubraniu, o zdrowiu. Ale w piersi jej tłoczyły się dziesiątki pytań. Chciała zapytać o Saszę, o siebie, o niego. Pod tym wszystkim kryło się jednak i rozrastało się powoli uczucie nadmiaru miłości do syna, wyteżona chęć podobańca mu się, jak największego zbliżenia się do niego. Oczekiwanie czegoś straszliwego zginęło, pozostawiwszy po sobie tylko nieprzyjemny dreszcz przy wspomnieniu o sędziach i gdzieś, z boku, ponurą myśl o nich. Czuła w sobie kielkowanie wielkiej, jasnej radości, nie rozumiała jej i czuła się nią zmieszana. Widząc, że chachoł rozmawia ze wszystkimi, i rozumiejąc, że jemu bardziej niż Pawłowi potrzebna jest serdeczność, przemówiła do niego:

— Nie podobał mi się sąd!

— A dlaczego, matenka? — zawołał uśmiechając się z wdzięcznością chachoł. — Stary młyn, a nie próżnuje...

— I nie boją się ludzie, i nie rozumieją, czyja prawda — niezdecydowanie powiedziała matka.

— Oho — zawołał Andrzej — czego się wam zachcie-
wa! Czyż tutaj o prawdę się procesują?...

Westchnęła i powiedziała z uśmiechem:

— A ja myślałam, że to — straszne...

— Sąd idzie!

Wszyscy rzucili się pośpiesznie na miejsca.

Starszy sędzia oparł się jedną ręką o stół i, zakrywając
twarz papierem, zaczął czytać. Jego słaby, brzęczący głos
przypominał głos trzmiela.

— Skazuj! — powiedział Sizow wsłuchując się.

Zapanowała cisza. Wszyscy wstali patrząc na staruszkę.
Mały, suchy, prosty, przypominał pałkę trzymaną przez ja-
kąś niewidzialną rękę. Sędziowie stali także: wójt przechy-
liwszy głowę na ramię patrzył w sufit, burmistrz zało-
żył ręce na piersiach, marszałek szlachty gładził brodę.
Sędzia z chorą twarzą, jego pulchny towarzysz i pro-
kurator patrzyli w stronę podsądnych. A spoza sędziów, po-
przez ich głowy patrzył z portretu car w czerwonym mun-
durze, z obojętną białą twarzą. Po jego twarzy pelzał ja-
kiś owad.

— Na zesłanie! — odetchnąwszy z ulgą, powiedział Si-
zow. — No, skończone, dzięki ci, Boże! Mówiono — ka-
torga! To jeszcze nieźle, matko! Nieźle!

— Wiedziałam przecież — odpowiedziała zmęczonym
głosem.

— Ale mimo to! Teraz to już pewne! A tak — to kto
ich wie? — odwrócił się do podsądnych, których już wy-
prowadzano, i powiedział głośno:

— Do zobaczenia, Fiodorze! Do zobaczenia ze wszyst-
kimi! Szczęść wam Boże!

Matka w milczeniu skinęła głową synowi i wszystkim.
Chciało się jej rozplakać, ale wstydziła się.

Wyszła z sądu i zdziwiła się, że nad miastem jest już noc, latarnie palą się na ulicy, a gwiazdy na niebie. Koło sądu tłoczyły się grupki ludzi, w mroźnym powietrzu chrzęścił śnieg i dźwięczały młode głosy krzyżując się ze sobą. Człowiek w szarym basztyku zajrzał w twarz Sizowowi i pośpiesznie zapytał:

— Jaki wyrok?

— Na zesłanie.

— Wszyscy?

— Wszyscy.

— Dziękuję!

Człowiek odszedł.

— Widzisz? — powiedział Sizow. — Pytają...

Nagle okrążyło ich z dziesięć osób, młodych chłopców i dziewcząt i szybko posypały się okrzyki, przyciągające ludzi. Matka i Sizow zatrzymali się. Pytano ich o wyrok, o to, jak zachowywali się podsądni i kto przemawiał. I we wszystkich tych pytaniach dźwięczała wspólna nuta chciwej ciekawości. I ta gorąca, szczerza ciekawość budziła chęć zaspokojenia jej.

— Panowie! To matka Pawła Własowa! — zawołał ktoś cicho. Głosy milkły szybko jedno po drugim. Zapanaowała cisza.

— Pozwólcie uścisnąć waszą rękę!

Czyjaś mocna dłoń ścisnęła palce matki, czyjś głos powiedział ze wzruszeniem:

— Wasz syn będzie przykładem męstwa dla nas wszystkich!

— Niech żyje robotnik rosyjski! — rozległ się dźwięczny okrzyk.

Okrzyki rosły, mnożyły się, wybuchały to tu, to tam, zewsząd biegli ludzie tłocząc się wokół Sizowa i matki.

Gwizdki policyjne przecięły powietrze, ale ich dźwięki nie zagłuszały okrzyków. Stary śmiał się, a matce wszystko to wydawało się miłym snem. Uśmiechała się, ścisnęła rękę, kłaniała się i dobre, jasne łzy płynęły jej z oczu, wzruszenie ścisnęło jej gardło. Nogi drżały ze zmęczenia, ale pełne radości serce chłono wszystko i odbijało wrażenia, niiby jasne oblicze jeziora. Blisko niej czyjś dźwięczny głos mówił nerwowo:

— Towarzysze! Potwór, który pożera naród rosyjski, przełknął dzisiaj swoją bezdenną, żarłoczną paszczą...

— Jednakże, matko, chodźmy! — powiedział Sizow.

Jednocześnie skądś pojawiła się Sasza, wzięła matkę pod rękę i szybko pociągnęła za sobą na drugą stronę ulicy.

— Chodźcie lepiej, będą bić albo aresztować. Zesłanie? Na Sybir?

— Tak! Tak!

— A jak on mówił? Zresztą, wiem. Był najmocniejszy i najszczerzy ze wszystkich i — najsurowszy, oczywiście. Jest wrażliwy, czuły, ale wstydzi się to okazać.

Jej gorący szept, słowa jej miłości, uspokajały wzbudzenie matki, przywracały jej siły.

— Kiedy pojedziecie do niego? — zapytała cichutko i serdecznie przytulając do siebie jej rękę.

Dziewczyna odpowiedziała pewnym głosem patrząc przed siebie:

— Gdy tylko znajdę kogoś, kto weźmie moją pracę. Ja przecież także oczekuję wyroku. Ześlą mnie także — prawdopodobnie na Sybir. Oświadczę wówczas, że życzę sobie, by osiedlono mnie w tej samej miejscowości, co i on.

Z tyłu rozległ się głos Sizowa:

— Pokłońcie mu się wtedy ode mnie! Sizow, powiedzcie, on już będzie wiedział. Wuj Fedzi Mazina...

Sasza zatrzymała się, odwróciła, wyciągnęła do niego rękę.

— Znam Fedzię. Nazywam się Aleksandra.

— A po ojcu?

Sasza spojrzała na niego i odpowiedziała:

— Nie mam ojca.

— Umarł?

— Nie, żyje! — odpowiedziała dziewczyna ze wzburzeniem i z naciskiem; jakiś upór zadźwięczał w jego głosie i zjawił się w wyrazie twarzy. — Jest obszarnikiem i naczelnikiem ziemskim. Okrada chłopów...

— Taak... — odezwał się z przygnębieniem Sizow i milczał przez chwilę idąc obok dziewczyny i spoglądając na nią z boku:

— No, matko, żegnaj! Ja na lewo. Do widzenia, panienko — surowo ojca sądziecie. Oczywiście — wasza sprawa...

— A gdyby wasz syn był podłym człowiekiem, szkodliwym dla ludzi i wstrętnym dla was — powiedzielibyście to? — namiętnie zawołała Sasza.

— No — powiedziałbym! — nie od razu odparł stary.

— No więc — sprawiedliwość droższa wam jest od syna, a mnie — od ojca...

Sizow uśmiechnął się kiwając głową, a potem powiedział westchnąwszy:

— No, no! Zręcznie to wywieśliście! Jeżeli wystarczy was na długo — zwyciężycie starych — mocno uderzacie!... Żegnajcie! Życzę wam wszystkiego dobrego! I więcej względności dla ludzi, co? Żegnaj, Niłowna! Jeżeli zobaczysz Pawła, to powiedz mu, że słyszałem jego mowę. Nie wszystko było w niej zrozumiałe, niejedno nawet straszne, ale — powiedz mu — prawdę mówi!!

Podniósł czapkę i statecznym krokiem skręcił za róg ulicy.

— To musi być dobry człowiek! — zauważyła Sasza odprowadzając go uśmiechniętym spojrzeniem swoich dużych oczu.

Matce wydało się, że dzisiaj wyraz twarzy dziewczyny jest miększy i łagodniejszy niż zazwyczaj.

W domu usiadły na kanapie, mocno przytulone do siebie i matka odpoczywając w ciszy, zaczęła znowu rozmowę o wyjeździe Saszy do Pawła. Podniósłszy w zadumie gęste brwi, dziewczyna patrzyła w dal dużymi, marzącymi oczyma, jej blada twarz nabrała wyrazu skupienia.

— Potem, kiedy będziecie mieli dzieci, przyjadę do was niańczyć je. I będziemy tam żyli nie gorzej niż tutaj. Robotę Pawełek znajdzie, ręce ma złote...

Obrzuciwszy matkę badawczym spojrzeniem, Sasza spytała:

— A nie chce wam się jechać za nim zaraz?

Matka westchnęła i odpowiedziała:

— Na co bym mu się zdała? Zawadzałabym mu tylko w razie ucieczki. A zresztą — nie zgodzi się...

Sasza skinęła głową:

— Nie zgodzi się!

— A przy tym — jestem w robocie! — dorzuciła matka z lekką dumą.

— Tak! — powiedziała w zamyśleniu Sasza. — To dobrze...

Nagle wzdrygnęła się i, jak gdyby zrzucając coś z siebie, zaczęła mówić cicho i z prostotą:

— On nie zostanie tam. Ucieknie, oczywiście...

— A co z wami będzie?... I jeżeli — dziecko?...

— Zobaczymy. Paweł nie powinien liczyć się ze mną. Nie będę go krępować. Będzie mi ciężko rozstać się z nim, ale, rozumie się, dam sobie radę. Nie będę go krępować, nie.

Matka poczuła, że Sasza zdolna jest postąpić tak jak mówi i zrobiło się jej żal dziewczyny. Objęła ją i powiedziała:

— Kochana moja, trudno wam będzie!

Sasza uśmiechnęła się miękko i przytuliła się mocno do niej.

Mikołaj zjawił się zmęczony i, rozbierając się, mówił pośpiesznie:

— No, Sasza, zabierajcie się stąd pókiście cali! Dwaj szpicle chodzą za mną od rana, a robią to tak otwarcie, że sprawa pachnie aresztowaniem. Mam przecucie. Coś się gdzieś wydarzyło. Ale, ale — mam przy sobie mowę Pawła, postanowiono ją wydrukować. Zanieście ją Ludmile, błagajcie, żeby pracowała jak najprędzej. Paweł mówił wspaniale, Niłowna!... Strzeżcie się szpicli, Sasza...

Mocno rozcierał zziębnięte ręce i, podszedłszy do stołu, zaczął pośpiesznie wyciągać szufladki i wyjmować z nich papiery. Jedne darł, drugie odkładał na bok, zafrasowany i rozczochrany.

— Niedawno oczyściłem całe mieszkanie, a teraz i!e znowu nagromadziło się różnych różności — do diabła! Widzicie, Niłowna, dla was by może było lepiej nie nocować dzisiaj w domu, co? Asystować przy tej uroczystości jest rzeczą dosyć nudną, mogą i was wsadzić — a wy będziecie musieli pojeździć tu i tam z mową Pawła...

— Na co bym się im przydała? — powiedziała matka.

Mikołaj wymachując dłonią przed jej oczyma, oświadczył z pewnością siebie:

— Ja mam węch! Prócz tego zaś, moglibyście pomóc Ludmile, co? Nie kuście licha!...

Możliwość przyjęcia udziału w drukowaniu mowy syna uradowała ją.

— Jeżeli tak, to pójdę — odpowiedziała.

I niespodzianie dla samej siebie dodała cichym, ale pewnym głosem:

— Teraz, chwała Bogu, nie boję się niczego!

— Cudownie! — zawołał Mikołaj nie patrząc na nią.—

Ale powiedzcie mi, gdzie jest moja waliza i moja bieżnia, bo zagarnęliście wszystko w swoje drapieżne ręce i jestem zupełnie pozbawiony możności rozporządzania moją osobistą własnością...

Sasza w milczeniu paliła w piecu podarty papier i gdy spalał się, mieszała starannie z popiołem.

— Idźcie już, Sasza! — powiedział Mikołaj wyciągając do niej rękę. — Do widzenia! Nie zapominajcie przysłać mi książek, jeżeli ukaże się coś interesującego. No, do widzenia, droga towarzyszko! Bądźcie ostrożniejsi...

— Liczycie na długo? — spytała Sasza.

— A diabeł ich wie! Zapewne — mam coś niecoś na sumieniu. Niłowna, może poszlibyście z nią razem, co? Dwie osoby trudniej śledzić — dobrze?

— Idę! — odpowiedziała matka. — Zaraz się ubiorę...

Przyglądała się badawczo Mikołajowi, ale oprócz zatroskania, które przesłoniło jego zwykły, dobry i miękki wyraz twarzy, nie zauważyła niczego. Ani zbędnego krzątania się, ani jakiegokolwiek oznaki zdenerwowania nie widziała u tego człowieka, który stał się jej droższy od innych. Z jednakową uwagą odnoszący się do wszystkich, ze wszystkimi serdeczny i równy, zawsze spokojny i samotny, i w tej chwili był taki jak zwykle — żył swoim ukrytym wewnętrznym życiem, wyprzedzającym jak gdyby życie innych ludzi. Wiedziała jednak, że zbliżył się do niej bardziej niż do innych, i kochała go ostrożną, jak gdyby samej sobie nie dowierzającą miłością. Teraz było jej go nie do zniesienia żal, ale opanowywała swoje uczucia wiedząc, że jeśli okaże je, to Mikołaj zmiesza się, zawstydzi, i stanie się, jak zawsze w takich razach, trochę śmieszny, a nie chciała widzieć go takim.

Weszła znowu do pokoju. Mikołaj ścisnął rękę Saszy i mówił:

— Doskonale! Jestem przekonany, że to bardzo dobrze dla niego i dla was. Trochę osobistego szczęścia — nie zawadzi. Jesteście gotowi, Niłowna?

Podszedł do niej uśmiechając się i poprawiając okulary.

— No, do zobaczenia, chcę myśleć — że za trzy, cztery miesiące, no powiedzmy — za pół roku! — Pół roku to kawał życia... Uważajcie na siebie, proszę was, co? No, uściskajmy się...

Szczupły i smukły, objął jej szyję swoimi mocnymi rękami, zajął jej w oczy, zaśmiał się i powiedział:

— Zdaje się, że się w was zakochałem — ciągle całuję się z wami!

Milczała całując jego czoło i policzki, a ręce jej drżały. Żeby nie zauważył tego, rozluźniła ich uścisk.

— Uważajcie, jutro — ostrożnie! Oto co wam poradę — przyślijcie jutro rano chłopaczka — Ludmiła ma takiego chłopaczka — niechaj on popatrzy. No, do zobaczenia, towarzyszek! Wszystkiego dobrego!...

Na ulicy Sasza powiedziała cichutko do matki:

— Z taką samą prostotą pójdzie na śmierć, jeżeli to będzie potrzebne, i tak samo, zapewne, pośpieszy się trochę. A gdy śmierć zajrzy mu w oczy, poprawi okulary, powie — doskonale! — i umrze.

— Kocham go bardzo! — wyszeptwała matka.

— Co do mnie, to podziwiam go, ale — kochać — nie. Szanuję go — bardzo, bardzo! Jest nazbyt suchy, chociaż dobry i nawet niekiedy czuły. Wszystko w nim jest jakieś nie dość ludzkie... Zdaje się, że śledzą nas? Rozejdźmy się. I nie wchodźcie do Ludmiły, jeśli będzie wam się zdało, że jest tam szpicel.

— Wiem! — powiedziała matka.

Ale Sasza dorzuciła z naciskiem:

— Nie wchodźcie! Idźcie wtedy do mnie. Tymczasem żegnajcie!

Odwróciła się szybko i poszła z powrotem.

XXVIII

Po kilku minutach matka siedziała już, grzejąc się przy piecu, w niewielkim pokoju Ludmiły. Gospodyni w czarnej sukni przepasanej paskiem przechadzała się powoli po pokoju napelniając go dźwiękami swego komenderującego głosu. W piecu wciągając powietrze z pokoju, trzeszczał i huczał ogień. Głos kobiety dźwięczał miarowo.

— Ludzie są bardziej głupi niż źli. Umieją widzieć tylko to, co jest bliskie, co można wziąć natychmiast. A wszystko, co jest bliskie, jest — tanie. Drogie jest to, co dalekie. Przecież w istocie rzeczy wszystkim było by wygodnie i przyjemnie, żeby życie stało się inne, łatwiejsze, a ludzie rozumniejsi. Ale aby to się stało, trzeba obecnie zadać sobie trochę trudu...

Nagle zatrzymała się przed matką i powiedziała ciszej, jakby usprawiedliwiając się:

— Rzadko widuję ludzi i jeżeli ktoś zajdzie do mnie, zaraz zacznam mówić. Zabawne, co?

— Dlaczego? — odezwała się matka. Starła się domyślić, gdzie ta kobieta drukuje, i nie widziała nic niezwykłego. W pokoju, którego trzy okna wychodziły na ulicę, stała kanapa, szafa do książek, stół, krzesła, pod ścianą łóżko, w kącie obok niego umywalnia, w drugim piec, na ścianach reprodukcje. Wszystko było nowe, mocne i czyste i na wszystko zakonna postać gospodyni rzucała jak gdyby chłodny cień. Czulo się coś zatajonego, ukrytego, ale nie można się było domyślić gdzie. Matka obejrzała drzwi — przez jedno weszła tutaj z maleńkiego przedpokoiku, obok pieca były drugie — wąskie i wysokie.

— A ja do was z interesem! — powiedziała zmieszana zauważywszy, że gospodyni obserwuje ją.

— Wiem. Do mnie nie przychodzi się inaczej...

Matce wydało się, że słyszy coś dziwnego w głosie Ludmiły, spojrziała jej w twarz, ale twarz jej uśmiechała się kątami cienkich warg, za szklami okularów błyszcząły matowe oczy. Oderwała od niej wzrok i, patrząc w bok, podała jej mowę Pawła.

— Proszę, żeby wydrukować jak najprędzej...

Zaczęła opowiadać o tym, jak Mikołaj przygotowuje się do aresztu.

Ludmiła wsunęła w milczeniu papier za pas, usiadła na krześle, na szklach jej okularów odbił się czerwony blask ognia i jego gorący uśmiech zadrżał na jej nieruchomej twarzy.

— Gdy przyjdą do mnie — będę strzelać do nich! — powiedziała półgłosem stanowczo wysłuchawszy opowiadania matki. — Mam prawo bronić się przed przemocą i powinnam się przed nią bronić, jeśli wzywam do tego innych.

Odblask ognia ślizgał się po jej twarzy, która stała się znowu surowa i trochę wyniosła.

— Niedobrze ci się żyje! — pomyślała z nagłą serdecznością matka.

Ludmiła zaczęła czytać mowę Pawła. Z początku od niechcienia, potem coraz bardziej pochylając się nad papierem i szybko odrzucając na bok przeczytane kartki. Skończywszy wstała, wyprostowała się, podeszła do matki.

— To — pięknie!

Zamyśliła się, spuściwszy na chwilę głowę.

— Nie chciałam mówić z wami o waszym synu — nie spotykałam się z nim i nie lubię smutnych rozmów. Wiem co to znaczy, gdy ktoś bliższy idzie na zesłanie! Ale — tak

mi się chce was zapytać — dobrze jest mieć takiego syna?...

— Tak, dobrze! — powiedziała matka.

— I strach, tak?

Matka odpowiedziała uśmiechając się spokojnie:

— Teraz już — nie strach...

Ludmiła odwróciła się do okna poprawiając smagłą ręką gładko przyczesane włosy. Lekki cień drżał na jej policzkach. Może był to cień stłumionego uśmiechu.

— Zaraz złożę. Przeżyliście ciężki dzień, jesteście zmęczeni. Połóżcie się tu, na łóżku, ja nie będę spała i być może obudzę was w nocy, żebyście mi pomogli... Gdy się położycie, zgaście lampę.

Dorzuciła dwa polana do pieca, wyprostowała się i weszła w wąskie drzwi koło pieca, szczelnie zamknawszy je za sobą. Matka odprowadziła ją wzrokiem i zaczęła rozbierać się myśląc o gospodyni:

— Martwi się czymś...

Czuła zawrót głowy pochodzący ze zmęczenia, ale w duszy jej panował dziwny spokój, a miękkie i łagodne światło, zdawało się oświetlać wszystko, na co patrzyła, i napełniać jej pierś. Znała już ten spokój. Zjawiał się w niej zawsze po wielkich wzruszeniach i dawniej — trwożył ją trochę. Ale teraz rozszerzał tylko jej duszę. Wielkie i silne uczucie uczyniło ją mocniejszą. Zgasła lampę, położyła się na chłodnej pościeli, skurczyła się pod kołdrą i szybko zasnęła głębokim snem...

A kiedy otworzyła oczy — pokój był skąpany w chłodnym białym świetle jasnego zimowego dnia. Gospodyni leżała na kanapie z książką w ręku i patrzyła na nią uśmiechając się innym niż zwykle uśmiechem.

— Ach, Boże mój! — krzyknęła zmieszana. — Jak spałam! Późno już, co?

— Dzień dobry! — powiedziała Ludmiła. — Niedługo dziesiąta, będziemy pić herbatę.

— Dlaczegoście mnie nie obudzili?

— Chciałam. Podeszłam do was, ale uśmiechaliście się tak ładnie przez sen...

Giętkim ruchem całego ciała podniosła się z kanapy, pochyliła się nad matką, a w jej matowych oczach matka zobaczyła coś serdecznego, bliskiego i zrozumiałego.

— Żal mi było przeszkodzić wam. Może widzieliście coś miłego we śnie...

— Nie widziałam nic!

— No, wszystko jedno! Spodobał mi się wasz uśmiech. Spokojny taki, dobry...

Ludmiła roześmiała się. Śmiech jej był cichy, aksamiitny.

— Myślałam o was... Trudno się wam żyje?

— Oczywiście, że trudno! — zawołała Ludmiła.

Matka ruszała brwiami, milczała, zastanawiała się.

— Nie wiem już sama! — powiedziała ostrożnie matka.

— Czasem wydaje się, że trudno. Ale wszystkiego jest tak dużo — wszystko takie ważne, zadziwiające, płynie jedno za drugim tak prędko, prędko...

Znana jej fala rzeźkiego podniecenia podnosiła się w jej piersi napełniając serce obrazami i myślami. Usiadła na łóżku, pośpiesznie oblekając myśli w słowa.

— Idzie, idzie, a wszystko ku jednemu... Dużo jest smutku, wicie! Ludzie cierpią, męczą ich, okrutnie męczą i wiele radości jest dla nich zakazanych — to bardzo ciężko!

Ludmiła odrzuciła głowę szybkim ruchem, objęła ją spojrzeniem i zauważyła:

— Mówicie nie o sobie!

Matka popatrzyła na nią, wstała z łóżka i ubierając się mówiła:

— Jakże tu stanąć osobno, z boku, jeżeli i tego kochasz i tamten jest ci drogi, i o wszystkich się boisz, i każdego jest ci żal — ciągle niepokoi ci coś serce... To jakże tak, osobno?

Stanęła na wpół ubrana pośrodku pokoju i zamyśliła się. Wydało się jej, że nie ma już tej, która żyła niepokojem i strachem syna, myślą o obronie jego ciała, nie ma już — oderwała się, odeszła gdzieś, a może przetopila się w ogniu wzruszeń, i to oswobodziło i oczyściło jej duszę, odnowiło serce dając mu nową siłę. Wsluchiwała się w siebie pragnąc zajrzeć we własne serce i obawiając się wzbudzić w nim dawny lęk.

— O czym myślicie? — spytała serdecznie gospodyni podchodząc do niej.

— Nie wiem! — odpowiedziała matka.

Milczały chwilę patrząc na siebie, uśmiechnęły się, po czym Ludmiła wyszła z pokoju mówiąc:

— Co porabia mój samowar?

Matka popatrzyła przez okno, na ulicy lśnił mroźny, rzeński dzień, w piersi było także jasno, ale ciepło. Miała ochotę mówić o wszystkim dużo, radośnie, z niejasnym uczuciem wdzięczności dla kogoś nieznanego za to, co wstąpiło w jej serce i dojrzewało tam w wieczornym świetle zachodu. Czuła dawno już nie zaznaną chęć modlitwy. Przypomniała sobie czyjąś młodą twarz, i dźwięczny głos odezwał się w jej pamięci: „To matka Pawła Własowa!“. Błysnęły radośnie i czule oczy Saszy, stanęła ciemna postać Rybina, uśmiechała się twarda, brązowa twarz syna, mrugał z zakłopotaniem Mikołaj i nagle wszystko zakłęsało się w głębokim, lekkim westchnieniu, zlało się i zmieszowało w przeźroczysty, różnobarwny obłok, który objął wszystkie jej myśli uczuciem spokoju.

— Mikołaj miał słuszność! — powiedziała wchodząc Ludmiła. — Aresztowano go! Posłałam, tak jak mi poleci-

liście, chłopca. Powiedział, że na podwórzu jest policja i widział policjanta, który chował się w bramie. I szpicle chodzą — chłopak zna ich.

— Tak! — powiedziała matka kiwając głową. — Ach, biedny...

Westchnęła, ale bez smutku i w duszy zdziwiła się temu.

— Mikołaj w ostatnich czasach dużo czytał z robotnikami w mieście i w ogóle musiał już wpaść! — zauważyła chmurnie i spokojnie Ludmiła. — Towarzysze mówili mu — wyjeżdżaj! Nie posłuchał! Według mnie, w takich wypadkach powinno się zmuszać, a nie namawiać...

W drzwiach stanął czarnowłosy i rumiany chłopczyk z ładnymi, niebieskimi oczyma i orlim nosem.

— Wnieść samowar? — zapytał dźwięcznym głosem.

— Proszę cię, Serioża! Mój wychowanek.

Matce wydało się, że Ludmiła jest dzisiaj inna — prostsza i bliższa jej. W gibkich ruchach jej smukłego ciała było dużo piękna i siły, wyraz jej surowej i bladej twarzy był łagodniejszy. Przez noc kręgi pod jej oczyma powiększyły się. Czuło się w niej naprężony wysiłek, mocno napiętą w duszy strunę.

Chłopczyk wniósł samowar.

— Przedstaw się, Serioża! Pelagia Niłowna, matka tego robotnika, którego wczoraj skazali.

Serioża skłonił się w milczeniu, uściśnął rękę matki, wyszedł, przyniósł bułki i usiadł przy stole. Ludmiła nalewając herbatę, przekonywała matkę, żeby nie wracała do domu, póki nie wyjaśni się, na kogo czeka policja.

— Może — na was! Was na pewno będą przesłuchiwać...

— Niech przesłuchują! — odezwała się matka. — I jeżeli nawet zaaresztują — niewielkie nieszczęście. Żeby tylko przedtem rozesać mowę Pawelka!

— Już złożona. Jutro będzie już dla miasta i osady.
Znacie Nataszę?

— Oczywiście!

— Odwiezicie jej...

Chłopczyk czytał gazetę i jakby nie słyszał nic, ale czasem oczy jego patrzyły spoza arkusza w twarz matki, i gdy spotykała ich żywe spojrzenie, było jej przyjemnie i uśmiechała się. Ludmiła znowu wspominała Mikołaja nie wyrażając żalu z powodu jego uwięzienia, a matce jej ton wydawał się zupełnie naturalny. Czas upływał szybciej niż w inne dni — gdy skończyli pić herbatę było już koło południa.

— Ale ten czas leci! — zawołała Ludmiła. I jednocześnie zapukano niecierpliwie. Chłopczyk wstał, spojrzał pytająco na gospodynię przymrużywszy oczy.

— Otwórz, Serioża. Któż by to mógł być?

I spokojnym ruchem opuściła rękę w kieszeń spódnicy.

— Jeżeli to żandarmi — powiedziała do matki — stańcie, Pelagio Niłowna, tutaj, w tym kącie. A ty, Serioża...

— Wiem! — cicho odpowiedział chłopczyk znikając.

Matka uśmiechnęła się. Wszystkie te przygotowania nie denerwowały jej — nie miała przecucia czegoś złego.

Wszedł małeńki doktor i zaczął mówić pośpiesznie:

— Po pierwsze, Mikołaj aresztowany. Aha, jesteście tutaj, Niłowna? Nie było was w czasie aresztowania?

— Właśnie wysłał mnie tutaj.

— Hm... — nie sądzę, żeby to było pożyteczne dla was!... Po drugie — dzisiaj w nocy różni młodzi ludzie wydrukowali na hektografach z pięćset egzemplarzy mowy. Widziałem — nieźle zrobione, wyraźnie, jasno. Chcą to wieczorem rozrzucić po mieście. Jestem przeciwny temu. Dla miasta są lepsze drukowane, a te należy gdzieś odesłać.

— Ja zawiozę je do Nataszy! Dawajcie je tylko! — żywo zawołała matka.

Zaprzagnęła jak najprędzej rozpowszechnić mowę Pawła, rozsypać słowa syna po całej ziemi i patrzyła w twarz doktora wyczekującymi na odpowiedź oczyma, gotowa prosić go.

— Diabeł wie, czy to będzie bezpieczne, żebyście wy brali się teraz do tego! — niezdecydowanie powiedział doktor wyjmując zegarek. — Teraz jest jedenasta czterdzieści trzy — pociąg odchodzi o drugiej pięć, droga trwa pięć godzin i piętnaście minut. Przyjedziecie więc wieczorem, jednakże nie dość późno, ale — nie o to chodzi...

— Nie o to! — powtórzyła gospodyni chmurząc brwi.

— A o co? — spytała matka przysuwając się do niej. — Tylko o to, żeby dobrze zrobić...

Ludmiła popatrzyła na nią uważnie i, pocierając czoło, zauważyła:

— To niebezpieczne dla was...

— Dlaczego? — gorąco i z prośbą w głosie zawołała matka.

— Ot dlaczego! — szybko i urywanymi zdaniem przemówił doktor. — Znikliście z domu na godzinę przed aresztowaniem Mikołaja. Wyjechaliście do fabryki, gdzie znajdują was jako ciotkę nauczycielki. Po waszym przyjeździe w fabryce zjawily się niebezpieczne odezwy. Wszystko to zaciąga się jak pętla wokół waszej szyi.

— Nie zauważą mnie! — przekonywała go matka zapalając się. — A gdyby po powrocie zaaresztowali mnie i zapytali, gdzie byłam...

Zamilkła na chwilę, po czym zawołała:

— Wiem co odpowiedzieć! Stamtąd pojedę prosto do osady — mam tam znajomego — Sizowa. Więc powiem, że niby prosto z sądu poszłam do niego podzielić się z nim

moją niedolą. On także ma zmartwienie — siostrzeńca jego skazali. I zezna to także. Widzicie?

Czując, że ustąpią jej mocnemu pragnieniu, i chcąc ich jak najprędzej skłonić do tego, nalegała coraz bardziej. Ustąpili.

— Cóż, jedźcie! — zgodził się niechętnie doktor.

Ludmiła milczała przechadzając się w zamyśleniu po pokoju. Twarz jej przygasła i jakby zmizerniała, a naprężone mięśnie szyi ledwie mogły utrzymać głowę, która najwidoczniej ciążyła jej i opuszczała się na piersi. Matka zauważyła to.

— Oszczędzacie mnie ciągle — powiedziała z uśmiechem — ale siebie nie oszczędzacie!

— To nieprawda! — powiedział doktor. — Oszczędzamy i siebie, powinniśmy oszczędzać! I gniewamy się bardzo na tego, kto trwoni bez pożytku swoje siły, tak! A teraz — co to jeszcze chciałem powiedzieć — mowę otrzymacie na stacji...

Objął ją, jak to będzie zrobione, po czym zajrzał jej w oczy i powiedział:

— No, życzę wam powodzenia!

I wyszedł, mimo wszystko niezadowolony z czegoś. Gdy drzwi zamknęły się za nim, Ludmiła podeszła do matki śmiejąc się cicho.

— Rozumiem was...

Wzięła ją pod rękę i zaczęła znowu wołno chodzić po pokoju.

— Ja mam także syna. Ma już trzynaście lat. Mieszka u ojca. Mój mąż jest podprokuratorem. I chłopiec jest z nim... Często myślę — czym on będzie?

Jej wilgotny głos drgnął. Po czym mówiła dalej w zamyśleniu:

— Wychowuje go świadomy wróg tych ludzi, którzy są mi bliscy, których uważam za najlepszych ludzi na ziemi.

Mój syn może wyrosnąć na mojego wroga. Mieszkać ze mną nie może — mieszkam pod przybranym nazwiskiem. Osiem lat go nie widziałam — to dużo — osiem lat!

Zatrzymała się przy oknie i, patrząc w bladą pustkę nieba, ciągnęła dalej:

— Gdyby był ze mną, byłabym silniejsza, nie miałabym w sercu rany, która zawsze boli. I nawet, gdyby umarł, było by mi lżej...

— Kochana moja! — powiedziała matka czując, jak współczucie ściska jej serce.

— Szczęśliwi jesteście! — powiedziała z uśmiechem Ludmiła. — To piękne — matka i syn obok siebie, w jednym szeregu — to rzadkie!

Własowa niespodziewanie dla samej siebie zawołała:

— Tak! To tak dobrze!

I zniżywszy głos, jakby zwierzała się z tajemnicy, dodała:

— Wszyscy wy, Mikołaj Iwanowicz i wszyscy ludzie prawdy — także razem! Wszyscy ludzie stali się bliscy — rozumiem ich. Słów nie rozumiem, a wszystko inne — rozumiem!

— Więc to tak... — powiedziała Ludmiła. — Więc tak...

Matka położyła rękę na jej piersi i, dotykając jej lekko, mówiła prawie szeptem, jakby widziała to, o czym mówi:

— Idą przez świat dzieci! Oto co rozumiem — idą dzieci po całej ziemi, wszyscy, zewsząd — do jednego! Idą najlepsze serca, ludzie uczciwego rozumu, nacierają nieugięte na wszystko co złe, idą, rozdeptują kłamstwo mocnymi nogami... Młodzi, zdrowi, oddają swoje niezwykłe siły wszyscy dla jednego — dla sprawiedliwości! Idą, żeby pokonać niedolę ludzką, wypowiedzieć walkę wszystkim nieszczęściom ziemi, idą zwyciężyć wszystko co ohydne i — zwyciężą! Zapalimy nowe słońce — mówił mi je-

den z nich i — zapalą! Połączymy w jedno serce rozdzielone nienawiścią serca i — połączą!

Przypomniała sobie słowa zapomnianych modlitw i, zapalając je nową wiarą, wyrzuciła je ze swego serca jak iskry.

— Idą dzieci drogami prawdy i rozumu niosąc miłość do wszystkiego, rozpościerają nad wszystkim nowe niebo, oświecają wszystko niegasnącym ogniem swoich serc. Powstaje nowe życie w ogniu miłości dzieci do całego świata. Któż zgasi tę miłość? Jaka jest siła większa od niej? Kto ją pokona? Zrodziła ją cała ziemia i całe życie chce jej zwycięstwa — całe życie!

Odsunęła się od Ludmiły zmęczona wzruszeniem i usiadła oddychając ciężko. Ludmiła odeszła także ostrożnie, bezszelestnie, jakby się bała coś zniszczyć. Chodziła sprężyste po pokoju, patrzyła przed siebie głębokim spojrzeniem matowych oczu i stała się jakby wyższa, prostsza i smuklejsza. Jej chuda i surowa twarz była skupiona, wargi — zaciśnięte nerwowo. Cisza w pokoju szybko uspokoiła matkę. Dostrzegła nastrój Ludmiły i spytała półgłosem jakby w poczuciu winy:

— Może ja coś nie tak powiedziałam?...

Ludmiła odwróciła się szybko, spojrzała na nią jakby z przestachem i zaczęła mówić pośpiesznie wyciągnawszy do niej rękę, jakby pragnęła powstrzymać coś:

— Tak! Tak! Ale nie mówmy o tym. Niech to zostanie takie jak zostało powiedziane. — I spokojniej już ciągnęła dalej. — Musicie już niedługo jechać — to przecież daleko!

— Tak, już niedługo. Ach, gdybyście wiedzieli, jaka jestem szczęśliwa! Wiozę słowo syna! Słowo mojej krwi! Przecie to jakby własna dusza!

Uśmiechnęła się, ale Ludmiła odpowiedziała jej bladym tylko uśmiechem. Matka czuła, że Ludmiła ochładza jej radość swoją powściągliwością i nagle zbudziło się w niej

uparte pragnienie przelania w tę surową duszę swego ognia, rozpalenia jej — niechże i ona dźwięczy harmonijnie z jej pełnym radości sercem. Ujęła ręce Ludmiły, ścisnęła je mocno i powiedziała:

— Droga moja! Jak to dobrze jest wiedzieć, że jest już w życiu światło dla wszystkich ludzi i że nadejdzie czas, gdy zobaczą je wszyscy i zespolą się z nim sercem!

Jej dobra, szeroka twarz drżała, oczy uśmiechały się promieniście, brwi poruszały się nad nimi, jakby oskrzydając ich blask. Upajały ją wielkie myśli, wkładała w nie wszystko, czym gorzało jej serce, wszystko, co zdążyła przeżyć, i krystalizowała je w twarde, jasne, pełne treści słowa. Rodziło się ich coraz więcej w jej jesiennym sercu ogrzanym twórczą siłą wiosennego słońca, zakwitwały coraz jaskrawszymi barwami, czerwieniły się w nim.

— Przecie to jakby nowy Bóg rodził się ludziom! Wszystko — dla wszystkich! Wszyscy — dla całości! Tak rozumiem was wszystkich. Zaprawdę, wszyscy jesteście towarzyszami, wszyscy krewnymi, wszyscy dziećmi jednej matki — prawdy!

I znowu zachłystując się falą swego podniecenia, zatrzymała się, zaczerpnęła tchu, szerokim gestem rozłożyła ręce, jakby chciała coś objąć i powiedziała:

— Gdy mówię sobie to słowo — towarzyszel — słyszę sercem — idą!

Osiągnęła to, czego pragnęła — twarz Ludmiły zapłonęła, usta zadrżały, z oczu popłynęły wielkie i przeźrocyste łzy.

Matka objęła ją, zaśmiała się bezdźwięcznie, dumna ze zwycięstwa swego serca.

Gdy żegnały się, Ludmiła zajrzała jej w oczy i spytała cicho:

— Czy wiecie, że dobrze jest z wami?

Na ulicy suche i mroźne powietrze objęło mocno całe jej ciało, przenikło do gardła, zalechtało w nosie i na sekundę zaparło dech w piersiach. Matka zatrzymała się i rozejrzała: niedaleko od niej, na rogu, stał dorożkarz w kудłatej czapce, dalej szedł jakiś człowiek, zgięty w pół wciągając głowę w ramiona, a przed nimi biegł, podskakując i rozcierając uszy, żołnierz.

— Pewnie posłali żołnierzyka do sklepiku! — pomyślała i poszła słuchając z zadowoleniem, jak młodo i dźwięcznie skrzypi pod jej nogami śnieg.

Na stację przyszła wcześniej, pociągu jeszcze nie było, ale w brudnej, zakopconej dymem sali trzeciej klasy zebrało się już dużo ludzi — mróz zegnał tu robotników drogowych, przyszli ogrzać się dorożkarze i jacyś źle odziani, bezdomni ludzie. Byli i pasażerowie. Kilku chłopów, gruby kupiec w cybetowym futrze, duchowny z córką — ospowatą dziewczoją, pięciu żołnierzy i ruchliwi mieszczanie. Ludzie palili, rozmawiali, pili herbatę, wódkę. Przy bufecie ktoś zanosił się od śmiechu, nad głowami unosiły się kłęby dymu. Otwarte drzwi skrzypiały, szyby drżały i dzwoniły, gdy zamykano je z hałasem. Mocny zapach tytoniu i solonych ryb bił w nozdrza.

Matka usiadła u wejścia do sali i czekała. Gdy drzwi otwierały się, leciał na nią obłok chłodnego powietrza, wdychała je z przyjemnością pełną piersią. Wchodzili ludzie ciężko odziani, z węzełkami w rękach, i niezdarnie grzęźli w drzwiach wymyślając i rzucając na podłogę albo na ławkę swoje rzeczy. Strząsali suchy szron z kołnierzy i rękawów płaszczy, ocierali go z bród i wąsów, chrząkali.

Wszedł młody człowiek z żółtą walizką w ręku, rozejrzał się szybko i podszedł prosto do matki.

— Do Moskwy? — zapytał półgłosem.

— Tak. Do Tani.

— Oto jest!

Postawił walizkę obok niej na ławce, wyjął papierosa; zapałił go, uchylił czapki i w milczeniu wyszedł drugimi drzwiami. Matka pogładziła ręką chłodną skórę walizki, oparła się o nią łokciem i, zadowolona, zaczęła przyglądać się publiczności. Po minucie wstała i przeszła na drugą ławkę, bliżej wejścia na peron. Walizka była niewielka, trzymała ją bez wysiłku w ręku. Szła z podniesioną głową przyglądając się migającym przed nią twarzą.

Jakiś młody człowiek w krótkim palcie z podniesionym kołnierzem zderzył się z nią w przejściu, odskoczył podniósłszy rękę do głowy. Wydało się jej, że zna go, obejrzała się i zobaczyła, że i on patrzy na nią jednym jasnym okiem spoza kołnierza. To uważne oko ukuło ją, ręka, w której trzymała walizkę, drgnęła i walizka stała się nagle cięższa.

— Widziałam go pewnie gdzieś! — pomyślała tłumiąc tą myślą przykre, niejasne wrażenie i nie pozwalając innym słowom określić uczucia, powoli, ale przemożnie ścisnącego chłodem jej serce. A uczucie to rosło, podnosiło się do gardła, napełniało usta suchą goryczą i ogarnęła ją nieprzewyciężona chęć obejrzenia się i spojrzenia na niego jeszcze raz. Zrobiła to — człowiek przestępując ostrożnie z nogi na nogę stał na tym samym miejscu. Wydawało się, że pragnie czegoś, ale nie może się zdecydować. Prawa ręka była wsunięta między guziki palta, drugą trzymał w kieszeni, dlatego też prawe ramię wydawało się wyższe od lewego.

Podeszła nie śpiesząc się do ławki i usiadła na niej ostrożnie i powoli, jakby obawiała się, że coś się w niej przerwie. Pamięć rozbudzona ostrym przecuciem nieszczęścia dwa razy postawiła przed nią tego człowieka — raz w polu, za miastem, po ucieczce Rybina, drugi —

w sądzie. Tam, obok niego stał rewirowy, któremu fałszywie pokazała kierunek ucieczki Rybina. Znali ją i śledzili — to było jasne.

— Wpadłaś? — zadała sobie pytanie. I w następnym momencie odpowiedziała wzdrygając się. — A może jeszcze nie...

I natychmiast opanowawszy się, stwierdziła surowo:
— Wpadłaś!

Rozglądała się, ale nie widziała nic, a myśli jedna za drugą zapalały się i gasły w jej mózgu jak iskry.

— Zostawić walizkę — iść?

Ale zaraz jaskrawszym światłem błysnęła druga iskra:

— Porzucić synowskie słowo? W takie ręce...

Przytuliła do siebie walizkę.

— A — odejść z nią? Uciec...

Myśli te wydawały się jej obce, jak gdyby je ktoś z zewnątrz wtlaczał w nią gwałtem. Palily ją, boleśnie kluly jej mózg, chłostały serce jak ogniste bicze. Bołały ją i obrażały odpędzając ją od samej siebie, od Pawła, od wszystkiego, co zrosło się już z jej sercem. Czula, że naciska na nią uparcie wroga siła, przygniata jej plecy i pierś, poniża ją, pograża w martwym lęku. Żyły w jej skroniach pulsowały mocno, u nasady włosów czula ciepło.

Nagle, jednym wielkim i mocnym wysiłkiem serca, który jakby wstrząsnął nią całą, zgasila chytne, maleńkie i słabe ogniki i powiedziała sobie rozkazująco:

— Wstydz się!

Zrobiło się jej od razu lżej i, okrzepnawszy zupełnie, dodała:

— Nie hańb syna! Nikt się nie boi...

Oczy jej spotkały posępne, nieśmiałe spojrzenie. Potem przemknęła jej w pamięci twarz Rybina. Te kilka sekund wahania jak gdyby umocniły w niej wszystko. Serce zabiło spokojniej.

— Co teraz będzie? — myślała obserwując.

Szpicel zawołał dozorcę i szepnął mu coś wskazując na nią oczyma. Stróż patrzył na niego i cofał się w tył. Podszedł drugi dozorca, słuchał, marszczył brwi. Był to duży starzec, siwy, nieogolony. Kiwnął szpicelowi głową i podszedł do ławki, na której siedziała matka, a szpicel zniknął gdzieś szybko.

Starzec szedł nie śpiesząc się, uważnie obmacując gniewnymi oczyma jej twarz. Posunęła się dalej na ławce:

— Żeby tylko nie bili...

Zatrzymał się przed nią. Milczał chwilę, po czym nie podnosząc głosu, zapytał surowo:

— Czego tu wypatrujesz?

— Ja... nic.

— Tak, tak — złodziejka! Stara już, a do czego się bierze!

Wydawało się jej, że jego słowa uderzyły ją dwa razy w twarz. Złe, ochryple, łolaly, jak gdyby szarpały policzki, wychłostywały oczy...

— Ja? Nie jestem złodziejką! Kłamiesz — zawołała pełną pierśią i wszystko zakręciło się przed nią w wichrze jej oburzenia. Była pijana obrazą i goryczą. Szarpnęła walizką, walizka otworzyła się.

— Patrzcie! Patrzcie wszyscy! — krzyczała podnosząc się i machając nad głową paczką wyciągniętych z walizki proklamacji. Poprzez szum w uszach słyszała okrzyki zbiegających się ludzi i widziała, że biegną szybko i ze wszystkich stron.

— Co to takiego?

— Szpicel...

— Co to?

— Mówią, że ukradła...

— Taka zdawało by się stateczna i poważna — oj!
oj! oj!

— Nie jestem złodziejką! — mówiła matka pełnym głosem uspokajając się nieco na widok ludzi, ciasno napierających na nią ze wszystkich stron.

— Wczoraj sądzili politycznych, tam był między nimi mój syn — Własow. Wygłosił mowę — oto ona! Wiozę ją ludziom, żeby czytali i myśleli o prawdzie...

Ktoś ostrożnie wyciągnął papier z jej rąk. Machnęła paczką w powietrzu i rzuciła ją w tłum.

— Za to także nie pochwalą! — zawołał czyjś przestraszony głos.

Matka widziała, że rozchwytują papierki, chowają je za pazuchę i do kieszeni i to dodało jej nowych sił. Spokojniej i mocniej prężąc się cała i czując, jak rośnie w niej zbudzona duma i rozpala się zduszona radość, mówiła wyciągając pośpiesznie z walizki paczki papieru i rozrzucając je na prawo i na lewo w czyjeś szybkie, spragnione ręce.

— Czy wiecie za co skazano mego syna i tych wszystkich, którzy byli z nim — wiecie? Powiem wam to, a wy uwierzcie sercu matki i jej siwym włosom — wczoraj sądzono ludzi za to, że niosą wam wszystkim prawdę! Wczoraj dowiedziałam się, że ta prawda... nikt nie może przeciwstawić się jej, nikt!

Tłum milczał i rósł zwierając się coraz mocniej, otaczając szczerlnie kobietę pierścieniem żywych ciał.

— Nędza, głód, choreby, oto co daje ludziom ich praca. Wszystko jest przeciw nam — zdychamy całe życie, z dnia na dzień, zawsze w harówce, w brudzie, w oszukaństwie, a naszą pracą radują się i objadają inni, i trzymają nas na łańcuchu jak psy! Trzymają nas w ciemnocie — my nie wiemy o niczym, w strachu — boimy się wszystkiego! Nasze życie to noc, ciemna noc!

— Tak! — rozległo się głucho w odpowiedzi.

— Zamknij jej pysk!

Za tłumem matka zobaczyła szpicla i dwóch żandarmów i śpieszyła się, żeby oddać ostatnie paczki, ale gdy ręka jej opuściła się w walizkę, spotkała tam obcą rękę.

— Bierzcie! Bierzcie! — mówiła nachylając się nad walizką.

— Rozchodź się! — krzyczeli żandarmi rozpychając ludzi. Ustępowali niechętnie przed szturchańcami, ściskali żandarmów w tłumie, przeszkadzali im może nieświadomie nie pragnąc tego. Pociągnęła ich z niepokonaną siłą ta siwa kobieta z dużymi, uczciwymi oczyma i dobrą twarzą. I rozdzielani przez życie, obcy dla siebie, teraz stąpiali się w jakąś całość, ogrzaną ogniem słowa, którego szukało i pożądało może od dawna wiele serc, skrzywdzonych przez niesprawiedliwość życia. Bliżsi stali w milczeniu, matka widziała ich uważne i chciwe oczy, czuła na swojej twarzy ich ciepły oddech.

— Uciekaj, stara!

— Zaraz cię wezmą!...

— Ach, jaka zuchwała!

— Precz! Rozchodź się! — coraz bliżej rozlegały się krzyki żandarmów. Ludzie przed matką kołysali się na nogach chwytając się jeden drugiego.

Wydawało się jej, że wszyscy gotowi są zrozumieć ją, uwierzyć jej, i chciała, śpieszyła powiedzieć ludziom to, co wiedziała, podzielić się z nimi wszystkimi myślami, których siłę odczuwała. Wypływały z łatwością z głębi jej serca, układały się w pieśń, ale czuła z żalem, że nie starczy jej głosu, że głos jej chrypnie, drży, łamie się.

— Słowo mojego syna — czyste słowo robotnika — słowo nieprzekupnej duszy! Poznawajcie tę nieprzekupność po odwadze!

Czyjeś młode oczy patrzyły w jej twarz z zachwytem i lękiem. — —

Pchnięto ją w pierś, zachwiała się i usiadła na ławce. Nad głowami ludzi migotały ręce żandarmów; chwyтали za kołnierze i ramiona, odrzucali na bok ciała ludzkie, zrywali czapki ciskając je daleko. Wszystko w oczach matki poczerniało i zakolysało się, ale przemagając zmęczenie, krzyczała jeszcze ostatkiem głosu:

— Ludzie! Połączcie swoje siły w jedną siłę!

Żandarm dużą, czerwoną ręką chwycił ją za kołnierz i potrząsnął nią:

— Milcz!

Uderzyła głową o ścianę, serce spowił na sekundę żrący dym strachu, ale rozwiął się, i rozgorzało znowu jasnym płomieniem.

— Chodź! — powiedział żandarm.

— Nie lękajcie się niczego! Nie ma męki większej od tej, którą oddychacie przez całe życie...

— Milczeć, mówię! — żandarm wziął ją pod rękę i szarpnął. Drugi uchwycił jej drugą rękę i prowadzili matkę idąc dużymi krokami.

— ... która każdego dnia żre serce, wysusza pierś!

Szpicel zabiegł jej od przodu i, wygrażając kułakiem przed jej twarzą, krzyknął piskliwie:

— Milcz, swołocz!

Oczy jej rozszerzyły się, rozbliły, szczęka zadrżała. Opierając się nogami o śliski kamień podłogi, zawołała:

— Duszy, która zmartwychwstała, nie zabijaj!

— Suko!

Szpicel uderzył ją w twarz krótkim ruchem ręki.

— Dobrze jej! Stare ścierwo — rozległ się jakiś okrzyk złośliwego zadowolenia.

Coś czarnego i czerwonego oślepiło na chwilę oczy matki, słony smak krwi napelnił usta.

Głośny wybuch okrzyków oprzytomnił ją.

— Nie waż się bić!

- Chłopcy!
- Ach ty, draniu!
- Dajcie mu!
- Nie zaleją krwią rozumu!

Uderzano ją w kark, bito po plecach, po głowie. Wszystko zakręciło się, zawirowało ciemnym wichrem, w krzyku, w wyciu, w świstach. Coś gęstego ogłuszało ją leżąc do uszu, zatykało gardło, dusiło. Podłoga poruszała się, zapadała się pod nogami, nogi uginały się, ciało drgało w oparzelinach bólu, ocieężało i chwiało się bezsilnie. Ale oczy nie gasły i widziały mnogość innych oczu, płonących znanym jej, śmiałym, ostrym ogniem — ogniem bliskim jej sercu.

Wypchano ją w drzwi.

Wyrwała rękę, uchwyciła się framugi.

— Morzem krwi nie zagaszą prawdy...

Uderzono ją po ręce.

— Tylko gniew zgromadzicie, szaleńcy! Na was on spadnie!

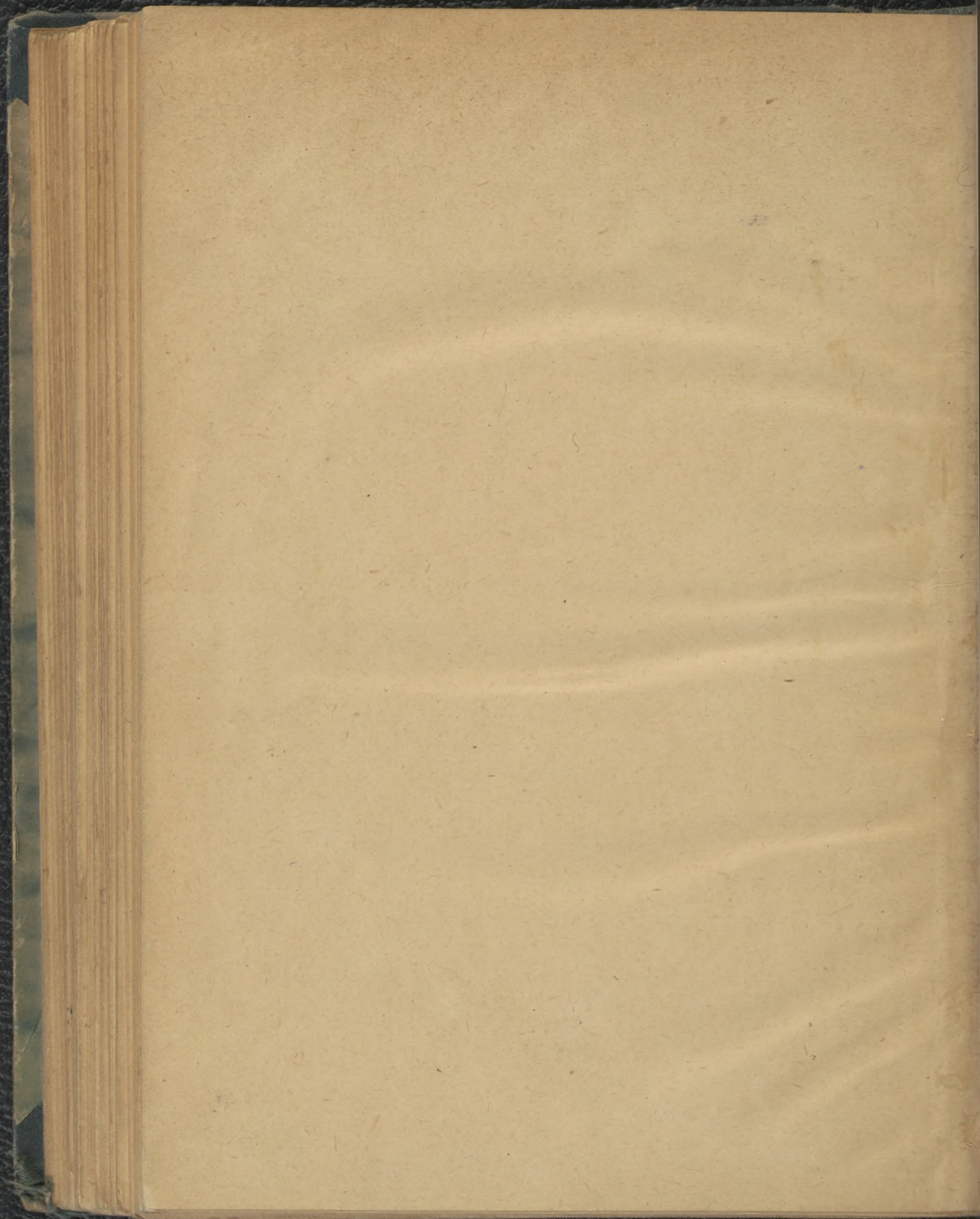
Żandarm chwycił ją za gardło i zaczął dusić.

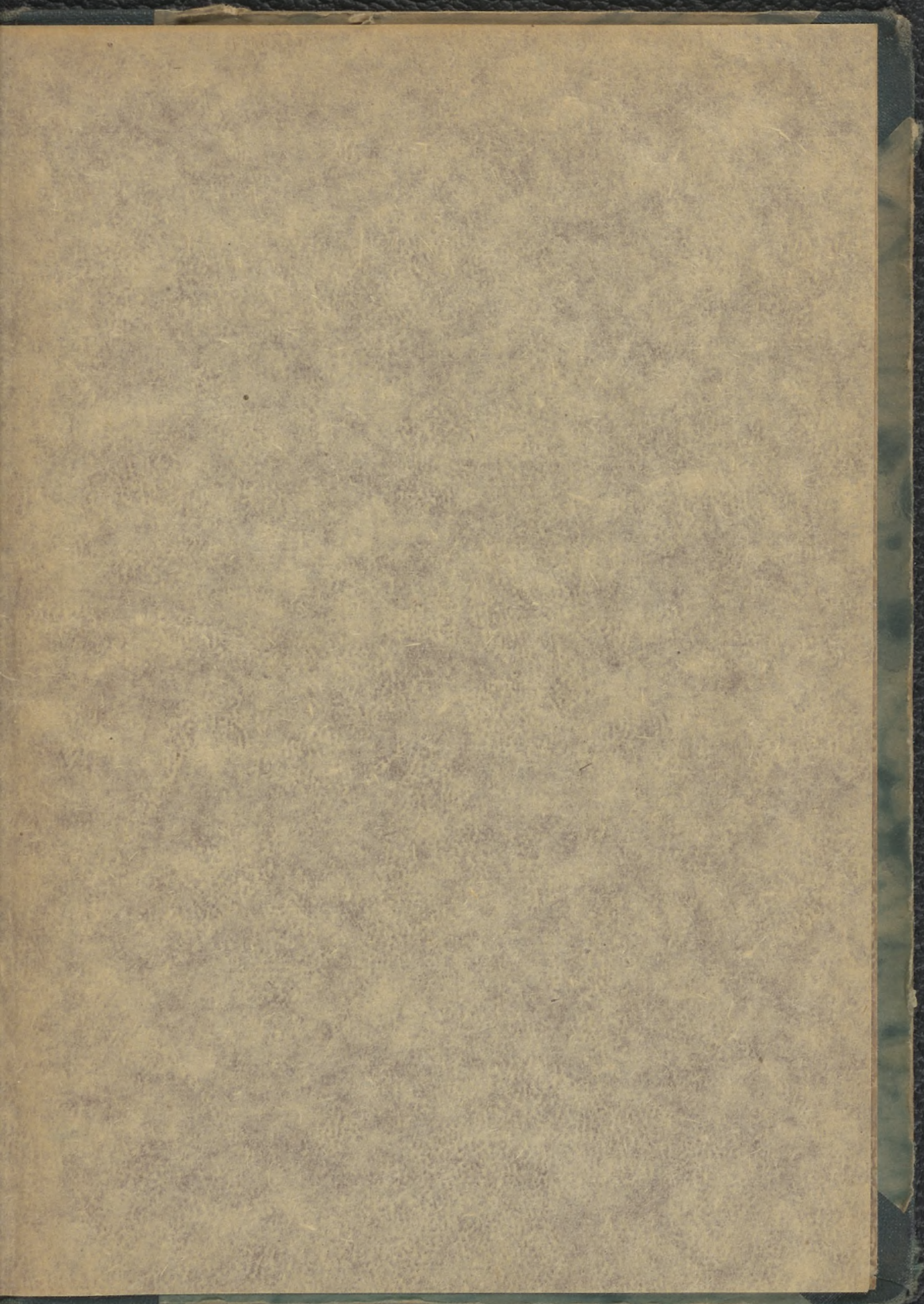
Rzęziła.

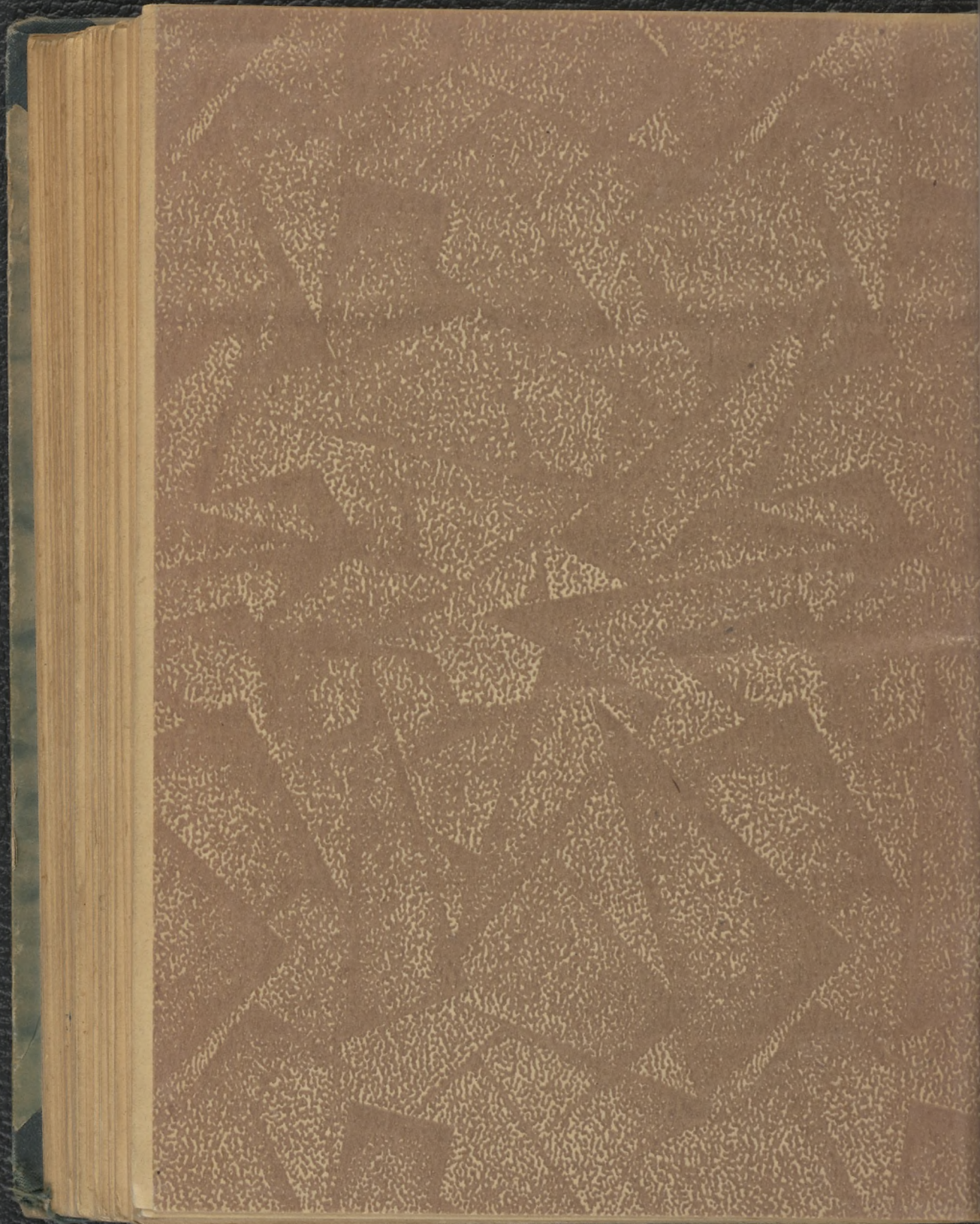
— Nieszczęśliwi...

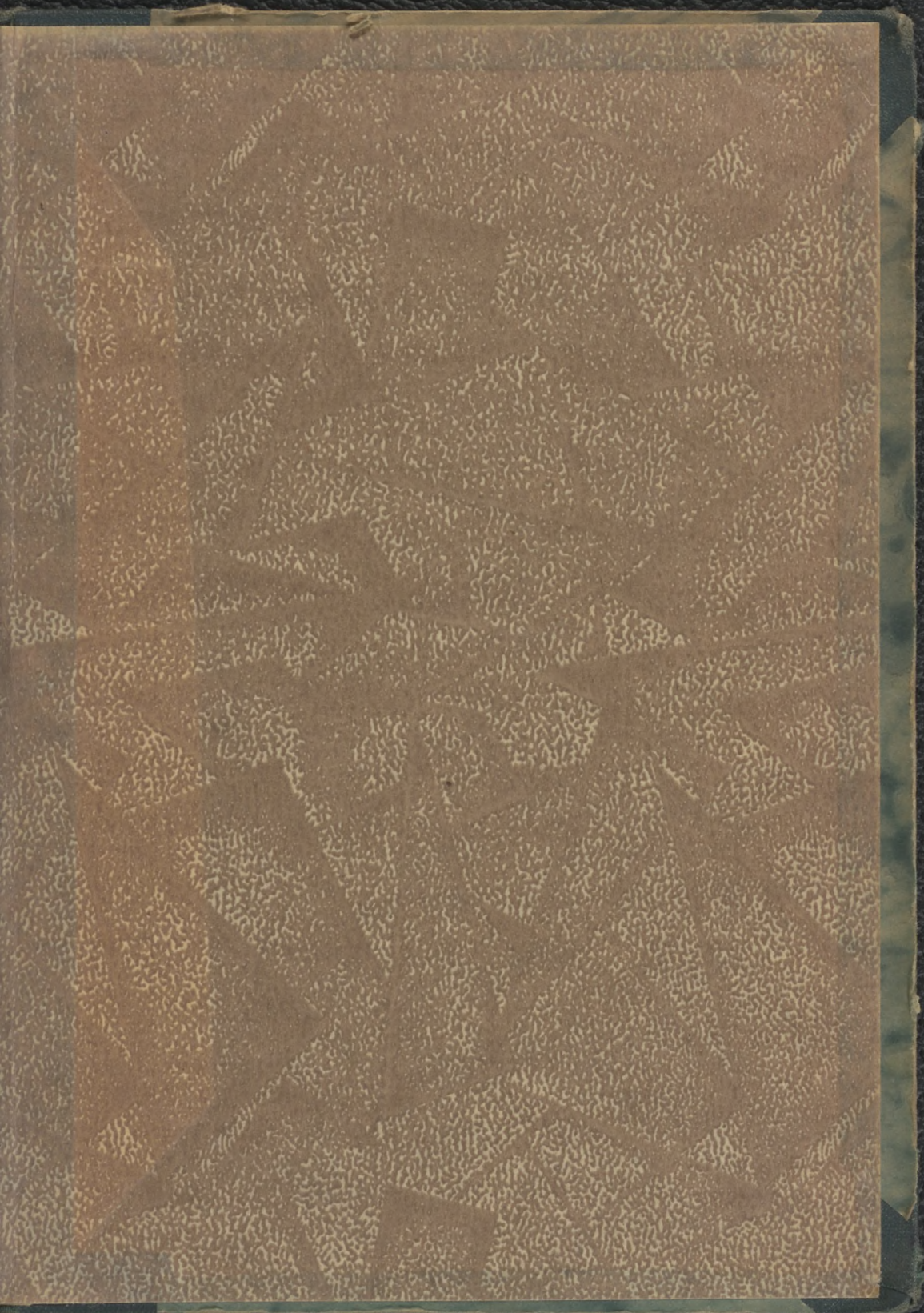
Odpowiedziało jej czyjeś głośne łkanie.













593374

BIBLIOTEKA
NARODOWA